



M A R I U S Z
C Z U B A J



O książce

POŁĄCZENIE CZARNEGO KRYMINAŁU Z WESTERNEM

Tyle że tu nie ma walki dobra ze złem. Jest walka zła ze złem.

A więc czarny western.

„– Nie uważasz, że w czasach opanowanych przez pośredników zemsta jest czymś, co nas ucłowiecza? Jeden na jednego. Nie sądzisz, Htasko?”.

Marcin Hłasko, były policjant, specjalista od spraw bezpieczeństwa i odnajdywania zaginionych, chyba nie miał dotąd powodów, żeby zastanawiać się nad tą kwestią.

Ale wyjazd na Mazury może to zmienić. I nie chodzi o zlecenie, w związku z którym się tam udaje – odnalezienie zaginionej przed rokiem dziewczyny. Raczej o sprawę, z powodu której to zlecenie przyjął: zaginięcie własnego ojca przed dwudziestu sześciu laty.

M A R I U S Z
C Z U B A J



R.I.P.



Wydanie elektroniczne

Mariusz Czubaj

Jeden z najbardziej cenionych polskich autorów kryminałów, tłumaczonych na angielski, niemiecki, ukraiński, włoski i turecki; profesor antropologii kultury; autor powieści kryminalnych: *21:37*, *Kołysanka dla mordercy*, *Zanim znów zabiję* i *Piąty Beatles*. Wraz z Markiem Krajewskim stworzył postać komisarza Jarosława Patera, bohatera *Alei samobójców* i *Róż cmentarnych*.

Pisze nie tylko kryminały, lecz także opracowania poświęcone temu gatunkowi powieści (*Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych*, napisana wspólnie z Wojciechem Bursztą, i *Etnolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne*) oraz innym obszarom kultury popularnej.

Zdobywca Nagrody Wielkiego Kalibru (i siedmiokrotnie do niej nominowany). *Martwe popołudnie*, pierwsza książka cyklu z Marcinem Hłasko, otrzymało nagrodę specjalną na festiwalu Kryminalna Piła za „wyjątkową formę narracyjną i publicystycznie odważny obraz współczesnej Polski”.

Tego autora

MARTWE POPOŁUDNIE

R.I.P.

Copyright © Mariusz Czubaj 2016

All rights reserved Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Redakcja: Filip Modrzejewski Projekt graficzny okładki: Piotr Cieśliński|Dark Crayon ISBN 978-83-7985-364-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Część druga

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[Część trzecia](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[Od autora](#)

Pierwszą rzeczą, do której myśliwy musi się dostosować, jest sztuka cichego poruszania się; bez nagłych ruchów – a dotyczy to tym bardziej myśliwego z aparatem fotograficznym. Myśliwi nie mogą chodzić według własnego widzimisię, muszą się stosować do wiatru, do barw i woni terenu, muszą też przybrać tempo takie samo jak całe otoczenie.

Karen Blixen, *Pożegnanie z Afryką*

Przekład: Jerzy Giebułtowski, Jadwiga Piątkowska Tajemnica absolutna to tajemnica śmierci.

Igor Newerly, *Wzgórze Błękitnego Snu*

Prolog

Nie przypominał sobie takiego lata. Nikt sobie nie przypominał.

Siedział w barze sam. Żaden podróżny dziś się jeszcze nie zatrzymał. Nic dziwnego. Każdy, kto był zmuszony do podróży, chciał pokonać trasę jak najszybciej, zanim samochód zamieni się w rozgrzaną do czerwoności puszkę.

Spojrzał na kalendarz. W taki upał można stracić rachubę czasu. Zerknął, jakby jeszcze chciał się upewnić, na wyświetlacz telefonu. Zresztą nie miał nic lepszego do roboty. Był czwartek. Zbliżało się południe. Nie było czym oddychać.

Byle do jutra, pomyślał. Byle wytrwać jeszcze jeden dzień. I zacznie się szaleństwo. Ostatni weekend wakacji. Fala powrotów i rozwrzeszczanych dzieci, udręczonych matek i ponurych ojców, którzy zatrzymają się na ostatnią w sezonie mazurską rybkę. I pizzę. Z myślą o dzieciach poszerzył asortyment i nauczył się swoimi ogromnymi łapskami wyrabiać ciasto. Posłucha kilku drobnych sprzeczek i uciszy jedną większą awanturę.

Ale to się zacznie dopiero za jakieś dwadzieścia godzin. W takie dni, gdy powietrze stoi bez ruchu i miesza się z lepką nudą, muchy śpią w ukryciu, a każde stworzenie szuka schronienia, żałował, że przeniósł się z Wybrzeża. Tam nigdy nie czuł takiego skwaru. Andrzej Polak. Zapaśnik, waga ciężka, nawet dziś bez problemu znalazłby pracę w dowolnym klubie. Tak. Z takim doświadczeniem i wiedzą o nocnym życiu. Sięgnął po ścierkę i bardziej dla zabicia czasu niż z potrzeby przeleciał nią po kontuarze z drewna o kasztanowym odcieniu. Wspominał stare dobre czasy, które nagle się skończyły. Pewnego dnia Andrzej Polak zwariował. Znaczą: zakochał się. Za kobietą pojechał. Przyjechał tutaj. I tu już zostali. Na dobre, na złe, a najczęściej przeciętne. I z tym barem szumnie zwanym karczmą. Czasami, prawda, zdarzała się inna robota. Ktoś prosił o pomoc. Właściwie zawsze ten sam człowiek. I wtedy przydawały się zapaśnicze umiejętności. Ale w ostatnich latach korzystano z jego usług coraz rzadziej. Zresztą co się dziwić. Może uznali, że się zestarzał. A poza tym do Wielbarka, gdzie mieszkał, kilka kilometrów, a do Szczytna to już kawałek. Jak trzeba, mają chłopaków na miejscu.

Radio cicho grało i podawali wiadomości. Kobięcy głos przypominał, żeby dbać o uzupełnianie płynów, a starszym ludziom zalecał pozostanie w domu. Rekordowe

temperatury odnotowano w kolejnych województwach. Poziom wody w Wiśle nigdy nie był tak niski. Mówili, że są miejsca w Warszawie, gdzie można przejść przez rzekę. Z dna wydobywano kolejne znaleziska, zdaje się, że natrafili nawet na coś sprzed pierwszej wojny. Mnóstwo jakiegoś złomu. Akurat tu, w okolicach Wielbarka i Szczytna, było tak samo. Zawsze, odkąd pamiętał, szukano tu złotych monet i węszone za rublami generała Samsonowa, ale nigdy tak jak teraz. Takiej gorączki rosyjskiego złota nigdy nie było. Poszukiwacze czasem zajeżdżali tu do baru, z aparaturą do wykrywania metali, z którą nie rozstawali się na krok, podnieceni, niektórzy z obłędem w oczach, a jeszcze inni z pożółkłymi od słońca i powycieranymi do cna mapami z czasów pierwszej wojny. W lipcu zahaczyli tu rycerze spod Grunwaldu. Kawałek drogi. Teraz nazywają się grupami rekonstrukcyjnymi. Głupiej się nie da. Zresztą co to niby ma znaczyć. Dwa tygodnie po nich węsaci kowboje udawali się na Piknik Country.

No, powiedzieć nie można, czasami i tu się coś działo. Ale nie w takie dni jak dziś. Teraz w radiu mówili o uchodźcach. W Austrii znaleziono ciężarówkę pełną trupów. Skrzywił się. Ci, co ją otworzyli, mieli niezły widok. I zapach pewno też. Na całe życie. Uznał, że dłużej nie wytrzyma. Odwrócił się i włączył wiatrak. I wtedy skrzypnęły drzwi.

Chwilę trwało, zanim podróżny przyzwyczał się do panującego w środku mroku. Na zewnątrz oślepiało go słońce, tu było prawie jak w ciemni fotograficznej. Rozejrzał się. Wszystko w drewnie. Nieco jaśniejsze ławy i krzesła, ciemniejszy bar. Surowe wnętrza i prostota. Żadnych obrusów i kwiatków mających uprzyjemnić konsumpcję. Nikt takimi detalami tu się nie przejmował. Na ścianie kalendarz Węglizbytu, z potężnym frachtowcem, tuż obok płyty winylowej i koperty. Podszedł bliżej. Krzysztof Klenczon i Trzy Korony. Jak to szło? *Wróćmy nad jeziora?* To chyba on napisał. Tylko że z Czerwonymi Gitarami. Wjazd do Szczytna ozdobiono gitarą, podobizną muzyka i informacją, że to „miasto Klenczona”, więc wszystko się zgadzało.

Mężczyzna się nie spieszył. Był jedynym gościem. To już zdążył zauważyć. Odwrócił się i podszedł do baru. Spojrzał na barmana i przeniósł wzrok na menu w plastikowej koszulce.

– Ale upał, co? – usłyszał. – Jak pan to znosi, bo ja...

Karczmarz najwyraźniej był spragniony rozmowy. Inaczej niż podróżny.

– No dobrze, co dla pana, znaczy... przepraszam, dla księdza?

W pierwszej chwili nie spostrzegł koloratki. Dość dziwnie to wyglądało. Mężczyzna był niższy od niego o głowę, miał hiszpańską bródkę. Koszula khaki, bojówki, coś w stylu piasku pustyni, tak chyba na to mówią, i bejsbolówka. I koloratka. Dziwna kombinacja.

– Poproszę tyskie. Czy ja – mężczyzna wskazał na okno – mogę usiąść tam na zewnątrz pod parasolami? Czy to do konkurencji należy?

Andrzej Polak uśmiechnął się i położył na blacie potężne dłonie. Rozcapierzył palce i lekko się pochylił, jakby pragnął wyznać sekret.

– Tu już nie ma żadnej konkurencji. – Z naciskiem na „już”. Wyprostował się. – Może ksiądz tam, ale lepiej zostać w środku. Na powietrzu nie da się wytrzymać. Tam to już całkiem jak w Dolinie Śmierci.

Nalewając piwo, wyjrzał przez okno. Dziwne, pomyślał. Ksiądz, jedzie samochodem i pije. Samo w sobie nie jest to takie dziwne, przecież czarny też człowiek i napić się lubi, ale jeden browiec w taką pogodę to jak ze trzy w zwykły dzień. Człowiek jest ugotowany od razu. Dziwne było jednak to, że nie zauważył auta. Nie było go na podjeździe. Może postawił gdzie indziej? Bo jak by się tu dostał? Rowerem, jak księżulo z serialu? Wszystko jedno, przecież i tak nie ma tu skrawka cienia. Zresztą nie jego sprawa. Klient to klient. Nawet ksiądz.

Usłyszał zamówienie. Pizza z salami. Mówisz, masz.

Skinął głową. Tym razem się nie odezwał. Drogą przejechała ciężarówka wyladowana drewnem z wielbarskiego tartaku. W radiu piosenkarka obiecywała, że na ciele rozmaże z łąz tatuaże. Taki przebój. Wart tyle, co i całe to lato. Łopatki wiatraka furczały, a ich odgłos skojarzył mu się z odgłosem wydawanym przez zastygłą w powietrzu ważkę.

Postawił pizzę przed księdzem.

– A o tych nowych podsłuchach słyszał ksiądz? – Nie wytrzymał jednak. – A co tam – machnął ręką – ksiądz to się swoje nasłucha. W konfesjonale.

Mężczyzna nie odpowiedział. Siedział z głową wspartą na rękach i wpatrywał się w stół.

– Smacznego – burknął karczmarz.

Wzruszył ramionami i ruszył za bar. Gbur. Znał takich. Siedzą cicho, a potem robią zadymę w lokalu i trzeba ich kopniakami wypraszać. Znow zerknął na wyświetlacz telefonu. A potem uniósł głowę. Popatrzył na pierwszego i jedyne tego dnia klienta. A następnie przeniósł wzrok na talerz z pizzą, który wylądował na kontuarze.

– Coś – wskazał palcem – z nią nie tak?

– Czy Henryk Koenig też jada tu pizzę? – usłyszał ciche pytanie. – Je za darmo?

– Kto?

– Jak to kto? Henryk Koenig. Przecież powiedział pan, że tu – ksiądz powiódł ręką – nie ma żadnej konkurencji. To znaczy, że tu wszystko musi należeć do Koeniga. Tu i tam. I tam za Szczytnem też.

Barman nie odpowiedział. Czuł, jak tężeje mu twarz. I mięśnie. Jak wieczorami w klubach na Wybrzeżu, gdy trzeba było zaprowadzić porządek.

Ksiądz sięgnął do bocznej kieszeni bojówek. Wyjął zawiniątko w serwetce, jaką dostaje się do hot doga na stacji benzynowej.

– A czy temu Koenigowi nie zaginęli ostatnio jacyś ludzie? Nie znikają tu wam ludzie?

Barman zamrugał. A następnie powoli wsunął rękę pod blat. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Nie było sensu czekać. Pod kontuarem trzymał kij bejsbolowy. I siekiere. Był pewien swojej siły i umiejętności, ale zawsze dobrze mieć coś przy sobie. Zacisnął palce na trzonku.

Ksiądz chrząknął. Bardziej była to oznaka dezaprobaty niż ostrzeżenie. Nieznacznie pokręcił głową. Wpatrywał się w karczmarza nieruchomymi brązowymi oczami.

Było w tym spojrzeniu coś, co sprawiło, że Andrzej Polak zmienił zamiar.

– Powiada święty Jakub, męczennik zresztą: „Jeżeli przeto zakładamy koniom wędzidła do pysków, by nam były posłuszne, to kierujemy całym ciałem”. I dalej mówi tak: „Języka natomiast nikt z ludzi nie potrafi okiełznać, to zło niestateczne, pełne zabójczego jadu”¹. Przyznaję, też miałem kłopot, by się z tymi trzema dogadać.

Położył zawiniątko na pizzy.

– Więc gdy Koenig przyjedzie coś zjeść, podaj mu razem z tym. Nigdy czegoś takiego nie jadł. Zapewniam.

Ruszył do drzwi.

Andrzej Polak trwał bez ruchu za barem. Ubranie przyłgnęło do ciała, a podmuch wiatraka spowodował, że pierwszy raz tego dnia poczuł chłód. Nie odczuł jednak ulgi.

Odpakował zawiniątko i wpatrywał się w zawartość.

Usłyszał odgłos odpalanego silnika.

Poczuł, że się trzęsie. Był górą mięśni, która w jednej chwili rozpadła się i przemieniła w galareteę.

Jak on to powiedział? „Zło niestateczne, pełne zabójczego jadu”.

Zrozumiał, co widzi przed sobą. Na serwetce leżał ludzki język.

Leżało coś, co kiedyś było ludzkim językiem, a stało się kawałkiem mięsa.

A potem sięgnął po telefon i przewinął wybieranie numerów do litery „K”.

Zbudził mnie jakiś odgłos. Leżałem bez ruchu.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem, ale w drugiej już tak. Poruszyłem głową i syknąłem. Zmrużyłem oczy, a ból przywrócił mi pamięć, choć nie powinien.

Wbrew temu, co sądzą specjaliści od duszenia, podtapiania i zrywania paznokci, tortury nie aktywizują hipokampu. Uaktywniają za to rdzeń, który odpowiada za instynkt przetrwania. Człowiek wymyśla niestworzone historie, byle tylko przeżyć i wydostać się z zakłętego kręgu bólu. Generuje fałszywe wspomnienia. Konfabuluje. A w tym akurat jestem dobry. Poza tym trzeba mieć odrobinę szczęścia i najwyraźniej miałem farta.

Przypomniałem sobie swój PESEL, imię i nazwisko. Marcin Hłasko. Urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Przynajmniej wiele na to wskazywało. Wielbiciel przygód ekstremalnych.

Pierwszą rzeczą, którą sprawdziłem, były ręce. Całe i nieskrępowane. Nóg też mi nie związali. Nie było źle. Mój powrót z grobu musiał nawet na takich ludziach, a może zwłaszcza na nich, zrobić wrażenie. Na pewno byli ciekawi, dlaczego znów ładuję się w paszczę lwa. Przecież wszystko wskazywało, że będę martwy. Zdecydowanie martwy.

Powoli usiadłem. Wzrok się już nie rozjeżdżał, a mdłości ustąpiły. Rozejrzałem się wokół. Trafiałem już w miejsca o wyższym standardzie. Ułożono mnie w niedużym pokoju, na który przeznaczano resztki farby. Część zamalowano biało, spod kawałka ściany wyzierał seledyn, w innym miejscu zgniła zieleń. Na suficie jarzeniówka. W rogu umywalka, a nad nią nadtluczone i zaśniedziałe lustro. Nade mną niewielkich rozmiarów okno. Nawet stąd widziałem, że jest wypaczone. Zimą musi tu hulać wiatr. Wszystko było tu jakieś stare, niedzisiejsze i sam czułem się tu jak rupieć. Rzucono mnie na coś, co w przybliżeniu dobrej woli z dziesięć lat temu można by nazwać materacem. Poza tym w pomieszczeniu nie było nic. Musiało starczyć dla takich gości jak ja. Bo pewnie nie byłem tu pierwszy.

Usłyszałem ten sam dźwięk co poprzednio. Rżenie konia.

Zbudziło mnie rżenie koni.

Zwlokłem się z materaca i stanąłem przy oknie. Ciemnoczerwone smugi słońca wskazywały, że zbliżał się wieczór. Ile przeleżałem? Niepełną dobę? Dwa dni? Był wrzesień, ale jaki jest dzień. Wtorek? Czwartek? Straciłem rachubę czasu. Odruchowo spojrzałem na przegub lewej ręki. Mogłem podziwiać biały ślad w miejscu, gdzie zwykle znajdował się pasek zegarka. Pomacałem boczne kieszenie. Były puste. Telefon mi zabrali. Pistolet oczywiście też. Nawet jeśli przejrzeni komórkę, nic ciekawego tam nie znaleźli.

Szyba była upstrzona szczątkami owadów, których nikt nigdy nie zeszkrobał i pewnie już tego nie zrobi. Okno wychodziło na wybieg dla koni. Chłopak prowadził masywnego siwka na lonży. Zdaje się, tak to się nazywa. Nie znam się na tym. Drugi mężczyzna, znacznie starszy, stał wsparty o ogrodzenie i przypatrywał się. Po wybiegu biegały jeszcze luzem dwa konie z czarnym umaszczeniem. Oba zbliżyły się do ogrodzenia i wysunęły łby w stronę starego, jakby spodziewały się nagrody. Podbiegł pies, ten sam, którego już widziałem, i zaczął się łąsić do mężczyzny. Kilkadziesiąt metrów za ogrodzeniem, tam gdzie rozciągało się już pole, stało coś, co mogło być amboną myśliwską albo prowizoryczną wieżyczką strażniczą. Równie dobrze można stamtąd strzelać do dzika lub sarny, co ustrzelić nieproszonego gościa. Przy ambonie wygrodzono jeszcze jeden wybieg, ale ten był pusty. Wychyliłem się w prawo i zdaje się, że mignął mi brzeg jednego z jezior. Na wprost rozciągała się linia lasu. A potem zaczynał się bezkres drzew. Gdzieś tam miałem wczoraj umrzeć. A może jednak przedwczoraj.

Podszedłem do umywalki. Spojrzałem w resztki lustra. Szału nie było. Odkąd się tu znalazłem, nie kwalifikowałem się na okładkę „Esquire’a”. W najlepszym razie wzięłby mnie jakiś magazyn dla survivalowców. Podkrążone oczy. Grudki ziemi wczepione w brodę i włosy. W dwóch miejscach zarost sklejonny krwią. Usta napuchnięte. Wyglądałem jak ofiara ataku całej rodziny Mansona. Jakbym nagle postarzał się o piętnaście lat. Językiem sprawdziłem przednie zęby. Były całe i nienaruszone. Nos spuchł i bolał przy dotknięciu. Odkręciłem wodę. Coś zaszumiało, a potem trysnęła rdzawa maź. Poczekałem dobrą minutę, aż spłynie, i opłukałem twarz. Zdjąłem śmierdzący T-shirt, lepki od potu i strachu. Zarzuciłem na ciało flanelową koszulę, też nie pierwszej świeżości. Dłuższą chwilę stałem nieruchomo, aż uznałem, że jestem gotów zmierzyć się ze światem.

Otworzyłem drzwi. Korytarz był krótki. Po lewej stronie kończył się solidnymi drzwiami pokrytymi brązową farbą i zamkniętymi na jeszcze solidniejszą kłódkę. Po prawej, trzy kroki ode mnie, znajdowały się schody. Poruszałem się po ciemku w dół,

naliczyłem osiem schodków, potem skręt w lewo i jeszcze siedem skrzypiących stopni. Umieścili mnie w bocznym, nieużywanym skrzydle, tyle wiedziałem. Oczy zdążyły przyzwyczać się do mroku, zanim dotarłem do kolejnych drzwi. Nacisnąłem klamkę. Oślepiło mnie słońce. Zamknąłem oczy i znów łupnęło mi w głowie. Wzięłem kilka głębokich wdechów, sprowadziłem żołądek na właściwe miejsce i wciągnąłem w nozdrza zapach rozgrzanego powietrza.

Rozejrzałem się. Nie miałem powodu, by się spieszyć. Zresztą nie chciałem się spieszyć. A poza tym byłem pewny, że każdy mój krok jest obserwowany.

Trzy konie wciąż były na wybiegu. Tym razem wszystkie luzem. Zwróciły łby w moim kierunku. Siwy zarżał. Chłopaka i tego starego nie było. Zza węgła dobiegał inny dźwięk. Głuchy, rytmiczny odgłos rąbania drewna. Poszedłem w tamtą stronę. Raz jeszcze głęboko wciągnąłem powietrze. Zapach ziemi, palonego gdzieś ogniska i końskiego łajna. Idealne miejsce dla fanów agroturystyki. A jako bonus, drodzy państwo, nasz ośrodek proponuje uprowadzenia, talibańskie tortury i zakopywanie żywcem. Wszak jesteśmy w Starych Kiejkutach.

Splunąłem na ziemię. Jebać taki dom nad rozlewiskiem.

Mężczyzna stał plecami do mnie. Szczupły, żylasty, ani grama tłuszczu, krótkie siwe włosy. To ten starszy, którego widziałem przez okno. Naprzeciw górował sztapel drzewa, równiutko porąbanego, umieszczonego na drewnianych podkładkach, a od góry chronionego zadaszeniem. Pocięte, poukładane drewno przypominało armię podczas defilady. A na środku placu stał sam wielki wódz z pieńkiem i siekierą.

Podszedłem i staliśmy teraz w jednej linii, zwrócenii w tę samą stronę. Obaj milczeliśmy.

– Jaki dziś mamy dzień? – zapytałem w końcu.

Nie przerwał pracy. Palce lewej ręki zaciśnięte na kłodzie, kciuk schowany, ruchy były wyćwiczone, prawa ręka unosiła się rytmicznie i opadała. Szczapy odłupanej brzozy nie odskakiwały chaotycznie na wszystkie strony, tylko lądowały blisko pieńka, i to też świadczyło o dużej wprawie. O wypracowanej latami ekonomii ruchów i wysiłku. Dało się wyczuć zapach rąbanego drewna, choć nie tak intensywny jak wiosną, gdy rozchodzi się woń soków albo żywicy.

Drwał oparł siekierę o pieńek, otarł pot z czoła i wyprostował się. Miał twarz pooraną bruzdami widocznymi pod ciemnym zarostem. Jak na faceta po sześćdziesiątce, tak

go oceniłem, trzymał się świetnie. Chciałbym w jego wieku być w takiej formie. O ile dożyję.

– Taki dziś dzień jak i wczoraj. – Wpatrywał się we mnie uważnie. Podbiegł popielaty kundel, trącił mnie mokrym nosem i polizał w rękę. Pogłaskałem psa. Przynajmniej ten mi nic nie robi.

Twarz mężczyzny przecinał grymas ni to niechęci, ni akceptacji. On także pogłaskał psa, cmoknął, znów spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Wiem, że nie wyglądam najlepiej – powiedziałem – ale miałem trudny wieczór. Nie wiem tylko, czy ostatni, czy przedostatni...

– Nie wiem, jaki miał pan wczorajszy wieczór. Nie było mnie tu. Ale pewnie należało się panu. Tamtemu zresztą też – dodał ciszej.

A więc to było wczoraj. Wieści o nocnych wydarzeniach szybko się rozeszły. Nie zdziwiło mnie to za bardzo.

Wziął kolejne polano i postawił na pieńku. Sięgnął po siekierę. Spojrzał na mnie spode łba. Ten sam grymas co poprzednio, jakby facet dojrzywał do jakiejś decyzji. Wytarł obie dłonie o koszulę.

Ale najpierw poszedł do drewnutni i wrócił z drugą siekierą. Pierwszy raz widziałem taką. Głowica przypominała dłuto zakończone z jednej strony jakimś dziwnym bolcem.

– W Finlandii takie cudo wynaleźli – wyjaśnił. – Szef kupił, bo powiedział, że trzeba mieć coś takiego. Ale to wszystko pic na wodę. Prawdziwa siekiera to ta. – Chwycił trzonek narzędzia, którego używał wcześniej. Wyglądał z nią jak mąż z żoną. Zgodne małżeństwo po pięćdziesięciu latach pożycia. – Wiesz, dlaczego rąbię teraz drzewo? Nie muszę. – Powiódł ręką po sztaplu. – Drewna pod dostatkiem. To nie jest pora na robienie składu i sezonowanie drzewa. – Nie czekał, aż odpowiem. – Rąbię, bo jest to najprostsza robota na świecie, która wyglądała tak samo tysiąc lat temu, dwieście, sto i tak samo wygląda teraz. – Przy każdym słowie odłupywał kawałek. – I tak będzie do końca świata. Bo to robi z nas ludzi. A nie to, co wy tu wszyscy robicie. – Wziął kolejną brzozę. – I nie ma bujania w obłokach. Uderzasz i – pokazał na szczapy – jest rozłupane. I już nie ma odwrotu. – Siekiera znów poszła w ruch. – Trzeba być sobą. A wy – spojrzał na mnie – udajecie. Wszyscy tu kogoś udajecie. To się źle skończy. – Przerwał rąbanie. Uniósł głowę. – Nie powinno tu pana być.

Usłyszałem czyjeś kroki i odwróciłem się.

Pięć metrów od nas stało dwóch osiłków. IQ trzy i IQ cztery. Ten o twarzy zdradzającej hemoroidalne cierpienia i podobny do niego mastodont.

– Zaczniemy od tego, że przywalicie mi na dzień dobry z lewej czy z prawej? Tylko sami widzieliście, jak się to kończy. – Ostrzegawczo uniosłem palec.

Nie odpowiedzieli. Wiedziałem, że dziś mnie nie uderzą. Mało tego. W ich zachowaniu dawało się wyczuć trochę dystansu i coś na kształt szacunku. To, co stało się z ich szefem, nawet na takich troglodytach musiało zrobić wrażenie. Nie podeszli do mnie bliżej niż na trzy kroki. Czuli, że muszą być ostrożni, bo mają do czynienia z psychopatą. Regularnym psycholem już nie na uwięzi, ale na wolności. W ich zachowaniu odczuwało się respekt i coś więcej. Niepewność i strach to kombinacja upokarzająca nawet dla takich palantów.

– Idziemy – powiedział IQ trzy. – Pan Koenig chce się z tobą widzieć.

Ruszyliśmy. Jeden szedł przede mną, drugi za mną. Gęsiego minęliśmy pomieszczenia gospodarcze kryte falistym dachem i jakąś rupieciarnię. I jeszcze murowany budynek, który mógł być wolno stojącym garażem. Przeszliśmy obok stajni. Trąciłem nogą walające się puste wiadro. Nie miało dna. Ten o hemoroidalnym obliczu odwrócił się w moją stronę.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

– Błagam, nie patrz tak, bo cały się trzęsę. Poza tym bałagan tu w obejściu. Moglibyście posprzątać. Robota w sam raz dla takich parobków jak wy.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu. Zastanawiałem się, czego chce ode mnie Koenig. Jak to rozegra? Przeżyłem. I musiało go zastanowić, dlaczego zdecydowałem się na powrót. Powinienem był uciec i jak najszybciej zapomnieć, że kiedykolwiek tutaj byłem. Zafundować sobie terapię u najlepszego warszawskiego psychologa i wymazać z pamięci wczorajsze przeżycia. Tymczasem wróciłem. Z niecodziennym prezentem. I powiedziałem coś, co okazało się prawdziwą przynętą. Haczykiem, którego nie mógł nie chwycić.

Weszliśmy do domu. Minęliśmy kuchnię, jadalnię i dwa kolejne pomieszczenia. Drzwi do jednego z nich były uchylone. Pusta przestrzeń z rzeźniczym hakiem wbitym w kafelki. Czuję, że mięśnie znów mam napięte. Nie chciałem trafić tam jeszcze raz, tyle że w tej chwili zależało to ode mnie i tego, jak wszystko rozegram. Znajdowaliśmy się w dłuższym skrzydle. Liczyłem. Trzydzieści kroków w linii prostej. Jakby co, nie ma szans, by dobiec do drzwi bez kuli albo śrutu w plecach. Dobrze wiedzieć.

Koenig nie był sam.

Siedział rozparty w fotelu. Przy otwartym oknie stał mężczyzna. Od razu było widać, że coś jest z nim nie tak. Gdy nas zobaczył, zaczął się trząść. Wiek trudny do określenia. Są takie przypadki, że możesz dać takiemu trzydzieści, ale równie dobrze pięćdziesiąt lat. Płowe, przerzedzone włosy, trójkątna twarz, wytarte dzinsy i podkoszulek na anorektycznych ramionach. I wielkie przerażone oczy.

– Skoro już zostałeś z nami, Hłasko, to mam do ciebie dwie sprawy – zaczął Koenig. W palcach obracał szklankę z jakimś płynem.

– Jeśli chcesz, żebym pognał po mieszadełko z parasolką – wskazałem na drinka – to pošlij któregoś z tych bystrzaków. – Kiwnąłem na dwóch jaskiniowców.

Wydął usta.

– Nie o to chodzi.

– To najpierw ja mam sprawę. Czy możesz oddać mi komórkę i zegarek? Nie jest dla ciebie wiele wart, a dla mnie, sam rozumiesz...

Upił łyk. Poruszył żuchwą w lewo i prawo, jakby ten ruch miał mu pomóc w podjęciu decyzji. Zza okna dobiegał uporczywy jazgot owadów. Dopiero teraz go usłyszałem.

– Komórka leży na stole. Zegarek... Wiesz gdzie. Idź, weź sobie.

Podszedłem do kredensu z rzeźbionymi myśliwskimi motywami. Raz jeszcze przebiegłem wzrokiem przedmioty, które Koenig nazwał wczoraj „skalpami”. Dłużej wpatrywałem się w jeden z nich, ten na półce w głębi po lewej stronie. Wstrzymałem oddech. I tak jak poprzednio, zakręciło mi się w głowie. A potem wziąłem mój zegarek marki Błonie z białym kiedyś cyferblatem. Zbliżała się siódma wieczorem. Sięgnąłem po telefon. Był rozładowany. Schowałem go do bocznej kieszeni.

Henryk Koenig przypatrywał się mi uważnie.

– Nie było między nami zgodności, co z tobą zrobić. Pewne względy – wykonał gest ręką, jakby brakło mu cierpliwości, żeby wszystko tłumaczyć – sprawiły, że podjąłem taką decyzję, a nie inną. O tym później. A teraz popatrz na niego. – Skinął na mężczyznę, który znów zaczął dygotać. – Mieszka pięćdziesiąt kilometrów stąd, nazywają go Przygłupem. A wiesz dlaczego? Bo to zwykły przygłup jest.

IQ trzy roześmiał się. Dopiero teraz zauważyłem, że nie ma górnej jedynek. Dwójka była ukruszona. Piękny Ząbek otwartą dłonią trzasnął Przygłupa w kark. Ten jęknął i osunął się na kolana.

– Więc Przygłup jest na tyle głupi, że postanowił podprowadzić ryby z mojego stawu. I dlatego tu jest. Podnieście go – zarządził Koenig. – Opowiedz, Przygłup, mojemu koledze, czym się zajmujesz?

– Pu-puszki zbieram. Z-złom też – wyjąkał Przygłup. – P-przy owocach pomagam. I jeszcze g-grzyby.

– I kra-kradniesz cudze ry-ryby – szydził Koenig.

– R-raz. Nie dla mnie. O-obiecałem komuś...

– Drugi raz! – warknął Koenig. – Za pierwszym razem moi chłopcy wyjaśnili ci, że tak nie wolno. Żonę i dzieci masz?

– Żo-żonę i s-syna. Podstawówkę kończy...

– To może wyjdzie na ludzi. Nie tak jak ty.

Odstawił szklankę na stoliczek i położył obie ręce na oparciu fotela. Delikatnie poruszał palcami, jakby grał koncert. Pamiętałem ten jego gest. Tak samo zachowywał się wczoraj. Patrzył na roztrzęsionego złodzieja, po czym przeniósł wzrok na mnie. Dwóch osiłków nie zaszczycił spojrzeniem.

– Zrobimy tak... – Odchrząknął. – Puszczę cię. Puszczę i masz pół godziny, by opuścić mój teren. Jeśli ci się uda, jesteś wolny. Co ty na to?

Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Troglodyci chwycili go pod ręce.

– Gdy minie pół godziny, moi ludzie zaczną cię szukać. Tu albo w Lemnach. Albo w Szczytnie. Albo w Wielbarku. Taka forma polowania. I jak to bywa na polowaniu, może będziesz miał szczęście. Czasem nawet takim idiotom coś się trafia. Chociaż obstawiam, że jednak ci się nie uda. Wiesz, co się stanie, jeśli cię złapią?

Przygłup dyszał.

– N-nie... n-nie... Nie chcę.

– Nie chcesz? – Koenig wstał z fotela i podszedł do złodzieja. – Przecież masz w sobie żyłkę ryzykanta, skoro mnie okradasz... Więc jak to, nie chcesz? – Poklepał Przygłupa po policzku.

Podszedł do kredensu myśliwskiego i oparł dłonie na kolumnach z wyrzeźbionymi psami gończymi. Wpatrywał się w gromadzone przez lata trofea. Podziwiał swoją kolekcję, a ja kolejny raz wstrzymałem oddech. Potem wsparł się na komodzie, która stała obok. Była wykonana z jaśniejszego drewna i zdobiona rzeźbionymi strzelbami. Za pancernym szkłem naliczyłem osiem luf. Koenig miał pod ręką niezły arsenał.

– W takim razie... w takim razie mamy tylko jedno wyjście. – Wciąż stał plecami do nas. – Idź do Dziembały – nakazał Pięknemu Ząbkowi – i przynieś... Wiesz co. – Gdy osiłek wyszedł, zwrócił się do mnie: – Opowiem ci coś, Hłasko. To było w pięćdziesiątym piątym, nie, w pięćdziesiątym szóstym musiało to być, bo Gomułka doszedł już do władzy...

Znów rozsiadł się w fotelu.

Byliśmy w miejscu, gdzie nikt nigdzie się nie spieszył, wszystko toczyło się swoim rytmem, i nadszedł czas na pogawędki i wspomnienia. Przygłup stał przy przeszklonych drzwiach, które prowadziły na taras. Przygwożdżony spojrzeniem drugiego z jaskiniowców, nie ośmielił się ruszyć.

– Chodziłem do szkoły i nie byłem zbyt grzecznym uczniem. Zresztą tacy grzeczni daleko nie zajadą. Matka miała ze mną i moim bratem mnóstwo kłopotów...

Na chwilę umilkł i zapatrzył się w okno. Przez kilka długich sekund nie istniałem ani ja, ani Przygłup.

– Mieliśmy takiego nauczyciela. Wojtczak się nazywał. Zawsze przed lekcją z nami parzył sobie kawę. A że miał chory pęcherz, zostawiał nas i wychodził. Wiesz, co robiliśmy?

– Wiem – odpowiedziałem. – Pluliście mu do kawy. Też to robiłem.

Uśmiechnął się.

– Pluliśmy we trzech. Aż ktoś mu nakablował. Wiesz, co zrobił Wojtczak? Wziął nas na zaplecze, ściągnął pas, taki, co to w wojsku jeszcze pod Berlinem miał, i spuścił nam taki łomot, że przez tydzień nie mogłem usiąść na dupie. I wiesz, jaka z tego płynie nauka?

Trafił mi się Dzień Przypowieści, pomyślałem. Najpierw Dziembała, filozof z lasu, Jan Jakub Russo wśród drwali, a teraz ten.

– Ano taka – kontynuował – że za błędy trzeba płacić. A Wojtczaka zapamiętam do końca życia. Twardy zawodnik z niego był.

– A tamten? Jak tamten zapłacił?

– Który?

– Ten, co nakablował.

Przymknął oczy. Byłem pewien, że przed oczami stanęła mu kolejna scena z przeszłości.

– Myślisz, że zapłacił? No, było tak... – odchrząknął.

Nie wiem, czy chciał powiedzieć więcej, czy nie. W drzwiach stał Piękny Ząbek. Pod pachą trzymał pieniek. A w drugiej ręce siekierę.

– Postaw to przy wejściu – polecił Koenig. – Gdzie folia? Mam cię uczyć takich rzeczy?

Przygłup szarpnął się i w tej samej chwili otrzymał cios kolanem w podbrzusze. Krzyknął i zwinął się z bólu na podłodze. IQ trzy wymierzył mu kolejnego kopniaka i Przygłup zaczął charczeć.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Szelest białej folii malarskiej i krzyk mężczyzny. Jeszcze jeden kopniak. Ręka unieruchomiona w stawie i krótka walka, by wyprostować palce, które Przygłup zacisnął w pięść. Strach wyzwolił w nim taką siłę, że dwa osiłki musiały się nieźle natrudzić.

– Wskazujący – rozkazał Koenig.

Dwie potężne dłonie trzymały Przygłupa za przegub, aż wreszcie tylko jeden palec z długim brudnym paznokciem pozostał na pieńku. Hemoroidalny przyciskał kolanem głowę złodzieja do ziemi. Unieruchomił mu rękę. Przygłup krzyczał. Wiedziałem, dlaczego go nie zakneblowali. Ten krzyk miał być jeszcze jedną karą.

Nagle tak jakby opuściły go wszystkie siły. Przestał walczyć. Zamilkł, a potem rozległ się już tylko szloch i całe ciało zwiotczało.

Koenig wstał. Podeszedł do drzwi prowadzących na werandę i przytknął je.

– Niosłoby po lesie... Straszło zwierzęta...

Wziął siekierę i obejrzał ostrze pod światło. A potem mi ją podał. Zacisnął usta i skinął głową. Wszystko odbywało się w milczeniu. Nie mogłem niczego wyczytać z jego twarzy. Trwało to pół minuty. Może dłużej. Może krócej.

Chwyciłem za trzonek i podeszedłem do pieńka.

Patrzyłem na palec.

Spojrzałem na szyję Koeniga.

Uniosłem siekierę.

Jeszcze jeden rzut oka na czerwone plamy na szyi.

Szloch mężczyzny.

Brudny paznokieć.

Moja spocona dłoń i wizg opadającego metalu.

Odczucie sprężynującego drewna, gdy ostrze wbijało się w pień.

Głuchy odgłos i wtórujący mu wrzask.

Odwróciłem się powoli. Twarz Koeniga wciąż była jak maska. Patrzył oczami przekrwionymi od alkoholu, a pewnie też od nieprzespanej nocy. Hemoroidalny i Piękny Ząbek patrzyli tępo to na szefa, to na mnie, nic nie rozumiejąc. Nie wiem, czy moja twarz zdradzała jakieś emocje. Miałem nadzieję, że nie. Przygłup szlochał.

Jak powiedział dziś ten drwal? „Uderzasz i jest rozłupane. I już nie ma odwrotu”.

– O ile pamiętam, miałeś dwie sprawy – powiedziałem. – Jedną mamy za sobą. Jaka jest druga?

W oddali usłyszał przeciągły skowyt. Dobrze niosło z lasu. Wilki. Podobno znowu się pojawiły. Teraz wilki są wszędzie. Na tym polega mądrość przyrody. Inteligentne gatunki przetrwają i zawsze sobie poradzą. Czy tak samo jest z jednostkami? Był tego pewien. Westchnął i wrócił do tego, czym zajmował się od godziny.

Była druga w nocy. Niebieska poświata z ekranu laptopa oświetlała jego twarz. Wyglądał teraz na jeszcze bardziej wyniszczonego niż w rzeczywistości. Zmęczonego. Ale nie zrezygnowanego. Co to, to nie.

Minął rok. I przez ten czas powinno się coś wydarzyć. Ale nic się nie stało. A skoro nic...

Przetarł oczy i wrócił do rozpoczętego wpisu.

Pytacie, co miałem na myśli, gdy napisałem, że największym naszym wyzwaniem i powinnością jest ograć czas. Właśnie. Ograć czas. Nie mogę jeszcze ujawnić wszystkiego. Przynajmniej nie teraz. W odpowiednim czasie dowiecie się, o co mi chodziło. Bądźcie pewni. A na razie pozwólcie na pewne przybliżenie.

Gdy minął rok od tamtego wydarzenia, podjął decyzję. Postanowił też pisać. Nigdy tego nie robił. Pisanie jest daniem na zimno. Opisać można amebę, ale nie ludzkie życie. Nie rozumiał tych wszystkich mędrców, którzy zostawiają potomnym dzienniki, rozproszone zapiski, enigmatyczne aforyzmy, które stają się przedmiotem interpretacji i kultu. To takie pretensjonalne i bezczelne. Nie tak się przechodzi do historii. Jednak gdy podjął decyzję, gdy wszystko zostało przemyślane i postanowione, zaczął pisać. Potraktował to jak jeszcze jedno ćwiczenie duchowe. Zachowywał przy tym ostrożność, żeby pozostać nierozpoznanym.

Czas jest naszą największą obsesją. Żyjemy w jego kleszczach. Popatrzcie na liczbę sentencji, które dotyczą przemijania, wypełniania czasu, upadku w czas i nadziei, jaką to daje. Ile tego naprodukowano! A są to same brednie. Dziś, gdy ludzie panicznie się boją, że czas przepływa im

przez palce, że są jego niewolnikami, że mają tak dużo do zrobienia, że nie zdążą z tym albo tamtym, widać to jeszcze pełniej. Tak, staliśmy się niewolnikami. Zakładnikami pojęć, które sami wymyśliliśmy, żeby panować nad światem.

Zauważył, że jego wpisy są śledzone przez stałą grupkę czytelników. To dobrze, ale jemu nie chodziło o rozgłos. Niektórzy zamieszczali długie komentarze. Dwie, trzy osoby próbowały nawiązać bliższy kontakt. Chciały go poznać. Nie mógł sobie na to pozwolić. Cały plan wzięłyby w łeb. Siedział przy laptopie dłuższą chwilę i poczuł, że drętwieją mu nogi. Powinien wstać, przejść się, pobudzić krążenie. Nie zrobił tego jednak. Ktoś mógłby się obudzić. Usłyszeć, że nie śpi. Chcieć porozmawiać. Zdecydował, że najpierw dokończy wpis. Jeszcze kilka zdań i starczy na dzisiaj.

Myślę jednak, że nie wszystko stracone. Możemy się wyzwolić i uniknąć losu niewolników. Trzeba tylko — właśnie — ograć czas. Nie, nie chodzi o samobójstwo jako akt wolnej woli, o jakieś prymitywne brednie w stylu książkowych bohaterów. Ograć czas można tylko w jeden sposób. Przeprowadzając wszystkich na drugą stronę.

Postawił kropkę i odetchnął. Jego wielki dzień się zbliżał. Czuł to. A on swoim wpisem wychodził naprzeciw temu, co miało się wydarzyć. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem ostatni akapit. Nie spodobał mu się. Końcowe zdanie mogłoby niepotrzebnie zwrócić czyjąś uwagę. Zastanowił się jeszcze nad jednym słowem. Samobójstwo. Kilka uderzeń w klawiaturę. Popatrzył na przeredagowany akapit.

Myślę jednak, że nie wszystko stracone. Możemy się wyzwolić i uniknąć losu niewolników. Trzeba tylko — właśnie — ograć czas. A ograć czas można tylko w jeden sposób.

Przeczytał całość jeszcze raz, z aprobatą kiwnął głową i posłał wpis w cyfrową przestrzeń.

Podniósł się i rozmasował nogi. Podszedł do okna i otworzył je szerzej. Gorące powietrze wdarło się do środka. Przeciągłe wycie. Znowu wilki. Nawołują się. Podobno nie można rozróżnić, czy wyje samiec, czy samica. Bzdura. Można. On to potrafi. Był pewien, że usłyszał skowyt basiora.

Stał plecami do okna. Ekran laptopa oświetlał drobną sylwetkę.

Patrzył na nagie ciało dziewczyny. Na piersi unoszące się w spokojnym, rytmicznym oddechu. Miała mocny sen. Gdy pisał, nie poruszyła się ani razu.

Myślał, jak przeprowadzić wszystkich na drugą stronę.

Część pierwsza

Dajmy na to Hibner, Kniewski, Rutkowski. Trzech kumpli od terroryzmu. Nie wiem, dlaczego sobie o nich przypomniałem.

Zwykle, zwłaszcza w wolny dzień, na Trakcie Królewskim roi się od biegaczy. Ale w pierwszy dzień nowego roku było inaczej. Biegłem sam. Siły ciemności i chaosu wciąż były górą nad zastępami porządku, a świadczyły o tym stosy puszek po piwie, butelki po tanim szampanie i wraki petard o wdzięcznych nazwach El Paso albo Texas.

Było sobotnie przedpołudnie, nieco dżdżyste i leniwe. Nieco wietrzne. Ani grama śniegu, temperatura lekko na plusie. Nosiło mnie.

Nie ma smutniejszego dnia niż sylwester. Trochę dlatego, że panuje wtedy dyktatura spontanicznej zabawy, miłości i harmonii. Ale przede wszystkim dlatego, że czujesz nieubłagane bicie zegara. Zbliżam się do pięćdziesiątki i nie jest mi do śmiechu. Przynajmniej nie tak często jak kiedyś. Mój ojciec mówił, że gdy nadchodzi siódmy krzyżyk, myśli się tylko o dwóch sprawach: by nie robić głupot i nie narobić pod siebie. Często to powtarzał, więc zapamiętałem. A pięćdziesiątka to jeszcze złoty czas.

Jak dla kogo.

Sylwestra spędziłem sam. Żadna z nieznanych kobiet nie chciała w ten dzień ze mną współpracować, a te, które znałem, tym bardziej trzymały się z daleka.

Ostatnią była Sylwia. Poznałem ją wczesną jesienią i tak zaczął się nasz związek, w sam raz na krótkie, podszyte depresją listopadowe dni. Miała liczne zalety i dwie wady, które szybko odkryłem. Wiecznie się odchudzała, choć nie miała z czego. Nieustannie oczyszczała organizm, odgrzybiała, odkwaszała i miało to symptomy paranoi. Poza tym była projektantką wewnątrz. I zewnątrz. Właściwie była kimś w rodzaju zaborczej, kosmicznej, transcendentnej Wielkiej Projektantki, która chciała zacząć od siebie, ode mnie, a potem zająć się resztą świata. Powiedziałem jej, że nie nadaję się, że to trochę za dużo jak na moje możliwości. Więc czmychnęła. Tyle ją widziałem.

Miałem natomiast całkiem udany wieczór z Lesterem Nygaardem, nieudacznikiem, zahukanym, budzącym litość fatalnie ubranym sprzedawcą ubezpieczeń. Który zrzędzeniem losu spotyka diabła. Bo Billy Bob Thornton gra diabła. Postać nie z tego świata. Jakby

przybył do zapyziałego miasteczka z innego wymiaru, rzucony tam przez pomyłkę. I w tej krainie wiecznego śniegu wywołał lawinę zdarzeń. Sylwestra spędziłem z cateringiem, który zamówiłem w knajpie, z butelką dobrego wina i – że przypomnę – z pierwszym sezonem *Fargo*. Dziesięć odcinków. Dziesięć bitych godzin. A w godzinie dziewiątej, gdy Lorne Malvo, bo tak się nazywa Zły, mówi w windzie: „Chcesz tego, Lester?”, to jest mistrzostwo świata.

Zapamiętałem słowa jednego ze starszych kumpli. Zaczynałem pracę w policji, a on odchodził na emeryturę. Chcę odejść, powiedział, zanim napotkam diabła. Nie bardzo go wtedy rozumiałem. Ja nie spotkałem diabła, natknąłem się natomiast na szczupłego niepozornego trzydziestolatka. Pięciu złotych byście za niego nie dali i nigdy nie zapamiętali jego twarzy. Zabił sąsiada na parkingu, gdy ten zwrócił mu uwagę, że źle zaparkował samochód. Właściwie zrobił to hobbystycznie. Po godzinach. Bo poza tym wykonywał wyroki na zlecenie w gorących latach dziewięćdziesiątych, w czasach mafijnych porachunków. Dostaliśmy cynk, że przyjedzie do hotelu. Czekaliśmy trzy dni, zjadając pizzę i pijąc kawę z termosu. Armia ludzi uzbrojonych po zęby. A gdy było po wszystkim i przesłuchiwałem go, milczał. Przemówił dopiero na końcu. „O co to całe halo, Sherlocku?”, zapytał. Wycelował dwa palce w moją stronę. „Pif-paf!”. Nic więcej nie powiedział. Raz mi się przyśnił. Gdy przestałem pracować w policji, zacząłem działać na własny rachunek i specjalizować się w poszukiwaniu zaginionych, to już była inna robota. Szanse na spotkanie demona gwałtownie spadły. Tych, którzy znikają i ukrywają się, dopada syndrom ofiary. I na pewno nie ma w nich żadnych nieziemskich mocy. Jest kupa strachu. Czasem zwątpienia, rozczarowania.

Hibner, Kniewski, Rutkowski.

Dotarłem do Zgody i nagle sobie o nich przypomniałem. To chyba kwestia chandry i jak to mówią, dyspozycji dnia. Trzech komunistycznych terrorystów. Trzech świętych, którzy przed ćwierćwieczem mieli tu swoje ulice, a w nowych czasach, jak przystało na wrogich agentów, zostali zepchnięci w niebyt. Gdzieś tu Hibner, Kniewski i Rutkowski czekali na partyjnego konfidenta i mieli go zlikwidować. Coś poszło nie tak. Prowokator przeżył. A potem zaczęła się najbardziej widowiskowa strzelanina w mieście. Warszawa to nie Tombstone, ale bywało, że stawała się Dzikim Wschodem.

Skierowałem się do Żelaznej. Gdzieś tam wpakowali magazynek w budkę z warzywami. Tam też, zdaje się w jakimś składzie węgla, od których roiło się w okolicy,

dopadła ich policja. Właściwie powinienem pobiec jeszcze na Żoliborz, do północnego krańca Cytadeli, do miejsca nazywanego „doliną skazańców”, ale już mi się nie chciało. Podobno pluton egzekucyjny spieprzył sprawę i oficer musiał dobijać terrorystów w piękny letni dzień. Tak przynajmniej głosiła miejska legenda.

Zawróciłem. Dotarłem do domu tą samą drogą. Przestało mżyć i na chwilę wyjrzało bladawe styczniowe słońce, ale nie poprawiło mi to nastroju. Czułem się tak samo parszywie jak godzinę wcześniej. Truchtałem jeszcze przed furtką, szukając kluczy. A potem zobaczyłem, że w skrzynce pocztowej tkwi koperta.

Wziąłem długi prysznic i na przemian katowałem ciało zimną i gorącą wodą. Noworoczna chandra nie ustąpiła. Zaparzyłem mocną kawę. Nastrój bez zmian. W odwodzie miałem kilka zaległych seriali i to był mój jedyny pomysł na weekend. Dopiero gdy piłem ostatni łyk i poczułem, że mam poparzone usta, sięgnąłem po kopertę. Poczta nie zmieniła w nowym roku zwyczajów. Był czwartek, dzień wolny od pracy, na kopercie, takiej zwykłej, listowej, żadnego znaczka ani pieczętki. Korespondencja bardziej niż prywatna. Raczej nikt w ramach noworocznych postanowień nie zamierzał wysadzić mnie w powietrze, przynajmniej nie spodziewałem się tego, ale nigdy nie można mieć pewności. Delikatnie odciąłem brzeg i zajrzałem do środka.

W kopercie znajdowała się wizytówka. Na awersie imię i nazwisko, wydrukowane prostą czcionką. Na rewersie napisana odręcznie niebieskim atramentem wiadomość.

03.01. G. 18.00. Będę czekała tu. Ob. 20. AH.

Nie byłem w nastroju do zagadek. Na półce leżał stos filmów i seriali, które czekały w kolejce. Niech inni łamią dziś szyfry i rozwiązują tajemnice.

Usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Na progu stał sąsiad, mieszkał cztery domki dalej. Przypomni mi, że po niedzieli odbędą się konsultacje w sprawie losów naszego osiedla. Przygotował kolejną petycję. „Może się pan zapozna, może tym razem pan przyjdzie”. W cichym głosie starszego mężczyzny pobrzmiwały żal i nadzieja. Nie należałem do osiedlowych aktywistów, nie odziedziczyłem po ojcu społecznikowskiego genu, nie załapałem się, jak on, na przynależność do PPS-u, ale przede wszystkim jakoś z tymi konsultacjami się nie składało. Albo miałem zlecenia, albo z innych przyczyn nie mogłem być obecny. Obiecałem, że tym razem będzie inaczej. „Postaram się być. Nie, nie postaram się. Będę”. Sąsiad się ucieszył. Pożyczyłem mu wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. On mi też.

„Wszystkiego najlepszego”. Najlepsze było to, że mieszkałem na Jazdowie, w przecudnym miejscu, w sercu miasta, ale jakby poza nim, odcięty od zgiełku metropolii, w otoczeniu parku Ujazdowskiego z jednej strony i Łazienek z drugiej. I jak to bywa, to, co najlepsze, jest czasem zmorą. Tyleż wypielęgnowane, ile chciwe dłonie pani prezydent,

przy aplauzie innych miejskich urzędasów, oplatały osiedle domków fińskich coraz mocniej. Pomysł był taki, by postawić tu centrum konferencyjne, kolejny full wypas świadczący o światowych aspiracjach Warszawy. I czułem pod skórą, że jest pozamiatane. Nie pomogą tłumaczenia, głosy protestu, skrzykiwanie się na fejsie. A konsultacje robi się po to, by było legalnie, a zatroskana losami mieszkańców władza miała dupochron, gdy podejmie jedynie słuszną decyzję.

Nie wiedziałem, czy rok dwa tysiące piętnasty nie będzie ostatnim, który tu spędzam. I może właśnie ta niepewność była rzeczywistą przyczyną mojego kiepskiego nastroju.

Mieszkam na tykającej bombie. Przypomniał mi się poranny bieg szlakiem trzech terrorystów i coś jeszcze z tamtej przedwojennej historii. Po drodze próbował zatrzymać ich jakiś handlowiec albo przemysłowiec. Kula trafiła go na wysokości serca. Tam gdzie trzymał portfel wypchany banknotami i notes. Kupa hajsu uratowała mu życie. Jaka z tego nauka? Że trzeba mieć trochę szczęścia. Ale dobrze mieć też gruby pugilares.

Pomyślałem tak i zacząłem obracać w palcach wizytówkę. Imię i nazwisko. AH. Aleksandra Hyża. Bez niepotrzebnych dodatków. Kto ma wiedzieć, ten wie. Nazwisko, które dziesięć lat temu otworzyłoby kilkoro drzwi, a odźwierny by się jeszcze pokłonił. Nazwisko, które uszczęśliwiło kilka osób znanych z pierwszych stron kolorowych szmatławców, a życie kilku innych przemieniło w koszmar.

Krażyły o niej legendy. O zmrużonych kocich oczach i szeroko rozwartych udach także. Chyża Hyża. Tak mówiły o niej złe języki, nie kryjąc przy tym podziwu dla jej uporu i konsekwencji. Widziałem ją gdzieś niedawno na zdjęciu. Pomyślałem wtedy, że ją także dopadł ząb czasu. A przecież przed laty jeden z prokuratorów, Marciniak się chyba nazywał, strzelił sobie z jej powodu w głowę. Przeżył i od tego czasu chodził ze zdeformowaną twarzą jak postać z *Batmana*. Jaki z tego morał? Że warto mieć i wypchany portfel, i twardą skórę.

Aleksandra Hyża. Pistolet zmian, gdy prokuratorzy lubowali się w telekonferencjach. Nazywana czule Hyclem. Niekiedy Krwawą Olą lub po prostu Suczą. Mówiono o niej nawet jako o przyszłym ministrze sprawiedliwości. A potem niespodziewanie Aleksandra Hyża stała się mecenas Hyżą, przeszła na drugą stronę i zaczęła bronić w głośnych procesach. Tak jak było z tą aktorką. Mówili o niej Królowna Śnieżka, bo wciągała tyle koksu, że wzbudziłyby to szacunek kartelu Medellin. I pewnego wieczoru rozjechała swoim luksusowym nissanem starszą parkę. Hyża nieźle zakręciła sędziami. Przedstawiła

Śnieżkę jako ofiarę sukcesu zawodowego, stresu oraz eksmeża – pijaka i oprawcy. Poza tym ci nieszczęśnicy sami wbiegli pod koła. Na sali rozpraw popłynęła niejedna łza. I teraz ta kobieta chciała się ze mną spotkać.

Wzruszyłem ramionami i odłożyłem wizytówkę. A potem w czwartek i piątek kanibalizowałem czas. Usłyszałem gdzieś takie określenie i bardzo mi się spodobało. Gapiłem się bezmyślnie w ekran laptopa, trochę poczytałem, powłóczyłem się po Agrykoli. Zagrałem w szachy z programem komputerowym i poniosłem sromotną porażkę. Wysłałem SMS-a z życzeniami do brata, który, podobnie jak ja, wybrał mundur, tyle że wojskowy. Strzelał do ludzi podczas misji, które – o ironio – zwą pokojowymi albo stabilizacyjnymi. A potem zaczął strzelać migawką aparatu w tak zwanych zapalnych częściach świata i stał się cenionym fotoreporterem wojennym. Koszta własne? Niewielkie. Zespół stresu pourazowego i wściekle kłusząca depresja. Mój SMS był krótki. Życzyłem mu i jego dziewczynie „tego, co zwykle”. Nie było chyba z nim najgorzej, bo odpisał. „Tego samego”. Od lat składaliśmy sobie takie same życzenia, nie bardzo pamiętając, o co nam chodzi.

Zastanawiałem się, czy wysłać SMS-a do mojej żony, Moniki. Nie widzieliśmy się wieki, a przez obopólne zaniedbanie nie zdążyliśmy się rozwieść. Rozmawialiśmy ze sobą raz, dwa razy do roku. Monika, a właściwie Monique, z zadziwiającą wprawą szusowała w Brukseli między projektami ustaw, agendami, wysokimi komisarzami i europosłami. Zastanawiałem się, jak można dobrowolnie zamienić własne życie w koszmar, ale odpowiedź była prosta. Lubiła to. Nie wysłałem wiadomości. Niech wystarczy, że zadumałem się nad jej życiem.

A kilka godzin później, w nocy, wiercąc się w łóżku, myślałem o sobie. Chciałem zostać malarzem, a skończyłem filozofię. Zdarza się. Przez lata pracowałem w policji i chyba udało mi się wyjść z tego bez większych obrażeń, choć kilka kobiet miało odmienne zdanie. Pracuję na własny rachunek i w tym, co robię, jestem naprawdę dobry. W zasadzie wszystko ze mną jest w porządku. A jednak bywają noce takie jak ta, których nie przesypiam spokojnie, i nie bardzo wiem, dlaczego tak się dzieje. Po prostu są chwile, gdy przestaję być wesołkiem. Kiedy tarcza, którą sobie wykułem, przestaje chronić.

Wstałem i jeszcze raz odczytałem wiadomość skreśloną drobnym, równym pismem. Pomyślałem o mecenas Hyżej. No dobra. Sama chciałaś.

Zacząłem szperać w internecie. Będę czekała tu, czyli gdzie? W „G.”. Generacja? Geneza? W jakimś klubie? Raczej nie. Chyba nie jej styl, a poza tym nikt nie proponuje spotkania w takim miejscu. O ile chodziło o to, czego się spodziewałem po krótkiej wędrówce po sieci. Szykowała się jeszcze jedna tragiczna historia rodzinna. Popatrzyłem na plakaty, które od niepamiętnych czasów wiszą u mnie na ścianach. Finałowa scena z *Casablanki* z Humphreym Bogartem na pierwszym planie. Stareńki plakat z Kazimierzem Deyną. Trzeba się dobrze wpatrzeć, żeby dostrzec autograf piłkarza. Absolutny rarytas. Cała Żyleta na Legii dałaby się za taki pociąg. I reprodukcja *Nighthawks* Edwarda Hoppera. Wiem, wiem. Mieć takie coś jest szczytem pretensjonalności, ale nic na to nie poradzę. Żadna z postaci z plakatów nie przyszła mi z pomocą. Zerknąłem w róg, tam gdzie na stoliku stała szachownica. Odtwarzałem jedną z partii Aleksandra Alechina. Niby nic szczególnego, ale podczas tego meczu o mistrzostwo świata rosyjski mistrz musiał usunąć cały garnitur zębów. Dla takiego zadanie postawione przez Hyżą byłoby jak splunąć.

„Będę czekała tu”. A nie zwyczajnie: „będę tu czekała” albo „będę tam czekała”. Kilka kliknięć. Jest. Tytuł piosenki. Włączyłem ją sobie na YouTube. Nie moje klimaty. Nieważne. W ogóle muzyka nie jest moją mocną stroną. Tekst Agnieszki Osieckiej. Pstryknąłem palcami. Poderwałem się z fotela i zrobiłem kilka kroków.

„Ob. 20”. Sprawdziłem adres w internecie. Wiedziałem, gdzie mam być. Jeśli zechcę.

Pomyślałem o Jazdowie, tykającej bombie, przymusowej przeprowadzce. I podjąłem decyzję. Ray Donovan i jego popieprzona serialowa rodzinka muszą zaczekać.

Spojrzałem na zegarek. Do osiemnastej było mnóstwo czasu, ale podszedłem do szafy i zdjąłem z wieszaka granatową marynarkę.

Na Francuskiej najpewniej zorganizowali jakiś konkurs zakochanych. Objęci i zapatrzeni w siebie niespiesznie zacierali w kierunku Stadionu Narodowego, a inni szli w drugą stronę. Byłem świadkiem noworocznej erupcji miłości. Para dobywająca się z ust w świetle ulicznej iluminacji stawała się niemal intymnym wyznaniem. A kto nie miał partnera, przynajmniej wyszedł na spacer z psem.

Miałem kłopot z zaparkowaniem. Jeździłem kilka dobrych minut, wreszcie znalazłem miejsce przy dawnym kinie Sawa. Teraz stoi tam niezbyt gustowny klocek, w którym mieszkańcy Saskiej Kępy załatwiają potrzeby konsumpcyjne. Podświetlone gwiazdy i sople lodu wisiąły w poprzek jezdni na całej Francuskiej. Światło skapywało intensywnie. Jak na mój gust, za dużo tych świecidełek. Parę minut przed szóstą poklepałem po ramieniu monstrualną Agnieszkę Osiecką. Nawet nie drgnęła. Jak zwykle siedziała nad rozrzuconymi kartkami. Jeśli się nie mylę, kawiarnia Sax, ta, w której pisała piosenki i wiersze, znajdowała się w innym miejscu, nieco dalej, ale pomnik postawiono na rogu Obrońców. „Ob. 20”. Pod tym numerem na ulicy Obrońców znajdowała się kawiarnia Rue de Paris. Kilka miejsc w Warszawie tak się pretensjonalnie ochrzciło. Tu, przy Francuskiej, miało to przynajmniej sens. I tylko tu była Osiecka.

Wszedłem do środka. Było tłoczno, wprowadzie dwa stoliki wolne, ale tabliczki informowały o rezerwacji. Chciałem podejść do baru, lecz zostałem uprzedzony.

– Pan Hłasko? – zapytała barmanka.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. Chciałem ją zapytać, czy uciekła tu z ośrodka dla nieletnich, ale odpuściłem.

– Tu jest stolik – wskazała miejsce w rogu – zarezerwowany przez panią mecenas.

Przez panią mecenas. Ho, ho, ho! Usiadłem tak, by mieć widok na ulicę. Na parapiecie kłębiły się różnokolorowe poduchy, nade mną wisiał złoty abażur i półka z trzema książkami. *Dziesięć sposobów na udaną randkę*, przeczytałem pierwszy tytuł. Brzmiało zachęcająco. Wyciągnąłem rękę i wtedy usłyszałem za plecami ciche chrząknięcie.

Ze mną stała Aleksandra Hyża.

Pomogłem jej zdjąć płaszcz i owiał mnie delikatny zapach perfum. Nie traciłem czasu i otaksowałem ją spojrzeniem. Wyglądała jednak lepiej niż na zdjęciu. Młodsza ode mnie, ale niedużo, szczupła twarz, usta, które nie były ani za wąskie, ani za mięsiste. Kasztanowe włosy miała upięte w kok. Obiektywnie atrakcyjna, subiektywnie nie w moim typie. Pewnym zaskoczeniem był ubiór. Nie spodziewałem się kraciastej koszuli, obstawiałem raczej garsonkę albo coś równie sztywniackiego. Dwa górne guziki były odpięte i wykorzystałem kolejną chwilę, gdy zamawiała latte. Złoty łańcuszek z czymś, co wyglądało jak koło Dharmy. I pewnie nim było. Taki symbol na szyi praktykującej buddystki, tyle zdążyłem się o niej dowiedzieć, nie dziwił.

– Czy na początku mam podać hasło? Coś o kościanych guzikach? Deszczu ze śniegiem? A może lepiej „przez czterysta wiosen i sto długich zim będę czekać tu”. Jakoś tak to szło...

Uśmiechnęła się.

– Widzę, że odrobił pan lekcję.

– A co by było, gdybym nie odrobił? Albo byczył się na stoku w Alpach. Widzi pani, kiepski jestem w zagadkach. Od lat nie prenumeruję pism dla szaradzystów.

– Uznałabym, że nie nadaje się pan do tej roboty, a pana pozycja na rynku poszukiwaczy jest przereklamowana.

Rynek poszukiwaczy. Tego jeszcze nie słyszałem.

– Ja o pani słyszałem same dobre rzeczy. Co słyhać u Królowy Śnieżki? Cały czas – pociągnąłem nosem – szusuje na nartach?

– Nie wiem. – Wyczułem w jej głosie irytację. – Nie mam z nią kontaktu. Z klientami nie utrzymuję osobistych relacji. Strasznie wyszczekany pan jest. – Próbowała przeszyć mnie spojrzeniem.

Za oknem ktoś roześmiał się głośno. Chodnikiem szła kolejna wtulona w siebie para.

– Ale pani ma do mnie osobistą sprawę? – Spojrzałem na dekolt i szybko opuściłem wzrok.

– Pan naprawdę się przygotował... – urwała. – Czyli słyszał pan o Magdzie Wolskiej, prawda?

Słyszałem pół roku temu. A dziś sobie przypomniałem o sprawie. Magdalena Wolska, studentka filologii angielskiej na Uniwersytecie Warszawskim. W lipcu ubiegłego roku wyjechała na wakacje. Chciała się powłóczyć po Polsce. Trochę sama, trochę ze

znajomymi. W połowie sierpnia znika. Wszelki ślad po niej ginie. Telefon poza zasięgiem sieci, aktywność na forach społecznościowych zerowa, brak ruchu na koncie i kartach bankowych. Jest to tak zwane głośne zaginięcie, trąbią o nim w gazetach i internecie. Nie może być inaczej, bo Magdalena Wolska jest siostrzenicą pani mecenas. Dwa nazwiska niemal od razu wyskoczyły razem w sieci, gdy przygotowywałem się do spotkania. A Krwawa Ola potrafi poruszyć niebo i ziemię. Bardzo Ważne Osoby nie ignorują jej telefonów. Poszukiwania prowadzone są w kilkunastu miastach, także za granicą. Sprawdzany jest każdy ślad, weryfikowana każda, nawet najmniej prawdopodobna pogłoska. Przy sprawie pracują doświadczeni policjanci i znani prywatni detektywi. Nawet ten od matki Madzi i padłych żyraf w łódzkim zoo zorganizował w tej sprawie konferencję. Mija miesiąc, drugi, trzeci. Szanse, że dziewczyna się odnajdzie, maleją z każdym dniem. Mija prawie pół roku. Aleksandra Hyża jest fachowcem. Z pewnością wie, że jest coś takiego, co nazywa się ciemną stroną zabójstw. Szacuje się, że niemal co dziesiąty zaginiony w Polsce padł ofiarą zbrodni. Ale wciąż są w rejestrze tych, którzy po prostu znikli. Szanse na odnalezienie ciała i sprawcy są znikome. Gdyby nie chodziło o siostrzenicę, tak by właśnie myślała. Ale mecenas Hyża wierzy jeszcze, że zobaczy dziewczynę żywą i całą. Dlatego podejmuje kolejną próbę. I dlatego siedzę teraz naprzeciw niej.

– Jest jednak w tej sprawie coś dziwnego – powiedziałem.

Uniosła głowę. Jak pies, który zwęszył trop.

– Opieram wiedzę na tym, co przeczytałem w internecie. I to dość pobieżnie. Ale umiem czytać między wierszami. I coś mi się nie zgadza.

Czekała. Mieszała długą łyżeczką resztki piany.

– Czegoś mi w tej historii brakuje, jakby nie było w niej końca... Jakby było embargo na pewne informacje... Nie ujawniacie wszystkiego, prawda?

Splotła szczupłe palce i oparła podbródek na dłoniach.

– Ma pan rację. Nie mówiliśmy o Starych Kiejkutach.

Wziąłem oddech.

– Kiejkuty? Chce pani powiedzieć, że siostrzenicę zamknęli w ośrodku wywiadu? Albo że jest agentką i podtapia talibów?

– Pana żarty są nie na miejscu.

Miała rację. Przeprosiłem. Dwie dziewczyny przy stoliku obok szczebiotały coś do siebie. Hyża obrzuciła je niechętnym spojrzeniem.

– Nie chodzi o ośrodek wywiadu ani żadnych talibów. – Jej głos stwardniał. – Czy słyszał pan kiedyś o Henryku Koenigu?

Słyszałem. I mój zapal, żeby zająć się sprawą zaginionej dziewczyny, gwałtownie zmalął.

Odmówiłem.

– Proszę pani, jestem detektywem niepokornym. Nawet wyklętym. Ale niestety – rozłożyłem ręce – nie jestem jeszcze niezłomny. A przynajmniej nie tak niezłomny, jak by pani chciała. Nie mój *level*.

– To pańskie sztubackie poczucie humoru – prychnęła. – Jeśli myśli pan, że jest zabawny, popełnia pan błąd życia.

Poprosiła o rachunek. Wykonałem ruch w kierunku wewnętrznej kieszeni marynarki, ale zignorowała go.

– Chodźmy do mnie – powiedziała łagodniej, gdy schowała kartę. – To pięć minut stąd. Może zmieni pan zdanie.

Uniosłem brwi. Patrzyliśmy sobie w oczy, a ja nie rozumiałem, jak traktować zaproszenie i jaki jest jego charakter. Aleksandra Hyża lubi, gdy inicjatywa jest po jej stronie. W każdej sytuacji. Tak o niej opowiadano już dziesięć lat temu. Nie wiedziałem jednak, jak daleko jest zdolna się posunąć, żeby osiągnąć cel.

– Pani nie uznaje obiektywnych trudności, prawda?

– Nie ma czegoś takiego.

Przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić. Wzruszyłem ramionami. Wstałem i sięgnąłem po jej płaszcz. Chciałem, żebyśmy podeszli po mój samochód, ale uznała, że nie ma to sensu. Jak na początek stycznia był nadzwyczaj ciepły wieczór. Nie dla wszystkich jednak. Szliśmy w milczeniu i widziałem, że ona lekko drży. Z oddali dobiegł świst odpalanej petardy. Chichrająca parka z balkonu na pierwszym piętrze pomachała nam. Odmachałem. Myślamy byłem jednak zupełnie gdzie indziej.

W głowie układałem sobie listę przebojów Henryka Koeniga, biznesmena osiadłego na Mazurach, ale działającego w całej Polsce. I zdaje się w kilku innych krajach. Właściciela trudnych do zliczenia spółek matek i jeszcze liczniejszych spółek córek, a nawet spółek wnuczek rozmnażających się i krzyżujących z zawrotną szybkością, nad którą nie umiały zapanować, albo nie chciały, żadne służby skarbowe. Firmy Koeniga zajmowały się eksperymentalną hodowlą zwierząt i tradycyjnym przemysłem mięsnym. Przechowywaniem

zboża i przetwórstwem owoców. Rybołówstwem. A także nieruchomościami. A w nieodległej przyszłości zapewne też komercyjnymi lotami na Księżyc i nanotechnologią oraz wszystkim, co pozwala pomnożyć majątek. Mnóstwem innych spraw, o których nie miałem bladego pojęcia, a nad którymi czuwała armia jego ludzi. Wiedziałem natomiast, że Koenig ma swoje humory. Lekką ręką wyłoży pieniądze na budowę basenu i boiska sportowego w gminie, gdzie piszczy bieda. Albo dofinansuje oddział dziecięcy w podupadającym szpitalu. A w zamian będzie chciał jednego. Aby zostawiono go w spokoju. I jego interesy też. Żeby nie nachodzili go dziennikarze ani paparazzi. I wszyscy inni ciekawscy pragnący przeświecić jego imperium. A kiedy się tak zdarzało, lekka ręka dobroczyńcy ludzkości zaciskała się w pięść bezwzględnego satrapy.

Lista przebojów Henryka Koeniga. Stworzona, oczywiście, przez złe, zawistne języki.

Numer trzeci na liście. Dwóch dziennikarzy chce zobaczyć, jak wygląda prywatne życie przedsiębiorcy. Ten dom na Mazurach to podobno żadne mistrzostwo świata. Ot, kolejny kaprys i dziwactwo bogatego człowieka. Tych dwoje zostaje złapanych. Boss każe wykopać ich w szambie. Zdjęcia wysyła do redakcji. W kilka miejsc. Tak ku przestrodze. Nikt nie zawiadamia policji, po wszystkich to spływa, a najbardziej zainteresowani traktują to jako „nieporozumienie”. Najwyraźniej są różne słowa pozwalające opisać spa w gównie.

Numer dwa. Biznesmena zatrzymuje policjant z drogówki. Boss nie ma dokumentów. Jedzie na otwarcie nowego ośrodka pomocy społecznej, który powstał dzięki jego hojności. Policjant jest nieugięty. „Wiem, kim pan jest, ale tak nie można, panie Koenig”. Ten wbiega do auta, zamyka się w nim od środka, dzwoni do lokalnej gazety i telewizji. Aha, tak, drobiazg. Boss zamieszcza reklamy w prasie i lokalnej stacji, a te są niczym kroplówka podtrzymująca miejscowych dziennikarzy przy życiu. Przyjeżdżają więc reporterzy, filmują zajście, a potem komendant musi się tłumaczyć z bezduszności policji i obiecuje wyciągnąć konsekwencje wobec nadgorliwego stróża prawa. Skąd to wszystko wiemy? Bo Koenigowi nie udało się jeszcze zablokować wszystkich gniewnych głosów w internecie, ale pewnie nad tym pracuje.

Numer jeden. Hit absolutny. Znowu dwoje nieszczęśliwych przedstawicieli czwartej władzy, którzy wkroczyli na teren zajmujący się utylizacją odpadów zwierzęcych. Mówi się, że Koenig jest na bakier z normami dotyczącymi ochrony środowiska. Przedsiębiorca zatrzymuje parkę, opowiada, że wkroczyła na teren skażony bez odpowiedniego ubrania,

zabezpieczenia i tak dalej. Musi poddać ich kwarantannie, bo tak stanowią przepisy i wymogi bezpieczeństwa. I tak dalej. Przetrzykuje więc tych dwoje, rozbiera do naga, zamyka w piwnicy. I tak dalej. Grozi torturami, choć w zaistniałej sytuacji był to już zbytek łaski. Do akcji wkracza policja, szykowany jest oddział do szturmu i odbicia uwięzionych, ale nikt w województwie nie decyduje się na wariant siłowy. Koenig też nie próżnuje. Busy zwożą pracowników, którzy mają bronić szefa. Same potężne chłopy, a każdy z kijem, prętem, półlitrowką dla kurażu i stówką w charakterze wynagrodzenia ekstra. Jatka szykuje się straszna, ale, jakimś cudem, udaje się wynegocjować porozumienie. A później do akcji wkracza prokurator. Tyle że nikt nic nie wie, nikt o nic nie ma żalu, a w ogóle o co chodzi, panie prokuratorze? Wszystko rozchodzi się po kościach, sprawa jest zamknięta.

Tyle słyszałem. W moim fachu wiedza o ludziach to połowa sukcesu. Albo więcej. To, co słyszałem o Koenigu, wystarczyło, by wyrobić sobie zdanie. Zadzieranie z nim to jak stąpanie po cienkim lodzie. Albo brodzenie w spa. W baseniku wypełnionym wiadomo czym.

Zatrzymaliśmy się na Elsterskiej, nazwanej tak na cześć Józefa Poniatowskiego. W ogóle w tej części Saskiej Kępy kwitną tradycja i patriotyzm. Byliśmy na jednej z tych uliczek, gdzie czas zatrzymał się między wojnami. Stanęliśmy naprzeciw willi wybudowanej, o ile dobrze pamiętałem, dla jakiegoś sanacyjnego generała, wielbiciela Anglii i stylu okrętowego.

Parter kamienicy, w której mieszkała Aleksandra Hyża, zajmowała szkoła jogi.

Wskazałem ją palcem.

– Szkoda, że księżę Poniatowski nie może tu wpaść. Tantra prawej ręki przed bitwą. Mogła pani napisać na wizytówce, gdzie idziemy, wziąłbym ze sobą matę i dres.

Mruknęła pod nosem. Najwyraźniej nie mogła uwierzyć, że ciągnie do domu kogoś takiego jak ja.

Weszliśmy na drugie piętro, a potem szybkim krokiem poprowadziła mnie prosto do salonu. Tak jakby nie chciała, abym rozglądał się i wnikał w jej prywatność.

Zaproponowała coś do picia. Grzecznie poprosiłem o wodę z cytryną, jeśli można, a gdy znikła w kuchni, rozejrzałem się. Nie był to styl okrętowy. Raczej aptekarsko-aseptyczny, jak gdyby właścicielka mieszkania w każdej chwili spodziewała się ataku eboli albo innego wirusa. Wszystko w bieli. Ściany i podłogi też. Szkło i drewno. Oczywiście białe. Masywne biurko. W jedynym słusznym kolorze. Kontrast stanowiły trzy

pejzaże wiszące na ścianach, chociaż jeden z nich był zimowy, i potężny regał z książkami, ciągnący się przez całą ścianę. Układ tytułów bez ładu i składu, sporo dwudziestowiecznej historii, tyle że biografia Hitlera obok *Ręcznych koni* Cormaca McCarthy'ego. Nie dostrzegłem nigdzie kodeksu karnego ani pozycji dotyczących buddyzmu. W ogóle poza podstawką na świeczki z podobizną Gautamy trudno było znaleźć tu jego ślady.

– Nasycił się pan? – Usłyszałem, że stawia kubek na szklanym blacie.

– Ja na linii wzroku trzymam berlińskie listy Kierkegaarda. Wydanie duńskie. Jak to działa na kobiety!

Usiedliśmy. W dłoniach trzymała kubek z herbatą, jakby ogrzewała ręce. Wzrok utkwiała w jakimś punkcie, daleko za mną.

– To nowy ślad – podjęła wątek, o którym rozmawialiśmy w Rue de Paris. – Wiedzieliśmy, że była w Szczytnie. I w Starych Kiejkutach. Ale z Koenigiem to całkiem świeża sprawa.

– Po co tam była?

– Tam jest... – Skrzywiła się. – Tam mają taką komunę artystyczną czy jak to nazwać... Jest tam taki ni to rzeźbiarz, ni to szaman... Dla mnie jakiś szarlatan. Smółka się nazywa. – Popatrzyła na mnie.

Wzruszyłem ramionami. Nazwisko nic mi nie mówiło.

– Z rzeźby dość kiepski jestem. Ledwo zaostrzę ołówek.

– Coś o tym słyszała i z ciekawości chciała zajrzeć. Ale nie dojechała tam. Sprawdziłszy to. I teraz w grudniu...

Urwała. Widać było, że przywoływanie kolejny raz tej historii sprawia jej ból. Patrzyłem na prawniczkę ze stali, bezwzględna i pewna swego na sali rozpraw i opanowaną przed kamerami telewizyjnymi, złamaną teraz jak spróchniałe drzewo. Każdego można złamać. Trzeba tylko wiedzieć, jak i czym.

Podeszła do biurka. Z górnej szuflady wyjęła zdjęcie. Podała mi je. Z fotografii patrzyła na mnie dziewczyna z grzywką zaczesaną na prawą stronę. Brązowe oczy. Ładna, budząca zaufanie twarz, może nieco zbyt okrągła.

– Jak wypłynął ten Koenig?

– Z Anglii wróciła w grudniu koleżanka Magdy. Znalazła mnie. Powiedziała, że w sierpniu rozmawiały przez telefon. Magda opowiadała, że poznała kogoś fajnego. To znaczy powiedziała trochę inaczej... Ale chodzi o to, że ten ktoś nazywa się Koenig.

– Dlaczego dopiero teraz o tym powiedziała?

– Wspominała nam już o tej rozmowie, ale nie pamiętała nazwiska. Mówiła tylko, że obco brzmiące. A teraz oglądała jakiś film i nagle się jej skojarzyło. Mówi, że nie chciała kogoś bezpodstawnie oskarżać, ale że teraz jest pewna.

Popatrzyłem na nią z powątpiewaniem. Brzmiało to niezbyt wiarygodnie.

– A imię?

– Nie pamięta. Nie jest pewna, czy w ogóle padło. Podobno rwał się zasięg. W Starych Kiejkutach to możliwe. Poza tym tam ciągle podsłuchują rozmowy... Koenig ma synów. Pewnie też innych krewnych, którzy go odwiedzają. A może chodziło o jakiegoś chłopaka, który u niego pracował... – Sama mnożyła wątpliwości.

– Dowiaduje się – przerwałem jej – że jej przyjaciółka poznała kogoś... zajebicie fajnego, i nie zżera ją ciekawość? Nie pyta o nic więcej?

– Pytała. Magda powiedziała jej, że musi kończyć i lada dzień zadzwoni. I że ma jakiś pomysł. Już nie zadzwoniła...

Obracałem w palcach zdjęcie.

– Jestem pewien, że użyła pani swoich możliwości, żeby jakoś to sprawdzić. Jest pani wpływową osobą...

– Ale nie aż tak. Na Koeniga jestem za krótka. Ten facet ma wszędzie znajomych. W jego spółkach pracują byli ministrowie. A może nawet przyszły premier.

Spojrzałem na smętny morski pejzaż ze statkiem rybackim.

– Drogie to?

Podążyła za moim wzrokiem i poczerwieniała na twarzy. Chciałem już zaproponować zabawę mieczem świetlnym, żeby trochę wyluzowała, ale mnie wyprzedziła.

– Nie sądziłam, że interesuje się pan także malarstwem. – Wydęła usta.

– Tylko trochę.

– Chodzą po dwa, trzy tysiące dolarów, jeśli to pana aż tak interesuje. Czasami trochę więcej. A ja zapłacę jeszcze więcej za odnalezienie Magdy...

– Dlaczego pani tak na tym zależy? – Nie pozwoliłem jej dokończyć. – Rozumiem, to siostrzenica, rodzina, ale... – Rozłożyłem ręce, domagając się tym gestem dodatkowych wyjaśnień.

Nie odpowiedziała od razu. Podeszła do okna. Nie wiem, na co patrzyła. Może na willę w stylu okrętowym. Może na coś innego.

– Moja siostra jest bibliotekarką. – Wyczułem w jej głosie ton usprawiedliwienia.
– Cóż. – Westchnąłem. – W każdej rodzinie są czarne owce.
– To ja zawsze byłam ta silna i przebojowa. – Wciąż była odwrócona do mnie plecami.
– A jakie są koszty własne bycia taranem? Ja nie ułożyłam sobie życia. To znaczy – odezwała się w niej buddyjska natura – nie tu i nie teraz.

Odwróciła się. Nerwowo bawiła się łańcuszkiem z kołem Dharmy.

– Więc przynajmniej w tej sprawie nie chcę mieć poczucia winy. Nie chcę, żeby wlokła się za mną jak cień, jak skaza na zawsze. Nie wiem, czy pan to rozumie...

Czy zrozumie to ktoś obdarzony subtelnością paleolitycznego gada. Tak to brzmiało.

Wstałem.

– Proszę pani, nie wezmę tej sprawy. Lubię kształty, o, takie. – Zrobiłem ruch rękami, jakbym obrysowywał kobiecą sylwetkę. – Dość kiepsko wyglądam w trumnie. – Nakreśliłem w powietrzu prostokąt.

– Proponuję panu...

– Wiem – przerwałem jej. – Zaproponuje mi pani dobre pieniądze. Naprawdę dobre. Tylko że ta sprawa kupy się nie trzyma. Cała ta opowieść o Koenigu. Nic pewnego... Może dziewczyna postanowiła zmienić swoje życie? Zostawić wszystko za sobą? Takie zwroty o sto osiemdziesiąt stopni się zdarzają...

– Nie ona – zaprzeczyła. – To zupełnie nie w jej stylu.

– Nawet pani nie wie, ile razy słyszałem to zdanie. Poza tym... poza tym mamy styczeń i jestem pewien, że jakiegoś łapsa już pani do Kiejkut posłała. Nie czekała pani, tylko od razu chciała sprawdzić trop. I co? Wrócił, oddał zaliczkę i powiedział, że więcej się tym nie zajmie, tak? Dostał niezły wycisk, coś w stylu mantry „kop, dupa, brama”, może musieli go nawet składać do kupy i teraz pani uderza do mnie, nie wspominając o tym... Mam rację?

Milczała. Wstałem.

– Proszę się nie gniewać. Pani potrzebuje kogoś ze świata bogów. A ja jestem w najlepszym razie ze świata głodnych duchów, rozumie pani?

Wyciągnąłem rękę. Ociągała się, ale podała swoją. Miała lodowatą dłoń.

Wróciłem do domu. Wciąż widziałem jej sylwetkę, jakby pomniejszoną i kruchą. I miałem pewność, że z panią mecenas widziałem się po raz pierwszy i ostatni.

Myliłem się jednak.

Zapomniałem o spotkaniu z Aleksandrą Hyżą i przez kolejne miesiące rzuciłem się w wir zleceń. Raz udało mi się nawet dotrzeć na konsultacje w sprawie Jazdowa i było tak, jak przypuszczałem. W kwietniowe popołudnie wracałem ze spotkania z klientem i utknąłem w korku. Drugi raz w ostatnich tygodniach. Poprzednio zatrzymał mnie półmaraton, teraz przez Warszawę przechodził Marsz Cieni. Patrzyłem na młodych ludzi, ubranych w przedwojenne mundury wojska, policji, Korpusu Ochrony Pogranicza, i zniecierpliwiony bębniłem palcami o kierownicę, gdy ktoś zapukał w szybę.

W pierwszej chwili go nie poznałem. Zapukał jeszcze raz, uchyliłem szybę i wtedy oświeciło mnie. Z Andrzejem Śpiewnym pracowałem w policji przez dobrą dekadę. Pistolet, taką miał ksywę, zajmował się przestępczością gospodarczą i nasze drogi kilka razy się skrzyżowały. Stał teraz pochylony, z głową wetkniętą do środka samochodu.

– Poznałem cię od razu, Hłasko. Moja pamięć do twarzy zawsze była legendarna. Zawsze byłeś dobry, ale ja lepszy.

Odchrząknąłem. Mogłem polemizować, ale nie chciałem.

– Więc skoro cię już wypatrzyłem, to może postawisz mi kawę, co?

Zanim się zorientowałem, wgramolił się na siedzenie pasażera. Obiecałem sobie, nie wiem który już raz, że podczas jazdy będę zamykał drzwi. Westchnąłem i dałem za wygraną. Byliśmy w centrum i zaproponował bar przy Grubej Kaście, bo to blisko jego domu. Z legendarną pamięcią do twarzy bywało u niego różnie, ale zawsze potrafił zorganizować i zachachmęcić, co chciał. Taki przykład lawiranta i cwaniaczka, jakich wszędzie pełno. I wyczuwał zapach pieniędzy lepiej niż labrador narkotyki. Tym razem Pistolet załatwił sobie darmową podwózkę, ale ponieważ czuł się zobowiązany do rewanżu, zabawiał mnie rozmową. W drodze wysłuchałem kilku historii o starych kumplach z firmy. W sumie nic krzepiącego.

Bar kawowy Przy Kaście należy do warszawskich skansenów, podobnie jak Amatorska, Piotruś albo Lotos na Belwederskiej. Jest knajpianą kapsułą czasu, z historycznym neonem, archaicznym wnętrzem, wysłużonymi stolikami i wiekowymi sztucznymi kwiatkami, którym poobrywano liście. Zamówiłem dwie kawy. Pistolet wypytywał, co robię, a ja

odpowiadałem okrągłymi zdaniami. Potem zaczął nawijać o statecznym życiu emeryta, opowiadał, opowiadał, a ja chwytalem rozmowę przy sąsiednim stoliku. Dwóch mężczyzn o dychę starszych od nas. „Przychodzę o czwartej, bo mam szesnasty numer. I słyszę, że wszedł pierwszy. A ona przyjmowała od drugiej. I wszedłem dopiero o szóstej. Rozumiesz?”. Kiwnięcie głową. „Co ci zapisała na cholesterol?” „Coś na «a»”. Klepięcie w ramię. „To samo co mnie. Też biorę na «a»”.

Klepięcie w ramię.

– Hej, pytam, czy Kaszalota pamiętasz? – Pistolet pochylił się nad stolikiem.

– Kaszalota? Pamiętam. – Przypomniałem sobie tyczkowatego mężczyznę, specja od komputerów i elektroniki, nazywanego na przekór swojej posturze. – Pracowaliśmy razem przy kilku sprawach. Co u niego?

– Nie wiesz? – Zdziwił się, poprawiając marynarkę zbyt luźną w ramionach. – Siedzi. Jeden cztery osiem.

Uniosłem brwi.

– Kogo zabił?

– Starą zaciukał. Słyszałem od naszych całą historię. Dla zgrywy zainstalował podsłuch w kościele... W konfesjonale. I opowiadał, że lepszego ubawu niż w niedziele nigdy nie miał.

– Do czasu – mruknąłem, przewidując rozwój wydarzeń.

– Do czasu. – Bawił się spodeczkiem. – Do czasu, gdy usłyszał głos swojej starej. Wrócił do domu, ona też, i załatwił babsko. Za zdradę. Jaki z tego płynie morał?

Wydałem usta.

– Że gdyby ludzie nie wynaleźli zbawienia, byłiby szczęśliwsi?

Pokręcił głową i poprawił marynarkę. Wyglądało to tak, jakby od czasu do czasu podrygiwał.

– Nie, to nie to – odpowiedział. Patrzył na mnie. – Słuchaj, a czy ty mógłbyś zabić? Z zemsty?

Przyjrzałem mu się uważnie. Wpatrywał się w dno filiżanki.

– Nie zamierzam nikogo zabijać. To czysto teoretyczne pytanie.

– To poteoretyzujmy. Mógłbyś czy nie mógłbyś?

Zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Jestem zawodowcem. Nie dostaję atawistycznego szczękościsku. Pokonałem ten szczebel ewolucji. I panuję nad emocjami. Jeszcze coś?

– Zawsze? – dopytywał. – Zawsze nad tym panujesz?

– Zawsze. – Teraz to ja się pochyliłem. – Do czego właściwie zmierzasz?

Wstał od stolika i położył mi rękę na ramieniu.

– Bo morał z historii Kaszalota jest inny. – Nachylił się nade mną. – Nie trzeba się mścić samemu. Trzeba tylko znać pewnych ludzi. Jakby co, to ja znam pewnych ludzi. Tak ci mówię, jakby co, jako emeryt. I to bardzo dobrze, że panujesz nad emocjami. Tacy są w cenie. – Ostatnie zdania wyszeptał.

Poklepał mnie w ramię i uśmiechnął się.

– Do widzenia, pani Halino. – Ukłonił się barmance.

Wyszedł, a jego słowa huczały mi w głowie.

Ten dzień zaczął się niewinnie, jak wiele do niego podobnych. Trwały wiosenne promocje. Do wyczerpania zapasów głupoty i paranoi. A więc, sądząc po moich klientach, mogły się ciągnąć w nieskończoność.

Robiło się coraz cieplej i jaśniej. A potem, w maju, było już całkiem przyjemnie. Z każdym rokiem coraz gorzej znoszę grudniowy mrok, a w lutowe poranki nasłuchuję już śpiewu ptaków. Kiedyś mi się to nie zdarzało.

Wiosną dziewczyny zrzucają zimowe pancerze, wypinają się na siodełkach rowerowych albo nawijają asfalt na rolki na Polach Mokotowskich. Na nieszczęście są i tacy, którzy wiosną zajmują się poważnymi sprawami i nie pozwalają o sobie zapomnieć. Na przykład kandydują na prezydenta. Inni walczą w obronie muralu na ulicy Siennej. W Warszawie zawsze było zbyt wielu żołnierzy i na tym polega nieszczęście tego miasta. Ale żołnierze marionetki na ścianie Kamienicy pod Żaglowcem byli warci, żeby ich bronić. Są też tacy, którzy podsłuchują lub są podsłuchiwani. Wtedy ekspert do spraw bezpieczeństwa w firmach, ktoś taki jak ja, wkracza do akcji. Czasem w tej robocie trafia się coś ekstra. Wiosenna promocja. Tak było.

Siedziałem w pijalni soków, a przez okno widziałem pomnik Piłsudskiego. Pomnik Pierwszego Parkingowego, jak o nim mówią. *Juicing* stał się kolejnym modnym hasłem w stolicy, a detoks za pomocą soków – programem obowiązkowym dla wszystkich, którzy chcieli chwycić czas. Owocowo-warzywne pijalnie prześcigały się w pretensjonalnych nazwach. Siedziałem pochylony nad czymś, co nie nazywało się już zwykłą karotką, ale Ryanem Dżjuslingiem. Obok przy stoliku dwie dziewczyny patrzyły w moją stronę. Biust jednej falował i czułem się prawie jak kalifornijski surfer w latach sześćdziesiątych, czekający na Beach Boysów. Prawie. Wiedziałem, że patrzają nie na mnie, ale na mojego towarzysza. Wlepiąły oczęta w aktora Błażeja Lubego. W Leonardo DiMarchwio polskich seriali.

– Wiesz, tak się tym wkurwiłem, że pojechałem na Żerań. – Sącył przez słomkę jakąś kosmiczną mieszankę soków. – Mają takiego monster trucka, czterometrowe bydlę. I dwa

złomowane samochody mi przygotowali do zgniecenia. Ale była jazda! Uwielbiam ten odgłos miażdżonej blachy.

Dwie pięści zaciśnięte w powietrzu mówiły: o tak, właśnie tak to robiłem.

Mówił z przejęciem sześciolatek, który właśnie dostał nowy wóz strażacki. Widzieliśmy się drugi raz. Pokiwałem głową. Co miałem powiedzieć? Każdy ucieka od kłopotów, jak umie. A DiMarchwio miał poważne zmartwienie.

– Byłeś tam? – Zmienił nagle ton, a błysk w jego oczach przygasł.

– To nie ona – powiedziałem.

Poranek spędziłem w prywatnej klinice medycznej. Nie była to sieciówka dla korposzczurów i wszystkich, którzy mogą ominąć usługi publicznej służby zdrowia, ale ekskluzywna lecznica dla wybrańców. Dla restauratorki, wianuszka aktorek i aktorów, kilku jurorów z rozmaitych *talent shows*. Słowem: dla bogów. Leonardo DiMarchwio był naturalnie jednym z klientów. I nagle z firmy, szczycącej się najlepszymi specjalistami, elitarną klientelą i żelazną dyskrecją, zaczęły wyciekać dane o pacjentach. Pal licho, jeśli ktoś ma polipy w nosie. Albo raka. Z tego można utkać nawet wzruszającą opowieść dla dziennikarskich pudełków. Gorzej, jeśli przyjmuje się daraprim. Tak jak Błażej Luby. Taki lek podaje się chorym na malarię. Tyle że DiMarchwio nie gra w żadnym serialu kręconym w tropikach. Rzecz w tym, że daraprim przyjmują także chorzy na AIDS. W sieci pojawiły się pierwsze wpisy o problemach aktora. Nie był to jeszcze efekt kuli śniegowej, ale lecznica i Luby wpadli w histerię. A potem zaczęli paranoicznie poszukiwać źródeł przecieku. Zatrudnili jasnowidza. A także wariografistę. Oraz mnie.

– Na pewno nie ona?

– Na pewno.

Wytypowano sprawcę przecieku. Jedną z pielęgniarek. A potem wziął ją w obroty szarlatan od wariografu. Jest kilku takich nawiedzonych, którzy do wykrywacza kłamstw podpięliby najchętniej kulę ziemską i dowierciliby do prawdy. A ponieważ tego jeszcze nie potrafią, podpinają małżonków podejrzewanych o zdradę oraz pracowników firm. Żadnych tam morderców i szpiegów. Mam dla pani propozycję nie do odrzucenia. Tylko kilka prostych pytań. Naturalnie, nie ma pani nic do ukrycia, prawda? I chce pani dalej z nami pracować i rozwijać się? Tak to wygląda. Nieufność stała się tak naturalna jak powietrze, więc poligrafiści trzepią niezłą kasę.

– Ten facet mówi, że to ona.

– Ten gość jest zwyczajnym ściemniaczem. Po prostu musi udowodnić swoją skuteczność. Wiesz, co sędzę o zdaniu: „Wariograf prawdę ci powie”?

Nie wdawałem się w szczegóły. Nie będę mu opowiadał o badaniu elektrycznego przewodzenia skóry, oddechu, pracy serca i metodologii pytań kontrolnych. Nie jestem wariografistą, ale swoje na ten temat wiedziałem. Zapis badania, które zobaczyłem przed południem, do niczego się nie nadawał. A na pewno nie upoważniał do egzekucji na pielęgniarce.

Tymczasem dwie dziewczyny jak zahipnotyzowane wpatrywały się w Lubego.

– Człowieku, ty nie rozumiesz. – Pochylił się. Widziałem przekrwione białka oczu. – Za chwilę będę skończony. Skończo-ny – wysyczał. – Rozumiesz? Wywalą mnie z serialu o lekarzach. Jak ukochany kardiolog może mieć AIDS? Jak? Już zauważyłem, że mniej mejli do mnie przychodzi. Moja menedżerka mówi mi, że odstrzelili mnie do głównej roli w filmie, który będzie żarł... Zaraz cała moja karta zdrowia wycieknie... Widzisz te okładki „Faktu” i „Super Expressu”? Bo ja tak.

Zamknął oczy.

– Moim zdaniem ktoś zhakował dane. To musi ustalić spec od informatyki. Naprawdę ktoś dobry.

Miałem takiego, ale nie widziałem powodu, żeby go im podsuwać. Mój przyjaciel, Clyde, żyje w świecie własnych paranoi, ale to nie powód, żeby mieszać go w inne.

Patrzył na mnie bez słowa. Wyglądał dość boleściwie. Jak kolejne ogniwo w ewolucji utrapionych. Po Męce Pańskiej i subkulturze emo. Jedna z dziewczyn, ta z oceaniczną falą zamiast piersi, zebrała się na odwagę. Podeszła do nas z serwetką i długopisem.

– Mogę prosić? – szepnęła do Lubego. – Tak bym chciała, żeby to pan był moim lekarzem.

Aktor wypisywał dziewczynie receptę, a ja poczułem lekkie ukłucie. Szkoda, że nie zwróciła się do mnie. A potem przyszło opamiętanie. Leonardo DiMarchwio był ostatnią osobą, której powinienem teraz zazdrościć.

Zapamiętam tamten dzień na zawsze. Godzina po godzinie. Mogę zwalniać i przyspieszać wydarzenia do woli. Przewijać je w nieskończoność. Dzień, w którym spotkałem się z DiMarchwio i oceaniczną falą. W którym wciąż roztrząsano sensacyjne wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich sprzed pięciu dni. Gdy napisałem kategoryczną opinię dla ekskluzywnej lecznicy i zawarłem w niej moje wszystkie wątpliwości dotyczące badania wariografem. Kiedy zrobiłem rundkę wokół Agrykoli i powdychałem wiosenny zapach drzew. No i nie miałem pomysłu, co robić wieczorem. Zapowiadało się, że kilka kolejnych dni nie będzie zbyt pracowitych. Spojrzałem na wiszące na ścianie plakaty. I podjąłem decyzję, która miała zaważyć na moim życiu.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni odnawiałem dom. Sądząc po przetarciach i zabrudzeniach na ścianach, musiało być to dawno. Może za czasów prezydentury Kwaśniewskiego? W każdym razie w odległej epoce. Pamiętałem jedynie, że ostatnim razem wykazałem się nie lada sprytem. Nie zdjąłem wtedy plakatów. Po prostu je obmalowałem. Dwa z nich, ten z *Casablancą* i ten z Deyną, powiesił jeszcze mój ojciec. Teraz postanowiłem podejść do sprawy bardziej metodycznie. Zdjąłem je ze ściany i położyłem na łóżku. Trzy pokaźne prostokąty spoglądały na mnie spod starej, wyblakłej farby. Przetarłem antyramy i skrzywiłem się. Nie można tak tego zostawić. Tego było za wiele nawet jak na takiego abnegata jak ja. Wieloletni kurz osiadł w środku, przylegał do twarzy oraz prochowca Bogarta i prawie zatarł autograf Deyny. Reprodukacja obrazu Hoppera to też nie było mistrzostwo czystości. Odpiąłem zaczepy. Wytarłem plakaty i odwróciłem je. Każde pociągnięcie wilgotnej szmatki pozostawiało rozmazane smugi. Przetarłem jeszcze raz. Z obu stron.

Pod jedną z takich smug, na odwrocie *Casablanki*, w prawym dolnym rogu, coś zobaczyłem. Ciąg drobnych znaków, które natychmiast rozpoznałem. Niebieski atrament. Charakter pisma mojego ojca. Zapaliłem światło i zbliżyłem plakat do oczu. Nigdy tego wcześniej nie widziałem. Inna sprawa, że plakaty wisiały od zawsze w tym samym miejscu, nieruszone. Trochę jak relikwie, z którymi nie wiadomo, co zrobić.

Zmrużyłem oczy. Coś podobnego. Dwa ciągi cyfr. Żaden z nich nic mi nie mówił. Nie przywodził skojarzeń. Dwa numery telefonów. Z jakichś względów ojciec zapisał je właśnie tu. Gdy nie miał nic innego pod ręką i akurat robił to, co ja teraz. Przecierał plakaty. A może umieścił je tutaj z zupełnie innego powodu.

Dwa ciągi cyfr.

Numer telefonu.

Ale drugi to jednak coś innego.

Data.

Nic mi niemówiąca data.

24-07-87

Co mój ojciec robił dwudziestego czwartego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego? Nie pamiętałem, co sam wtedy robiłem. Pewnie uganiałem się...

Są takie momenty, gdy coś się otwiera. Gdy z przeszłości powraca fala i uderza oczywistymi, czytelnymi obrazami. Przypomniało mi się, jak siedzieliśmy, a mój stary, inżynier, uczył mnie matematyki. Pokłóciliśmy się wtedy. A poszło o to, że źle odczytałem cyfry i zrobiłem błąd w zadaniu.

To nie był lipiec osiemdziesiątego siódmego.

24-09-89

Ojciec pisał tak, że nie domykał dziewiątki. I czasami wyglądała jak siódemka.

Stałem na środku pokoju, a świat wokół przestał istnieć. Czułem się tak, jakby moje ciało ogarnął paraliż.

Ale głowa pracowała.

24-09-89

Ten dzień zapamiętałem dobrze. A zrobiłbym wszystko, by wyprzeć tę datę z pamięci. Żeby nie odcisnęła się we mnie na trwałe.

Dwudziestego czwartego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Ryszard Hłasko zniknął.

Rano wyjechał w nieznanym kierunku. Nigdy nie wrócił. Wszelki słuch o nim zaginął.

Ciała i samochodu nigdy nie odnaleziono.

Kolejne tygodnie przeciekały mi przez palce. Tak jakby odcinano mnie od rzeczywistości i co jakiś czas do niej podłączano. Przynajmniej tak to teraz wspominam. Zupełnie jakby na szachownicy poprzestać tylko na czarnych polach, eliminując co drugie, białe. W normalnej sytuacji myślałbym o skutkach wyborów prezydenckich i zacierał ręce. O tym, że roboty mi nie zabraknie, gdy nowi zaczną czyścić starych. W końcu podsłuchiwanie to nasz sport narodowy, a mój fach jest ponad politycznymi podziałami. Wokół takich spraw powinienem krążyć. Ale gdy na rewersie plakatu odkryłem kilka liczb, mój świat zawirował. Coraz bardziej żyłem przeszłością. Czułem, że uzależniam się od niej. Nie potrafiłem pogodzić dwóch światów. Nie umiałem być w dwóch jednocześnie.

– Ale w tej marynarce to pan na szkolenie nie przyjdzie, co? – Uśmiechnął się szeroko.

Nie wiem, co miał do mojej marynarki. Chciałem ostatnio kupić inną i poniosłem porażkę. W Żółtych Tarasach przywitał mnie młodzieniec, na oko z metr dziewięćdziesiąt, blond bestia i tylko owczarka niemieckiego brakowało, a następnie oświadczył, że dla takich jak ja nic się nie znajdzie. „Mogę coś panu podać, ale będzie pan wyglądał w tym jak Danny DeVito”. Więc odpuściłem. Ale wcześniej poczułem się jak amerykańskie grube dziewczęta w sklepie Abercrombie & Fitch, które zamiast wymarzonej koszuli albo T-shirta otrzymywały szyderczy uśmiech sprzedawcy. „Takim – mówił Clyde, mój przyjaciel i komputerowy świr – należy przekazać pocałunek śmierci”.

Nie odpowiedziałem. Wgryzłem się w chiński pierożek, który tu, w centrum biznesowym przy Chmielnej, kosztował cztery razy tyle, ile w pobliskiej budce z azjatyckim żarciem. Nie odpowiedziałem, bo myślami znów byłem gdzie indziej.

Od ponad miesiąca próbowałem ustalić, co stało się z moim ojcem. Co się zdarzyło dwadzieścia sześć lat temu. Kilka razy, gdy pracowałem jako policjant, a potem mundurowe ucho w Biurze Spraw Wewnętrznych, podejmowałem poszukiwania. W skali, w jakiej mogłem. Czyli nieszczególnie wielkiej, ale mimo wszystko znacznie

przekraczającej możliwości przeciętnego cywila. Ślad urywał się dwudziestego czwartego września. Nie było mnie wtedy w Polsce. Dopiero po tygodniu powiadomiono mnie o zniknięciu ojca. To były inne czasy, inne techniczne możliwości, no a przede wszystkim obalono komunizm, weryfikowano i reformowano służby, więc nikt specjalnie nie przejmował się zaginięciem starszego mężczyzny. Twój ojciec, usłyszałem kiedyś, trafił na zły moment w historii.

Ryszard Hłasko przepadł jak kamień. Po latach, gdy sam nabrałem doświadczenia i uczestniczyłem w mniej lub bardziej beznadziejnych poszukiwaniach, wiedziałem, jak to się skończy. Nijak. Chyba że przypadek pozwoli trafić na ślad. Równie dobrze mogłem oczekiwać wygranej w Lotto. Zwłaszcza że nigdy nie wypełniłem kuponu.

I tak trwało to przez kolejne wiosny i zimy, a trwałoby jeszcze dłużej, gdyby nie naszło mnie, żeby zdjąć plakaty. Oczywiście domu nie odmalowałem. Porządki poczekają do kolejnej wiosny. O ile, zaklinałem rzeczywistość, przeżyję ją jeszcze na Jazdowie. Bogatszy o dwa ciągi liczb zacząłem szukać. Przewertowałem, nie wiem który raz, karton z pamiątkami po ojcu. Bez efektu. Kilkanaście szarych brulionów, wypełnionych równaniami i wykresami, kilkanaście pocztówek, w tym kilka od matki, i pożółkłe fotografie. Parę wycinków z gazet, w tym dwa artykuły, które napisał o konspiracyjnych czasach oraz losach inżynierów z Biura Odbudowy Stolicy. I kolejny raz natrafiłem na mur. Nie znalazłem nic, co mogło stanowić przełom. Porozmawiałem z bratem. Raz, drugi, trzeci. Odwracały się relacje między nami i chyba pierwszy raz to on martwił się o mnie. Odszukałem starych znajomych ojca, których nie pożarł jeszcze alzheimier. Było kilku takich z czasów odbudowy Warszawy. Nie wydobyłem z nich nic. Odwiedziłem miejsca, w których pracował. Dowiedziałem się, że policjant najbardziej zaangażowany wówczas w poszukiwania od kilku lat wacha kwiatki od spodu. Dreptałem w miejscu, zajmowałem się rodzinnym fantomem, a moi klienci tracili cierpliwość.

– Halo, czy pan mnie w ogóle słucha? – Wpatrywała się we mnie rumiana, szczerą twarz. Archetypiczne oblicze działacza partii chłopskiej, który suchą nogą przeszedł ze starego do nowego systemu. Tyle że facet nie był politykiem, ale prezesem koncernu medialnego. I szczeranym lisem. Marynarkę – chyba chciał, żebym przyszedł właśnie w czymś takim – przewiesił przez oparcie krzesła i mogłem podziwiać śnieżnobiałą koszulę z mankietami i kołnierzykiem tak wykrochmalonymi, że można by ciąć blachę.

Spóźnił się prawie godzinę. Był piątek. Nie mógł wyjechać z Mordoru. Nie, nie z samego korporacyjnego miasteczka. Z podziemnego parkingu. Taki był korek. A potem wcisnął czarnego dodge'a, niewiele mniejszego od wieżowca, w którym byliśmy, prawie na wprost okien restauracji. Żeby wszyscy mogli podziwiać.

– Oczywiście, że słucham.

– Porobiło się, nie? A rozpierducha – sięgnął po szklankę z sokiem – dopiero się zaczyna.

Miesiąc temu nikt o zdrowych zmysłach nie przewidywał wyniku wyborów prezydenckich. W powietrzu czuło się zmianę nastrojów, wystarczyło poczytać komentarze w sieci. I nie był to koniec. Kto mógł, szukał nowych kontaktów, przegrzebywał poźółkłe notesy z telefonami albo przypominał sobie o starych, przez lata wypartych z pamięci znajomych. Żarcik o zamachu w Smoleńsku, wypowiedziany na imprezie, kwitowany był teraz przepraszającym uśmiechem, a od żartownisia odsuwano się jak od trędowatego.

Cóż, kula ziemską pokryta jest wazeliną. Konformizm jest jednym z chwytów, który wynaleźliśmy na trudnej ścieżce przetrwania.

– Moi koledzy ze spółek skarbu państwa już szukają miękkiego lądowania. – Znów szeroki uśmiech, którego wymowa była oczywista: mnie takie problemy nie dotyczą. – Więc mówi pan – zmienił temat – że u mnie w firmie jest czysto? Żadnych pluskiew, żadnych, tych... fałszywych BTS-ów?

– Jest czysto. Przynajmniej w strategicznych miejscach. I nikt nie będzie przejmował pańskich rozmów. Ma pan najlepsze i najnowocześniejsze zabezpieczenia.

– Bo wie pan, zwłaszcza teraz, w całej tej sytuacji, informacja to jest kluczowa sprawa. Teraz, do października, będzie ludzi jarać, co się dzieje. Po wyborach emocje trochę opadną. A teraz kto pierwszy ma informację, ten wygrywa. Nie chodzi o to, że ją od razu ujawnia. Po prostu może ustawić się na najlepszej pozycji.

Spojrzałem w kierunku okna. Zaczęło padać. Normalnie widziałbym szklany wieżowiec towarzystwa ubezpieczeniowego, ale teraz widok zasłaniał czarny dodge. Symbol witalności finansowej i sukcesu, którego uosobienie siedziało przede mną.

– Nie chcę podważać profesjonalizmu pańskich dziennikarzy, ale najłatwiej wpłynąć na czynnik ludzki, rozumie pan? – powiedziałem. Ludzie zawsze są najsłabszym punktem.

Wytarł usta serwetką.

– I dlatego będę miał dla pana jedno zadanie. Czy mógłby pan – zawahał się – zorganizować takie szkolenie?

– Jakie?

– No wie pan... Jak nie dać się szantażować. I jak zareagować, jeśli coś takiego się stanie... Albo dojdzie do prowokacji. Czego nie trzymać w mieszkaniu i takie tam... Przecież wie pan, jak załatwili tego z telewizji...

– Chce pan, żebym nauczył pańskich ludzi, jak robić schowki? Gdzie w mieszkaniu mają ukrywać kokainę? – zapytałem nieco głośniej, niż powinienem. Parka przy stoliku obok obrzuciła nas spojrzeniem.

– Nie... to nie o to chodzi.

– A nie prościej i nie taniej dla pana powiedzieć im, żeby nie wciągali koksu? I zmienili preferencje filmowe? Czy od razu trzeba brnąć w porno ze zwierzętami i trupami? Od razu musi być kino konesera?

Rumiane oblicze stało się bardziej purpurowe niż zwykle. Z kłopotu wybawił go sygnał połączenia. Telefon leżący na stole zaczął wibrować, pan Śnieżnobiała Koszula chwycił iPhone'a, wymamrotał do mnie kilka słów, być może były to nawet przeprosiny, i podszedł do drzwi.

A ja powróciłem do mojego świata.

Jedynym nowym tropem był numer telefonu zapisany przez ojca. Oczywiście mógł to być zwykły zbieg okoliczności, ale dopisana data podpowiadała mi, że jest inaczej. I tu zaczęły się kłopoty. Obdzwoniłem kilku kolegów, którzy jeszcze pracowali w policji. Dwóch z Warszawy i dwóch z terenu. Wszędzie ta sama śpiewka. „Nie, nie ma elektronicznej bazy starych numerów”. Kiedyś zajmowali się takimi sprawami operacyjni. „Nie, nie pion B, nie ci od terenu, ale T. Tajniacy od podsłuchów. Tobie, Hłasko, mamy to tłumaczyć?”. „Kiedyś w archiwach komend wojewódzkich zbierano stare książki, ale teraz? Przy chronicznym braku przestrzeni?”. „Dobrze, dobrze, sprawdzimy, poszukamy”.

Sprawdzili i poszukali. Z podobnym skutkiem. Czyli żadnym. Rzeczywiście, kiedyś składowano w komendach stare książki telefoniczne, aż w końcu ktoś uznał, że zbieranie tych papierzysk nie ma sensu i zabiera przestrzeń, o którą walczy się jak o życie. Zatem znów dreptałem w kółko. I wtedy o pomoc poprosiłem Clyde'a.

Pięciu złotych nie dalibyście za niego, ale pozory mylą. Mężczyzna o mięsistych rybach ustach i okularach z potężnymi szklami był specem od elektroniki i komputerów.

Najlepszym, jakiego znałem. Gdy pracowałem w Biurze Spraw Wewnętrznych, uratowałem mu skórę. I jego partnerce życiowej też. Bożena i Czesław – a mniej banalnie: Bonnie i Clyde – byli nierozłączni. On bez niej by zginął. A ona? Najwyraźniej musiała odczuwać jakąś perwersyjną przyjemność obcowania z tym nieprzystosowanym do codziennego życia facetem. Kilka razy korzystałem z pomocy Clyde’a, ale starałem się nie odwiedzać go zbyt często. Bo to trochę tak, jakby fundować sobie darmową sesję elektrowstrząsów albo lobotomię.

Ostatni raz pracowaliśmy razem dwa lata temu, gdy trzydzieści kilometrów od Zakopanego, w Podczerwonem, wysadziłem w powietrze cysternę z paliwem, a wcześniej ktoś chciał mnie wystrzelić w kosmos. Kilkakrotnie chciano mnie zabić tylko dlatego, że ktoś inny dogrzebał się spraw z tuż powojennych czasów. W tej perspektywie zaginięcie mojego ojca zdarzyło się niemal wczoraj. Cóż to jest ćwierć wieku!

Tym razem jednak pojechałem do Clyde’a i powiedziałem w czym rzecz. Clyde to teraz nie byle kto. Gwiazda YouTube’a. Podobnie jak ja zbliżał się do pięćdziesiątki i w dość zaawansowanym wieku odkrył w sobie artystyczne powołanie. Przy pomocy sąsiadów nakręcił serial. *Listonosz zabójcą*. Dziesięć krótkich odcinków. A w każdym, proszę państwa, zabija... Domyślcie się kto? Z bliżej niejasnych powodów, a już kompletnie niezrozumiałych dla mnie, filmiki stały się przebojem, a Clyde, przepraszam, teraz Mr. Clyde, zyskiwał status artysty kultowego, choć słowo to dawno temu się zdewaluowało. A może nigdy nie miało sensu. Mr. Clyde postanowił pójść za ciosem. Planował nakręcenie remake’ów filmów akcji. *À la Krzysztof Zanussi*. Nie wiem, co chce od tego faceta. Pragnął, żeby zagrała w nich Bonnie, ta jednak stanowczo odmawiała.

Clyde usiadł przy klawiaturze i zaczął stukać w klawisze. Pokręcił głową. Gdyby chodziło o współczesny numer, to dla fachowca jak splunął, ale w wypadku dwudziestu sześciu lat odnalezienie właściciela trochę jednak potrwa.

– Dam ci znać. – Bezradnie rozłożył ręce. – Ale mam coś na pocieszenie. Pamiętasz naszą rozmowę o pocałunku śmierci? Więc po godzinach, gdy nie pracuję nad filmami, robię coś takiego...

„Gdy nie pracuję nad filmami”. Boże, jak to zabrzmiało. Wręczył mi sporych rozmiarów prostokątną folię. Przeczytałem nadrukowany napis i uśmiechnąłem się.

– Widział pan? O mało mnie nie uświnili. – Byłem w swoim świecie, ale widziałem, co zaszło. Rumiany w białej koszuli, chodzący wzorzec patrioty, wrócił do stolika.

Najwyraźniej puścił w niepamięć naszą wymianę zdań. A przy wejściu wciąż się kotłowało. I było słychać podniesione głosy.

Do środka chciał wejść niewidomy z psem przewodnikiem, a menedżer knajpy tarasował mu drogę. „Nie, nie, proszę pana, pan oczywiście może, ale pies musi zostać na zewnątrz”. „Tak, tak”, konfidencjonalny szept zamienił się w stanowczy ton. „Rozumiem, tak, rozumiem, że to pies przewodnik, ale tu są także inni goście i musi pan...”.

Ktoś próbował interweniować i wstawić się za niewidomym, ale menedżer był nieprzejednany. Pies otrzepał sierść z deszczu i czekał spokojnie.

– I bardzo dobrze. – Śnieżnobiała Koszula odwrócił się. – Na jego miejscu – wskazał głową menedżera – zrobiłbym tak samo. To nie jest Azyl pod Psim Aniołem. To porządna restauracja, a nie jakaś speluna. Pies może poczekać. A co by było, gdybym był uczulony na sierść?

Przytaknąłem. Patrzyłem w kierunku okna.

Wstał, przeprosił mnie, obiecał, że wrócimy do przerwanej wątku, i tym razem poszedł do toalety.

Deszcz zelżał, a ja znów patrzyłem na czarny czołg zaparkowany przy restauracji, bo przypomniałem sobie, że wciąż coś noszę w przepastnej torbie. Miałem ze sobą pocałunek śmierci. Prawdziwą bombę. Pytanie tylko, ile czasu minie, zanim odpali.

Spojrzałem, czy nie wraca, wstałem, wyminąłem menedżera oraz niewidomego i wyszedłem na ulicę. Podszedłem do czarnego dodge'a RAM 2500, rozejrzałem się i wyjąłem prostokątną vlepkę. Wracając, minąłem się w drzwiach z labradorem i niewidomym, którzy postanowili poszukać bardziej przyjaznego miejsca.

Śnieżnobiały wrócił i podjęliśmy temat szkoleń dla dziennikarzy. Czekałem. Chciałem to widzieć. Kurczę, jak bardzo chciałem mieć tę satysfakcję.

Mijał kwadrans. I wtedy się zaczęło. Usłyszeliśmy metaliczny dźwięk i chwilę później wycie alarmu. Śnieżnobiały obejrzał się i zerwał na nogi.

– Co jest, ku... – Ruszył w stronę drzwi, potrącając inny stolik.

Odczekałem pół minuty i też wstałem. Wyszedłem przed restaurację. Przy samochodzie stało kilkoro gapiów.

W telefonie usłyszałem sygnał przychodzącej wiadomości. Spojrzałem na wyświetlacz.
Mam to dla ciebie. Trochę czasu to zajęło. Wpadaj. Mr. C.

Śnieżnobiały dyszał i trzymał się za głowę. Dodge wciąż wył. Razem stanowili zgrany duet. Wskazał mi tył samochodu. Podszedłem. Ludzi wciąż przybywało. Tylne szyby były pęknięte, a karoseria bagażnika wgnieciona i porysowana. Leżał na nim solidnych rozmiarów kamień.

Palcem wskazał wlepkę umieszczoną nad tablicą rejestracyjną. Patrzyłem na fluorescencyjne litery, które byłyby czytelne także nocą.

Mam wyjebane na Smoleńsk. I żołnierzy wyklętych. Pierdolę Legię. I mam najlepszy samochód.

Z taką wlepką na bagażniku w centrum Warszawy człowiek sam prosił się o kłopoty.

– O kurwa – mruknąłem. – Ale pana ktoś załatwił. Myśli pan, że to ten niewidomy? Bo pies to by najwyżej koło obszczał.

Bezradnie wpatrywał się we wlepkę. A ja myślami byłem zupełnie gdzie indziej.

– Nawet nie wiesz, na co mnie naraziłeś. Nie masz pojęcia, z jakimi świrusami musiałem obcować. – Mówiły to rybie usta, a oczy przesłonięte potężnymi szklami oczekiwały pocieszenia. I czyje to były słowa? Człowieka, który pojęcie normy uczynił bardzo rozciąglonym.

Zostawiłem pana Śnieżnobiałego z uszkodzonym czarnym dodge'em, Smoleńskim, Legunią i żołnierzami wyklętymi na vlepce. Zadzwoiłem do Clyde'a. Przestało padać. Ostatni kilometr dzielący mnie od osiedla domków fińskich pokonałem biegiem. Zmieniłem ubranie na coś bardziej odpowiedniego. Po prostu włożyłem T-shirt z robotami z *Gwiezdnych wojen*. Wsiadłem w samochód i ruszyłem w kierunku Otwocka.

Niepozorny domek, do którego trzeba było dojechać wściekłymi wybojami, stanowił przystań dla ekscentrycznej pary byłych policjantów. Gdy podjeżdżałem, oboje stali przy furtce. Bożena z pędzlem i puszką farby w ręce. Jej mąż z dobrymi zamiarami. Bonnie dała znak, żebym unikał kontaktu ze świeżo odmalowanymi metalowymi prętami, popatrzyła przeciągle na Clyde'a, Mr. Clyde'a, wymownie spojrzęła na stertę dech butwiejących w ogrodzie, odwróciła się na pięcie i poszła. Clyde powiódł wzrokiem po posesji, wyglądał w tym zamyśleniu nawet refleksyjnie, westchnął, co nadało dodatkową głębię jego zadumie, a potem poprowadził mnie do swojego królestwa.

Był to ni to pokój, ni to pakamera, oświetlana jedynie sztucznym światłem. Dwa okna zostały szczelnie obklejone tekturą. Trochę wyglądało to jak zaciemnienie przygotowane na wypadek wojny. Prawie całą powierzchnię, nie licząc jednej zagraconej półki, sterty starych gazet, samochodowej opony, równie wiekowej otomany i krzesła, zajmował stół. A na nim dwa włączone komputery i dwa laptopy buczały do nas przyjaźnie.

Komunikat, który SMS-em wysłał mi Clyde, był krótki i na temat, wiedziałem jednak, że czeka nas dłuższa rozmowa. Że wysłucham raportu z ostatnich miesięcy. I że dowiem się o zamierzeniach artystycznych gwiazdy YouTube'a. Być może będę zmuszony obejrzeć dzieło nieznane jeszcze publiczności. To będą moje koszta własne. A potem przejdziemy do sedna.

– Nawet nie wiesz, na co mnie... – Clyde powtórzył.

Pokiwałem głową, że doskonale go rozumiem, choć nie było to przekonujące, i poprawiłem się na otomanie. Minęła godzina i właśnie przechodziliśmy do rzeczy.

– Więc czasem jest jeszcze tak, że te wszystkie cyfrowe piękności – powiódł ręką po komputerowym sprzęcie – się nie sprawdzają. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest. I to właśnie twój przypadek. W wypadku analogowej prehistorii kilka kliknięć nie wystarczy. W ogóle żadne kliknięcia tu nic nie dają. Trzeba szukać na piechotę.

– I co zrobiłeś?

– Namierzyłem kilku kolekcjonerów starych książek telefonicznych. W internecie możesz kupić stare roczniki po kilkadziesiąt, w wyjątkowych wypadkach po kilkaset złotych. Nawiązałem kontakty. Bywają wśród tych ludzi tacy, którzy interesują się nie tylko książkami. To świry... – Westchnął.

Do mrocznego królestwa wkroczyła Bonnie. Z parującą tacą, którą postawiła przed nami.

– Tarta ze szpinakiem. – Spojrzała na Clyde'a. – Artyści, zwłaszcza artyści z nadwagą, powinni się zdrowo odżywiać – powiedziała i wyszła.

Pokręcił głową, jakby chciał dodać coś o sensie życia, ale się powstrzymał. O dziwo, wrócił do tematu.

– Złapałem jednego takiego, który nie tylko książki sprzedawał. Powiedziałem mu w czym rzecz, zapalił się do sprawy, tyle że koniecznie chciał się spotkać. Musiałem do niego pojechać. Człowieku, jak żyję, czegoś takiego nie widziałem...

Odłamałem kawałek tarty. Była bardzo smaczna.

– Roczники książek ułożone w labirynt, że trudno się precyzyjnie. Stare aparaty telefoniczne. Rdzewiejące fragmenty jakiejś wiekowej centrali, membrany, inne duperele... A najgorsze było to, że musiałem go wysłuchać...

Doskonale go rozumiałem.

– Zaczął mi opowiadać, że najpierw, sto lat temu z okładem, były małe lokalne sieci obsługiwane ręcznie przez telefonistki, tak jak na starych filmach, potem pojawiły się automatyczne centrale lokalne, a jeszcze później systemy „miasto–miasto” i „stolica–stolica”, aż wreszcie doszliśmy do cyfrowych centrali międzynarodowych C siedem czy jakoś tak. A wiesz, po co mi to opowiadał?

– Żebyś go wysłuchał.

– Nie. Po to, żeby powiedzieć, że w dzisiejszych systemach nie ma żadnego romantyzmu i czynnika ludzkiego. I dopiero wtedy przyznał, że szukał, do kogo należy numer, który mi podałeś, ale nie znalazł.

Popatrzył zza szkieł, a ja starałem się zachować zimną krew.

– Nie znalazł. Ale jego kolega znalazł. Bo to jest numer z województwa olsztyńskiego.

Tyle wiedziałem sam.

– Z olsztyńskiego, nie z warmińsko-mazurskiego, bo numeracja kierunkowa pochodzi z czasów starego podziału administracyjnego. I że teraz zadzwonimy do tego kolegi i on powie. Że – tu Clyde wykonał nieokreślony ruch ręką – zadzwonimy z bardzo starego aparatu stacjonarnego, który specjalnie na tę okazję podłączył. Szczegóły ci daruję.

Wstał i podszedł do półki. Sięgnął po kartkę w kratkę i potem podał mi ją.

Bogusław Wasiak. Relax. Szczytno.

Cztery słowa. Dwa pierwsze nic mi nie mówiły. Trzecie kojarzyło się z warszawskim kinem. Na ulicy terrorysty Kniewskiego. Byłem rozczarowany. Wpatrywałem się w cztery wyrazy i próbowałem połączyć je z ojcem. Czy kiedyś mówił o Bogusławie Wasiaku? Czy wspominał, że wybiera się do Szczytna? Nie przypominałem sobie. W kartonach, które po nim zostały, nic takiego nie było. Chyba nic.

– Weź kawałek tej tarty, bo inaczej będę musiał ją zjeść. – Clyde zaczął się rozglądać za starą gazetą, w którą mógłby zapakować zdrową żywność. – Nic ci to nie mówi, prawda? Ten Wasiak...

Potwierdziłem.

– Na wszelki wypadek wykonałem jeszcze jeden ruch. Wiesz, jak to jest z przyporządkowywaniem numerów do ludzi. Zadzwoniłem do Szczytna. Mieszka tam taki facet, który uczył mnie w szkole policyjnej. Lubił mnie. Wciąż mamy kontakt.

Mówił od niechcienia, ale czułem, że kryje się za tym coś więcej.

– Powiedziałem o tym Wasiaku. Coś temu znajomemu się nie zgadzało. Obiecał, że to sprawdzi. I sprawdził.

Szła jak denka butelek wpatrywały się we mnie.

– Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w Szczytnie była taka tancbuda Relax. Miała dwóch właścicieli. Jednym był Wasiak. Ale on był mniej ważny. Tak naprawdę ta knajpa należała do tego faceta.

Kliknął w klawiaturę laptopa. Ukazało się zdjęcie. Patrzyło na mnie dwóch mężczyzn. Obaj w garniturach. Ściskali sobie ręce i pozowali do fotografii. Po lewej były premier. Ten po prawej stronie był starszy. Szczupły, z szopą siwych włosów. W tle banery informujące, że zdjęcie wykonano podczas jakiegoś forum gospodarczego. Pod fotografią podpis. Imię i nazwisko.

Henryk Koenig.

Przełknąłem ślinę.

– Słyszałeś pewnie o takim? Czasem bywało o nim głośno. To na Mazurach lokalna szychy. Nie tylko zresztą tam. A w dawnych czasach współwłaściciel szczycieńskiej mordowni Relax.

Wstałem. Czuję się tak, jakby ktoś przywiązał do mnie pięćdziesięciokilowy worek. I ten ciężar wgniatał mnie w podłogę.

Henryk Koenig.

Czuję, że sprawa nabiera kształtów. Zniknięcie ojca, numer telefonu, nazwisko Koeniga. To składało się w całość. Nie wiedziałem tylko jak.

Clyde nic nie mówił. Czasem miewał wycucie chwili i potrafił się zachować. Bez słowa wręczył mi tartę opakowaną w „Gazetę Wyborczą”.

– Wiszę ci przysługę – powiedziałem. – Zastanów się jaką.

– Już to przemyślałem. Zostaniesz gwiazdą. Zagrasz w moim kolejnym filmie. *Django* w stylu Zanussiego. Laboratorium chemiczne, dwaj faceci siedzą w swetrach, jeden w czarnym, drugi w białym. Parzą na siebie i...

Nie słuchałem go dłużej.

Był środek nocy, a ja pracowałem ze zdwojoną energią.

Kartonowe pudła ze starymi skoroszytami stały na stole. Raz jeszcze kartka po kartce przeglądałem zapiski ojca. Wzory, równania, wykresy, które zawsze były dla mnie czarną magią. Ojciec szybko wyzbył się złudzeń, że podążę jego drogą i zostanę inżynierem. Gdy wybrałem liceum plastyczne, jeszcze mógł mieć nadzieję. Ale potem, kiedy oświadczyłem, że wybieram się na filozofię, popatrzył na mnie przeciągle, wzruszył ramionami i to była cała nasza rozmowa. Raz zapytał, czym się dokładnie zajmuję. Wymieniłem nazwisko Kierkegaarda i usłyszałem ciche odchrząknięcie. Właściwie nie wiem, co chciał mi powiedzieć. Temat był zamknięty.

Wertowałem zapiski, szukając czegoś, co mogłoby naprowadzić mnie na nowy ślad. Niekiedy, najwyraźniej z nudów, ojciec coś rysował. Najczęściej był to niedokończony most, tak jakby doprowadzony do połowy wyimaginowanej, narysowanej w jego głowie rzeki i zawieszony w powietrzu. Dziwny rysunek, który zawsze wywoływał we mnie niepokój. Nawet gdy teraz zajrzałem do skoroszytów po latach. Kilka razy powtarzała się twarz młodej dziewczyny. Zawsze tej samej. Wyraziste rysy, fala włosów, pociągły kształt twarzy. Z pewnością nie była to twarz mojej przedwcześnie zmarłej matki. Nie pasowała do zdjęć, które znałem. I teraz nagle przypomniałem sobie scenkę. Mam kilka lat, ojciec coś pisze, skradam się za jego plecami. „To nasza mama?” Odwraca się gwałtownie, zamyka zeszyt i tak dziwnie na mnie patrzy. Nie powiedział wtedy ani słowa. Teraz wiem dlaczego. Czuł się zawstydzony. Zakłopotany. Przyłapany na czymś, co powinno zostać jedynie jego sekretem.

Każdy ma swoje tajemnice.

Zbliżała się trzecia. Pora, gdy Jazdów milczy. Chyba że w pobliżu odbywa się plenerowa impreza. Tej nocy było jednak spokojnie. Wstałem, przeciągnąłem się, podszedłem do okna i spojrzałem na czarną pustkę. Chciałem rozświetlić mrok, zajrzeć w głąb, w przeszłość, i nie mogłem znaleźć właściwego klucza. Nie natrafiłem na odpowiednią mapę.

W lodówce miałem piwo. Otworzyłem je. I wróciłem do wertowania papierów. Wzory, równania, wykresy. Niedokończony most. Twarz dziewczyny. Ojciec poznał matkę, gdy był dojrzałym mężczyzną, a my z bratem, można powiedzieć, byliśmy jego późnymi dziećmi. Tak jakby przez lata czekał na tę jedyną albo nie mógł zdecydować się na związek. Dlaczego? Nigdy wcześniej nie zadałem sobie tego pytania.

Kolejne zaskoczenie. Kilka razy ojciec narysował coś, co wyglądało jak karabin. Albo pistolet maszynowy. Sam szkicowałem coś podobnego w zeszytach, gdy byłem mały, pewnie każdy chłopiec rysuje karabiny, czołgi i żołnierzy i traktuje te obrazki jako oczywistość. Tyle że nie patrzyłem teraz na rysunki zrobione ręką małego chłopca. Te, które oglądałem, miały więcej szczegółów. Były bardziej dopracowane. Ostatecznie zrobił je dorosły mężczyzna. Dlaczego? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Nie natrafiłem w tych skoroszytach na nic, co mogłoby być istotne. Poza jednym. Zrozumiałem, że wszystkiego nie pamiętam. Że po latach zatarły się różne szczegóły. Przez cały ten czas gdzieś podskórnie pulsowały. Gdzieś pobrzmiwały jak stłumione echo. Nie mogłem się do nich przedrzeć. Słowem, nie miałem nic.

Przyszła kolej na zdjęcia. Na wielu z nich ojciec, raz młodszy i szczupły, innym razem już starszy z zaokrąglonym brzuchem. I ta sama sceneria. Woda, krzeselko wędkarskie, wiadro, wędka. Na jednej fotografii seledynowa skoda. Samochód, którym dwudziestego czwartego września wyjechał w ostatnią podróż. Dziwna sprawa. Auta nigdy nie odnaleziono. Dlatego przyjęto hipotezę, że musiał zdarzyć się nieszczęśliwy wypadek. Zasnął, zjechał z drogi, wpadł do rzeki, chlup. I koniec. Mogło tak być. Tyle że ojciec jeździł ostrożnie. Obsesyjnie ostrożnie i pamiętam, że czasem wstydziłem się za niego. Ten styl jazdy nie składał się w całość z hipotezą wypadku.

Kilka zdjęć, na których jesteśmy we czworo, względnie szczęśliwa rodzina, prawie wzorcowy peerelowski model dwa plus dwa, tyle że jeden z nas powinien być dziewczynką. Kilka fotografii moich i brata z czasów szkolnych. Na jednym mam czerwoną tarczę wzorowego ucznia. Obciach do kwadratu. Na innym matka w eleganckiej sukience, oparta o samochód niczym gwiazda filmowa. Szeroki uśmiech. Tego uśmiechu też nie pamiętałem. Przed oczami miałem udrękę i ból, gdy była już ciężko chora i przegrywała życie. Pięć albo sześć pocztówek. Napisanych przez ojca i wysłanych gdzieś z drogi, gdy zabierał nas ze sobą. Treść dość zdawkowa, suche informacje. „Chłopcy czują się dobrze”.

„Wypoczywamy”. „Ryba bierze jak nigdy, przywieziemy coś ze sobą”. Albo coś takiego: „Ryba psuje się od głowy, ale nasza nie”.

Nic szczególnego.

Przeczytałem dwa artykuły, które napisał do gazet. Wspomnienia z czasów odbudowy Warszawy, w jednym staroświecko wyrażana troska o to, co stanie się z miastem rozbudowującym się na dziko, bez planu, ładu i składu. Niezależne od dydaktycznej manieri, było w tych uwagach sporo racji. Raz powróciła wojna. Tajne komplety, związki młodego chłopaka z Pracownią Architektoniczno-Urbanistyczną na Żoliborzu, gdzie otarł się o elitę architektów, z Syrkusami na czele. Zdanie lub dwa o obronie Rembertowa we wrześniu 1939. Koledzy ojca pisali dzienniki, drukowali wspomnienia. A on nie. Poprzestał na tych dwóch artykułach. Dla tamtego pokolenia spisywanie życia było czymś naturalnym. Ciekawe, dlaczego nic obszerniejszego po sobie nie zostawił.

Odłożyłem wszystko na miejsce. Kartony zalegały w szafie. Na najniższej półce, głęboko, przy samej ścianie. Przeskoczyłem do bardziej nowoczesnego świata. Odpaliłem laptopa i wpisałem nazwisko Bogusława Wasiaka. Dodałem nazwę miejscowości. Niecelny strzał. Nie było kogoś takiego. Wpisałem inny ciąg. Nazwisko Koeniga, Szczytno, Relax i 1989. Kolejne pudło. Artykuły, które go dotyczyły, nie sięgały tak daleko. Nic dziwnego. Niektórzy liczą upływ czasu inaczej. Przed narodzinami Google'a i po jego niepokalanym poczęciu. Clyde miał rację, lata osiemdziesiąte XX wieku to w tej perspektywie głęboka archeologia.

Uznałem, że nic nie wymyślę. Położyłem się na łóżku. Słyszałem śpiew ptaków. Czerń nocy przecięła się ze świtem. Przed oczami wirowała mi twarz dziewczyny ze szkiców ojca i pistolet maszynowy. Zdjęcia, gdy siedzi rozparty z wędką. Spokojny. Zrelaksowany. Ufnie patrzący w obiektyw. A jednak, powtarzałem w myślach, każdy ma jakieś tajemnice. Coś robi w ukryciu przed innymi. Albo...

Uniosłem się na łokciach.

Albo trzeba spojrzeć na wszystko zupełnie inaczej. Sięgnąłem po telefon. I wybrałem numer mojego brata. Szanse, że odbierze w godzinach, gdy zwykli ludzie rozmawiają przez telefon, były prawie żadne. Ale teraz? Teraz mogło być inaczej.

I było.

Odebrał po trzecim sygnale.

– Stało się coś? – usłyszałem lekko zachrypnięty i zaniepokojony głos. O takiej godzinie nie mogłem dzwonić bez powodu.

– Mam pytanie. Skup się. Powiedz, czego nasz ojciec nie robił? – Zaakcentowałem przedostatnie słowo.

– Ty znowu o tym? – Wyczułem rozdrażnienie.

– Znowu.

– Wiesz, która jest godzina? I chcesz, żebym się skupił i odpowiadał na bzdurne pytania?

– To ważne. Czego nie robił? – nalegałem. Znów z naciskiem na „nie”. – Nie pytam o to, co robił, tylko czego nie.

– Jak to: czego nie robił? – Brat zrozumiał, że nie pokona mojego oporu, i poddał się. – Nie palił. Nie przekraczał osiemdziesięciu na godzinę. Nie wiem, czego jeszcze nie robił...

– Spróbuj sobie przypomnieć – poprosiłem.

Ale brat się zawiesił. Uznałem, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Rozłączyłem się. Nic z tego nie będzie. Trzeba szukać inaczej. Tylko jak?

Oddzwonił po pięciu minutach. Ożywiony. Pobudzony. Jak nie on.

– A wiesz? Przypomniałem sobie. Tak jakby jakaś zapadka się we mnie otworzyła. Nasz stary był zapalonym wędkarzem. I raz trułem mu dupę... No bo wędkarz powinien tam łowić... Pamiętasz, zabierał nas w różne miejsca, ale tam nie. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nigdy nie jeździmy na Mazury? Bardzo chciałem je zobaczyć. I ojciec zdenerwował się...

– On się nie denerwował.

– Właśnie. I wiesz, co powiedział? „Są miejsca, gdzie nigdy nie pojedę”. Albo jakoś podobnie. Właściwie... właściwie po co ci to potrzebne?

Nie odpowiedziałem. Rzuciłem pożegnalne „cześć” i rozłączyłem się.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je na oścież. Stałem w progu, przymknąłem oczy i wdychałem rześkie powietrze. Wdech. Wydech.

Są miejsca, gdzie nigdy nie pojedę. Kategorie zdanie. Nawet jeśli wypowiedane w nerwach. Zwłaszcza przez kogoś, kto jest oazą spokoju.

Szczytno. Numer telefonu. Pierwszy wierzchołek trójkąta. Wasiak lub Koenig. Raczej ten drugi. Albo obaj. Wierzchołek drugi. *Są miejsca, gdzie nigdy...* Wierzchołek trzeci.

Ryszard Hłasko. To musiało się jakoś łączyć.

A potem przypomniałem sobie coś, co usłyszałem prawie pół roku temu. Że nic nie powinno się wlec za nami jak cień. Jak nieusuwalna skaza. Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca i wypuściłem je. Zamknąłem drzwi.

Podszedłem do biurka i wyjąłem portfel. Długo grzebałem, zanim odnalazłem wizytówkę. Wybrałem numer.

– Halo? – Aleksandra Hyża powiedziała to głosem cichym i zaspanym.

Nie spiesz się. Gdy szykujesz się do walki, poznaj wroga, jego zwyczaje i teren, gdzie przyjdzie się wam zmierzyć. Tyle mówi teoria. W praktyce okazuje się to znacznie trudniejsze.

Biznesmenów można podzielić na dwie kategorie. Do pierwszej należą ci, dla których salony są królestwem, czują się świetnie obstrzeliwani aparatami fotograficznymi, licytują na aukcjach dzieł sztuki, raz do roku bywają na bardzo ważnym balu charytatywnym. Ludzie ci znają prezydentów i premierów, z niektórymi są po imieniu, nie przegapią ważnej operowej premiery, a w kolorowych magazynach opowiadają o tym, że pasja w życiu jest najważniejsza. Można ujrzyć ich na paralotni, czasem umazanych błotem na quadzie lub w innej ekstremalnej sytuacji. Rodzina to rzecz święta. Z uśmiechniętymi żonami, młodszymi o ćwierć wieku, z dziećmi na Harvardzie i wnukami w ekologicznym przedszkolu. Oczywiście, tym najlepszym.

Druga kategoria unika fleszy, a w tak zwanym wielkim świecie bywa rzadko. Jest niedostępna, otoczona kordonem goryli i murami jak w czasie najstraszliwszej zarazy. Nie udziela wywiadów, ukrywa się w zaciszu swoich twierdz i kieruje zasadą, że im mniej się o nich wie, tym lepiej. Ludzie ci nie afiszują się ze znajomościami, choć takie mają, a ich biogramy są pełne dziur, luk i sprzeczności.

Wystarczyła pobieżna kwerenda, żeby przekonać się, że Henryk Koenig nie pasuje do żadnej z tych kategorii. Właściwie starał się unikać rozgłosu, ale czasami jego krewka natura brała górę i wtedy robiło się o nim głośno. Widocznie ataki agresji i niepokromiona potrzeba wymierzania sprawiedliwości były pokusą, której nie potrafił poskromić. Sam znalazłem tyle co nic. Nadzieję pokładałem w Clydzie, ale przeliczyłem się. Komputerowy geniusz tym razem znalazł zadziwiająco niewiele. Biznesmen pozostawał niezapisaną tablicą.

Udało się jednak ustalić kilka faktów. Jego nazwisko wypłynęło dziewiętnaście lat temu, gdy zmianie ulegały taryfy celne na zboże. Zanim weszły nowe, przez tydzień nie obowiązywało cło na import do Polski. Ci, którzy o tym wiedzieli, przygotowali się wcześniej do wielkiego skoku. Sznury ciężarówek waliły z Kazachstanu, a elewatory

wypełniły się po brzegi poradzieckim zbożem. Tydzień wystarczył, żeby zbić fortunę. I Koenig należał do szczęśliwców potrafiących wykorzystać ten czas. Szemrano gdzieś w sieci, że za tymi transakcjami stały służby specjalne, ale przecież wszędzie roi się od teorii spiskowych. Nic pewnego. Jak w przypadku prawie całej wiedzy o Koenigu. Wiadomo, że działał głównie w rolnictwie, a jego imperium rozrastało się także na inne sektory. Krążyły pogłoski o szemranych interesach, kontaktach z rosyjską mafią, wykorzystywaniu pracowników, które niczym nie różniły się od podobnych opowieści o narodzinach naszej kapitalistycznej dzikości. Dziesięć lat temu postanowił wkroczyć do świata polityki. Całkiem mu odbiło. Na długo przed wyborami kazał tytułować się „senatorem”. Nikt nie miał wątpliwości, że zwycięzca może być tylko jeden. I wtedy wybuchł skandal. Jeden z synów Koeniga, Jerzy, został oskarżony o gwałt. Sprawę zamieciono pod dywan, oskarżenie wycofano, ale smrodek pozostał. Podobno „senator” użył swoich wpływów, żeby wybronić potomka, ale koszty były znaczne. Koenig musiał wycofać swoją kandydaturę, a być może zrozumiał, że życie na widelcu mediów przynosi więcej problemów niż zysków. Tak czy inaczej, zrezygnował. Ponoć oświadczył, że jego noga nie postanie w politycznym bagnie.

O życiu prywatnym Koeniga wiedziałem jeszcze mniej. Znalazłem kilka zdjęć, dowiedziałem się, że drugi z synów, Andrzej, przejął część spółek. Suchy, lakoniczny komunikat, jaki wydaje się, żeby uspokoić nastroje na rynku. Na jednej z fotografii uchwycono Jerzego. Pulchna twarz, małe, ukryte pod zwałami tłuszczu oczka, włosy na jeża, dwa podbródki. Urodą nie powalał. Zdjęcia Andrzeja Koeniga nigdzie nie było. Wzmianek o żonie niedoszłego senatora albo o innej kobiecie w jego życiu nigdzie nie znalazłem.

Koenig nie udzielał wywiadów, ale raz, najwyraźniej w przypiływie słabości, zrobił wyjątek. Clyde natrafił na rozmowę zrobioną dla jakiegoś magazynu dla miłośników jazdy konnej, a tam biznesmen zwierzał się ze swojej miłości do tych zwierząt. Dał się nawet podpuścić dziennikarzowi i opowiedział o swoim ulubionym filmie. Takim westernie, tyle że meksykańskim. Z tequilą, za to bez koni. Mocna rzecz. Tego samego wieczoru obejrzałem *Dajcie mi głowę Alfredo Garcii*. Koenig miał rację. Mocne. Zastanawiałem się tylko, z którym z bohaterów się utożsamiał.

Reszta to pogłoski. Biznesmen mieszkał na Mazurach. Sielskość, spokój. Cisza w domu i zagrodzie. Dyskrecja w interesach. Potrafił być brutalny, ale na co dzień ukrywał insygnia

władzy. Samochód, którym jeździł, nie licował z jego pozycją. Dom podobno też nie. Ot, taka fanaberia bogacza. Nie otaczała go też armia goryli w paramilitarnych ciuchach.

Henryk Koenig nie robił nic szczególnego, ale czuł się nietykalny. Żył na prawach, które sam ustanowił. I dlatego nie pasował do schematów.

Tyle wiedziałem. I nic więcej.

Google Earth też niewiele pomógł. Henryk Koenig miał kilka domów, ale na stałe mieszkał w Starych Kiejkutach. W rozmowie, tej z magazynu dla koniarzy, zdradzał, że osiadł tam na dobre i w zasadzie się stamtąd nie rusza. „Jak ktoś coś chce, to przyjeżdża do mnie”. Jego posiadłość sąsiadowała z jednostką wojskową numer 2669 lub – jeśli kto woli – szkołą wywiadu albo „szkołą szpiegów”. I takie towarzystwo wystarczało, żeby zamiast zdjęcia z satelity ukazywała się rozmazana figura geometryczna. Posiadłość Koeniga była rozległa, stykała się z dwoma jeziorami i to decydowało o jej wyjątkowości.

To wszystko.

Trzeba przyznać, że Koenig nieźle to sobie wymyślił. Chyba że o miejscu osiedlenia zdecydował przypadek albo względy rodzinne. Tego nie byłem pewien. Wiedziałem natomiast, że przez wiele lat szkoła wywiadu była dla mieszkańców Kiejkut przekleństwem. Obowiązywał zakaz meldunkowy, nie można było rozbudowywać domów. W normalnych warunkach położenie nad dwoma jeziorami, Wałpuszem i Starokiejkuckim, stanowiłoby atrakcję turystyczną, ale nie w tym wypadku. Inne wsie rozkwitały i bogaciły się, tu panował duch wzmożonej czujności, a czasami szpiegowskiej paranoi. Ostatnio wprawdzie trochę się zmieniło, ale jeśli ktoś na Mazurach chciał chronić prywatność i pozostawać w cieniu, powinien zdecydować się właśnie na coś takiego. Stare Kiejkuty na mapie turystycznej wciąż były skansenem.

Spiesz się powoli. Nie kłam, jeśli nie musisz. Dbaj o wiarygodność.

Zastanawiałem się, jak to rozegrać. Na fałszywych papierach czy pod swoim nazwiskiem. Zdecydowałem się na to drugie, choć wiązało się z ryzykiem. Prędzej lub później spotkam Koeniga. A wtedy się przedstawię. Marcin Hłasko, syn Ryszarda. Tak, tego samego. Będę patrzył, jaki wywołam efekt. Koenig może zareagować w bardzo różny sposób. Także gwałtowny. Jeśli miał coś wspólnego z moim ojcem. I dopisuje mu pamięć. Znów nic pewnego. Tak naprawdę ta hipoteza, ślad odkryty na plakacie z *Casablancą*, to nic. Szukanie jeszcze jednego, może ostatniego już światelka, które rozjaśni przeszłość. Nie wiem dlaczego, przypominałem sobie sprawę sprzed dwóch lat, tę, przy której pomagał mi

Clyde. Wtedy zły człowiek, jeden ze złych ludzi, nazywał się Król. Wówczas Król, teraz Koenig. Ciężka nade mną jakaś klątwa czy to tylko nic nieznacząca zbieżność nazwisk?

Tak czy inaczej, musiałem stworzyć sobie legendę. Dobrą nawijkę. Jeśli Koenig, którykolwiek z Koenigów, miał związek z zaginięciem dziewczyny, musiałem być ostrożny. Nie mogę wystąpić jako detektyw. Dziennikarz? Wiedziałem, co Koenig potrafi zrobić z takimi. Na przedstawicieli czwartej władzy reagował wymiotnie i w sumie nie bardzo mnie to dziwiło. Fotoreporter szukający niezapomnianych mazurskich pejzaży? Śmiechu warte. Poza tym nie umiem robić zdjęć. Przejrzałem dziesiątki portali. Tajemnice Warmii i Mazur. Opowieści tysiąca jezior, najpiękniejsze w Polsce. I tak dalej. Poszukiwacz skarbów? Mazury były zawsze dobrym miejscem dla takich freaków. A w tym sezonie, gdy na Dolnym Śląsku gruchnęła pogłoska o odnalezieniu Złotego Pociągu i wzmogła falę poszukiwań wszystkiego, co kiedyś zaginęło naprawdę lub tylko w imaginacji, poszukiwacze ruszyli także do krainy jezior. Wedle tych rojeń mazurska ziemia wciąż kryje złote ruble generała Samsonowa. Po dzisiejszym kursie wartych prawie dwieście milionów złotych. Nie wyobrażałem sobie siebie z wykrywaczem metalu. Niewygodnie, zawracanie dupy i strata czasu.

Trop z Samsonowem miał jednak sens. Był całkiem wiarygodny. Zaraz. Raz jeszcze przeszukałem sieć. Jeśli nie musisz, nie kłam. Wystąpię pod własnym nazwiskiem. *Noblesse oblige*. Wiedziałem, kim będę. Aż dziw, że do tej pory na to nie wpadłem.

Pozostawała sprawa Magdaleny Wolskiej. Już pierwszy telefon, którym zbudziłem mecenas Hyżę, a przede wszystkim jej głos, zaspany, ale pełen nadziei, nie pozostawiał wątpliwości. Przez pół roku, jakie minęło od naszej rozmowy, sprawa nie posunęła się naprzód. Tak, owszem, ktoś jeszcze pojechał do Kiejkut. Kolejny śmiałek. „Tak, w istocie – przyznała niechętnie – on też wrócił z niczym”. Zapytała tylko o jedno: „Dlaczego teraz pan to bierze?”. Odpowiedziałem, że dla pieniędzy. Nie byłem pewien, czy mi uwierzyła.

Intensywnie zabrałem się do roboty. Zrobiłem wszystko, co się robi w takich wypadkach. Przede wszystkim sprawdza się innych i patrzy, czy czegoś nie przeoczyli. Szuka nowych śladów. Sprawdziłem billingi. W ostatnim tygodniu przed zniknięciem Magdalena Wolska prowadziła intensywne rozmowy z jednym numerem. Telefon na kartę. Nie do namierzenia. Aktywność na forach społecznościowych umiarkowana. Nic szczególnego. Same bzdety, pod którymi nic się nie kryło. Skontaktowałem się z jej ostatnim chłopakiem. Rozstali się pół roku wcześniej. Był czysty. Nie miałem wątpliwości.

Przeboleł stratę i znalazł sobie inną przyjaciółkę. Obejrzałem wszystkie dostępne zdjęcia. Z imprez, z klubów i domówek. Dwa zrobione na plaży. Oliwkowa cera, rozłożyste biodra, zgrabna sylwetka, przeciwsłoneczne okulary. Na drugim roześmiana twarz, pełna piegów wzmaganych przez słońce. Sprawdziłem, co się dało. Ślad urywał się pewnego letniego dnia. W Starych Kiejkutach lub w okolicy. A Koenig lub ktoś z jego otoczenia miał z tym związek lub nie.

Mecenas Hyża zaakceptowała wszystkie moje warunki. „To ja będę dzwonił, pani nie”. Co zamierzam zrobić? „Nie mogę powiedzieć. Musi mi pani zaufać”. Zażądałem samochodu. Najlepiej wypożyczonego. „Terenówka lub coś podobnego”. Zgodziła się bez szemrania. Kilka dni później czekała na mnie czarna kia sportage. Zbyt pretensjonalna, za bardzo metroseksualna i niezbyt odpowiednia do moich zamiarów i wizerunku. Suzuki samurai byłby w sam raz. Zdziwiła się. A następnego dnia czekało na mnie bordowe auto.

– Skoro mowa o samochodzie, będzie jeszcze dodatkowy wydatek – powiedziałem.

– Dodatkowy wydatek? – Zachnęła się. – Jaki?

– Będę musiał zmodyfikować siedzenie. Trochę uszkodzę tapicerkę. Ale nie bardzo.

Tylko chwilę zajęło jej podjęcie decyzji. Nie pytała o szczegóły.

Pozostało jeszcze jedno. Spotkać się z Agnieszką Wrzesień. Koleżanką Magdaleny Wolskiej. Tą, której jako jedynej powiedziała o Koenigu.

„Muszę zjeść jakąś chińszczyznę, żeby przełamać placek po węgiersku, który jadłem, żeby zagryźć kawę po irlandzku”. „On już nie chce być seryjnym stażystą i wiecznym praktykantem. Wiecie, co robi? Zbiera gazetki z Lidla i innych Żabek i poluje na promocje. A potem te towary opyla po wyższej cenie, ale wciąż na tyle atrakcyjnej, że ludzie się łapią. Ciekawe, ile w ten sposób pociągnie”.

Takie rozmowy w tle. Siedziałem z Agnieszką Wrzesień przed knajpą na Wspólnej. Ona z piwem. Ja też z piwem, które trzymałem w dłoni. Ona z psem na smyczy. Nazywał się Kapsel. Był wieczór, a od nagrzanego wciąż asfaltu biło ciepło.

– Widzi pan, my byliśmy jak te dwie z *Podwójnego życia Weroniki*. Zna pan ten film?

– Niestety. Niestety tak.

– Tylko to się odbywało z takim przesunięciem o rok. – Zignorowała moją uwagę. – Gdy ona kończyła liceum, ja kończyłam drugą klasę, poszła na anglistykę, ja później też. Rzuciła chłopaka i ja, chociaż akurat tu nie minął rok. Zrobiła sobie tatuaż, ja też taki chciałam sobie zrobić. Chciała jechać do tej komuny artystycznej, ja może się wybiorę w tym roku, ciekawa jestem...

– Czym się pani zajmuje? Na studiach?

– Gdy dziewczyna wraca ze zmywaka w Anglii, rosą jej ambicje. – Uśmiechnęła się.

Była filigranową blondynką. Kompaktową i bardzo ładną. Gdy się uśmiechała, zyskiwała jeszcze bardziej.

– Piszę o Oscarze Pistoriusie – powiedziała z dumą.

– Zdaje się, że on teraz ma spore kłopoty. Jak się z zimną krwią strzela do narzeczonej, to nawet tytanowe protezy nie pomagają. Zamierza mu pani wysłać swoją pracę do więzienia?

– Wcale nie wiadomo, czy zrobił to z zimną krwią – zaoponowała. – Piszę o Pistorusie, bo interesuje mnie posthumanizm. I nieludzkie podmioty. – Z dumą wypięła pierś. W tej posthumanistycznej pozie podobała mi się coraz bardziej.

– O czym jeszcze pani pisze?

Opowiedziała. O holokaucie zwierząt, ich wyzwalaniu, ubojniach, operacjach plastycznych, modzie na amputacje kończyn, cyborgizacji życia, śmierci człowieka i biosztuce, o śmierci autora i transzmysłowości, śmierci podmiotu. O Félixie Guattarim i Deleuzie. Od tego wszystkiego może pomieszać się w głowie.

– A jeśli chodzi o ludzkie podmioty... Ludzi po prostu... żywych lub... – Urwałem.

Spojrzała na mnie tak, jakbym brutalnie wyrwał ją z letargu. Chyba dotarło do niej, o co mi chodziło, bo zacisnęła usta, podbródek zaczął jej drżeć, a w oczach pojawiły się łzy.

– Wróćmy jeszcze do Magdy, dobrze? – powiedziałem łagodnie. – Więc rozmawiacie w sierpniu przez telefon. I?

– I była niesłychanie ożywiona. To było równo w połowie miesiąca. Powiedziała, że jedzie do Smółki. To ten rzeźbiarz, co ma komunę w Kiejkutach. „Ale to nieważne”, dodała. „Poznałam kogoś zajebistego”.

– I wtedy pada nazwisko...

– Nie. Najpierw nie chciała mi powiedzieć. Wie pan... tajemnica, takie droczenie się... A potem mówi, że nazywa się Koenig.

Obracałem w dłoni butelkę.

– Tyle że to się nie trzyma kupy. Wie pani dlaczego? Bo ten Koenig ma siedemdziesiąt lat. Stary dziad. Ma dwóch synów. Obaj muszą być koło czterdziestki. Jednego widziałem na zdjęciu. Wyglądał dość... posthumanistycznie.

– Mówię panu! Wiem, co słyszałam.

– Podobno trzeszczało. Rwało rozmowę...

– No tak – potwierdziła. – Tam był kłopot z zasięgiem.

– Więc to może nie był Koenig?

– Koenig.

– Może chodziło o kogoś od Koeniga? Imię. Wymieniła imię?

– Nie. Miała mi wszystko opowiedzieć. Namawiała na przyjazd...

Broda znów zaczęła jej się trząść. Pies spojrzał pytająco. Wiedziałem, że nic więcej z Agnieszki Wrzesień nie wydobędę.

– A teraz chce pani tam jechać... Do Kiejkut. Po co?

Milczała przez moment. Gwar rozmów nie ustawał. W głośnikach wystawionych na zewnątrz pomrukiwały basy. Usłyszeliśmy dźwięk tłuczonego szkła, Kapsel nastawił uszu.

– Czasem myślę sobie, że gdy tam pojedę... Co panu jest?

Od rana miałem jakieś uczulenie, które teraz stało się nieznośne. Zdjąłem zegarek i drapałem się w nadgarstek.

Parsknęła śmiechem.

– Uczulenie. Coś robię niestosownego? – zapytałem.

– Przypomniałam sobie o czymś. Takie skojarzenie. Nieważne. Nie ma to żadnego związku z Magdą. – Spoważniała. – Myślę sobie, że kiedy... kiedy tam pojadę, to ona wróci.

Patrzyliśmy na siebie. Amplituda emocji, które przeżywała, wykończyłaby znacznie silniejszych od niej. Pogłaskałem ją po policzku. Nie umiałem powiedzieć jej prawdy. Nie mogłem jej powiedzieć, że Magda Wolska nigdy nie wróci. Wymieniliśmy się numerami. „Na wszelki wypadek, gdyby pani coś się jeszcze przypomniało”.

– Poza tym zawsze możemy pójść na spacer – dodałem. – Psa już pani ma, ale może mogę zostać pani dronem?

Nie zostałem jednak dronem. A gdy wróciłem, w domku na Jazdowie paliło się światło. Stałem przed furtką i odwlekałem moment wejścia. Jediną osobą, która poza mną miała klucze do domu, był mój brat. Czekala mnie przeprawa.

Siedział przy stole, przeglądał bruliony naszego ojca i zignorował mnie, gdy wszedłem. Żadnego „cześć”, wyciągnięcia ręki, nic z tych rzeczy. Także się nie spieszyłem. Zdjąłem buty, wyjąłem z lodówki piwo i usiadłem naprzeciw niego. Milczeliśmy.

– Długo jeszcze? – przemówił w końcu.

Patrzyłem na niego. Mój młodszy brat był nawet w formie. Nie przypominał rozedrganej harfy emocji, którą musiałem kilka razy wyciszać. Bywało, że w szpitalach zamkniętych. Dziś jednak nie dźwigał na barkach smutku całego świata. Chyba nawet trochę przytył.

– Dość – powiedział stanowczo, gdy milczenie się przedłużało. Uniósł głowę znad brulionów i patrzył na mnie badawczo. – Odbyliśmy kiedyś naradę rodzinną, pamiętasz? Ustaliliśmy, że nie będziemy w tym więcej grzebać. Ani ja, ani ty.

W naszym wypadku mówienie o naradzie rodzinnej było pewną przesadą. To tak, jakby powiedzieć, że w urzędzie skarbowym pracują najzabawniejsi ludzie na świecie.

– Kiedyś rozmawialiśmy o tym, fakt.

Raz jeszcze, punkt po punkcie, powiedziałem mu, co wiem. O Szczytnie, Wasiaku i Koenigu oraz tancbudzie Relax. Siedział skupiony, z ramionami wysuniętymi do przodu i splecionymi dłońmi.

– To wszystko? – zapytał, gdy skończyłem.

– Aha.

– Nie. – Popatrzył mi w oczy. – Nie kupuję tego. Masz obsesję. Przydałby ci się...

– Jakiś terapeuta? – Nie wytrzymałem. – Może swojego mi polecisz?

Skulił się, a ja w jednej chwili zrozumiałem, że przesadziłem. Wyprowadziłem cios, który był zupełnie niepotrzebny. Wymamrotałem przeprosiny.

– Nie chcę, żebyś do tego wracał – powiedział cicho. – Ojca nam to nie zwróci. A ty...

– O mnie możesz być spokojny. – Starłem się panować nad sobą.

– Nic nie rozumiesz. – Pokręcił głową. – Widziałem w życiu straszne rzeczy. Nie chcę się z tobą licytować, ale naprawdę... Jak coś takiego widzisz, już nigdy nie będziesz sobą. Nie obronisz się. I boję się, żebyś nie przekroczył granicy, zza której nie wrócisz. Za którą staniesz się...

– Posłuchaj – przerwałem mu. – Przeglądałeś te bruliony, prawda? Widziałeś ten rysunek? On się powtarza... Niedokończony most, który wisi w powietrzu. Otóż ja chciałem narysować ten most do końca. – Uderzyłem w podniosłe tony. – Rozumiesz? Nie robię tego dla ojca. Robię to dla siebie. Pogodziłem się z jego śmiercią, ale nie z samym sobą. Jestem pieprzonym egoistą.

– Pierwszy raz mogę się dziś z tobą zgodzić.

Chciałem coś powiedzieć, ale się powstrzymałem. Przypomniałem sobie o jego dziewczynie. Miłości jego życia. Pojechała na narty i wbiła się prosto w drzewo. Mój brat jeździł na jej grób. Kilka razy, gdy zniknął, odnajdywałem go na cmentarzu w Starej Wsi niedaleko Łodzi. Składamy się z takich niezłałatwionych spraw. Budujemy z nich nasz szkielet. Nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy.

– Czyli nie przekonam cię, żebyś odpuścił? – Wstał.

– To jest ostatnia szansa. Ostatnie wywołanie przed odlotem. Tak to widzę. Jeśli ten ślad zaprowadzi donikąd, kolejnego nie będzie. Ale nie darowałbym sobie, gdybym teraz nie spróbował. Ostatni raz. Sam mówiłeś mi, co powiedział stary. Że nigdy nie pojedzie na Mazury. Ale po latach... To wszystko ma sens. – Też podniosłem się z miejsca, a on ruszył do drzwi.

– Mówisz, że gdzie ten Koenig mieszka? W Starych Kiejkutach?

Przytaknąłem.

– Czy potrzebujesz, żebym... – zawahał się – żebym...

– Nawet o tym nie myśl. – Podniosłem głos. – Pojadę sam. Pamiętaj, który z nas jest starszy. I kto tu rządzi. Poza tym fajnie, że się o mnie martwisz.

Próbowałem się uśmiechnąć i nadać głosowi ton bez troski, ale chyba średnio mi to wyszło.

Gdy zamknął za sobą drzwi, odetchnąłem z ulgą. Stałem oparty o framugę i wpatrywałem się w odłóżającą farbę. Potem padłem na fotel, a butelkę, jeszcze zimną, przyłożyłem do czoła.

Kończył się sierpień i w zasadzie byłem gotów. Upały miały trwać w najlepsze, ale kupiłem kilka flanelowych koszul w kratę. Zapuściłem brodę. Założyłem okulary zerówki w hipsterskich oprawkach. Spakowałem dwie książki, laptop i stos notatek. A także glocka siedemnastkę, nowy nabytek, który miał zastąpić wysłużonego walthera. Dwa pełne magazynki oraz parę innych drobiazgów, które niekoniecznie stanowią przybornik pisarza.

Marcin Hłasko wyruszał do Starych Kiejkut, żeby napisać powieść o ostatniej nocy generała Samsonowa.

Jechali we dwóch. Jak zwykle w takich sytuacjach. Nie byli w najlepszych humorach. Obaj mieli ciężki dzień, a tu jeszcze telefon i dodatkowe zlecenie po południu. Biały opel insignia podskoczył na wybojach i starszy z nich, kolejny raz, uderzył głową w podsufitkę. Zaklął i popatrzył na kierowcę, który uśmiechnął się przepaszająco.

– Zwolnij. Nie musimy się spieszyć. Wyobraź sobie, że wieziemy kryształ.

– Kryształ. A to dobre, człowieku. – Na twarzy kierowcy pojawił się kolejny grymas.

Pasażer, kawał chłopca, próbował osunąć się w fotelu, ale przeszkadzały mu w tym zbyt długie nogi. Zrezygnowany, mruknął coś pod nosem. Pogładził się po łysej czaszce, równie wyboistej jak szutrowa droga i pokrytej bliznami. Potarł dłonią brodę typu łopata, prostokątną, rozłożystą, nieokreślonego koloru, na której osiadły resztki kebabu. Spojrzał na kierowcę, który prowadził samochód jedną ręką, drugą miał obandażowaną. Wielkolud budził respekt wyglądem wojownika MMA, jego kolega, który nie mógł się pochwalić tak imponującymi gabarytami, nadrabiał zawsze szybkością i sprytem. Ufna, okrągła twarz dziecka, okulary w czerwonych oprawkach. Klon Jurka Owsiaaka. I podobnie skory do pomocy.

Gdy była robota, działali zdecydowanie. Szybko, skutecznie, bez fazy negocjacji i brania jeńców. Podczas akcji wskoczyliby za siebie w ogień. I obaj nie mieli dziś farta. Opowiedzieli sobie o tym po drodze, jak zwykle przy takich okazjach. Wiedzieli, co mają zrobić, nie było pośpiechu, robota po godzinach, nie pali się. I tamten też, byli pewni, nie ucieknie. Niczego się nawet nie spodziewa. Zatrzymali się na kebab. Olbrzym pracował jako starszy preparator w prosektorium.

– Więc wiesz, jak to jest, człowieku – tak zwracali się do siebie: nie po imieniu, nie na „ty”, ale „człowieku” – jak się pracuje w prowincjonalnej trupiarni. Nasza zimna doktor na zwolnieniu, no to leśnego dziadka, emerytowanego pułkownika sprowadzili. Trup po wypadku samochodowym, trochę zlewny, a ten, dawaj, bada mu mosznę. Mówi, że zawsze sprawdza, czy nie działały osoby trzecie i czy klient nie dostał kopa w jaja. Ale najlepsze, człowieku, to było przed nami. Z jakąś taką archaiczną piłą do rozcinania czaszki przyjechał i że on tylko tak robi. I że nie wierzy w te wszystkie nowoczesne cuda techniki.

A tu zwała się rodzina zmarłego, razem z nimi szef zakładu pogrzebowego, Człapa, znasz go może, z synem, żeby popatrzył, co i jak, bo kiedyś przecież przejmie interes i musi się wprawiać. Staruszek piłuje, nie idzie, dyszy, mówi do Człapy: „Pomóż pan. Ja od takiej niefachowej roboty umyłam ręce”. Człapa trzyma trupa za głowę, mówi do młodego: „Synek, pomóż, bo stół cały jeździ”, a gówniarz mdleje. Jaja, człowieku. Jak berety.

Kierowca poprawił okulary.

– Dobrze, ale nie przebijesz mnie, człowieku. Zaczęło się od tego, że wezwał mnie szef magazynu. Pojechałem, nakarmiłem mu psy, umyłem samochód, jego starej przyniosłem zakupy z bazarku, a potem do firmy i tam niespodzianka. Kontener, człowieku, trzynaście ton do zdjęcia ręcznie, nas trzech, żar z nieba się leje. I na koniec jedna paka przygniata mi rękę. Dobrze, że kości całe. Mówię ci, człowieku, można odwalić kitę.

– Nie martw się. Czarnuch ma gorzej.

Obaj pomyśleli o trzecim mężczyźnie. Fakt. Trafiały się Czarnuchowi szczęśliwsze chwile. Bo dziś był jego sądny dzień.

Potem pojechali wykonać zlecenie.

Samochód podskoczył kolejny raz. Zadzwoił telefon. Kierowca sięgnął odruchowo w stronę schowka, spojrzął na obandażowaną rękę i kiwnął na wielkoluda. Wojownik MMA odebrał. Usłyszał znajomy głos. Wyprostował się w fotelu, jakby chciał przyjąć pozycję na baczność.

– Tak – raportował. – Był w domu. Głupek. Niczego się nie spodziewał. Tak... Wszystko zgodnie z planem.

Odłożył komórkę. Dojeżdżali na miejsce, właściwie jeszcze dwie minuty, trzy, ale naszło go, żeby włączyć radio. Fale nakładały się na siebie, chwilę szumiały, a potem rozległ się czysty męski głos.

„A bosman tylko zapiął płaszcz i zaklął...”.

Popatrzyli na siebie. Wielkolud bez słowa zmienił stację. On i kierowca byli przyrodni braćmi. Różnie się między nimi układało, ale w jednej sprawie byli zgodni. Ktoś mówił im, że wokalista, który właśnie śpiewał, to bardzo daleki ich krewny, siódma woda po kisielu. Obaj mieli to gdzieś. I nie wierzyli w to. Tak czy inaczej, nazwisko było powodem wielu żartów.

Bracia Klenczonowie wyjątkowo nie lubili Czerwonych Gitar, Trzech Koron i swojego sławnego imiennika.

Zobaczył, jak nadjeżdżają. Biały opel insignia falował na nierównej drodze. Dwóch. Tak jak powinno być. Obserwował ich przez lornetkę. Ultralekka, a zarazem niezniszczalna obudowa, ręce się nie męczą i dobrze, bo mają się jeszcze przydać. Funkcja noktowizora też będzie potrzebna, chociaż nie dziś.

Zanim tu przyjechał, wszystko zaplanował. Dowiedział się tyle, ile mógł. Prześwielił życie Koeniga i poznał jego słabe punkty. Synowie? Nie, niekoniecznie. Konie? To prędzej. Punkt, w który miał uderzyć, był zupełnie gdzie indziej. To jednak nastąpi za jakiś czas. To, co wydarzy się dzisiaj, będzie jedynie przygrywką.

Słyszał, co zdarzyło się w weekend w klubie. I wiedział, że Koenig dowie się o tym. A gdy się dowie, nie zostawi tak tego. Nikt nie będzie wycierał sobie gęby jego nazwiskiem. Wizerunek to ważna sprawa. Dla niektórych najważniejsza. A jeśli tak, to do akcji powinno wkroczyć tych dwóch. I właśnie to się stało. Widział ich już wyraźnie w szklach lornetki. Łysego olbrzyma z rozłożystą brodą i kierowcę.

Była jedyną drogą, którą mogli jechać. Z Elganowa po wybojach do rozwidlenia dróg na Jęcznik albo Łysą Górę jest pięć kilometrów. I właśnie na tym przecięciu się zatrzymał. Wcześniej wjechał w głąb lasu i za zagajnikiem brzoź i olch znalazł odpowiednie miejsce. Duża prostokątna polana, osłonięta z każdej strony, była tym, czego szukał. Ostatni rzut oka na drogę. Długi odcinek prostej i zakręt, kiedy muszą zwolnić. Kilkaset metrów dalej zaczynały się serpentyny, ale tam już nie dojadą. O tej godzinie ruch na prowincjonalnej drodze był niewielki. Niemal żaden. Nikt nie powinien przeszkodzić. W lasach nie było grzybów, zresztą to nie godzina dla grzybiarzy. Opel miał do pokonania wzniesienie, gdy zjechał w dół, na chwilę znikł mu z oczu. Mężczyzna podszedł do samochodu, włożył lornetkę do schowka, sprawdził, czy w kieszeniach bojówek jest to, co powinno być, usiadł za kierownicą i odpalił silnik.

Wjechał na drogę i stanął niedbale, ukosem. Zatarasował przejazd i wysiadł z wozu.

Czarnuch miał gorzej. Co prawda, to prawda. A było tak. Sobotni wieczór. Klub w Szczytnie. Areszt, nowe miejsce w mieście, znajdował się przy Celi. Oba kluby sąsiadowały ze szkołą policji i dlatego były idealnym miejscem, żeby rozprowadzać w nich towar. W dawnych czasach królowała amfa, tego lata był run na dopalacze.

Piotr Czarnecki, zwany Czarnuchem, dwudziestoczteroletni taksówkarz, przesadził z „mocarzem”. Albo innym gównem rozprowadzanym w mieście. Pół biedy, że wlaź pod stół, zaczął ogryzać jego nogę i wyć jak pies. Gorzej, że zachciało mu się szarpać z jakimś

przyjeźdnym. Zanim ochrona, wyjątkowo opieszala tamtego wieczoru, ruszyła do akcji, pogryzł dziewczynę, która odmówiła mu tańca. To wszystko jakoś by jeszcze uszło Czarnuchowi. Przy wyjściu dostałby po ryju, kopniaka na bruk i po krzyku. Prawdziwe problemy zaczęły się, gdy wyprowadzany przez bramkarzy, zaczął powoływać się na swoje znajomości. Krzyczeć, że nie jest byle kim. Że pracuje dla Koeniga. I że nikt go nie ruszy. A szef zrobi ze wszystkimi porządek. Wystrzela, a resztę żydowskiej hołoty popędzi do gazu. Tymi wrzaskami, które wszyscy słyszeli, przypieczętował swój los.

Koenig dowiedział się o zajściu kilka godzin później. Uznał, że środek nocy to nie jest najwłaściwszy czas na godzinę wychowawczą. W niedzielę telefony braci Klenczonów milczały. Mógł oczywiście wziąć innych, ale ci dwaj byli sprawdzeni. I najlepsi. Nie było pośpiechu, ale też nie można odwlekać takich spraw. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie panuje nad sytuacją. Że żelazna ręka wiotczeje. A jedna myśl może zrodzić kolejną. Oraz rozmaite pokusy. Nie. Nie należy pozwalać ludziom na myślenie.

W poniedziałek złapał tego mniejszego. Tego, co wygląda jak Owskiak. I wydał dyspozycje. Czarnucha przywiązać do drzewa i wybatożyć. Pięćdziesiąt batów. Żeby zapamiętał tę lekcję. A potem połamać mu nogi. Żeby za szybko nie wrócił do żadnego ze szczycieńskich klubów.

– Myślę, człowieku, że... – zaczął wielkolud i urwał.

W poprzek drogi na wprost nich stała toyota. A przed nią człowiek energicznie machający rękami.

– No, człowieku, co tu się wydarzyło? – Większy z Klenczonów spoglądał to na samochód, to na mężczyznę.

Mężczyzna był znacznie niższy od niego, miał hiszpańską bródkę. Spodnie moro, koszula z krótkimi rękawami. A i jeszcze ten szczegół.

– Co jest, ojczulku? – powtórzył pytanie.

Nieznajomy rozglądał się bezradnie. Klenczon, wysiadając z samochodu, palcami dotknął koloratki.

– Sarna. Sarna mi wbiegła pod koła. O, tam. – Wskazał ręką za toyotę. – Gdzieś tam leży. A wóz mam uszkodzony. Moja komórka nie łapie tu zasięgu i nie wezwę pomocy. Moglibyście mnie wziąć na hol i podrzucić do miasta?

Wielkolud przeczesał palcami brodę.

– Co to, to nie. W innym kierunku jedziemy. Ale zepchniemy samochód na pobocze.

Obszedł maskę opla. Oparł się o dach od strony kierowcy, spojrzął w kierunku księdza, pochylił się i tłumaczył coś kierowcy.

Mężczyzna w okularach z czerwonymi oprawkami wciąż siedział za kierownicą. Przyglądał się księdzu. Potem coś odpowiedział.

– Dobra, ojczulku – wytarł dłonie w spodnie – przepchniemy wozik, a mój brat zamówi pomoc drogową. U niego w komórce jest zasięg. Pokręć kierownicą w prawo, a ja popchnę z tyłu i szczęść Boże. Co w ogóle ojczulka sprowadziło do tej dziczy?

Ksiądz wprawnym ruchem odpiął guziki przy prawej kieszeni bojówek. To samo zrobił z guzikami po lewej stronie.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu. Kierowca zbliżał się do niego żwawym krokiem. Szybko zlustrował pobocze i przód toyoty.

– Zaraz, proszę księdza. Gdzie leży ta sarenka, bo nie widzę? I tego wgniecenia – zaczął oglądać karoserię – też nie widzę...

Wielkolud podszedł do nich i wyprostował się. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Dostrzegł tylko błysk. Ksiądz zamachnął się prawą ręką. A potem coś metalowego, coś, co przypominało hak w nietypowym, wymyślnym kształcie, ze straszliwą siłą wbiło się w szyję Klenczona i rozerwało aortę. W ułamku sekundy prostokątna broda zlepiała się krwią. Wybałuszył oczy i zacharczał. Uderzył łusą głową w maskę toyoty. Chwilę później drgał w konwulsjach na szutrowej drodze.

Drugi Klenczon był szybki. Ale nie aż tak. Zacisnął lewą pięść, tę zdrową, i wysunął nogę do przodu, ale nie zdążył zrobić nic więcej. Poczował ból w całym ciele, paralizujący, od stóp do głowy. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Upadł obok przyrodniego brata.

Gdy się ocknął, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz mężczyzny w koloratce.

Kris jest indonezyjskim nożem, a jego twórcy są prawdziwymi mistrzami i potrafią nadać broni najbardziej wymyślny kształt. Kris to także dowód na istnienie diabła oraz na to, że rezyduje w południowo-wschodniej Azji. Moc i spustoszenia, jakie robi cios zadany krisem, są trudne do opisanego, a skuteczność gwarantowana. Musiał przyznać, że paralizator też dawał niezłego kopa. Używał go zresztą nie pierwszy raz. Nie zaryzykowałby nic nowego do takiej roboty. Mężczyzna w koloratce starannie wytarł maskę toyoty. Obyło się bez wgniecia. Stopą zagarnął trochę piachu i przysypał ślady krwi na drodze. Tak na wszelki wypadek. Podszedł do opla. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Podjechał nim kilka metrów. Podeszedł do swojego wozu i z bagażnika wyjął fartuch i rękawiczki. Nie miał zamiaru się brudzić.

Z wielkoludem był kłopot. Z bezwładnymi cielskami zawsze tak jest. Otworzył tylne drzwi insigni, a potem zaciągnął pod nie zwłoki. Gdy uporał się z większym z Klenczonów, zajął się tym drugim. Sprawdził puls. Związał ręce i nogi w nadgarstkach. Zakleił usta. A potem położył nieprzytomnego na zwłokach brata. Wjechał w leśną przecinkę. Następnie przestawił toyotę tak, żeby nie rzucała się w oczy. Raz jeszcze się przesiadł i dojechał oplem do polany.

Usta mężczyzny w koloratce poruszyły się. Klenczon zamrugął. Usta powtórzyły pytanie. Dopiero teraz usłyszał, o co pyta ksiądz.

– Wiesz, dlaczego wybrałem tamtego? Dlaczego tamtego, a nie ciebie?

Powoli dochodził do siebie. Skronie pulsowały, a przed oczami migotały ciemne punkciki. Jeszcze jedno mrugnięcie. Ogarniał, gdzie jest. Byli w lesie, na środku polany. Przemknęło mu przez głowę, że to śmieszne, bo sami mieli tu przyjechać. Chyba dokładnie w to samo miejsce. Miał skrępowane ręce i nogi. Siedział oparty o przód opla, a mężczyzna w koloratce kuczał obok niego.

– Powiem ci. Był większy, a zawsze trzeba zacząć od większego. Poza tym masz zabandażowaną rękę. I chyba jesteś bardziej kumaty. A ja cenię ludzi spostrzegawczych.

Ksiądz pochylił się nad jego twarzą. Klenczon poczuł zapach miętowej gumy.

– A teraz opowiesz mi o Koenigu, zgoda?

Klenczon się poruszył.

– Ale co? O Koenigu? O którym? Co z moim bratem? Co z nim jest?

Ten w koloratce zignorował pytanie.

– Porozmawiajmy o Koenigu? Pytasz: o którym? W sumie racja. Ja pytam, ty odpowiadasz. Jak na spowiedzi. Byłeś kiedyś u spowiedzi?

Pochylił się jeszcze bliżej. Nieruchome brązowe oczy wpatrywały się w młodszego z braci. Mówił cicho.

– Opowiesz o Koenigu – powtórzył. – I o tym, co się stało z dziewczyną.

Robiło się ciemno, gdy skończył. Nie był zadowolony. Spodziewał się wyciągnąć znacznie więcej. Trudno. Zdjął pokrwawiony fartuch. Ułożył dwa ciała na sobie i uznał, że

nawet zabawnie to wygląda. Drobne zawiniątko, w serwetce po hot dogu ze stacji benzynowej, wsunął do kieszeni.

Wtedy usłyszał stukot. Coś z tyłu. Stukot powtórzył się.

Mężczyzna w koloratce nasłuchiwał. Coś dudniło z tyłu.

A potem otworzył bagażnik. Zmarszczył brwi.

Wpatrywały się w niego oczy chłopaka. Był młodszy od Klenczonów. Usta zaklejone taśmą, podrapana twarz, siniec pod okiem. Ręce przytwierdzone do tułowia. Obok głowy leżał bat. Spojrzał na nogi obute w białe adidasy. Chyba zabrakło taśmy, związali sznurem, zrobili to dość niechlujnie i chłopak się w końcu wyplątał. Z pewnością bracia Klenczonowie nie byli najwyższej klasy fachowcami, ale tacy do lokalnych porachunków na ogół nie są potrzebni.

Zerwał mu taśmę z ust. Chłopak syknął.

– Dobra, uwolnij mnie. – Głos mu drżał. – Wszystko mi zdrętwiało.

A więc mieli wywieźć go do lasu. I tu dać nauczkę. Człowiek w koloratce myślał, że Klenczonowie zaoszczędzili sobie trudu i załatwili sprawę na miejscu. Nie przewidział tego. Dodatkowy gość, dodatkowy kłopot. Na jego twarzy znów pojawił się grymas niezadowolenia.

– Na zewnątrz są psy, guślarze, rozpustnicy, zabójcy, bałwochwalczy.

– O czym ty mówisz? Co to za pierdoły? – Czarnuch zacharczał.

– Żadne pierdoły. Apokalipsa, synu.

– Rozwiąż mnie, no już. Wystarczająco mnie nastraszyliście. To z tym batem naprawdę dobre. A że połamiecie mi nogi w lesie, jeszcze lepsze. – Mówił coraz głośniej. – Już nigdy nic głupiego nie zrobię, obiecuję! Odjechało mi po tym „mocarzu”.

– Co wiesz o Koenigu i o dziewczynie? – Ten w koloratce uznał, że warto spróbować.

– O jakiej dziewczynie? Pan Koenig? W ogóle go nie znam. Wtedy w klubie zgrywałem się tylko... – Chłopak próbował unieść głowę i wyrzeć z bagażnika. – Gdzie są ci dwaj? Gdzie Klenczony Pokemony? A ty w ogóle kim jesteś?

Mężczyzna poprawił koloratkę i uśmiechnął się łagodnie.

– Jak to kim? Nie poznajesz? Tata Kazika.

Trzask blachy i w bagażniku zapadła ciemność. Chwilę później Czarnuch poczuł swąd benzyny. Usłyszał muzykę dobiegającą z samochodowego radia. Ktoś włączył ją na full. Czarnuch kopał w pokrywę bagażnika i wrzeszczał, ale nikt nie przyszedł mu z pomocą.

Mężczyzna patrzył, jak języki ognia liżą blachę samochodu. Dobierają się do wysłużonej tapicerki, która już nikomu się nie przyda. Ogień sięgnął dwóch ciał na tylnym siedzeniu. Syki i skwierczenia miały swój własny rytm. Odgłosy z bagażnika ustały.

W lesie wszystko wyschło na wiór, ale polanę od linii konarów dzieliła duża odległość. Drzewa nie powinny zająć się ogniem. Byłoby szkoda. A poza tym zbyt szybko zrobiłoby się zamieszanie.

Raz jeszcze popatrzył na swoje dzieło.

Obrócił się na pięcie i wolno ruszył w kierunku toyoty. Niczym turysta podczas wakacyjnego, niespiesznego spaceru.

Szczęść Boże.

Część druga

Boom, boom, boom, sing la, la, la.

Shaka laka, bla, bla, bla.

Każdy może być twórcą muzyki dance. Ja też. W ciągu ostatniej godziny opanowałem zasób najważniejszych słów. Teraz musiałem skołować jeszcze kawałek plaży albo klub z palmami w tle. Oraz kilka apetycznych dziewczyn rytmicznie trzęsących pośladkami.

Boom, boom, boom.

Do Starych Kiejkut dotarłem koło południa bez większych przygód. Drugiego września, w środę, gdy przetoczył się już wakacyjny Armagedon, droga krajowa pięćdziesiąt siedem, a od Szczytna pięćdziesiąt osiem, była niemal pusta. Dotarłem do pensjonatu Mazuria, zamieniłem kilka zdań z właścicielem, wypakowałem część rzeczy, zrobiłem obchód jeziora, chłonałem mazurską idyllę i wsłuchiwałem się w szum lasu. A potem poczułem głód. Przed wyjazdem nic nie zjadłem. Przypomniałem sobie mijany zajazd, gdzieś na wysokości Lemana, kuszący świeżymi rybami. Wsiadłem w terenówkę i po dziesięciu minutach byłem na miejscu.

Sing la, la, la.

Siedzieliśmy we troje. Młoda barmanka, mężczyzna przy kontuarze i ja. Dziewczyna wpatrywała się w telewizor podwieszony nad barem, facet spoglądał to na nią, to na talerz ze skrzydełkami kurczaka, a ja z porcją okońków usiadłem przy oknie i podziwiałem pusty parking. Zapach spalonego oleju i nudy unosił się nad naszą trójką.

Raz jeszcze układałem sobie w głowie plan działania. Zastanawiałem się, od czego zacząć, gdy zaaklimatyzuję się i rozpoznam teren. W sytuacji takiej jak ta pośpiech nie był wskazany. Nie należało wykonywać gwałtownych ruchów.

Stacja 4FUN.TV kontynuowała taneczną młóckę. W barze było dość ciemno. Mroczno. Albo przytulnie. Według uznania. Dziewczyna wstała ze stołka i podeszła do stojącego w rogu akwarium. Dopiero teraz je zauważyłem. Na szkle znajdowało się niewielkich rozmiarów urządzenie, które aktywowała pilotem. I w ułamku sekundy po suficie zaczęły krążyć czerwone i zielone kropki. Punkciki układały się w gwiazdozbiór Kasjopei,

rozwiazdy, warkocze i okręgi. Wirowały w rytm muzyki. Cmoknąłem z wrażenia, barmanka zignorowała mój zachwyty.

Pora była się zbierać. Wstałem i popchnąłem dwa skrzypiące skrzydła drzwi, które prowadziły do toalety.

A gdy wróciłem, sytuacja się zmieniła.

Przy ladzie stały dwie dziewczyny. Blondynka miała na sobie szorty, takie z tych jeszcze krótszych, i czarną bluzeczkę na ramiączkach. Jej koleżanka z kasztanowymi włosami splecionymi w warkocz była w spranych džinsach i T-shircie. Obie całkiem apetyczne. Obie na szyjach miały czarne bandanki. Obie zamówiły po piwie. I obie trzymały motocyklowe kaski. Podeszły do ławy stojącej obok mojej i usiadły. Pomyślałem, że jednak odpocznę chwilę po obiedzie. I że pośpiech jest bratem gastrologa.

Kasjoepa szalała, na ekranie nic się nie zmieniło. Murzyn w bluzie futbolisty wykrzykiwał coś rytmicznie, otoczony przez cztery pszenno-mleczne blondynki. Dziewczyny były w uniformach stewardes. Myślałem, że zaproszą wokalistę do kabiny pilota, ale one zamknęły się z nim w hotelowej windzie.

– Wyłącz to – powiedział samotnik przy kontuarze. – On zaraz zacznie je grzmocić. Nie mogę na to patrzeć. To jakiś murzyński rasizm jest.

Coś w tym było.

Barmanka posłusznie wyłączyła telewizor, a punkciki przestały wirować.

Wyjrzałem przez okno. Dwaj motocykliści stali przy swoich maszynach, ten z brodą i w okularach wskazywał na rurę wydechową i żywo perorował. Jeden z motocykli wyglądał na triumpha bonneville, a drugi był równie stylowym i odpicowanym chopperem.

– Czy twój brat – zagadnęła blondynka – ciągle prowadzi się z tą hipopotamicą?

– Z tą samą. Mój brat nie rzuci jej, dopóki nie przygrucha sobie innej samicy.

– Sprytne.

– Sprytne jest to, że on zawsze mówi do nich tak samo. Żabeczko, koteczku, króliczku... Rzygać się chce. A co? – Blondynka mimowolnie spojrzała przez okno. – Szukasz chłopaka? Z Perunem ci się nie układa?

Westchnienie.

– Sama wiesz, jak to jest po czterech latach, nie? Na początku pełen romantyzm, pieprzyliśmy się na okrągło. Miałam cipkę – zniżyła głos – jak... jak... – Szukała odpowiedniego porównania. – Jak szaszłyk. A teraz?

Może zamierzała jeszcze podzielić się jakąś refleksją, ale skrzypnęły drzwi i do baru weszli motocykliści.

Obaj solidnie zbudowani, koło czterdziestki, w czarnych skórzanych spodniach. Jeden z brodą zaplecioną w dwa warkoczyki i w okularach, w skórzanej kurtce bez rękawów i czarnym T-shircie z czerwonym napisem: Perun. Aha. To ten romantyk. Drugi w podobnej skórze przewieszanej przez ramię. T-shirt z orłem, który w szponach trzyma pioruny. Słowem, też mnóstwo liryzmu. U obu łapska pokryte tatuażami. Dziara obok dziary.

– Ty, Bizon, co one tak cicho siedzą? – Brodacz popatrzył w stronę ławy. – A zawsze takie rozmowne są.

Zamówił dwa piwa. Nie wiem, czy zrobił to umyślnie, czy był to przypadek, ale odwracając się w stronę sali, potracił siedzącego mężczyznę. Facet nie drgnął. Czekał, aż piana wsiąknie w kołnierz dżinsowej kurtki. Perun cicho zaklął i odwrócił się w kierunku barmanki.

– Dolej mi, dziecino, do pełna. Widziałaś, co się stało. Jaszczur – wskazał głową mężczyznę – wylał mi trochę.

Barmanka spojrzała na milczącego faceta, a trwało to trochę zbyt długo, niż powinno, i sięgnęła po podstawiony kufel.

Jaszczur. Już wcześniej to zauważyłem. Mężczyzna przy barze miał czerwone plamy na szyi, a na twarzy łuszczyła mu się skóra. Kąciki ust miał popękane. Około czterdziestki, drobny, z przeredzonymi jasnymi włosami. Przy motocyklicie cherlak. Mógł mieć atopowe zapalenie skóry w ostrym stadium albo jakieś podobne cholerstwo.

Perun podszedł do siedzącej trójki, a potem zaczęła się zwykła rozmowa. O swoich maszynach, trasie, jaką mają dziś przejechać, trochę przekomarzania, o zmęczeniu i bólu głowy, szczypta męskiego manifestu siły i kobiecych fochów.

Powinienem jechać, ale czekałem. Z trzech powodów. O których nie wiedzieli motocykliści. Wszystkie miały związek z Jaszczurem. Pierwszy był taki, że barmanka bez szemrania wyłączyła telewizor, gdy jej nakazał. Drugi, że zanim dołała Perunowi piwa, popatrzyła na Jaszczura, jakby oczekiwała jego zgody. Trzeci powód był najważniejszy. Mężczyzna z chorobą skóry sięgnął po telefon i odbył krótką rozmowę.

Więc siedziałem wsparty na ręce i gapiłem się w okno.

Dojrzałem ich wcześniej niż dwaj motocykliści zajęci konwersacją.

– I zbieram te grzybki, bo po tych jest naprawdę niezły trip, a tu facet z widłami podbiega i wrzeszczy: „Panie, a co mi pan tu pole przebierasz?”.

Bizon się roześmiał. A potem poderwał się z ławy.

– Ty, Piorun – wskazał za okno – a co te wieśniaki robią przy naszych maszynach?

Przy motocyklach stało czterech mężczyzn. W sumie przyjechali w pięciu. Przynajmniej tylu zauważyłem. Dwa samochody. Stary wojskowy gazik bez dachu i poobijany ford. Jeden z chłopaków bawił się manetką gazu, inny wsiadł na choppera.

– Kurwa – mruknął Bizon i ruszył do drzwi.

Perun chciał pójść jego śladem, ale nie zdążył.

Odrzwia huknęły z impetem. A potem zobaczyłem, jak ciało Bizona wykonuje trzymetrowy lot i z głuchym łoskotem wbija się w deski. Jaszczur odwrócił się i wstał. Czterech wielkoludów, z których dwóch wyglądało, jakby urwali się z castingu na Frankensteina, ruszyło w naszą stronę. Jeden wskazał na mnie palcem, ale Jaszczur pokręcił głową. Frankenstein chwycił Peruna za brodę i szarpnął. A gdy rockers zgiął się w pół, wymierzył mu kopniaka. Kolanem. I udem. Nie było to udo kubańskiej dziewczyny, na którym zwija się cygara. To raczej coś w rodzaju przęsła mostu. Motocyklista zacharczał i runął na podłogę.

Boom, boom, boom.

Drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich mężczyzna znacznie starszy od pozostałych. Szczupły, z gęstą siwą czupryną. W oficerkach i we flanelowej koszuli w kratę z podwiniętymi rękawami. Wiedziałem, kto to jest. Na jednym ze zdjęć ubrany był tak samo. Za nim wbiegł pies. Średnich rozmiarów popielaty kundelek z wywalonym jęzorem. Podbiegł do Bizona, obwąchał go i przyjaźnie zamerdał.

Najstarszy międlął w ustach wykałaczkę. Wyglądał jak ktoś, kogo oderwano od obiadu. I może rzeczywiście tak było. Omiótł salę spojrzeniem jak wódz lustrujący pole bitwy, a potem podszedł do Jaszczura. Rozmawiali o czymś cicho. Nikt im nie przeszkadzał. W powietrzu unosiła się aura szacunku, panowała cisza. Nie licząc charkotu i jęków.

Obaj, stary i Jaszczur, podeszli do naszych ław. Moją obecność zignorowali i nie miałem im tego za złe.

– Dzień dobry. – Starszy zwrócił się do dziewczyn, które siedziały jak skamieniałe.

Milczały. Bo niby co miałyby zrobić?

– Nie nauczyłyście swoich facetów – wykonał ruch głową – dobrych manier. Obrazili mojego syna.

Motocykliści zostali postawieni do pionu. Każdego trzymało dwóch osiłków. Jaszczur podszedł do tej o kasztanowych włosach. Chwycił ją za warkocz. Dziewczyna krzyknęła, a jej broda uniosła się, odsłaniając szczupłą szyję.

– Jak myślicie – zwrócił się do rockersów – co mogę teraz zrobić z waszymi laskami?
– Powiódł palcem po szyi. – Co Jaszczur może z nimi zrobić?

Przeciągnął językiem po jej skórze. Dziewczyna wrzasnęła. Motocykliści próbowali się wyrwać, ale byli bez szans. Kolejne dwa ciosy skutecznie ostudziły ich zapał. Obaj ciężko dyszeli i chyba mieli dość.

Starszy mężczyzna w oficerkach podszedł do Peruna.

– Zwykle zadaję w takiej sytuacji trzy pytania. – Patrzył na sponiewieranego rockersa.
– Pierwsze: co zrobiłeś dziś dobrego dla świata? Drugie: co zrobiłeś dziś dobrego dla naszej ojczyzny? Trzecie: co zrobiłeś dziś dobrego dla siebie?

– Pojechało cię. – Perun jeszcze walczył.

– To nie jest dobra odpowiedź. Na żadne z moich pytań.

Siwowłosey mężczyzna chwilę patrzył na motocyklistę, a potem podszedł do baru. Wrócił z kawałkiem nieogryzionego skrzydełka.

– Puśćcie go – rozkazał osiłkom.

Rzucił kość w stronę drzwi wyjściowych.

– Aport.

Perun stał w miejscu.

– Nie rozumiałeś. To nie było do Edgara. – Starszy mężczyzna pogładził psa. – To było do ciebie. Już. Na czworaka i zapierdalaj po kość, no już! Aport – powtórzył.

Perun pokręcił głową. Dwie pary rąk chwyciły go znowu i zapięły stalowy uścisk.

– Wyprowadzić ich – zakomenderował ten starszy. – Dziewczyny też. Niech popatrzą. I zaczekajcie na mnie.

A potem podszedł do ławy, przy której siedziałem.

– Jesteś z nimi?

Pokręciłem głową.

– Dziennikarz?

Ponownie zaprzeczyłem.

– To co tu jeszcze robisz?

Uniosłem głowę.

– Czekam na tę celebrytkę. Tę, co jej włosy wpadają do pasztetu. – Wciągnął powietrze i wypuścił je. Czekał. – Kręcicie tu następny odcinek *Kuchennych rewolucji*. Tak to wygląda. Prawda?

Na jego twarzy drgnął mięsień.

– Nie. To idzie na żywo.

Odwróciłem się twarzą w stronę okna. Patrzyłem na dwa motocykle i dwa samochody. Słyszałem ciężki oddech starego mężczyzny.

– Nie ruszaj się stąd – zdecydował. Wycelował wykałaczką w moją stronę. – I możesz popatrzeć. Za darmo.

Wyszedł. Dziewczyna zza baru gdzieś znikła. Byłem sam. A potem za oknem, w moim polu widzenia, zobaczyłem Peruna. Z rękami skrępowanymi w nadgarstkach liną. Drugi koniec liny przymocowano do haka samochodu. Jaszczur wsiadł do gazika i odpalił silnik. Samochód ruszył, lina drgnęła, usłyszałem krzyk, sznur napiął się i ciało motocyklisty zaczęło swą podróż. W powietrze wzbiły się tumany kurzu, ktoś się roześmiał. Wychyliłem się, ale i tak po kilku sekundach straciłem ich z oczu. Pół minuty później zobaczyłem ich znów. Silnik samochodu terkotał, a ciało bezwładnie podskakiwało na bitej drodze. Samochód zawrócił i zrobił kolejną rundkę. I jeszcze jedną. I następną. Podobno podróże kształcą.

Wreszcie uznali, że starczy. Zatrzymali się na wysokości mojego okna. Perunowi uwolniono ręce. Motocyklista leżał bez ruchu. Spodnie były poszarpane, T-shirt rozdarty na pół, odsłonięty wydatny brzuch. Czarna od ziemi twarz, zlepiona broda, cała w pyłe. Zakrwawione czoło, sińce i otarcia. Myślałem, że podobną przejażdżkę zafundują drugiemu, ale odpuścili.

Do zajazdu ktoś wszedł. Nie widziałem go wcześniej. Czyli przyjechali w sześciu. Przez cały czas, gdy ważyły się losy motocyklistów, musiał być na zewnątrz. Był inaczej ubrany niż frankensteini. Niebieska marynarka, okulary w pozłacanych oprawkach, które teraz poprawił, aby mi się przyjrzeć. Obrzucił mnie spojrzeniem. Zawołał dziewczynę, ale ta nie przyszła, więc wlaź za bar. Rozglądał się za czymś, wreszcie znalazł plastikowy kosz na śmieci i nalał do niego wody. Widziałem, jak podchodzi do Peruna, wylewa mu zawartość na twarz, papierek po marsie i tacka po frytkach lądują na twarzy motocyklisty, a

ten powolnym, niezdarnym ruchem próbuje się otrzeć. Miał uszkodzone nie tylko nadgarstki, ale też barki. Zobaczyłem, że podbiega do niego Bizon, człowiek, który wygrał tego dnia na loterii, i próbuje go podnieść. Perun wstał. Widać było, że wciąż jest oszołomiony. Chwiał się jak znokautowany bokser. Z powrotem klapnął na ziemię.

Ten w poślaczanych oprawkach wszedł jeszcze raz. Odstawił kubek i podszedł do mnie.

– Nagrywałeś to?

Pokręciłem głową.

– Na pewno? Każdy by nagrał. A szefowi by się to bardzo nie spodobało.

Sięgnąłem po telefon.

– Masz, sprawdź. – Podałem mu.

Patrzył na wyciągniętą rękę z iPhone'em.

– I zdążyłeś już o wszystkim zapomnieć?

– Nie miałem o czym. Po prostu nic nie widziałem.

Raz jeszcze otaksował mnie spojrzeniem. A potem odwrócił się i wyszedł.

Patrzyłem, jak odjeżdżają, ale nie pomachałem im chusteczką. Najstarszy, ten elegancki w okularach, i Jaszczur wojskowym gazikiem, a z nimi popielaty kundel. Pozostali fordem. Pomachałem im.

Uznałem, że nic tu po mnie. Podszedłem do baru i zostawiłem napiwek. Należało się. Za moc dodatkowych wrażeń. I nie tylko. Na ladzie leżał pilot do telewizora. Nacisnąłem przycisk.

Boom, boom, boom.

Shaka laka.

Dziewczęce pośladki w teledysku i kropki na suficie znów zaczęły wirować w tym samym rytmie.

Wyszedłem przed zajazd. W powietrzu leniwie wirowały drobiny pyłu, a słońce prażyło. Dzień jak dzień. Bizon próbował doprowadzić kumpla do stanu używalności. Dziewczyny były w szoku. Patrzyły na mnie szklistymi oczami, ale na pewno mnie nie widziały. Nikt nie odezwał się słowem.

Wsiadłem do samochodu i sięgnąłem po telefon. Dotknąłem ekranu. Cichy terkot, gazik, lina, motocyklista. Film nagrał się w znośnej jakości. Jaszczur za kierownicą. Kilka sekund, gdy widać starego.

Napiwek się należał. Gdyby dziewczyna nie uciekła na zaplecze, nie mógłbym tego nagrać.

Nie miałem pojęcia, kim jest mężczyzna w okularach. Ale wiedziałem, kim są dwaj pozostali. Ten z atopowym zapaleniem skóry i dowódca w oficerkach. Jaszczur i szef. Ojciec i syn.

Nie musieli zostawiać wizytówki.

Właśnie poznałem część klanu Koenigów.

Pensjonat Mazuria był jednym z ośrodków wypoczynkowych, które ostatnio wybudowano w Starych Kiejkutach. Masywny, rozłożysty dwupiętrowy dom z podcieniami nie był może architektonicznym cudem, ale ci, którzy tu przyjeżdżali, niczego takiego nie oczekiwali. Latem dziesięć pokoi było nieustannie zajętych, a w końcówce wakacyjnego sezonu ruch wciąż nie malał. Trzech wędkarzy, w tym jeden, który wprowadził się tego samego dnia co ja, dwóch poszukiwaczy skarbów i parka młodych ludzi zapatrzonych raczej w siebie niż w toń jeziora. Wszystkich poznałem w ciągu pierwszych dwóch godzin, jedni stacjonowali nad wodą, inni przy grillu. Zapraszali mnie do wspólnego biesiadowania, a jeden z wędkarzy wymownie wskazał baterię butelek na zbitym z drewna stoliku. Grzecznie podziękowałem i wybrałem samotność. Jako jedyny miałem pokój na samej górze, na drugim piętrze, w narożnej części budynku. „Bo widzi pan – powiedziałem do siwego, tyczkowatego mężczyzny, właściciela pensjonatu – jestem pisarzem, chciałbym tu popracować i muszę mieć trochę samotności i spokoju”. Okno wychodziło na Wałpusz i mógłbym obserwować spokojną taflę jeziora w blasku czerwieni. Jeśli tylko bym chciał. Mazuria znajdowała się niecały kilometr od posiadłości Koeniga, była więc dobrym punktem wypadowym. Samochód zaparkowałem tak, by nikt mnie nie zastawił. Aby mieć możliwość ruchu i ewentualnie szybką drogę ewakuacji, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Tak na wszelki wypadek. Sto pięćdziesiąt metrów szutru, skręt w lewo do drogi krajowej, a potem dwanaście kilometrów krętą drogą do Szczytna.

Po zmroku wybrałem się na spacer. Dotarłem do zakrętu, przy którym stał nieczynny bar. Poszedłem dalej i minąłem zamknięty sklep. Stare Kiejkuty nie różniły się niczym od wielu podobnych miejscowości, w których dzień kończy się, nim na dobre się zacznie. Cisza, pustka, nie ma wałęsających się ludzi, jak po ataku zombie. Ciemne okiennice, a od święta poświata telewizyjnego ekranu. Cofnąłem się do zakrętu i skręciłem w zwirową drogę. Włączyłem latarkę w telefonie. Po lewej stronie wyrastały iglaki, po prawej ciągnął się drewniany płot. Cztery minuty marszu i zobaczyłem tabliczkę. Czarne, proste litery na białym tle. „Teren prywatny”. Zgasilem światło. Piętnaście metrów dalej stał ceglany mur. A raczej murek. Metr, może metr dwadzieścia. Nikt nie miałby problemu, żeby go

sforsować. Ale nie musiałyby nawet tego robić. Na wprost tabliczki znajdowała się w nim dziura jak po wyrwanym zębie. Tyle że zmieściłyby się w niej ze dwa czołgi. Kamienny mur sprawiał wrażenie niedokończonego i surowego. Prowizorycznego, tak jakby ktoś zaczął budowę, ale się rozmyślił. Ta niechlujność i pewna nawet kapryśność budowli mogła zmylić przybysza. Ale ja wiedziałem, że jest zupełnie inaczej, a wszystko wyjaśniał napis na tabliczce. Nie było tu zdobionych bram, kutych ręcznie przęsł, budki ochroniarza, skomplikowanego systemu zabezpieczeń i monitoringu najnowszej generacji. Taki wypas widziałem nie raz, nie dwa. Są jednak ludzie, których chroni samo nazwisko. I to wystarcza. „Teren prywatny”. Wkraczasz na ziemię Koeniga, ziemię między dwoma jeziorami, Wałpuszem i Starokiejkuckim. Albo o tym wszystkim wiesz, albo nie. Ale liczą się z konsekwencjami. Stare kamienie mogły świadczyć o tym, że mur postawiono lata temu. Być może ta posiadłość należała do Koenigów od dziesięcioleci, zanim ktoś pomyślał o budowie szkoły wywiadu. I nawet szpiedzy nie wysiudali go z tej ziemi. Postąłem jeszcze chwilę przy tabliczce, pomedytowałem i rozejrzałem się trochę, a potem zawróciłem.

Doszedłem do linii drzew i wtedy usłyszałem trzask. Tak jakby pod czyjąś stopą niedaleko pękła gałąź. Wpatrywałem się w ciemność przede mną i nasłuchiwałem. Panowała cisza, a mimo to czułem, że nie jestem sam. Że jakaś para oczu się we mnie wpatruje.

– Mikołaj? – wymówiłem imię mojego brata.

Tego brakowało, żeby przyjechał tu za mną. Prędzej lub później by pękł, a ja zamieniłbym się w niańkę.

Cisza. Nikt nie odpowiedział.

Zrobiłem kilka kroków w stronę drzew, ale nie wywołało to żadnej reakcji. W oddali odezwał się ptak, i to wszystko.

Westchnąłem. Najwyraźniej puszczały mi nerwy. I to pierwszego dnia.

Ogarnij się, Hłasko, pomyślałem.

A potem szybkim krokiem udałem się do Mazurii i zadzwoniłem do brata. Włączyła się poczta głosowa.

Do jeziora schodziło się przez teren posesji. Dwieście, trzysta metrów między drzewkami owocowymi, obok starego drewnianego domu, zamienionego w składzik najmniej potrzebnych rzeczy, i koło dwóch stołów oraz ławek wystawionych dla amatorów grillowania. Zrobiło się ciemno, gdy zszedłem nad jezioro.

Spotkanie z Koenigami dawało do myślenia. To nie byli faceci, którzy bawili się w subtelności. Motocyklistom nie ruszyłem z pomocą, bo po pierwsze, w starciu z kilkoma osiłkami nie miałbym szans. Nie jestem ani Jackiem Reacherem, ani Johnem Wayne'em. Nie nokautuję ludzi w barach i tylko dwa razy w życiu skakałem z pociągu. Gdy brawura poniosła szesnastolatka i wiele lat później, kiedy ścigałem człowieka. Po drugie, kiepsko prowadzi się podwójne śledztwo ze szpitalnego łóżka. Po trzecie, rockersi sami byli sobie winni. Po czwarte wreszcie, wiedziałem, że jeszcze się spotkamy. Wieści o tym, że pojawił się kolejny facet, który o niego rozpytuje, dotrą do niego szybciej niż list nadany priorytetem. Tego byłem pewien. A wtedy Koenig postanowi uciąć sobie ze mną pogawędkę i poznać natręta pytającego o stare czasy. Chyba że w ogóle nie zaszczyci mnie rozmową i zwyczajnie naśle na mnie swych karków, żeby spuścili mi łomot. Zanim dojdzie do spotkania pierwszego stopnia, muszę zająć się jeszcze sprawą zaginionej dziewczyny. Miałem, niestety, dwie sprawy. O jedną za dużo.

Nad jeziorem sprawdziłem zasięg w telefonie. Nie był duży. Raz jeszcze obejrzałem filmik, na którym klan Koenigów przeczołgał miłośników ryczących maszyn. Wysłałem go. Do siebie oraz do Clyde'a. W drugim wypadku z kilkudzaniowym wyjaśnieniem. Potem usunąłem film z telefonu. Raz jeszcze sprawdziłem, czy wykasowałem wszystkie wiadomości. Tak na wypadek, gdyby komórka wpadła w niepowołane ręce.

Siedziałem oparty o pień drzewa i patrzyłem na kołyszący się przy brzegu tatarak. Wysyp gwiazd zapowiadał kolejny bezchmurny dzień. Brakowało mi tylko pod głową kowbojskiego siodła i pary złotych coltów. Skrzywiłem się. Miałem gdzieś zew przygody. Nie chciało mi się żeglować po zakazanych oceanach. I zdecydowanie nie czułem się w swoim żywiole. Wystarczyło kilka godzin, bym zatęsknił za zgiełkiem miasta. Odróżniałem od biedy kilka gatunków drzew, z ptakami było jeszcze gorzej, a z rybami wręcz fatalnie.

Wolałem miejską szkołę przetrwania wśród korporacyjnych garsonek i wyniosłych garniturowców, bo to było naturalne środowisko dla kogoś takiego jak ja. I teraz, w innym świecie, czułem się jak organ odrzucony po przeszczepie. Niespodziewanie sobie o czymś przypominałem. O pewnym drzewie. Które od niepamiętnych czasów rośnie przy placu Na Rozdrożu, tuż przy przystanku autobusowym w stronę centrum. A ja, po tych wszystkich latach spędzonych na Jazdowie, zobaczyłem je dopiero niedawno. Pewna dziewczyna, która bardzo mi się podobała, ale bez należytej wzajemności, wytłumaczyła, że to wierzba szczepiona gruszą. Albo odwrotnie. Nawet nie zapamiętałem. Podobno takie można oglądać gdzieś pod Łodzią, w Rogowie. Mistrzem dendrologii to ja nie jestem.

Ciekawe, jak w tym miejscu czuł się mój ojciec. Zakładając, że w ogóle tu przyjechał w osiemdziesiątym dziewiątym.

Gałazka spadła mi na twarz. Wzdrygnąłem się. Nie. Nie przygnał mnie tu zew traperskiej przygody. Po prostu desperacko uznałem, że jest szansa na wyjaśnienie sprawy sprzed lat. I że następnej okazji nie będzie.

Usłyszałem szelest, a potem czyjeś głosy. Dwóch mężczyzn wychyńło z zarośli po prawej stronie, gdzie nieco dalej znajdował się hangar z kajakami i łódkami. Zaskrzypiały deski. Weszli na pomost i usiedli.

– Mówię ci, powinniśmy szukać tam raz jeszcze. Przy kościele.

– Już tam szukaliśmy.

Dwa głosy. Jeden rozemocjonowany, drugi bliski rezygnacji. Zniechęcony i przygaszony. Widziałem ich już dzisiaj. Dwaj poszukiwacze skarbów. Dwaj z armii podobnych zapaleńców szukających na Mazurach swojego Graala.

– Nie. – Ten pełen zapachu przeciągnął sylabę. – Szukaliśmy przy dębie. Jak tamtych czterech pojebów. A tam przy kościele dopiero ledwośmy ugryźli. Mówię ci, tam mało kto szuka.

Wiedziałem, o czym mówią. Tę lekcję przed wyjazdem odrobiłem dobrze. Historia generała Samsonowa stanowiła szkielet powieści, nad którą miałem przecież pracować w mazurskiej głuszy. Dzieje skarbu znałem na pamięć. Niedobitki armii „Narew”, zdziesiątkowanej w sierpniu 1914 roku, kluczą lasami i docierają do Wielbarka. Generał wiezie ze sobą kasę pułkową. Żołd dla wojska, sto kilogramów rubli w złocie. A także złote i srebrne ordery. Pierścień okrążenia zacieśnia się. Samsonow z najbardziej zaufanymi ludźmi, z Kozakami dońskimi, mija Małgę, wieś, po której zostały tylko

fundamenty i wieża kościelna, i zatrzymuje się przy leśniczówce Karolinka. Trzydziestego sierpnia pierwszego roku wojny, którą potem nazwano Wielką, robotnicy leśni znajdują ciało generała. Legenda głosi, że strzelił sobie w usta, żeby uniknąć niewoli. Inni mówią, że serce schorowanego dowódcy nie wytrzymało. Wszyscy są jednak pewni, że przed śmiercią, pewnie ostatniej nocy, generał ukrył kasę, której szuka się do dziś jak Złotego Pociągu. Poszukiwacze przekopali teren wokół leśniczówki. Koniec sierpnia i początek września to czas, gdy emocje sięgają zenitu. Wtedy właśnie cień konarów wiekowego dębu ma wskazać miejsce, gdzie leży złoto. Inni szukają w Małdze, gdzie dawno temu miejscowy kowal znalazł złote ruble. A są też tacy, którzy z wykrywaczami metalu krążą po najmniej prawdopodobnych miejscach. Ot, takie tam historie.

– Popatrz na to tak. – Rozentuzjasmowany nie dawał za wygraną. – Generał wie, że zbliża się koniec. A jak trwoga, to do Boga. Wszystko jedno jakiego. No więc gdzie szukałby ratunku i schronienia dla kasy? W kościele. W koś-cie-le.

– I z-z-zgi-niemy pod tymi ruinami, bracie. – Ten drugi się jękał. – Bo tam l-l-lada moment wszystko się zawali. Pojechało cię, Docent. Po, po, po... – Nie dokończył słowa.

Zakręciło mnie w nosie i kichnąłem. Mężczyźni drgnęli i spojrzeli w moim kierunku. Mimo ciemności dostrzegli mnie. Skulili się i zaczęli szeptać niczym spiskowcy. A potem wstali i ruszyli w stronę pensjonatu. Przeszli kilkadziesiąt kroków i obejrzeni się, jakby chcieli sprawdzić, czy ich śledzę. Mania prześladowcza w tym środowisku jest normą. W moim, zdaje się, jest podobnie.

Odczekałem kilka minut i uznałem, że nic tu po mnie. Po drugiej stronie jeziora pohukiwała sowa. Albo inny ptak. W każdym razie nie były to odgłosy klubowej imprezy.

Przy wejściu do pensjonatu stał Jacek Daniel, tyczkowany właściciel Mazurii. Ogrodowe lampy rzucały światło na jego pomarszczoną twarz. W prawej ręce trzymał papierosa. W lewej butelkę z piwem. Najwyraźniej tak spędzał noc po ciężkim dniu.

– Jak się panu u nas podoba? – zagaił.

– Cudnie jest – szepnąłem. – Tak... – Szukałem właściwego słowa, kręcąc esy-floresy dłonią. – Tak magicznie.

– Może przynajmniej na to ma pan ochotę? – Wskazał na butelkę z piwem.

Pomyślałem, że czemu nie.

Odwrócił się, wszedł do budynku i zaraz wrócił, niosąc szklanekę.

– Specjal. Ale my tu mówimy „czarna śmierć”.

– To wesoło macie. „Czarna śmierć”, szpiedzy, CIA do spółki z Samsonowem. Właśnie podsłuchałem tajną naradę poszukiwaczy skarbów.

– Aha, więc poznał pan już tych dwóch? Docenta i jego kolegę? Trzeci rok tu przyjeżdżają. W ubiegłym byli we trzech, ale jeden gdzieś przepadł. Zapłacił i wyjechał.

Wypiłem łyk „czarnej śmierci”. Nawet dawała radę.

– Brakuje tylko wigwamu dla Winnetou – rzuciłem.

Machnął ręką.

– Panie, to nic. Co jakiś czas ktoś dziwny tu się trafia. Wiosną artysta taki przyjechał. Performer. – Wydał usta. – A odpicowany jak z żurnala. Chciał robić akcję z podtapianiem taliba.

– Co chciał? – Uniosłem brwi.

– Topić chciał. Że to niby taka współczesna marzanna.

– I jak to się skończyło?

– Jak to jak? – Otarł usta dłonią. – Chłopy widłami pogonili. Naprawdę mamy dość tej reklamy ze strony CIA.

Dopalił papierosa.

– Pan się Hłasko nazywa? Dobrze zapamiętałem?

Kiwnąłem głową.

– Z rodziny tego pisarza?

– Nie. Ale postaram się nie być gorszy.

Poruszył ustami, jakby przeżuwał jakąś myśl.

– Jutro przed południem będzie tu mój ojciec. Dziewięćdziesiąt lat, a trzyma się lepiej ode mnie. Też był leśnikiem. Jeszcze pięć lat temu jeździł jeepem i polował. Powinien pan go poznać. Może opowie panu kilka historii.

Odpowiedziałem, że będę zobowiązany.

Dopiłem piwo, pożegnaliśmy się i poszedłem do pokoju. Na pierwszym piętrze grał telewizor. Chyba był jakiś mecz.

Położyłem się na łóżku i sięgnąłem po książkę. Tak jakbym chciał odegnąć od siebie właściwy cel przyjazdu. Razem z Bronisławem Najdarowskim wyruszyłem w tajgę. Ale nie uciekłem od rzeczywistości. Myśli kłębiły mi się w głowie i rozpraszały uwagę. Minęła północ, a ja nie spałem. Razem z bohaterami *Wzgórza Błękitnego Snu* szukałem złota. Pomyślałem o Samsonowie. I o moim starym. Przespacerowałem się po pokoju.

Podszedłem do okna. Niebo wyglądało jak membrana wszechświata, a miliony migoczących punktów zawisły nade mną i zdawały się podkreślać nieistotność mojej misji.

Nieskończoność nie jest moją skalą. Nie czuję się w niej najlepiej. Zszedłem na ziemię.

Postanowiłem jeszcze raz się przewietrzyć. Zachowujemy się w wyuczony sposób i choć nie było żadnego powodu, idąc po schodach na dół, starałem się nie robić hałasu. Nawet deska pode mną nie zaskrzypiała.

Drzwi pensjonatu były otwarte.

Usłyszałem cichy szept.

A potem głośniejsze wypowiedziane zdania.

– Mówię ci. Tak... Musisz się tym zająć... Sam zobaczysz. – Słowa wypowiedziane z narastającą irytacją. – To nie może być przypadek.

Cisza.

Właściciel Mazurii rozmawiał przez telefon. Teraz cierpliwie słuchał rozmówcy.

W pierwszym momencie chciałem do niego podejść. A potem zmieniłem zamiar. Nie wyszedłem z budynku. Oparłem się o ścianę i poczułem jej chłód. Nasłuchiwałem jeszcze chwilę, ale bez efektu. Bezszelestnie wróciłem na drugie piętro. Do rana już nie zasnąłem.

Tej nocy nie spał ktoś jeszcze.

Mężczyzna rozstawił trójnóg i umieścił na nim noktowizyjną lornetkę. Przeszklone drzwi salonu prowadzące na taras były otwarte. W świetle lampy widział krążące postaci. Wyglądało to tak, jakby odbywali naradę.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

Czwarty. Dla niego najważniejszy.

Ludzie i zwierzęta. Ludzie, którzy są gorsi od zwierząt.

Odliczanie już się rozpoczęło. Tyle że mężczyźni zgromadzeni w salonie jeszcze o tym nie wiedzieli.

Nad ranem jednak zasnąłem. A kiedy się obudziłem, wydawało mi się, że jest środek dnia. Spojrzałem na zegarek. Była dopiero dziewiąta. Na piętrze znajdował się aneks kuchenny. Potargałem brodę i zmierzwiłem włosy. Zrobiłem sobie kawę, a potem wziąłem książkę i wsunąłem dwa zdjęcia między kartki. Tak wyposażony, zszedłem na dół.

W ogrodzie mimo wczesnej pory biesiadowano w najlepsze.

Trzech mężczyzn siedziało przy masywnym stole. Trzy białe plastikowe krzesła były wolne. Nad głowami unosił się barowy parasol z napisem „Tyskie”. Jacek Daniel nalewał „czarną śmierć” brzuchatemu mężczyźnie w białej żonobijce.

– Nie powinienem. Za wczesna pora, nie powinienem – mitygował się brzuchaty.

Szybko porzucił wątpliwości i przeszedł do czynów. Pokręcił głową i sięgnął po szklankę. Wcześniej zaczęli, fakt, ale najwyraźniej czas w takich miejscach płynie inaczej. Zresztą co mieli do roboty?

– A pan pisarz z nami usiądzie? – zapytał szef pensjonatu.

Usiadłem koło tego trzeciego. Był najstarszy z nich. Zapadnięte policzki, siwe włosy, kilkudniowa szczecina na policzkach, brązowe plamy na karku. Miał na sobie ciemnozieloną kurtkę i spodnie w takim samym kolorze. Gdyby włożył kapelusz, można by go wziąć za Robin Hooda na emeryturze. Jacek Daniel był jego klonem, tyle że ćwierć wieku młodszym.

Starszy pan nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Trwał z pochyloną głową i tylko kościste ręce z brązowymi wybroczynami pracowały nieustannie. Na starej gazecie leżała dubeltówka zwrócona lufą w stronę ogrodu. Rzeźbienia na kolbie symbolizowały łby jelenia i łani i wskazywały, jaka firma wyprodukowała strzelbę. Obok browninga leżał wycior, jakieś przecieraki, płyn do czyszczenia, pewnie ballistol, brunox albo coś podobnego. I jeszcze buteleczka z olejem i bawełniana szmatka, którą wziął do ręki.

Starzec czyścił broń. Obok zobaczyłem kieliszek z nalewką. Wiśniówką konserwował samego siebie.

– Czyści pan lufy bez wykręcania czoków? – zapytałem. – Dopiero po doczyszczeniu je pan wykręca?

Drgnął i mruknął coś pod nosem. Mimo podeszłego wieku słuch miał dobry. Trwał w jednej pozycji, skupiony na swojej pracy.

– Ojciec skończy i wtedy stanie się bardziej rozmowny – usprawiedliwił go syn. – Napije się pan? – Wskazał puszkę piwa.

Powiedziałem, że jak na mnie to za wcześnie, poza tym chyba ruszę samochodem w teren.

– A ja nie powinienem, tak w ogóle nie powinienem, ale jeszcze poproszę – wtrącił brzuchaty.

W ciągu kilku kolejnych minut poznałem historię jego życia. Wojtek Kowalewski pracował w zajezdni tramwajowej.

– Ale, panie, co to za praca. Stres. W poniedziałki rano alkomat. Bo po niedzieli sporo zrobionych przychodziło, choć ostatnio jakby trochę mniej. A w ciągu dwudziestu lat pięciu ludzi w zajezdni zginęło. Uwierzysz pan? Tak od niczego. Przez nieuwagę. Ostatnim był głuchoniemy. Naprawiał tabor i przecinak go przejechał. Bo kto to widział, panie, żeby zatrudniać głuchego i niemego? Na własne oczy widziałem i powiedziałem sobie: koniec. Rybki to spokojniejsze zajęcie, zwłaszcza na skołatane nerwy. A jak z nerwami u szanownego pana?

Opowiedziałem, że byłem dziennikarzem. Wtedy z nerwami nie było najlepiej. Długo mieszkałem za granicą. W Niemczech. Emigracyjna historyjka zawsze dobrze działa, mało kto dopytuje o szczegóły. Uznałem, że nikt nie będzie tu sprawdzał mojej znajomości niemieckiego.

– A teraz mam spokojniejszą pracę. Piszę powieść. O generale Samsonowie. O ostatniej nocy, gdy ukrył skarb. A właściwie to nie do końca o tym. Bo to powieść o Igorze Newerlym, który pisze powieść o Samsonowie. Słyszeliście o takim? Newerly. Przyjeżdżał tu niedaleko, do Zgonu, i tam pisał przy swoim ulubionym drzewie. Gruszy. A nazwa pochodzi od zganiania bydła do wodopoju nad Jeziorem Mokrym. To ma być taka powieść w powieści. Szkatułkowa. Nieco zaplątana fabularnie i nie do końca jeszcze wiem, o co mi chodzi. Trochę się w tym gubię, ale czuję, że będzie to w sam raz do nagrody Nike i innych wyróżnień.

Plotłem trzy po trzy, a palcami przeczesywałem brodę. Marcin Hłasko. Chwilowo pisarz. Elokwentny jak zwykle.

Wojtek pił piwo i lekko oszołomiony kręcił głową. Jacek Daniel oganiał się od natrętnej muchy i patrzył na mnie. Starzec wpatrywał się w dubeltówkę. Skończył robotę. Jedną dłoń położył na kolbie i drżącymi palcami wodził po wyrzeźbionych liniach.

Brzuchaty otworzył usta i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Czokami zajmuję się na końcu – wychrypiał starzec. – Zresztą widział pan.

Widziałem.

Przedstawił się. Ignacy Daniel. Leśniczy. Tylko tyle powiedział. Jakby tłumaczyło to wszystko i wyjawiało sens długiego życia.

– Pan jest pisarzem? – postanowił się upewnić.

Przytaknąłem.

– W ubiegłym roku też był taki. O von Fahrenheitach chciał pisać. Tyle że oni nie byli stąd. Znaczący stąd, z Prus – plątał się. – Ale z Rapy.

Pokiwałem głową. Mroczna historia. Motywy ludzkich poczynań są niezmiennie, więc wtedy poszło o kobietę. Dziś też często się to zdarza. Rodzina barona uznała związek z mieszczańką za mezalians, więc niedoszły pan młody postanowił wytruć wyrodnymi krewnymi grzybami. Ponieważ nikt nie jest doskonały, doszło do fatalnej pomyłki. Skuteczność doskonała, siedem trupów, tylko nie tych co trzeba. Zdarza się. A potem, na pamiątkę tych wydarzeń, powstała tajemnicza piramida. I grobowiec.

– Czytałem sporo o tym. Czy to prawda, że miejscowi chłopcy... – zagadnąłem.

– No, był pomór, był – przerwał mi. – W siedemdziesiątych chyba, nie, synek? – Spojrzał na Jacka Daniela.

Właściciel Mazurii potwierdził. Wyjął papierosa i podał ojcu. Gdy stary zapalił, zrobił to samo.

– Bydło padało. I miejscowi – stary prychnął pogardliwie – uznali, że to przez Fahrenheitów. Że klątwa jakaś. Te ciała w grobowcu były zmumifikowane, więc chłopcy dostali się do środka i poodcinali nieboszczykom głowy, żeby złe odegnąć.

– A co z tym pisarzem?

– Do tego zmierzam. – Ignacy Daniel przekrzywił głowę i podrapał się po szczęce. – Okazało się, że to nie pisarz. To wariat. Naprawdę to badał przecięcia linii energetycznych i związku piramidy z Wilczym Szańcem. Radiestezja, geomancja... Szukał jakichś namagnetyzowanych kamieni, mocy... Wariaci się tu trafiają, jakieś wróżki, czwarte wymiary... Szaleńcy... A czasem ryzykanci. Rozumie pan? – Przyglądał mi się uważnie.

Matowe oczy nabrały wyrazistości, pierwszy raz podczas naszej rozmowy. Jakby chciał tym spojrzeniem przekazać mi coś, czego wolał nie wyrażać słowami. A może tylko tak mi się zdawało.

– A Newerlego to ja znałem. Bywałem tam nawet u niego. Więc chętnie opowiem. Jeśli to pana rzeczywiście interesuje.

Brzuchaty sapnął. Wstał i podciągnął spodnie.

– Wy tu sobie o Newerlym, to ja na płoteczkę uderzę.

Dopiero teraz zauważyłem, że tuż za jabłonką leżą jego wędkarskie akcesoria. Pożegnał się.

Zabrzączał telefon. Jacek Daniel odebrał. Odszedł na bok. Zrozumiałem, że ktoś pyta o wolne pokoje. Zostaliśmy we dwóch.

– Chętnie skorzystam z pomocy. Zresztą – zawiesiłem głos – w ubiegłym roku była tu w Kiejkutach moja koleżanka... Miała mi pomóc zbierać materiały do książki. A potem gdzieś znikła. I zostałem z tematem sam...

Sięgnąłem po książkę. Otworzyłem *Wzgórze Błękitnego Snu*. Tam gdzie zaczynał się rozdział *Złoto i miłość*. Wyjąłem zdjęcie i pokazałem staremu.

Wpatrywał się w fotografię.

– Ładna. Była pańską dziewczyną?

Roześmiałem się. Powiedziałem, że za stary już ze mnie model dla takich podlotków.

– Nie widziałem takiej. Zresztą ja głównie w lesie, w mojej leśniczówce siedzę. Rzadko tu przyjeżdżam. Leśny człowiek jestem. A jak czegoś potrzebuję, to mi dowożą.

Oddał mi zdjęcie.

– Mam zresztą nadzieję – mówił wpatrzony w ogród – że tam umrę. Wśród drzew. A nie w szpitalu.

Zacisnął dłoń na kolbie i widziałem, jak bieleją mu palce.

Jacek Daniel wrócił do stołu. Niósł kolejny kieliszek z wiśniówką. Spojrzał na fotografię, a potem na ojca. Bez słowa zapalił kolejnego papierosa. Tym razem nie poczęstował starego.

Na gałęzi wyschniętego drzewa usiadły dwa ptaki. Przez chwilę jeden próbował drugiego zepchnąć z gałęzi, wreszcie dał za wygraną.

– Ciekawe... – Mówiłem leniwie i od niechcienia, wciąż wpatrując się w ptaki. – Mój ojciec też mógł znać Newerlego. Bywał tu w latach osiemdziesiątych. Głównie w

Szczytnie. Wspominał mi dwa nazwiska. Bogusław Wasiak. I Henryk Koenig. – Wymówiłem je jak podczas apelu poległych. – Mam tu zresztą jego zdjęcie. Noszę je jak talizman. Przynosi mi szczęście w pracy...

Raz jeszcze sięgnąłem po książkę. Wyjąłem fotografię. Mężczyzna, wędka, jezioro.

Pod białe płótno wleciał bąk. Kopuła parasola, niczym gigantyczne pudło rezonansowe, potęgowała bzyczenie.

Ignacy Daniel wziął zdjęcie.

– A to jest jakieś mniej wyraźne. A może dziewczyny widzę wyraźniej. Pójdę po okulary. Zostawiłem gdzieś w środku.

Wstał, podsunął fotografię synowi i ruszył w kierunku podcieni. Odprowadziłem go wzrokiem. Jak na swoje lata poruszał się nadzwyczaj sprawnie. Tylko pozadrość formy. Trzymał się prosto. Najwyraźniej życie w lesie zakonserwowało go tak, jak mikroklimat przeistoczył w mumie ciała von Fahrenheidów.

Jacek Daniel milczał. Obracał w palcach zdjęcie.

– Po co pana ojcu dubeltówka? – spytałem. – Zamierza jeszcze polować?

– Mówi, że na wilka...

– Na wilki nie można polować.

– A kto powiedział, że nie można. – W jego głosie pobrzmiwała nuta pobłażliwości, jakby Daniel tłumaczył oczywiste sprawy. – Nie było ich, ale powróciły. Teraz w lesie w ogóle niebezpiecznie. Spalony samochód z trzema trupami ostatnio znaleźli... – Pokręcił głową.

Chciałem zapytać o to, ale usłyszałem chrząknięcie. A właściwie charknięcie. Stary Daniel stał za moimi plecami. Nie zauważyłem, kiedy wrócił.

Założył okulary. Bez słowa wyjął synowi fotografię z ręki. Wpatrywał się w nią, jakby kontemplował obraz w galerii.

– Nie. To nie nasze jezioro – powiedział zdecydowanie. – Nasze nigdy tak nie wyglądało. Tego wędkarza też nie kojarzę.

Usiadł, zaplątał palce na karku i zamknął oczy.

– Rusz się, synek, przynieś panu pisarzowi piwo.

Z pewnością pamiętał, że raz już odmówiłem. Ale zdanie, które wypowiedział, zabrzmiało twardo, nie jak zaproszenie, lecz jak rozkaz. Powinienem przyjąć propozycję. A

przede wszystkim, tu nie miałem wątpliwości, powinienem wysłuchać, co powie stary leśnik.

Obok nas przeszła dziewczyna z chłopakiem. Usłyszeliśmy zgodne „dzień dobry”. Odkłoniliśmy się jak indiańscy wodzowie, a papużki nierozłączki pomknęły nad jezioro.

– Nie znam tego mężczyzny na zdjęciu – powtórzył. – Ale wspomniał pan Koeniga. Więc coś panu powiem – dodał ciszej.

Poprawiłem się w plastikowym krześle. Najwyraźniej o Koenigu mówi się tu szeptem. Albo wcale.

– To jest w ogóle dosyć ciekawa rodzinka – rozpoczął. – Henryk Koenig miał młodszego brata... Słyszał pan o leśniczówce Goldberg. – Nie słyszałem. – W czasie wojny gauleiter Erich Koch przewiózł tam z Ukrainy mnóstwo dzieł sztuki. Mówiono, że w pobliżu ukryto jakieś skarby. Sam pamiętam, jak wte i wewte kursowały ciężarówki... Pod koniec lat osiemdziesiątych ta leśniczówka spłonęła. W pożarze zginął pracownik leśny, Ukrainiec z pochodzenia. Zabawna rzecz. – Daniel spojrzął na mnie. – Uznano go za zmarłego, ale nigdy nie odnaleziono jego szczątków. A wie pan, kto jeszcze miał tam być w leśniczówce podczas pożaru?

– Młodszy z Koenigów?

Butelka z piwem wylądowała przede mną na stole. Jacek Daniel podważył kapsel zapalniczką. Pociągnąłem łyk.

– Tak. Młodszy z Koenigów. Jerzy. Jeden z synów Henryka też ma tak na imię, a wuj był jego chrzestnym. I tego młodszego nigdy nie odnaleźli. Wcześniej robił różne machlojki, jakieś podejrzone interesy, z Ruskimi też. Bezpieka się nim interesowała. I nagle znika. Jedni mówili, że ten pożar to efekt porachunków. Ale są tacy, co uważają, że Koenig trafił na coś cennego i postanowił upozorować swoją śmierć. A ten Ukrainiec to był jego kumpel. I obaj dali nogę.

– Pamięta pan, który to był rok?

Ignacy Daniel spojrzął na syna.

– Osiemdziesiąty dziewiąty, zdaje się. Jesień tak jakoś. Prawie na pewno, co?

Właściciel pensjonatu przytaknął.

Jesień osiemdziesiątego dziewiątego. Jezu Chryste! Czuję, jak tężeje mi twarz.

– Mówią też, że wtedy, po zniknięciu brata, Henryk Koenig bardzo się wzbogacił. Ale to mogą być plotki...

– A ten cały Wasiak? Co to za jeden?

– A to zupełnie inna historia. – Młodszy z Daniela sięgnął po papierosa. – Koenig miał żonę. I ten Wasiak z nią kręcił. Aż pewnego dnia razem uciekli. Podobno do Ameryki Południowej wyjechali, byle być jak najdalej od Koeniga.

– Romantycy – mruknąłem. – Albo jak hitlerowcy po drugiej wojnie. Tak czy inaczej, zaszaleli.

– To Koenig szalał. A potem mu przeszło. I na poważnie zaczął swoje biznesy.

Obaj, ojciec i syn, patrzyli na spłachetek trawy wypalonej przez słońce. Drzewa owocowe, o ile mogłem to ocenić, też nie były w najlepszym stanie.

– Sam pan to wszystko ogarnia? – Powiodłem ręką po ogrodzie.

– Mam dwóch ludzi do pomocy. – Jacek Daniel zaciągnął się papierosem. – Tu u nas nie ma roboty. Ludzie dorywczo pracują. No i w sezonie kobieta jeszcze przychodzi. Gotuje turystom, pościel w pensjonacie zmienia.

Wstałem. Wymówiłem się obowiązkami. Że muszę popracować nad powieścią. Niedopite piwo zdążyło się nagrzać. Zostawiłem je na stole. Stary Daniel także wstał. Był ode mnie wyższy o pół głowy. Kosmyk siwych włosów przylepił mu się do czoła.

– Wie pan, dlaczego to wszystko opowiadam? – Poruszył krzaczastymi brwiami.

Zamieniłem się w słuch.

– W lesie to człowiek nie ma do kogo gęby otworzyć. A pan wydaje się sympatycznym człowiekiem. – Zawiesił głos. – Niech pan nie interesuje się tym, czym nie musi.

– A czym powinienem? – Zobaczyłem, że młodszy Daniel też podniósł się z fotela.

– Pisarz, który zaczyna od pytania o czoki w dubeltówce... – Stary leśnik pokręcił głową. – Wypytuje o Koeniga. Trochę dziwne...

Otworzyłem usta. Mogłem bajerować coś o moich pasjach myśliwskich, ale nie miałyby to sensu. Kłamstwem waliłoby na odległość. Podziękowałem za piwo. I za przestrozę.

Wróciłem do pokoju. Mury były nagrzane, a ja znajdowałem się na najwyższym piętrze. Czuję się jak w łaźni, ale nie zszedłem na dwór do zmroku. Zjadłem zupkę chińską, jedną z kilkunastu, które ze sobą przywiozłem. Zmoczyłem głowę pod umywalką. Tego dnia powtórzyłem tę czynność wielokrotnie.

Laptop szumiał głośniejszy niż zwykle. Przeczesałem internet w poszukiwaniu informacji o spalonej leśniczówce. Jesień 1989. Wtedy zaginął mój ojciec. Jedną część

mnie podszeptowała, że musi być związek między tymi wydarzeniami. Druga tonowała emocje i mówiła, bym wyluzował. Tak jak radził stary leśniczy. Czysty zbieg okoliczności, nic więcej.

Tam, na dole, chciałem mu odpowiedzieć, że ma dobry nie tylko słuch, ale i wzrok. Że nie potrzebuje okularów, żeby obejrzeć zdjęcie. Z czyszczeniem dubeltówki znakomicie radził sobie bez nich. Poszedł po nie, bo grał na czas. Chciał zastanowić się, co mi powiedzieć. Albo: ile powiedzieć.

Znalazłem mnóstwo informacji o gauleiterze Prus Wschodnich i jego skarbach. O kolumnach ciężarówek przewożących pod koniec wojny tajne ładunki za Wielbark. O pożarze leśniczówki pod koniec lat osiemdziesiątych było kilka zdawkowych informacji. O Jerzym Koenigu ani słowa.

A potem zmieniłem obszar zainteresowań. Otworzyłem folder z informacjami o miejscowym guru i rzeźbiarzu, który w mazurskiej głuszy pomaga odnaleźć drogę zagubionym miastowym duszom. Tu, do tej jego, pożał się Boże, komuny wybrała się Magdalena Wolska.

Musiałem ruszyć jej śladem.

Zgodnie z przyjętą zasadą nie spieszyłem się. Szperałem i wtapiałem się w otoczenie. Trochę czasu oswajałem się z wioskami zakisłymi w letargu tuż po zapadnięciu zmroku, a raz nad jeziorem wpatrywałem się we wschód słońca. Nocą wkroczyłem na teren posesji Koeniga. Z oddali widziałem kontur domu oświetlony przez latarnie. Wciąż nie natknąłem się na ochroniarzy oraz inne szykany i niespodzianki.

Zrobiłem obchód po pensjonatach sąsiadujących z Mazurią. Prowadzili je ludzie znacznie młodszy od Daniela. Dziewczyna, jeśli tu przyjechała, musiała gdzieś mieszkać. Tu albo w pobliżu. Właściciele przypatrywali mi się z ciekawością, kręcili głowami, rozkładali ręce. „Nie, takiej nie było”. Nie pamiętają. „Panie, przy tylu turystach?”. Pokazywałem im też drugie zdjęcie, choć w tym wypadku na nic nie liczyłem. Całkiem słusznie.

Odnalazłem dom sołtysa, ale go nie zastałem. Poszedłem na wiejską plażę, na którą, jak się dowiedziałem, przychodzili tutejsi, ale natrafiłem jedynie na puszki po piwie. I dopiero wtedy zdecydowałem się pojechać do Ochódna. W sumie mógłbym zrobić sobie spacer, ale miałem dość pieszej turystyki w takim upale. Odpaliłem samochód, ale po chwili wyłączyłem silnik. Siedziałem w rozgrzanej puszcze i zapatrzony w drogę, myślałem o rozmowie sprzed kilku dni. Rozmowa ze starym Danielem powracała jak echo. Nie dawała mi spokoju. Może był to efekt opowieści o spalonej leśniczówce? Może coś, czego nie potrafiłem jeszcze nazwać. Leniwa beztroska Starych Kiejkut była ułudą. Tyle już wiedziałem. Pod powierzchnią arkadyjskiej kanikuły tętniło zupełnie inne życie. W innym rytmie. Wystarczyło wymówić nazwisko Koeniga, a ludzie stawali się dziwnie spięci. Węszyli jak zwierzęta wyczuwające niebezpieczeństwo. Bez przeniknięcia do tego świata nic mi się nie uda. Nie odnajdę dziewczyny. Nie wyjaśnię, co stało się dwadzieścia sześć lat temu. O ile coś się wtedy wydarzyło. Czułem, że grzecznie pukając, nie dostanę się tam, gdzie chcę. Raczej trzeba będzie kopniakiem rozwalić drzwi. Pierwsze i pewnie kolejne też.

Otrząsnąłem się z tych myśli i ponownie uruchomiłem wóz. Przy nieczynnej od lat stacji kolejowej urządził życiową przystań dla siebie i innych rozbitków Rafał Smółka.

Misjonarz, wizjoner, rzeźbiarz, malarz, psychoterapeuta oraz guru, żeby tylko do tego ograniczyć przebogata paletę jego specjalności.

Trzydzieści pięć lat temu młody zakonnik wyruszył na misję do Ameryki Południowej. Peru, Argentyna, Chile, wreszcie przystanek docelowy: Brazylia. I tam wśród Indian doświadczył czegoś szczególnego. Sam nazwał to „granicznym Poczuciem Pełni i Oczwistości”. Cokolwiek to znaczy. Smółka nie epatował wspomnieniami, nie pisał książek, nie udzielał się w sieci. Znalazłem tylko jeden wywiad z nim, sprzed pięciu lat. W internecie natrafiłem natomiast na kilka artykułów jego wyznawców. Ton tych wspominków był zaskakująco jednorodny. To była jedna wielka pieśń nad pieśniami na cześć wizjonera, który prowadził maluczki przez labirynt zwątpienia i mroku. Na ogół, gdy funkcjonuje się w czymś na kształt sekty, po jakimś czasie odzywają się głosy demaskujące jej działalność. Powrót do normalności wymaga oczyszczenia i często terapii. Tymczasem na nic takiego tu nie natrafiłem. Żadnych ekspiacji i wyznań o zbliżonym charakterze. To także dawało do myślenia. Nie wiem, jak tam u Smółki z „granicznym Poczuciem Pełni i Oczwistości” i podobnym kitem, który wciskał, ale z umiejętnością manipulowania ludźmi było na pewno w porządku.

A potem coś sprawiło, że misjonarz zrzucił habit. Sam opowiadał o tym dość tajemniczo, zresztą mętny był we wszystkich szczegółach, jak w tym o „eksploracji Boskiej Częstki”. I w tym, że brazylijscy Indianie pokazali mu właściwą drogę. Wielu odbywało swoją mistyczną podróż na Wschód, gdziekolwiek on geograficznie leżał, i Smółka nie był tu żadnym wyjątkiem. Nie wiadomo, co robił przez kolejne lata, znikł gdzieś w dżungli Amazonii, dzieje apostołskie na ten temat milczą. I wreszcie po latach odnajdujemy go w Bieszczadach. Tam prowadzi pustelnicze życie, maluje i rzeźbi. Sprzedaje swoje prace. Przyjeżdżają do niego pierwsi uczniowie. Dziesięć lat temu zakotwicza się na Mazurach, najpierw w Kasprach, a potem w pobliskim Ochódnie. A ponieważ Smółka jest mistrzem kreowania nastroju, prawdziwym Davidem Copperfieldem dziergania aury z niczego, staje się modny wśród korposzczurów oraz młodych wrażliwców z ambicjami. Przejrzałem stronę Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami oraz portale prowadzone przez innych fanatyków stosów i inkwizycji, ale o Smółce nic nie znalazłem. Na mistrza z Ochódna nie było żadnych skarg i zażaleń. Dawny misjonarz był czysty, nieskalany i jasny jak anioł.

Naprzeciw wyjazdu z dróżki prowadzącej do pensjonatu stała murowana wiata z dachem z blachy falistej, pod którą ukrył się jakiś zbłąkany turysta. Przypuszczałem, że na autobus można czekać tu i do zachodu słońca. Minąłem dwa rękodzielnie zrobione banery. Jeden reklamował wymianę butli gazowych, drugi – sprzedaż kolektorów słonecznych. Objechałem północny kraniec jeziora Wałpusz, nad którym krążyła czapla. Chyba czapla. Skręciłem przy drogowskazie na Ochódno, minąłem dwa budynki w stanie surowym. Na jednym z nich ktoś wywiesił tabliczkę „Salon pielęgnacji zwierząt”, wyglądającą tu dość absurdalnie. Drugim budynkiem było zapuszczone gospodarstwo z kurami w obejściu. Kolejne trzy pustostany, po których zaczynała się dzikość. Wjechałem na pagórkowatą drogę, która mogłaby się kojarzyć z księżycowym krajobrazem, gdyby nie dwie zdychające sosny i kilka kępek pożółkłej trawy. Na jednym z drzew straszły resztki jemioli. Przedemną rozciągała się ziemia w kolorze brązu, urozmaicona dołami, dziurami i kopcami skawalonego piasku. Przejechałem rów, który kiedyś mógł być korytem rzeczki. Nikt tu nie mieszkał, bo i po co.

Minąłem wiadukt kolejowy. A właściwie ruiny dawnego wiaduktu. Czytałem, że od czasu do czasu organizują tu zawody motocrossowe. I pewnie wtedy ryk maszyn zakłóca myśli uczniów zgromadzonych wokół Smółki. Zmieniłem napęd na cztery i przez kilkanaście sekund, falując po wertepach, czułem się jak kierowca rajdowy. Zahamowałem. Patrzyłem na brunatny pył falujący w powietrzu, jakby wypowiedział wojnę prawu ciężenia. Wyglądało na to, że ta ziemia niczego nie może zrodzić. I dlatego było to dobre miejsce, żeby ukryć w niej ciało. Albo ciała.

Pod kołami zachrząścił żwir i był to widomy znak, że zbliżam się do celu. W trosce o swoich uczniów Smółka zadbał o infrastrukturę. Dwa spróchniałe słupy przypominały o istniejącej tu kiedyś stacji kolejowej i świetności tego miejsca. Pokonałem jeszcze jeden pagórek, zjechałem z niego i po lewej stronie zobaczyłem sporych rozmiarów budynek. Pod powierzchnią kurzu kryły się czerwone cegłówki. Drewniana tabliczka i wypalona strzałka z literą „P” wskazywała, gdzie mam się zatrzymać. Objechałem dom i znalazłem się na parkingu. Ustawiłem się koło czarnej kii sportage. Poza nią stały jeszcze cztery średniej klasy samochody. Pozowanie na współczesnych hipisów to nie jest zabawa dla prekariuszy. Byłem pewien, że Smółka od każdego przyjezdnego pobiera stosowne honorarium. Co łaska. Tyle że jego łaska zapewne kosztuje.

Wysiadłem i rozejrzałem się. Teren był rozległy i właściwie nie wiadomo, gdzie się kończył. Może za pierwszym pagórkem, a może gdzieś dalej. Krajobraz się nie zmienił. Kopnąłem grudkę ziemi tak, że potoczyła się do płytkiej szczeliny. Żadnych eksperymentalnych upraw, plantacji, szklarni i życia w stylu eko. To nie był ten styl.

Miałem ręce mokre od potu. Wytarłem je w ciemnozielone cienkie spodnie i ruszyłem w kierunku budynku. Przy bocznej ścianie minęło mnie dwóch mężczyzn i dziewczyna. Cała trójka ubabrana była w glinie. Obrzucili mnie nieprzytomnym spojrzeniem i prawie natychmiast wrócili do rozmowy. Zrozumiałem tylko jedno słowo. Demon. Zrobiło się milutko. A potem drogę zagroziła mi jeszcze jedna kobieta.

Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Krótkie blond włosy, koszulka na ramiączkach uwydatniająca kształny biust. Niebieskie szorty i białe sandały. Złoty łańcuszek na kostce i podobny na nadgarstku. Nie była umazana gliną ani farbami. Była czysta i pachnąca, jakby właśnie wyszła spod prysznic.

Przedstawiłem się. Opowiedziałem moją legendę, choć tym razem nieco ją podkoloryzowałem. Marcin Hłasko. Tak. Przeciągnąłem sylabę. Daleki krewny tamtego Hłaski. Tak. Sylaba jeszcze dłuższa. Też jestem pisarzem. A potem gadka o Samsonowie, Newerlym i powieści szkatułkowej. Patrzyła na mnie brązowymi oczami.

– I tak, proszę pani, usłyszałem, że tu, u was, ciekawe rzeczy się dzieją. Pomyślałem sobie, że zajrzę. Nie chcę, broń Boże, być natrętny i narzucać się, do powieści mi się to nie przyda, ale spotkanie z inspirującymi ludźmi zawsze dobrze robi i ładuje twórcze akumulatory.

– Na całkiem dobry moment pan trafił – przerwała mój słowotok.

Podążyła mi rękę. Oraz imię. Grażyna. Graża.

– Jest nas teraz dziesięcioro. Zasada jest taka, że nie może być więcej niż dwanaścioro. Wiesz dlaczego?

Od razu przeszła na „ty” mimo różnicy wieku. Nic dziwnego. Ostatecznie trafiłem do komuny artystycznej.

– Dwunastu apostołów?

– Nie. – Roześmiała się. – W tym nie ma żadnej religii. Unikamy tego, polityki też. Dlatego się wszyscy dogadujemy. Po prostu tyle nas może się pomieścić. – Powiodła ręką po budynku. – I tyle mamy stanowisk pracy.

– Jak to wszystko działa? Prąd tu jest? Woda? W czym umyją się ci obtoczeni w glinie niefortunni?

Ponownie odsłoniła rząd białych zębów.

– O dziwo, zostało tu sporo ze starej infrastruktury. A resztę zrobiliśmy sami. Trochę było kłopotu z trzema piecami ceramicznymi, ale i z tym daliśmy radę. Glinę też dowozimy, bo tu przecież nic nie ma.

Opowiadała pewnym głosem, ale bez przejęcia. Raczej z chłodem profesjonalistki, która oprowadza po terenie nie pierwszy raz. Równie dobrze mogłaby być ubrana w garsonkę i opowiadać o zarządzaniu zasobami ludzkimi. Uznałem, że musi być tu od dawna, może jest nawet kimś w rodzaju prawej ręki Smółki. W dzisiejszych czasach nawet guru bez asystentki się nie obejdzie. Zapytałem ją, jak długo tu jest. W maju dwa lata stuknęły.

– Miałem nadzieję – rozejrzałem się – że zobaczę mistrza. – Ostatnie słowo wymówiłem z należnym szacunkiem. – Ciekaw jestem, co to za człowiek.

– Mistrz – ściszyła głos – odpoczywa. Ostatnio nie najlepiej się czuje. Dziś pojawi się dopiero wieczorem. Przyzwyczajony jest do takiej pogody, ale teraz unika upałów.

Tym razem mówiła z przejęciem. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że mistrz uświetni wieczór. Nawiedzi i zstąpi. Obywali się tu bez religii, bo sam Smółka był religią.

– Dziś wieczorem mamy Koło – dodała.

– Koło?

Wyjaśniła, że raz w tygodniu omawiają swoje prace. Rozmawiają o życiu. I w ogóle są ze sobą.

– Zaraz. Ta trójka... ta, co szła... Ci umazani w glinie. Coś mówili o demonie. Czy...

– Tak – potwierdziła. – Mistrz zadał temat „Drzemające demony”.

Pokiwałem z uznaniem głową, a dziewczyna znów otaksowała mnie spojrzeniem.

– Jeśli chce pan zobaczyć, jak to wygląda, zapraszamy koło dwudziestej. Tu nikt nie ma nic do ukrycia. Spotkania są otwarte. Warunek jest tylko taki, że gość też musi coś opowiedzieć o sobie.

– Tyle że ja nie hoduję w sobie potworów – zapewniłem.

– Nie musi być o demonach.

Powiedziałem, że przyjadę. Byłem ciekaw, jak wygląda to kółko terapeutyczno-różańcowe ze sztuką i Amazonią w tle.

Podawała mi rękę. Miała szczupłą dłoń i długie palce. A paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem. I z pewnością nie nurzała ich w glinie.

Miałem sporo czasu. Uznałem, że muszę popracować nad moim wątpliwym pisarskim alibi. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda. Pojechałem do Zgonu. Obfotografowałem dom, w którym pracował Newerly. Obejrzałem galerię urządzoną w dziewiętnastowiecznej chacie. Minąłem parkę niemieckich turystów. W pobliżu mogłem obejrzeć jeszcze Zakochaną Parę, szczepione ze sobą dwa drzewa, dąb i sosnę, ale uznałem, że jak na jeden dzień to i tak dużo przygód krajoznawczych.

Pod wiatą w Starych Kiejkutach wciąż stał samotny turysta. W duchu życzyłem mu szerokiej drogi. A na ścieżce do pensjonatu zobaczyłem znajomą postać. Biała żonobijka opinała wielki brzuch. Ciekawe, czy przywiózł ze sobą komplet takich, czy cały czas chodzi w jednej. Wojtek Kowalewski człapał na szeroko rozstawionych nogach.

Zaproponowałem mu podwózkę. Wysapał coś w rodzaju podziękowania i wgramolił się do samochodu. Rozmawialiśmy o rybach. Wypytywałem, jak biorą, byle tylko podtrzymać rozmowę. Dojechaliśmy do pensjonatu i zatrzymałem się.

– Pan tu co roku przyjeżdża, tak? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Przyjeżdżam, nie przyjeżdżam... A co?

Widziałem, że jego spojrzenie stało się inne. Jakby mniej rozmyte.

– A w ubiegłym roku... – Odchyliłem się w kierunku tylnego siedzenia i sięgnąłem po leżącą na nim książkę. – Widział pan może tę dziewczynę?

Pokazałem zdjęcie Magdaleny Wolskiej.

Milczał. Potem wytarł dłonie w podkoszulek. Pokręcił wielką głową.

– Panie pisarz, pamięta pan historię, co to wczoraj opowiadałem? O głuchoniemym. Więc ja też nic nie widzę, nic nie słyszę. Nie wtrącam się w nie swoje sprawy.

Wysiadł z auta. Gdy znikł, też wysiadłem.

Spojrzałem na zegarek. Do wieczornych rozrywek w Ochódnie miałem jeszcze sporo czasu.

Być może popełniłem błąd. Dotarło to do mnie, gdy zszedłem nad jezioro. Uświadomiłem sobie, gdzie natknąłem się na brzuchatego wędkarza.

Stał w miejscu, w którym zaczynała się ścieżka prowadząca do domu Henryka Koeniga.

– Nie znam się na sztuce współczesnej. – Kłamałem jak najęty. – Z demonami też mam kłopot. Trochę się ich boję.

Graża oprowadzała mnie po wystawie. Tym razem miała paznokcie pociągnięte czerwonym lakierem, najwyraźniej przygotowała wariant wieczorowy, i zwiewną sukienkę w takim samym kolorze. Powiedziała, że mistrz miał pewne opory, gdy dowiedział się o niespodziewanym gościu, i że zdarzyło się to pierwszy raz. Uważał, tłumaczyła Grażyna, że demony to bardzo intymna sprawa i nie wszyscy chcą się otwierać przy obcych. W końcu uznał jednak, że nie będzie łamał obowiązujących zasad, zatem „witamy cię wśród nas”. Podziękowałem i zrozumiałem aluzję. Powinienem być dla mistrza miły, a może nawet jakoś się odwdzięczyć. Co łaska.

Prace zostały wykonane różnymi technikami. Trzy obrazy, trzy obiekty, sam nie wiedziałem, jak je nazwać inaczej, ceramiczne, dwie rzeźby w drewnie. Osiem arcydzieł. Plus dwoje animatorów, Graża, kuratorka wystawy, i bijące serce inspiracji, mistrz Smółka. W sumie dziesięć osób. To by się zgadzało. Byłem na lepszych wernisażach, ale trzy prace zwróciły moją uwagę. Jeden z obrazów był repliką studolarowego banknotu. Z drobnym wyjątkiem. Podobizna Benjamina Franklina była obtoczona czerwonym kółkiem i przekreślona. Najwyraźniej ktoś miał tu kłopot z ojcem założycielem najbardziej wolnego z narodów. Był też słup, coś w rodzaju glinianego fallusa, z którego wiły się w górę faliste linie, ni to włosy, ni to powyginane łodygi roślin. Ale największe wrażenie zrobiła na mnie rzeźba. Właściwie był to słup totemiczny. Przedstawiał kobietę z dorodnymi piersiami. Długa szyja łączyła się z głową zwróconą w górę. Tyle że to już nie były rysy kobiety. Trójkątny kształt kojarzył się z łbem wilka. Rozwarty pysk zwierzęcia kierował się ku niebu. Drapieżnik wył do rozświetlonego gwiazdami firmamentu.

– Macie tu seksoholika? – zapytałem konfidencjonalnie. – Ktoś tu jest w szponach seksu. To robił facet, prawda?

Graża spiorunowała mnie spojrzeniem. A ja przestrzeliłem kolejny żart.

– Nie. To dzieło kobiety. Długo rozmawiałyśmy o jej projekcie, radziła się mnie w kilku sprawach. A to – wskazała na wilczycę – jest jej matka.

Aha. Matka.

– Sama pani widzi – rozłożyłem ręce – kompletnie tego nie chwytam.

Prace rozstawiono przy bocznej ścianie budynku. Skręciliśmy i minęliśmy parking. Od przedpołudnia liczba samochodów się nie zmieniła. Znów znaleźliśmy się przy dawnej stacji kolejowej, tyle że od drugiego skrzydła. Zobaczyłem ognisko i grupkę siedzących wokół niego postaci. Podszedłem i Graża mnie przedstawiła. Marcin Hłasko, nasz dzisiejszy gość, pisarz z Warszawy.

Wokół ognia siedziały cztery kobiety i czterech mężczyzn. Jeden z brodaczy, ten, którego dziś już widziałem, otworzył piwo i podał mi bez słowa. Poczułem przyjemny chłód i wilgoć szkła. Usiadłem między dziewczyną z dreadami, która mogła mieć wszystkiego dwadzieścia lat, a inną kobietą, ubraną w sprany T-shirt z napisem „New Model Army”. Leniwie poruszała bosymi stopami skierowanymi ku ognisku. O wiele bardziej na czasie był młodzieniec, którego fryzura i bokobrody skojarzyły mi się z pewnym gatunkiem małpy. I piosenkarzem z lat sześćdziesiątych, Mungo Jerrym. Mungo Makak miał na sobie koszulkę z kotwicą pamięci oraz nadrukiem „63 dni. Pamiętamy”. Westchnąłem. Już nawet tu dotarli powstańcy. Dwie dziewczyny w spranych koszulkach na ramiączkach i w szortach siłowały się na zmianę z korkiem w butelce. Jedna miała mocny, wyzywający makijaż. Druga twarz w stylu ekonaturalnym. Chłopak ze związanymi w kucyk włosami ruszył im z pomocą, próbował wyrwać korkociąg, usłyszałem, jak mruczy pod nosem coś o „jebanej prycie”. Dziewczyny zachichotały, a potem zaklaskały, gdy rozległ się charakterystyczny dźwięk odkorkowanej butelki. Mężczyzna, na oko najstarszy w tej grupie, w bojówkach i kraciastej koszuli, podszedł do ogniska i rozgarnął żarzące się drwa. Wszyscy siedzieli na brzoźowych pniach, jedna z chichoczących zbliżyła się do ognia i od żaru zapaliła papierosa. Panowała atmosfera luzu i można by się spodziewać, że zaraz zacznie krążyć skręt z trawką, ale nic takiego nie nastąpiło. Zauważyłem, że nie mają nic do jedzenia, nie było nawet kijków na kiełbaski. Ta beztroska była ułudą. W tych ludziach kumulowały się niepewność i napięcie. Graża usiadła na pniaku, jedno miejsce pozostawało puste. Mistrza z nami nie było.

– Mamy zaczynać. – Grażyna klasnęła w dłonie. – Mistrz powiedział, że do nas przyjdzie. Zdążył już obejrzeć wasze prace. Powiedział, że daliście z siebie wszystko. Oglądał i uśmiechał się. Mówił, że dodajecie mu sił.

Wszyscy, jakby się umówili, coś tam mruknęli, a to zbiorowe murmurando było świadectwem ulgi. Ciała się lekko odprężyły, butelka z winem zaczęła krążyć zwawiej.

– Kto z was chce opowiedzieć o swojej pracy? A właściwie... – Graża zawiesiła głos – ...nie tyle o pracy, ile o doświadczeniu.

Nikt się nie kwapił. Drzewo trzeszczało w ognisku. Miałem nadzieję, że zgłosi się ta od wilczycy, obstawiałem, że to ta bosonoga obok brodacza, ale się nie kwapiła.

Uniosła się jedna ręka.

– Dobrze... To ja opowiem. – Głos Makaka lekko drżał.

Mężczyzna pochylił się do przodu, jakby chciał swoje demony strzelić z główki.

Rozległy się ciche oklaski.

– Pracuję w Warszawie... Od trzech lat, większość z was wie... Reklama outdoorowa. Ale nigdy... Nigdy nie mogłem się odnaleźć. Podobno jestem wystarczająco dobry, ale ja zawsze musiałem być dwa razy lepszy od innych. Rozumiecie...

Dawanie świadectwa przychodziło mu z trudem. Mówił urywanymi zdaniami, hasłami właściwie, więcej w tej opowieści było luk niż ciągłości. Pociągnął łyk wina. Zapadał zmrok, ale czułem, że facet czerwienieje na twarzy. Czekałem na ciąg dalszy.

– Te ich historie... Terapia zastępcza testosteronem jak u maklerów na Wall Street... Po godzinach najmodniejsze spodenki z lycry... Fitness o piątej rano. Imprezki. Poświęć wszystko firmie, bo firma poświęci ciebie i takie mądrości... – Mówił z nieskrywaną goryczą. – I to słowo, które było kluczem do wszystkiego. Wiecie jakie?

Mruknęli, że nie wiedzą.

– Kontakty, kontakty, kontakty. Sieci kontaktów. Miałem tam dwóch takich... Posłali swoje dzieci do żydowskiego przedszkola. Wiecie po co? By wyrabiać sobie znajomości. Żeby łapać nowe kontakty... Znajomości. Jarzycie, nie?

Rozległ się pomruk zrozumienia i oburzenia zarazem.

Zamilkł. Zaczął wyłamywać palce, a ich trzask w panującej ciszy niósł się echem.

– No... – Ktoś próbował go pogonić.

– Aż wreszcie olśniło mnie – powiedział głośniejszym głosem i wyprostował się. – Bo to wszystko, co wam mówię, zrozumiałem po czasie. Pojechałem na koncert...

– Koncert? – zdziwiła się jedna z chichotek, jakby usłyszała nieznane słowo.

– Muzyka to moja pasja – wyjaśnił i powiódł wzrokiem po zebranych. W jednej chwili odzyskał pewność siebie. – Zawsze wyszukiwałem takie zespoły... Takie mało znane, ale

światne. I trafiłem na band z Nowej Zelandii... To znaczy, grali w nim dwaj Maorysi, dwaj Japończycy i Włoch. Mieszanka japońskiego free jazzu, folku z Polinezji i włoskiego tarantyzmu...

Ktoś dopytywał, czym jest ten tarantyzm, ale Mungo Makak zbył go machnięciem ręki.

– Tylko jednego singla wydali, ale za to jakiego! I mieli koncert w Pradze. Pojechałem. Musiałem to zobaczyć. Traf chciał, że w dniu koncertu wokalista miał urodziny i postanowili to uczcić. Przynieśli na scenę szampana. Otworzyli go, a ja stałem w pierwszym rzędzie, zresztą drugiego rzędu nie było, bo to kapela dla prawdziwych koneserów i... I...

– I? – Brodacz z piwem nie wytrzymał.

– I dostałem korkiem prosto w oko. Straciłem przytomność. Ocknąłem się w namiocie medycznym i tyle ich widziałem.

Przez koło przetoczył się szmer niedowierzania.

– Ale nie ma tego złego... Wiecie co? W jednej chwili się zmieniłem. Jakby coś we mnie pękło i odblokowało się. Właśnie wtedy mnie olśniło, jeszcze w tym namiocie zrozumiałem, że nienawidzę mojej roboty. Że to wszystko sztuczne, udawane i że ja tam nie pasuję. Ale że skoro już tam jestem, to mam misję. Zacząłem czytać o ładunkach wybuchowych... Nawozach azotowych... Napisałem też manifest. Podpisałem się Szela.

Odchrząknąłem zażenowany.

– Szela? – zdziwiła się bosostopa w rockowym T-shircie. – Coś obiło mi się o uszy.

– No tak... Pomyślałem... Pomyślałem, że zostanę takim współczesnym buntownikiem...

Ściszył głos.

– Chciałem wysadzić Mordor w powietrze.

Drwa w ognisku zaskwierczały.

Po zebranych poszedł szmer.

– A potem ten manifest przeczytała moja dziewczyna... Przeraziła się trochę i uznała, że muszę odpocząć. Że mam zszargane nerwy. Że potrzebna mi terapia...

– Wiesz, że unikamy tutaj takich słów – zareagowała Graża. – To, co robimy, nie ma nic wspólnego z terapią. Terapia ustanawia instytucjonalną relację nierówności.

Mungo Makak skulił się pod wpływem tych razów.

– Tak, oczywiście, masz rację. Nie o to mi chodziło – tłumaczył się. – Po prostu moja dziewczyna powiedziała, że muszę zmienić otoczenie. Dlatego tu jestem. I dlatego płomienie... Dlatego właśnie zrobiłem te płomienie wychodzące z korka od szampana. – Powiódł ręką w kierunku wystawionych prac. – Poza tym... Poza tym nikomu, poza jedną osobą, o tym wszystkim nie mówiłem. Jesteście pierwsi. Dziękuję, że jesteście ze mną.

Rozległy się ciche oklaski. Graża wstała, podeszła do Makaka i przytuliła go. Wszyscy kolejno zrobili to samo. Jak w porządnym kółku terapeutycznym, bez dwóch zdań. Jako jedyny nie ruszyłem się z miejsca.

Potem przemówiła bosonoga. Okazało się, że to ona przekreśliła Franklina na studolarówce, jednak na tle Makaka jej opowieść wypadła blado. Bosonoga po prostu oszukiwała ludzi. Obiecywała złote góry, a dawała kopczyk kreta. Jednak pytanie, które zadała, miało sens.

– Zastanawiam się, kto tu jest zły? Czy chodzi o moją chciwość, czy chciwość systemu? Zmagając się z samymi sobą i ze światem, mieszkańcy komuny wesoło spędzali czas.

Bosonoga rytmicznie poruszała palcami stóp. Kurczyła je i prostowała.

– Aż zrozumiałam, że nie tędy droga. Aż... – urwała, bo wtedy na scenę wkroczył on.

Mistrz wyglądał jak skrzyżowanie Stana Borysa z Jezusem Chrystusem. Brakowało mu tylko białego pudła i kilku innych relikwii. Zresztą to zadanie dla specjalistów od wizerunku. Poza tym wszystko było jak należy. Wysoki, brodaty, długowłosy, siwy, z resztkami czerni, w białej koszuli wypuszczonej na jasne chinosy. Na bosych stopach espadryle. Na szyi jakiś wisior. A na głowie coś w rodzaju czapki Gandhiego, wykonanej z samodiałowego lnu. Może nawet kupił ją na aukcji pamiątek po proroku. Razem z jego łupieżem.

Smółka obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, a potem usiadł na wolnym miejscu. Wyciągnął dłonie w stronę ogniska. Makak, którego zdążyłem przechrzcić na Jakuba Szelę, poderwał się z miejsca i dorzucił drew. Brodacz, który także wstał z pieńka, popatrzył na niego niechętnie. Tutaj toczyła się walka o wpływy. Na lewej dłoni Mistrza połyskiwał pierścień.

– Jestem z was zadowolony... Naprawdę zadowolony... – Mruczał jak kot. Miał niski głos i byłem pewien, że od razu zjednywał mu grono wielbicielek. – To naprawdę nie jest łatwe... Zmierzyć się z naszym największym wrogiem. Wiecie z kim? Z samym sobą.

Uczestnicy koła wpatrywali się w niego jak w obrazek.

Chichotka z makijażem szerzej otworzyła oczy.

– Obserwowałem was z okna. Popatrzcie na siebie, dotknijcie swoich mięśni. – Podszedł do dziewczyny z dreadami, tej najmłodszej, i zaczął masować jej kark. – Zobaczcie, jacy jesteście wciąż spięci. A przecież jesteście w najbardziej przyjaznym miejscu na świecie.

Rozłożył ręce. Emanował ciepłem jak bateria słoneczna. Ale przede wszystkim panował nad tymi ludźmi i nimi sterował. Bez dwóch zdań. Każe im skoczyć z wieżowca w paszczę smoka, też to zrobią. I żadne przez ułamek sekundy nie pomyśli, że skończy jako mokra plama na asfalcie.

– Motamy się w sprzecznościach... – Szarlatanerią jechało na odległość. – I wydaje nam się, że jesteśmy samotnym punktem skazanym na wieczną walkę... – Niemal rozkwitał w powietrzu. – Trwonimy w ten sposób naszą wewnętrzną siłę.

Zamilkł i spojrzał w bok. Głowa lekko mu się trzęsła. Zawiesił się i trwał tak przez dobre pół minuty. Nie dość, że szarlatan, to jeszcze ekstazyk. Graża poderwała się z pieńka, podeszła do Smółki i szepnęła mu coś na ucho. Mistrz drgnął, wreszcie kiwnął głową. Omiótł wzrokiem zebranych.

– Wybaczcie... Ale powiem tak, każdy ma swoje demony. Ja też. Nie myślcie, że jestem inny. Moje sięgają jeszcze pobytu w Brazylii. Wtedy... wtedy każdy musi odnaleźć drogę w swoim własnym labiryncie.

Wolałbym słuchać wyznań Jakuba Szeli. Oraz oczywiście wilczycy.

Smółka wziął głębszy oddech i uśmiechnął się łagodnie, jakby miał wyjawić prawdę objawioną.

– Bo przecież, jak mawiał wielki filozof amerykański, nie jesteśmy bardziej samotni od rosnącego na pastwisku mlecza, liścia fasoli albo trzmiela. I trzeba mieć niemało odwagi, aby ukazać się takim, jakim się jest naprawdę. Ułuda samotności to największy demon. Dlatego jesteśmy tu razem. Weźmy się wszyscy za rękę.

Stanęli w węższym kręgu i splekli dłonie, jak uczestniczące w zabawie dzieci. Którymi w tym momencie byli.

Przyglądałem się im z boku.

Mistrz usiadł na pieńku. Rozległy się brawa. I wtedy popatrzył na mnie.

– Mamy dziś gościa. Cieszę się, że go przyjęliście. – Spojrzał na butelkę, którą przytrzymałem stopami. – Rozumiem, że też nam coś opowiesz. Zwłaszcza że jesteś

pisarzem.

Wstałem. Czułem, jak dziesięcioro par oczu wpatruje się we mnie. Potarłem dłonie i odchrząknąłem.

– Rozumiem, że niektórzy z was są tu z Mistrzem dłużej, inni krócej. Pewnie są tacy, którzy są już ponad rok, zgadza się?

Patrzyłem uważnie na ich reakcje. Dwudziestolatka siedząca koło bosonogiej energiczniej kiwnęła głową. Najstarszy, ten w bojówkach i koszuli, zrobił to samo. I jedna z chichotek, ta bez makijażu, także.

– Nie będę mówił wam o sobie, chociaż pisarze mają taką przypadłość. Mistrz ma rację. Każdy z nas hoduje w sobie demony. Mówienie o sobie wpycha nas w szpony egoizmu.

Rozłożyłem ręce. Nie wiem, czy dotarło do nich, że parodiuję ich boga.

– Powiem wam natomiast o kimś, kogo mi bardzo brakuje... – Tu nie było czasu na długie opowieści. Liczyła się siła rażenia i to, co wyczytam z ich twarzy. – Szukam pewnej dziewczyny. Nazywa się Magdalena Wolska – powiedziałem głośniej.

Żadnej reakcji na imię i nazwisko. Wszyscy siedzieli bez ruchu. Tylko głowa Smółki lekko drżała.

– Magdalena Wolska była latem ubiegłego roku w Starych Kiejkutach. I wybierała się do was. Chciała tu być. Może ją widzieliście?

Podszedłem do mężczyzny w bojówkach. Niechętnie spojrział na zdjęcie. Wzruszył ramionami i oddał mi je bez słowa. Chichotka zareagowała podobnie. Dwudziestolatka wpatrywała się w zdjęcie kilka sekund dłużej niż tamci. Przygryzła wargi. Przełknęła ślinę. Zwróciła mi fotografię bez słowa, ale zdążyłem uchwycić jej spojrzenie. A oczy nigdy nie kłamią.

Obszedłem pozostałych. Zdjęcie nie wzbudziło żadnej innej reakcji, nie wywołało komentarzy.

– Ta dziewczyna także miała swoje marzenia. Szukam jej i mam nadzieję, że nie spotkało ją piekło tylko dlatego, że ktoś chciał być w niebie. Mam nadzieję, że nie dopadły jej demony.

Podszedłem do Graży i Smółki. Oboje mnie zignorowali. Nawet nie spojrzeli na zdjęcie.

Smółka wstał. Górował nade mną. Jego głowa wciąż się trzęsła. Powstrzymałem pokusę, by mu w ten łeb przywalić. Patrzył mi w oczy i to nie było spojrzenie dobrotliwego mędrca.

– Właśnie mówiliśmy o tym, aby ukazywać swoje prawdziwe oblicze. Pan – teraz traktował mnie z dystansem, bo już nie byłem częścią jego stada – właśnie je pokazał. Pokazał pan, jaki jest naprawdę. Nie jest pan żadnym pisarzem, tylko... – Znów się zawiesił.

– Tylko krytykiem sztuki. Szukam prawdziwych talentów. Kobieta wilczyca jest najciekawsza. Ogólnie jednak – zwróciłem się do trzódki – musicie jeszcze popracować nad formą i siłą wyrazu. Pan też.

Ostatnie zdanie wypowiedziałem do Smółki. Resztki piwa wylałem mu pod stopy.

Graża wstała. Mężczyzna w bojówkach i koszuli zerwał się z pieńka, ale Mistrz powstrzymał go łagodnym ruchem ręki. Przez moment zastygliśmy. Udało mi się ich zaskoczyć. Pozostali uczestnicy koła nie wiedzieli, jak mają się zachować. Czekali na jakiś sygnał, znak, ale ten nie nadchodził. Uznałem, że nic tu po mnie. Faza pokoju, miłości i harmonii już się zakończyła.

Sięgnąłem do drugiej kieszeni.

– Gdyby coś się komuś przypomniało, to wystukajcie ten numer. Będę przeschczęśliwy.
– Położyłem wizytówkę na pieńku.

Ruszyłem do samochodu. W ręce trzymałem pustą butelkę. Na wszelki wypadek. Gdyby doszło do nieoczekiwanej spóźnionej reakcji. Gdyby któryś z tych facetów chciał zaplusować przed guru albo poczuł się samcem alfa. Byłem pewien, że jedna para oczu wciąż wlepiona jest we mnie. Oczu dziewczyny, która patrzyła na zdjęcie Magdaleny Wolskiej i przygryzała wargi.

Wróciłem do Mazurii. Po drodze do pokoju nie spotkałem nikogo. A pięć minut później wiedziałem, że ktoś mnie odwiedził. Nie, nie zostawiałem nitek ani skrawków materiału w drzwiach. Są bardziej subtelne i skuteczniejsze metody sprawdzania, czy naszedł nas ktoś niepożądany. Tym razem jednak o żadnych subtelnościach nie mogło być mowy.

Nieznajomy nie krył się z odwiedzinami.

Egzemplarz powieści Newerlego leżał w innym miejscu, niż go zostawiłem. Przewertowałem książkę.

Brakowało w niej dwóch elementów.

Pierwszym było zdjęcie Magdaleny Wolskiej.

Drugim – fotografia mojego ojca siedzącego na składanym krzeselku wędkarskim.

Pięciu ludzi wjechało na polanę. Czterech na koniach i woźnica powożący taczanką. Generał Aleksander Wasiliewicz Samsonow zsiadł z gniadosza i rozejrzał się. Tak. To było miejsce, o którym im mówili. Leśniczówka na ustroniu. Zbudowana z gładkich brązowych bali. Solidna. I co najważniejsze: pusta. Trzydzieści metrów dalej stał dąb. Ocenił, że drzewo ma kilkadziesiąt lat, najwyżej pół wieku. Trochę mniej niż on.

Przyjechał tu z najwierniejszymi, którzy mu zostali. Tylko takich mógł wybrać do tej misji. Ostatniej misji. Dwaj Kozacy związali konie i poluzowali popręgi. Woźnica zląkł z kozła i oglądał koła taczanki. Jedna oś była uszkodzona i ostatni kilometr wóz telepał się jak ranne zwierzę. Karabin maszynowy, zwykle umieszczany z tyłu, został zdemontowany. Pojazd, przerobiony z bryczki, przeznaczony był tym razem nie do walki, ale transportu. Generał przyglądał się solidnym dębowym skrzyniom, a potem, co w ostatnich dniach mu się nie zdarzało, uśmiechnął się do siebie. Dobrze to wszystko wymyślił.

Rozejrzał się raz jeszcze. Polanę zamykał szpaler olch, podobnych do tych, które znajdowały się w sanatorium. Tkwiłby w lecznicy cały czas i ratował zrujnowane serce, gdyby nie wybuch wojny. Spojrzał na przekwitłe owoce sasanki przypominające kule. Wiele lat temu opowiadali mu o tym, że roślina ta ma właściwości trujące, wywar z niej poraża układ nerwowy, a nawet, powiadali niektórzy, prowadzi do trwałego szaleństwa. Splunął pod nogi. Doskonale wiedział, komu podałby truciznę. Wszystko przecież potoczyłoby się inaczej, gdyby nie ten tchórz i skurwysyn von Rennenkampf. Już dziewięć lat temu, pod Mukdenem, wymierzył temu chamowi pozbawionemu zdolności honorowej siarczasty policzek. A powinien wtedy zatłuc psa na śmierć. Rosyjska armia uniknęłaby poniżających porażek, a on nie czułby hańby i sromoty. I teraz von Rennenkampf, jak złośliwy duch, znów powrócił i ponownie stał się zarzewiem klęski. To musiał być germański szpieg. Szpion, jak nic. Samsonow skrzywił się, gdy poczuł ukłucie w piersiach.

Chwilę stał bez ruchu, a potem podszedł do Kozaków. Bez słowa zdjął szynel i starannie złożył go w kostkę. Rozpiął górny guzik munduru i palcami potarł szyję. Żołnierze patrzyli na niego, a on widział w ich spojrzeniach konsternację. Służyli u niego długo i nigdy nie widzieli, by uchybił etykietce albo epatował nieformalnym ubiorem.

– Po zmierzchu wyruszyście dalej – zwrócił się do podkomendnych. – Wcześniej zajmujemy się skrzyniami. Potem zostawicie mnie tu samego.

Jeden z Kozaków chciał coś powiedzieć, ale nie starczyło mu odwagi. Przełknął ślinę.

Generał odwrócił się, a oni wiedzieli, że wydaje im ostatni rozkaz, który zastępował pożegnanie.

Spojrzał w niebo. Kończył się sierpień i ciężkie chmury ciągnęły się na północ. Z tamtego kierunku nadejdzie nieprzyjaciel. Na chwilę zmylili tropy. Wokół, jeśli nie liczyć szumu drzew i nawoływania ptaków, panował spokój. Zupełnie jak nie na wojnie. Wiedział jednak, że to tylko ułuda i cisza nie potrwa długo.

Pozostała jeszcze jedna rzecz do załatwienia.

Samsonow ruszył w kierunku leśniczówki. Niewysoki mężczyzna w oficerskim mundurze opierał się o bale i patrzył w głąb lasu. Stał lekko zgarbiony, jakby przytłoczony brzemieniem okoliczności. Nie usłyszał nadchodzącego generała.

Był jego adiutantem. Służył u niego od chwili, gdy Samsonow, niedługo po przegranej wojnie w tysiąc dziewięćset piątym, został szefem sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Obaj później znaleźli się w Turkmenistanie i do teraz pozostawali nierozłączni.

– A do was, Ryszardzie Piotrowiczu, będę miał jeszcze jedną prośbę. Będziecie musieli wrócić tu, w te okolice, z pewną delikatną misją.

Mężczyzna drgnął.

Odwrócił się.

Wtedy we śnie rozpoznałem mojego ojca.

Obudziłem się i przez chwilę ustalałem współrzędne. Imię. Nazwisko. Numer kołnierzyka. Miejsce pobytu. Wróciłem do dwudziestego pierwszego wieku. Sięgnąłem pod poduszkę i wyczułem kolbę mojego Glocka. Wieczorem, gdy odkryłem wizytę nieoczekiwanego gościa, poszedłem na dół do samochodu. A potem wróciłem do pokoju cięższy o dziewięćset gramów.

Tyle waży mój pistolet kalibru dziewięć milimetrów z pełnym magazynkiem.

Wziąłem prysznic. Skierowałem strumień lodowatej wody na głowę, ale nie przestałem myśleć o odwiedzinach.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień, mimo to włożyłem długie spodnie i flanelową koszulę. Glocka wsunąłem za pasek. Nie będę przecież wymachiwał pistoletem na terenie

ośrodka wypoczynkowego. Są jakieś granice pisarskiej ekstrawagancji.

Przy schodach, którymi schodziło się do ogrodu, spotkałem Jacka Daniela. Właściciel Mazurii stał oparty o mur i palił papierosa.

– Ta pani, która gotuje i sprząta, zajmowała się wczoraj moim pokojem?

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Nie. – Wydmuchnął dym. – Robi to tylko na życzenie gości. Sprząta po skończonym pobycie. A co? Stało się coś?

Oparłem się ręką o chłodny kamień. Spojrzałem, czy kolba pistoletu nie wybrzusza koszuli.

– Zdaje się, że miałem wczoraj niespodziewane odwiedziny.

Pokręcił głową.

– Niemożliwe. Jeden klucz ma pan. Ja mam drugi. Zapas. A ja u pana nie byłem.

Milczeliśmy. Obaj przekonani o swojej racji.

– Stało się coś? – powtórzył pytanie.

– Nic się nie stało.

Ruszyłem do samochodu.

– Nie za gorąco panu w tej koszuli? – doścignął mnie jego głos. – Upał, a pan tak grubo ubrany.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale się powstrzymałem. Zachowaj, Hłasko, zimną krew. Tym bardziej że ktoś już zrobił niemało, żeby wyprowadzić cię z równowagi.

W Szczytnie odnalazłem bibliotekę. Potrzebowałem wszystkiego, co tylko dotyczyło leśniczówki spalonej dwadzieścia sześć lat temu. Najlepsze byłyby roczniki lokalnej gazety. Wszystkie tytuły regionalne. Duże teksty i najdrobniejsze wzmianki. Przypomniałem sobie filmy o agentach FBI, którzy dostają wszelkie informacje w postaci elektronicznej, podane na talerzu. Tu, byłem tego pewien, stare gazety nigdy nie pojawią się w cyfrowej formie, człowiek będzie skazany na mozolne wertowanie zakurzonych, pożółkłych tomów, czasem pomoże mu łut szczęścia, a czasem nie.

W drodze do Szczytna myślałem o wczorajszym niespodziewanym gościu. Byłem pewien, że nie chodziło mu o zdjęcia. Ostatecznie można było sfotografować je telefonem, a jakość fotografii byłaby niezła. Odłożyć na miejsce i liczyć, że się nie skapuję. Nie. Chodziło o coś zupełnie innego. Do pensjonatu można wejść bez większego problemu. Właściciel nie bawił się w instalowanie kamer, znajdowaliśmy się poza zasięgiem panoptikonu i wczasowicze zapewne taki luz sobie cenili.

Ten ktoś przekazał mi wiadomość. Nie mieszaj się do spraw, o których nie masz pojęcia. Pamiętaj, że możemy cię dopaść. Potraktuj to jako ostrzeżenie. Jedź szukać przygód gdzie indziej.

Wiele by mi ułatwiło, gdyby nieznajomy pozostawił wizytówkę. Z jakichś względów nie zrobił jednak tego. Jakby ktoś zatrzymał się w pół kroku i nie był do końca pewien, jak ze mną postąpić, albo uznał, że nie pora sięgać po środki ostateczne.

O tej godzinie w bibliotece ruch był niewielki, a młodą dziewczynę zaintrygował temat moich poszukiwań, bo „nigdy, proszę pana, o takim wydarzeniu nie słyszałam”. Zaprosiłbym ją nawet na kawę, ale miałem inne plany na ten dzień. Glock znów wylądował pod siedzeniem w samochodowym schowku, a po kieszeniach szeleściły mi banknoty. Była to część funduszu reprezentacyjnego, który otrzymałem od pani mecenas na różne okazje. Głównie po to, żeby rozwiązywać ludziom języki.

Bibliotekarka poszła szukać starych roczników, a ja sprawdziłem, gdzie mieści się redakcja lokalnej gazety. Wsiadłem w samochód i przejechałem kilka skrzyżowań. Minąłem poniemieckie domy na Broniewskiego i zobaczyłem szyld informujący, że

dotarłem na miejsce. Tu była siedziba „Szczytna i Okolic”, gazety, która pisała o Koenigu, zachowując krytyczny dystans. Przynajmniej tak podawano w sieci. Zupełnie inaczej zachowywała się konkurencyjna „Gazeta Szczycieńska”, uchodząca za tubę biznesmena.

Nie zamierzałem wchodzić do redakcji. Szukałem innego lokalu. I szybko znalazłem. Bar nazywał się Endzel i był pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie bez wytchnienia pracowali przedstawiciele czwartej władzy. Dla niektórych takie sąsiedztwo było przekleństwem, dla innych wybawieniem. Pokusą nie do odparcia, żeby zakotwiczyć się po sąsiedzku po dniu pełnym stresu. Albo w środku dnia. Przy wejściu do baru stała figurka pofajdoka. Mały skrzat miał dwa anielskie skrzydła i to wyjaśniało chyba nazwę knajpy.

Przedarłem się przez kotarę dymu w sali dla palących, która sąsiadowała z mikroskopijnym ogródkiem, i wszedłem do głównej części. W radiu cicho brzęczał przebój z lat siedemdziesiątych. Byłem jedynym klientem. Nie zamierzałem niczego kupować, niczego poza pewną informacją.

Położyłem banknot pięćdziesięciozłotowy przed czarnulką, która wyglądała, jakby była wiecznie zaspana. Jest taki typ lewitujących barmanek. Są też i takie, wielce zawsze zdziwione, a człowiek boi się podejść, bo aż strach pomyśleć, gdzie będą szukać gałek ocznych, gdy zadziwią się jeszcze bardziej. Niektórzy nazywają to efektem ratlerka.

– Mam do pani prośbę – szepnąłem.

– Aha. Nie pan pierwszy, nie ostatni.

Przesunąłem banknot o dziesięć centymetrów w jej kierunku. Grę wstępną mieliśmy za sobą.

– Czy przychodzą tu dziennikarze z tej gazety? – Zrobiłem ruch głową w kierunku wyjścia.

– Aha.

Banknot znalazł się jeszcze bliżej dziewczyny.

– A dziś będzie któryś? Najlepiej jakiś rozmowny.

– Pan Curyło będzie. Na bank. Jak wypije, to rozmowny. Czasem nawet amoroso. – Skrzywiła się. – Tak po piątej będzie. Bo wczoraj go nie było. A co drugi dzień przychodzi. Więc...

– A ten Curyło młody czy stary?

Zaspana mistrzyni dedukcji prawie witała się już z pięćdziesięciozłotówką.

Wzruszyła ramionami.

– Taki jak pan. Czyli raczej stary.

– Cudna pani jest. Dzięki za to „raczej”.

Wróciłem do bibliotecznej świątyni, w której pachniało czystością, lawendą, a z kwiatów doniczkowych na parapecie skapywały krople wody. Przewertowałem gazety. Ton artykułów w 1989 zmieniał się niemal co miesiąc. Wiosenny nastrój ostrożnej nadziei jesienią tego roku ustępował już nieskrywanej euforii. Fala zmian dotarła także tu i nic nie mogło jej zatrzymać. Tchnienie nowych czasów wyczuwało się wszędzie, niezależnie od tego, czy pisano o wielkiej czy lokalnej polityce, hodowli ryb czy mazurskiej turystyce. O spalonej leśniczówce nie było zgoła nic, jedynie dwie krótkie wzmianki. Więcej dowiedziałem się od Daniela. Łudziłem się, że może gdzieś trafię na informacje o jakimś tajemniczym wypadku. O zaginięciu. Albo o wraku samochodu. Że przypadek pokieruje mnie ku czemuś, co mogłoby się kojarzyć z moim ojcem. Nic takiego nie znalazłem. Przypomniałem sobie, co Agnieszka Wrzesień mówiła o zaginionej koleżance. „Gdy tam pojedę, to wróci”. Chyba jakoś zaklinała rzeczywistość, bo trudno inaczej to nazwać. W sprawie mojego ojca zachowywałem się podobnie. Wróciłem myślami do rozmowy w barze na Wspólnej. Uśmiechnąłem się do siebie. Swoją drogą, ciekawe, co u niej słyhać.

– I co? Znalazł pan coś godnego uwagi? – Bibliotekarka zauważyła uśmiech błakający się na mojej twarzy.

– Niestety nie. Ale się nie poddaję. Jeszcze do was wrócę.

Kilka minut po piątej znalazłem się na powrót w barze Endzel. Ruch był już spory. Okadzeni dymem mężczyźni siedzieli przy dwóch ławach, a przed każdym stała szklanka z piwem. Z jednym, znacznie starszym ode mnie, zderzyłem się w wejściu. Na głowie miał bejsbolówkę z nadrukiem „Red Sox”. Popatrzył na mnie mocno wczorajszym spojrzeniem.

– Wiesz, dlaczego tu przychodzę? – Położył mi rękę na ramieniu. Zamiast paznokci miał szpony pozółkłe od papierosowego dymu. – Przychodzę tu, bo tu nie jest pora i czas na myślenie.

Pokiwałem głową, że rozumiem, i pozeğłowałem w głąb lokalu.

Trzy stoliki w części głównej baru były zajęte. Dwie parki i samotny mężczyzna. Facet w ubraniu roboczym upapranym farbą siedział przy automacie do gier. Kibicowało mu dwóch młodszych dresiarzy.

– Tutaj, kurwo, tutaj miałaś wskoczyć. – Gracz uderzył ręką w wyświetlacz z jabłuszkami i winogronami, a kibice skinęli potakująco głowami.

– Co za szmata – burknął jeden. – Co oddaje, to zabiera.

Rozległ się brzęk monet.

– Teraz dobrze ci dała. – Ucieszył się.

Somnambuliczna czarnulka rozpoznała mnie. Zapytałem o samotnie siedzącego mężczyznę.

– To ten?

– Aha. Ten.

Zamówiłem lufę żołądkowej gorzkiej i dwa piwa. Nigdy nie rozumiałem, na jakiej zasadzie w wielu lokalnych barach ustalany jest cennik. Żadne tam sześć czy osiem złotych. Trzy siedemdziesiąt pięć. Cztery złote osiemnaście groszy. Jakby obowiązywał tu odmienny przelicznik, inny system miar i wag.

Podszedłem do Curyły, postawiłem baterię alkoholu, a on podniósł głowę. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie nosem. Wielkim, z popękanymi naczynekami, z drobnymi włoskami na koniuszku. Dopiero potem zwracało się uwagę na całą resztę. Przekrwione oczy i sieć zmarszczek wokół nich. Curyło miał na sobie jasną prążkowaną koszulę.

Marynarce, także jasną, przewiesił przez oparcie krzesła. Dokończył piwo łapczywymi haustami i spojrzał na stojące przed nim pełne szkło.

– Chciałbym wykorzystać pana wiedzę o świecie. – Podsunąłem mu szklanke.

– Kim pan jest? – zapytał głosem niespodziewanie wysokim.

Dresiarze na chwilę stracili zainteresowanie grą i odwrócili się w naszą stronę.

– Nieważne, kim jestem. Ale mam przyjazne intencje. Ważne, że to jest Zygmunt Stary.

– Podsunąłem mu banknot.

Wyprostował się.

– Za kogo mnie pan uważa? Nie jestem kapusiem.

– To może porozmawiamy we czterech. Ja, pan, król Zygmunt i jego brat bliźniak. –

Podsunąłem jeszcze jeden banknot.

Cztery stówy. Curyło przełknął ślinę. Rozpiął guzik koszuli, jakby nagle zrobiło mu się gorąco.

– Ale nie tu – powiedział i wstał. – Jest jeszcze jedna sala.

Znajdowała się za przepierzeniem, którego nie zauważyłem. Stały w niej dwie ławy i stół bilardowy. Na ścianie wisiał sporych rozmiarów obraz. Młoda dziewczyna w bikini prężyła się na piasku, na tle morza. Wypinała kształną pupę, a wokół jej głowy tańczyły kule bilardowe. Uznałem, że malarz poradził sobie z tematem. Mistrzostwo świata. Smółka byłby z niego dumny.

Usiedliśmy.

– Słyszałem, że państwo jesteście dziennikarzami niezależnymi?

Skrzywił się.

– My to znaczy kto? Niezależnymi od kogo?

– Wasza gazeta. Jesteście niezależni od Koeniga.

Przyjrzał mi się uważnie. Jakby chciał zapamiętać oblicze człowieka szukającego kłopotów.

– Nikt nie jest do końca niezależny od Koeniga. Jego firmy wykupują u nas reklamy. Ale pozwala nam pisać krytycznie. Mówi, że musi być jakaś różnorodność i że on to lubi. Że nie znosi lizidupstwa. Za to nasza konkurencja to jego pieski.

Pytałem, a on opowiadał.

– Henryk Koenig, ciekawa postać. Nikt nie ogarnia tych jego biznesów. Aż dziwne, że on wciąż tutaj mieszka, w rodzinnym domu, raczej skromnie, chociaż mógłby mieć niejedną

pałac. Mówi, że rodzinnego gniazda się nie porzuca i że taki full wypas to nie jego styl. Pewno tak. Zresztą postarzał się, w ostatnich latach jest go jakby mniej. Uwielbia konie, ma na swoim terenie stajnię, trenuje je pod zawody. To znaczy tylko dogłada. I też już nie jeździ, od kiedy miał operację biodra. Kiedyś to był kozak. A najlepiej, jak jego syn się żenił. Koenig wynajął chłopaków z Majdańca, faceci po dwa metry, ubrał ich w garnitury, każdemu wsadził słuchawkę w ucho. I gdy jechały limuzyny z Kiejkut do Szczytna i z powrotem, oni wstrzymywali ruch na drodze. Naprawdę tak było.

– Który się żenił? Ten taki gruby?

– Tak. Burger. Tak na niego mówią, a on się nawet nie obraża. Jak był w Ameryce, brał udział w zawodach w jedzeniu hamburgerów. Zdaje się, że coś nawet wygrał, a to już wyczyn. Hamburgery to jego obsesja. – Curyło zachichotał. – Jedna z dwóch.

– A druga?

– Rucha wszystko, co na drzewo nie ucieka. Ta jego żona krótko wytrzymała i odeszła. Burger ma kasę, kupuje sobie kobiety. Najlepiej... Ja bym jeszcze jedno takie wypił. – Dziennikarz pokazał na pustą szklankę.

Przy automacie stała wciąż ta sama ekipa.

– Kaziu to mógłby robić za kościelnego – odezwał się dresiarz. – Lubi brzdęk monet.

– No! – potwierdził drugi. – Wieczorami grasowałyby w zakrystii. A wiesz, co on by zrobił? Zamiast tacy w kościele ustawiłby te maszynki. Żeby ludzie kasę w nie wrzucali. Byłby lepszy od Rydzyka.

Rozległ się głośny rechot spuentowany beknięciem.

Wziąłem piwo, to za cztery piętnaście, i wróciłem do dziennikarza.

– Najlepiej – zaczął urwany wątek – jak tu w barze taka Kaśka pracowała. Burger mówił, że ma dobrze wyklepaną karoserię, tylko zawieszenie niskie. On głównie w motoryzacji robi. I wie pan co? Dziewczyna męża miała, a Burger uznał, że z mężatką to grzech. Bo diablo bogobojny przy okazji jest... Wie pan, co wtedy zrobił? Kupił pomnikowe wydanie dzieł Jana Pawła. Każdy tom – Curyło rozłożył ręce – jak ten stolik. Komplet, chwalił mi się, trzy i pół tysiąca złotych.

– I co? – Domyślałem się ciągu dalszego, ale chciałem to usłyszeć.

– I pukał ją na tym tomiszczu dzieł naszego papieża. Mówił, że wtedy nie grzech. – Pociągnął dwa łyki ze szklanki, jakby stawiał kropkę w opowieści.

Zapytałem o sprawę sprzed dziesięciu lat. Curyło nie pamiętał wiele. Tak, chodziło o gwałt, ale wtedy pracował jako dziennikarz w Olsztynie. Nie zna szczegółów. Chyba stary Koenig ukręcił jej łeb.

– A ten drugi syn? Taki niezbyt urodziwy...

Curyło zastanawiał się nad odpowiedzią. Z sali obok dobiegło kilka przekleństw i podniesiony głos barmanki. Po chwili wszystko wróciło do normy.

– Wie pan co? To po prostu biedny chłopak. Biedny, ale zły.

– Że biedny to nawet rozumiem. Tylko co to znaczy „zły”?

Zamyślił się i spojrzał na obraz wiszący nad stołem bilardowym.

– On ma jakąś taką złość wobec świata... Nie umiem tego nazwać inaczej... Prowokuje ludzi... A potem wzywa starego na pomoc. Jakby się mścił nie wiadomo za co. Szukał winnych... No, zbyt urodziwy to on nie jest. Było kilka takich akcji...

Mogłem powiedzieć, że niedawno widziałem jedną z nich. Gdy postanowili zabawić się z motocyklistami.

– Ale to się skończyło, jak młodzi się rozjechali.

– Rozjechali?

– No tak. Burger kręci biznesy na Pomorzu, a Andrzejek w Wielkopolsce. Głównie mięso, wędliny, jakieś przetwórstwo... O – Curyło się ożywił – słyszałem, że obaj teraz przyjechali do ojca. A ostatni raz chyba rok temu byli. Latem. Rzadko spotykają się razem. Stary siedzi tu sam, z tymi końmi...

Zmieniłem temat. Zapytałem o brata Henryka Koeniga i pożar leśniczówki. Legendy tylko krążyły. Niektóre całkiem nieprawdopodobne. Taka na przykład, że ten brat był ponoć agentem. A pożar po to, by zbudować mu legendę i żeby mógł zniknąć.

– W ogóle u was sporo pożarów – skomentowałem. – Ostatnio jakiś samochód w lesie...

Dziennikarz zatrzymał szklanekę w pół drogi do ust.

– Słyszał pan? Trzy trupy... Dwóch braci Klenczonów i jeszcze jeden w bagażniku. Ci Klenczonowie czasem dla Koeniga pracowali... Ale coś innego musieli mieć za uszami. Przecież nikt bez powodu takich rzeczy z ludźmi nie robi. To czyste barbarzyństwo. Hipoteza jest taka, że to porachunki grup przestępczych. Taka jest przynajmniej linia śledztwa.

– A Smółka? Ten guru z Ochódna?

Curyło wydał usta.

– To szarlatan jakiś... Tyle że dodaje okolicy kolorytu. Chciałem z nim kiedyś zrobić wywiad do gazety, odmówił. Taki wyniosły dupek, z gębą pełną frazesów... Czasem ktoś z branży pyta mnie o niego, zwłaszcza w sezonie ogórkowym.

– A jak ten Smółka żyje z miejscowymi? Z Koenigiem?

– Początkowo Koenig się burzył, że taki dziwoląg jest w okolicy. I że jacyś hipisi panoszą się po terenie. Ale machnął na to ręką. O Smółkę to tak naprawdę aptekarza musiałby pan zapytać... – Przerwał, gdy do sali zajrzał jeden z dresiarzy.

Chłopak rozejrzał się, a potem podszedł do naszego stolika. Poprosił o papierosa. Rozłożyłem ręce. „Nie palę”. Curyło poklepał się po kieszeniach, wyjął paczkę cameli i poczęstował młodego.

– Nie siedzę w tej dla palących, bo tam to już sajgon – wyjaśnił.

– Co z tym aptekarzem?

– Ma aptekę na rynku, przy restauracji. Mówili, że Smółka do niego przyjeżdża, plotkowali, że mu jakieś narkotyki z Brazylii przywozi... Ale – machnął ręką – ludzie niejedno gadają. A ten aptekarz podobno rozprawia tu po terenie dopalacze... – Uniósł głowę. – Teraz ja mam do pana pytanie.

Czekałem.

– Do czego to panu wszystko potrzebne?

Wymieszałem resztki piwa w szklance.

– W ubiegłym roku zaginęła tu dziewczyna. Magdalena Wolska. Szukam jej. Pytał ktoś pana już o nią?

Skierował wzrok ponad moją głowę, w stronę głównej sali.

– Nie. Pan jest pierwszy. Nie słyszałem, żeby ktoś zaginął. Wiedziałbym o tym jako pierwszy. W najgorszym razie byłbym trzeci.

Nie kłamał. Tego byłem pewien. Westchnąłem.

Zostawiłem mu wizytówkę.

– Gdyby jednak pan coś usłyszał albo przypomniał sobie, proszę dać znać. Ja i Zygmunt Stary będziemy wdzięczni.

Wykrzywił się w uśmiechu i pokiwał głową.

Za kontuarem zaspaną czarnulkę zastąpiła koleżanka. Miała wyłupiaste oczy. Przy automacie wymieniła się ekipa graczy. Z sali dla palących dobiegały podniesione głosy.

Mężczyzna w bejsbolówce Red Soxów stał przy wejściu i krzyczał:

– Mówię wam, że sam diabeł to zrobił! To diabeł załatwił Klenczonów! I z wami będzie podobnie!

– Dziadzia, weź się zamknij. – Jeden z mężczyzn podniósł się z ławy w kącie. Potrącone kufle zadźwięczały. Ktoś kazał mu usiąść.

– Dziadzia, a ja słyszałem, że to nie diabeł, tylko ksiądz – wmieszał się ktoś jeszcze.

Stary splunął pod nogi i wyszedł do ogródka. Na chwilę zapadła cisza.

Przypomniałem sobie, co przed chwilą powiedział dziennikarz.

Ludzie niejedno gadają.

Raz jeszcze przeczytał swój wpis.

To nie może być przypadek. W życiu nie ma żadnej przypadkowości. Jeśli tak myślimy, skazujemy nasze życie na mentalną wegetację. Życie na poziomie muchówek albo innego robactwa („robactwo” — wzdragam się na myśl o nim, a uwierzcie mi, mam swoje powody).

Przypominamy łańcuch misternie połączonych kostek domina, z tym że jest to łańcuch gigantycznych rozmiarów, który tak naprawdę nie ma początku ani końca. Domino Istnienia wykonane jest z najtrwalszego materiału.

Możemy to sami dostrzec. A dlaczego tego nie robimy? Ulegamy idolom, jak powiedziała by Francis Bacon. Co ciekawe, Bacon mylił się w wielu sprawach, ale to temat na inną okazję. Tak czy inaczej, żyjemy w okowach złudzeń. Bo tak wygodniej i tak bezpieczniej. W pułapce czasu czujemy się jak w ścianach własnego domu. Wygodnie. Jak w kokonie.

Trzeba odwagi, żeby to dostrzec. Trzeba śmiertelnej odwagi, żeby wysnuć z tego konsekwencje.

Wykreślił uwagi o angielskim filozofie. Słowo „wysnuć” także mu się nie spodobało. Poprawił je i wrócił do lektury.

Trzeba śmiertelnej odwagi, żeby wyciągnąć z tego konsekwencje.

Jestem, kim jestem. Zostałem naznaczony, nie cofnę tego, nie zmienię, w chwilach słabości żałuję, że jest, jak jest, ale słabości są ostatecznie po to, byśmy mogli ocenić własną siłę. Poza tym naznaczenie jest wyborem jednego spośród innych. Jest znakiem.

Przyznaję, bywały takie chwile, że wątpiłem. Ale wtedy mój Mistrz powiedział: „Żyj”. Uodpornij się na ból. Polub go. Ból jest bramą, którą przechodzą nieliczni. Powiedział też, że otrzymam trzy czytelne znaki. Będą to trzy drogowskazy na ścieżce odrodzenia. Czekałem więc. Czekałem i nie traciłem nadziei.

Trwało to wiele, wiele lat, ale taki musi być czas prawdziwej próby. To nie danie w barze szybkiej obsługi. Wreszcie pojawił się pierwszy znak. A gdy dokonano się, czułem się, jakbym znalazł się poza czasem i przestrzenią. Wolny od prawa ciężenia i ciężaru świata.

Otrzymałem drugi znak. Mistrz przestrzegał, że nie będzie to prosta ścieżka. I że natrafię na niej na rozmaite przeciwności. Że pojawi się ktoś, żeby zmącić moje plany. Zastanawiałem się nawet, czy nie nadszedł już właściwy moment. Bo doskonale wiem, że mogę to zrobić teraz, w dowolnej chwili, nie czekając na trzeci znak.

Tyle że jestem pewien, że taki sygnał nadejdzie. Pojawi się bardzo szybko, czuję to wyraźnie całym sobą, a w takich sprawach się nie myślę. Będzie to dowód ostateczny.

Zaczekam więc na trzeci znak. I wtedy ogram czas.

Nie jesteście pewni, o co mi chodzi, wnioskuję tak po Waszych wpisach. Cóż... Nie mogę Wam ułatwić zadania. Można próbować prymitywnych metod. Jak James Jones w Gujanie w 1978 roku... Ale można też inaczej.

Zaznaczył ostatni akapit i usunął go.

Karol Darwin. Pomyślcie o nim. Przez czterdzieści lat cierpiał na tajemniczą chorobę i nikt nie był w stanie mu pomóc. Przechodził straszliwe męki... Uwierzcie, wiem coś o tym...

Pokręcił głową niezadowolony. Ostatnie zdanie było do niczego. Uznał, że tę myśl musi ująć inaczej.

Przechodził straszliwe męki. Wierzcie mi: wiem, co czuł. Jestem tego pewien jak nikt z Was. Tylko że Darwin należał do świata Bohaterów, a nie świata robactwa. Napisał O powstawaniu gatunków. Stworzył podwaliny teorii, która wyróciła świat. Nie, nie chodzi mi o to, że Darwin był genialny. Nie każdy geniusz jest w stanie ograć czas. Ale teoria ewolucji, perpetuum mobile Wiecznego Koła, to antidotum na śmierć. Darwin uciekł w nieskończoność. Zapewniam Was tylko, że ja nie będę przed niczym uciekał.

Są różne ścieżki wyzwolenia i odrodzenia. Dane Wam będzie jeszcze o tym usłyszeć.

W tym miejscu wpis się kończył. Mężczyzna uznał, że czegoś w nim brakuje. Wstał, przeszedł się tam i z powrotem, deski pod bosymi stopami zaskrzypiały. Ponownie usiadł przed laptopem.

Jestem zdecydowany na ruch ostateczny i on nastąpi. Na razie jeszcze czekam.

Gdy piszę te słowa, zbliża się świt. Za chwilę wszędzie słońce. Czerwona kula ognia znów zawiśnie nad nami jak miecz przeznaczenia.

Skreślił trzy ostatnie słowa.

Był zadowolony ze swojej pracy, chociaż wiedział, że nie jest ona dziełem jego życia. *Opus magnum* było przed nim. Nacisnął kilka klawiszy i tekst powędrował w przestrzeń megabajtów i pikseli. W świat elektronicznego robactwa zamulającego prawdziwe życie.

To nie może być przypadek, przemknęło mu przez głowę raz jeszcze.

Wiedział, jakie będzie jego kolejne posunięcie. Zdążył to już przemyśleć. Potrzebował jeszcze trochę czasu.

Wstał, podszedł do okna i otworzył je. Poczł strumień rzeńskiego powietrza, jakie dociera tylko o tej porze. Zakasłał. Zamknął oczy. Położył ręce na piersiach.

Trwał bez ruchu kilka minut, jakby chciał tym gestem rzucić rękawicę przyszłości.

Obudził mnie telefon.

– Prosiłem, żeby pani nie dzwoniła – warknąłem. – Obiecałem, że sam odezwę się w stosownym momencie.

– Wiem, o co pan prosił. – Głos mecenas Hyżej był lodowaty i można by okładać nim skacowaną głowę.

Tyle że ja nie miałem kaca. Narastała natomiast we mnie złość i frustracja. Nie posunąłem się w poszukiwaniach. Nie miałem nic nowego do powiedzenia o zaginionej dziewczynie. Ani o ostatniej wyprawie mojego ojca.

– I podejrzewam, że żaden moment nie będzie stosowny – dodała. – Więc?

– Pyta pani, co udało mi się ustalić? – Westchnąłem.

Mruknęła coś i ten pomruk przebił się przez trzaski w telefonie.

Odpowiedziałem. Nie była to ani długa, ani zajmująca opowieść.

– Po prawdzie wciąż jestem w punkcie wyjścia – zakończyłem. Nie była to najlepsza puenta.

– Przynajmniej nie robi mi pan żadnych złudzeń. Robienie nadziei jest najgorsze. Ale...

– Tak?

– Wyczułam wahanie w pana głosie. Ma pan jakiś ślad, prawda?

Niczym nie różniła się od setek innych obolałych kobiet i mężczyzn, którzy nie mogą pogodzić się ze stratą i desperacko potrzebują, żeby ktoś rzucił w ich stronę koło ratunkowe. Chcą, żeby podsycać nadzieję, tak jak podtrzymuje się funkcje życiowe. A zarazem będą utrzymywać, że nie chcą być karmieni złudzeniami i chcą stawić czoło prawdzie.

– Ma pani rację. Jest pewien ślad. – Pomyślałem o dwudziestolatce z farmy Smółki, wpatrującej się zbyt długo w zdjęcie. I w moje oczy. – To bardziej nawet przeczucie niż ślad. Intuicja. Muszę to dopiero sprawdzić. Nie wiem, czy to nie jest fałszywy trop.

– Nic więcej pan nie powie?

– Nie. I proszę nie dzwonić.

Pożegnała mnie kilkusekundową ciszą w telefonie.

Rozumiałem ją. Wiem, czym jest czekanie na wiadomość. Na wieści dobre lub złe. I gdy te nie nadchodzą, kiedy telefon milczy, pozostaje chodzenie po ścianach. Po wielu latach oduczyłem się dawania ludziom nadziei. Od tego jest ksiądz. Albo psycholog. Więc milczę, aż znajdę zaginionego. Żywego albo martwego. W zdrowiu lub w stanie zlewnym.

Raz jeszcze spojrzałem na wyświetlacz. Podczas rozmowy ktoś się nagrał. Miałem na poczcie wiadomość. Numeru nie znałem.

– Dzień dobry. – Rozpoznałem głos Graży, dziewczyny szamana. – Mistrz chciałby się z panem spotkać i... – zawahała się – wyjaśnić nieporozumienie. Mistrz nie lubi rozstawać się w gniewie. Zapraszamy dziś. Tak o drugiej, trzeciej. Jeśli znajdzie pan chwilkę...

„Nie lubi rozstawać się w gniewie”. Kto by pomyślał! Tyle że ja nie zamierzałem się rozstawać z ludźmi zajętymi zwalczaniem wewnętrznych demonów. Wręcz przeciwnie. Musiałem porozmawiać z dwudziestolatką, której milczenie wyrażało być może więcej niż słowa. Uznałem, że dobrze się składa i że szczęście się do mnie uśmiechnęło. Pomyślałem o Smółce. Było poniżej jego godności, żeby samemu zadzwonić. A może po prostu nie korzysta z komórki i gardzi cywilizacyjnymi udogodnieniami?

Przekartkowałem książkę, jakbym spodziewał się, że przez noc dwa zdjęcia cudownie wróciły na miejsce i że ich brak tylko mi się przyśnił.

Fotografie nie wróciły. Ich brak nie był złudzeniem. Pokręciłem głową i ruszyłem na dół.

Trzy zraszacze pracowicie podlewały trawę i drzewa, a na terenie pensjonatu panował spory ruch. Dwaj poszukiwacze skarbów pakowali sprzęt do kampera. Ten, który miał ksywę Docent, palił skręta, a w stojącym powietrzu zawisa woń marihuany. Nie kryli się z tym, nie robili problemu i nikt inny też go nie robił. Uważali, poniekąd słusznie, że nikogo tu takie sprawy nie obchodzą. Obaj spojrzeli się na mnie trochę debilnie, trochę przymilnie, a potem parsknęli śmiechem. Moje dwa palce utworzyły literę V i przesłałem poszukiwaczom mój znak pokoju.

Chciałem porozmawiać z właścicielem Mazurii, ale nigdzie go nie było. Wojtek Kowalewski, niezmiennie w żonobijce, dopadł nowego przyjeźdnego. Kończył opowieść o głuchoniemym w zajezdni tramwajowej. Otworzył piwo, ten drugi zrobił to samo.

– Pan pisarz się napije? A, samochodem dziś, rozumiemy, rozumiemy.

– A pan czym się zajmuje?

Nowy sprzedawał obrusy.

– Najlepiej schodzą w maju, jak komunie są. I trzeba mieć układy z proboszczami i znać grafik odpustów. Bo widzicie – mówił do nas – moja żona tego pilnuje i ma taki specjalny notes. Połączyliśmy to ze sprzedażą waty cukrowej, bo na kilogramie cukru jest niezła przebitka, a dzieci watę uwielbiają. Dorośli zresztą też. Złota kobieta, ta moja, ma głowę do interesów. A ja wymyśliłem specjalną ofertę dla nowożeńców. Sprzedaję im obrus, taki piętnaście metrów na weselny stół, a po uroczystości tnę na kilka mniejszych. Gratis. Taką specjalną wypalarkę w Lidlu kupiłem, bo jak się tnie nożycami, to się obrus strzępi. Ale kiedyś trzeba odpocząć od pracy. I od starej. Nie?

Spojrzał na nas, a my, jak mędracy zaprawieni w nierównych bojach z życiem, pokiwaliśmy głowami. Wojtek i handlarz stuknęli się butelkami.

Zaczęli rozmawiać o rybach i uznałem, że pora ich zostawić z obrusami i szczupakami. Ruszyłem nad jezioro. Chciałem na spokojnie przemyśleć to, co usłyszałem od dziennikarza. Czułem, że ta opowieść się nie klei. Czegoś w niej brakowało.

– Panie pisarz, zaczekaj pan! – usłyszałem za sobą.

Wojtek Kowalewski w crocsach truchtał w moją stronę. Z opiętym koszulką brzuchem wyglądał jak dobosz.

Zatrzymałem się.

– Wie pan, nie chciałem być niemiły. Gdy pytał pan o tę dziewczynę... – Świdrował mnie wzrokiem. – Po prostu nie widziałem jej. A w ogóle w ubiegłym roku mnie tu nie było...

Otarł pot z czoła, a ja zastanawiałem się, dlaczego się przede mną tłumaczy. Powiedziałem, że nie mam do niego żalu.

– Ale – pochylił się nade mną, a ja poczułem intensywny zapach piwa – jeśli coś usłyszę, powiem panu. Tak naprawdę – ściszył głos – też jestem tajnym agentem. Jak pan.

Klasnął w dłonie. Roześmiał się, zachwycony swoim żartem, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pensjonatu.

Patrzyłem, jak galaretowate cielsko sprawnie pokonuje niewielką stromiznę.

O wpół do trzeciej byłem w Ochódnie. Słońce niemiłosiernie prażyło, a ja znów wjechałem na teren, gdzie nie było szansy na wytchnienie. Drzewa były tu fantomami, a fantomy nie rzucają cienia. Klimatyzacja przestała działać i musiałem przyzwyczaić się do pędu gorącego powietrza wpadającego przez opuszczone szyby i parzącego twarz. Ciężko oddychałem, a samochód warczał i drgał, wtaczając się na kolejne pagórki. W drodze, gdy

miałem jeszcze zasięg, zadzwoniłem do brata. Z takim samym skutkiem jak ostatnio. Wahałem się, czy nie zostawić mu wiadomości, ale ostatecznie zrezygnowałem. Przypomniałem sobie rozmowę z mecenas Hyżą. Coś nie dawało mi spokoju i teraz dopiero dotarło do mnie co. Dziś zadzwoniła, po raz pierwszy trzymając się moich wytycznych. Tyle że, wiedziałem to dobrze, nie była kobietą nawykłą do podporządkowywania się, wręcz przeciwnie, to ona zawsze grała pierwsze skrzypce. A skoro do mnie dziś nie dzwoniła, to znaczyło, że... Znaczyło, że musiała wiedzieć, co się u mnie dzieje. Pytanie: skąd i od kogo?

Dojechałem na miejsce. Samochody stały w taki sam sposób jak ostatnio. Przybył tylko jeden wóz. Jeep cherokee miał szczycińską rejestrację. Wsiadłem i rozejrzałem się. Nie mogłem określić miejsca, gdzie kończył się teren posesji. Nie widziałem żadnego ogrodzenia, słupów, tabliczek. Nic. Było trochę tak, jakby cały ten obszar wzięto w nawias. Wyrzucono z czasu i przestrzeni. Powoli ruszyłem w stronę budynku dawnej stacji kolejowej. Miałem nadzieję, że spotkam milczącą dwudziestolatkę. I że uda nam się porozmawiać.

Nie zobaczyłem jej jednak. Nadziałem się na brodacza, tego najstarszego. Powiedziałem „dzień dobry” i coś o upale. Za odpowiedź musiało mi starczyć pochmurne spojrzenie. Pewnie uważał, że znieważyłem wczoraj nie tylko Smólkę, ale ich wszystkich. Nie chcesz rozmawiać, to nie, bucu. Potem napotkałem dwie chichoczące dziewczyny. Obie były w białych bluzeczkach na ramiączkach, pastelowych szortach i sandałach. Zupełnie jakby się umówiły. Zadałem pytanie kontrolne i dorzuciłem jeszcze jedno o to, jak czuje się Mistrz. Zareagowały tak samo jak brodaty. Zbyły mnie milczeniem i zagadkową powagą.

A potem nadeszła Graża. Bez słowa podała mi rękę.

– Co jest? Wszyscy stracili tu głos? Dostaliście zakaz rozmawiania ze mną?

– Nie – odpowiedziała. – To takie ćwiczenie. Wzięte z teatru Jerzego Grotowskiego. Zakaz rozmowy. Albo jak wolisz, nakaz milczenia. Przez czterdzieści osiem godzin.

– Ale ty możesz mówić?

– Z tobą mogę rozmawiać.

– Uwielbiam, gdy kobiety podkreślają moją wyjątkowość.

Wydęła wargi i nic nie odpowiedziała. Poprowadziła mnie do budynku.

Panował w nim przyjemny chłód. Jak w kościele. Ściany nie nagrzały się podczas upału. Odetchnąłem pełną piersią. Szliśmy mrocznym korytarzem, a pod stopami czułem chrzęst spękanego betonu. W półmroku wyłoniły się solidne drzwi, dwoje po lewej stronie i troje po prawej. Wszystkie były zamknięte. Skądś dobiegała cicha muzyka, a może był to po prostu dźwięk połączenia w telefonie. Zostawiłem im wizytówkę, ale w trakcie Koła, tego czarnoksięskiego seansu terapii grupowej, nie dostrzegłem, żeby ktoś miał komórkę.

– Możecie używać telefonów? To znaczy Szela, Wilczyca, inni... Nie wydaje mi się, żeby Grotowski miał coś przeciwko.

Graża przyspieszyła kroku.

Schody skręcały w lewo i znaleźliśmy się na piętrze. Były tu tylko jedne drzwi. Cicho zapukała, a potem je otworzyła. Wprowadziła mnie do środka i wyszła. Zostałem sam na sam z tutejszym Panem Bogiem.

Mistrz stał przy oknie. Z założonymi rękami wyglądał jak wódz indiański. Miał na sobie te same jasne spodnie i espadryle. Zamiast koszuli czarny T-shirt bez nadruku. Włosy związane w cienki kucyk. Chciałem powiedzieć, że gdzieś zawieruszyła mu się czapeczka Gandhiego, ale nie zdążyłem.

– Trochę tu u mnie skromnie, ale mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

A więc tak mieszkają mistrzowie, guru, szarlatani i wizjonerzy. Powiodłem wzrokiem po prostokątnej, dużej izbie. Przy oknie stało biurko, a na nim laptop. A zatem Smółka nie był na bakier ze zdobyczami techniki. Obok okazała biblioteczka. Półki, o ile mogłem to ocenić, wykonano chyba własnoręcznie, z jasnego sosnowego drewna, podobnie jak szafę. Podszedłem bliżej. Pokaż mi swoją biblioteczkę, a powiem ci, kim jesteś. Hiszpańskie wydanie Biblii sąsiadowało z wydaniem angielskim. A obok, także po angielsku, *Nauki don Juana* Carlosa Castanedy. W sumie dość banalne zestawienie. Każdy ma takie pismo święte, jakiego potrzebuje. Najbardziej zaintrygowało mnie to, co zobaczyłem przy ścianie po prawej stronie. Materac. Solidny i duży. A nad nim duża rycina przedstawiająca azteckiego wojownika z oszczepem i ptasimi piórami zdobiącymi tarczę. Po lewej stronie od drzwi, przy ścianie, stała okazałych rozmiarów ława. I właśnie na tę ławę zaprosił mnie Smółka.

Usiedliśmy dobry metr od siebie. Chłoniliśmy ciszę. Mistrz kontemplował jakiś sęk w podłodze, a ja wpatrywałem się w rycinę.

– Wychowałem się w Bieszczadach – zaczął. – Z lat sześćdziesiątych, pięćdziesiątych nawet, pamiętam jeszcze bojkowski chył. Takie właśnie z jedną izbą, obszerne jak tu. Dobrze się w takich miejscach czuję. Kiedyś – westchnął – naprawiałem dach, naprawdę stromy. Widział pan takie? Z takimi warkoczami ze słomy, wzmacniany od szczytu palami... Teraz to już tylko na starych fotografiach można takie zobaczyć, ale dla mnie był to widok powszedni.

Oparł jedną stopę na drugiej, a palcami potarł oczy, w ten sposób przewijał do tyłu stary film.

– Pamiętam też zimę. Mróz trzaskał, tak z minus trzydzieści było. Spałem w chyły z ławami przymocowanymi do ścian... Trochę jak tu. I tam był taki rozwalający się piec. Dym wydostawał się przez szparę pod sufitem. Gospodarz przez całą noc utrzymywał ogień. Dzielny człowiek, chociaż dla niego było to normalne. Nie wiem, jak mu się to udawało... A gdy wróciłem w Bieszczady po latach, to już nie było to samo. Dlatego...

– Czy używa pan pomady do brody? – przerwałem mu.

– Słucham? – Zwrócił się w moją stronę. Zamrugał. Wyglądał jak człowiek gwałtownie wyrwany ze snu.

– Jestem ciekaw, czy używa pan pomady. – Przeczesałem palcami brodę. – Takiego szwedzkiego smarowidła w tubkach... Żeby się lepiej układała i nabłyszczona była.

Głowa zaczęła mu lekko drżeć.

– Widzę, że pan robi wszystko, żeby wstąpić na wojenną ścieżkę. Ale tym razem się panu...

– Skoro ma pan pokojowe zamiary – wtrąciłem się znów – to może będziemy mówili do siebie „bracie”. Jak w komunie. W filmach coś takiego widziałem.

Milczał. Ja też. Nigdzie mi się nie spieszyło. Za oknem słyszałem świergot ptaków. A więc nie wszystko tu milczało.

– Możemy tak przesiedzieć. W sumie miło tu. I chłodno. Nakazał pan swoim uczniom milczenie. Żeby z czymś się nie wygadali przede mną, tak? I podparł się pan naukami Grotowskiego. Sprytne.

Jego twarz przeciął grymas politowania.

– Nic pan nie rozumie.

– To może mnie pan oświeci. Przecież to pańska specjalność.

Nie wyczuł w moim głosie drwiny. Uniósł palec, ten uzbrojony w pierścień.

– Transde-pen-den-cja – wyszeptał, sylabizując.

– Że co?

– Transdependencja – powtórzył.

– Nie ma takiego słowa – upierałem się, jakbym grał w scrabble.

– Jest. Sam je wymyśliłem. Transdependencja to współbieżność myśli. Rozumie pan? Podprogowo korzystamy z myśli innych. To one są naszym paliwem. Podtrzymują naszą energię. A mowa, zgiełk, krzyk i niepotrzebne nerwy zamulają ten proces. Są jak śmieci wrzucone do pięknego ogrodu. Dlatego robimy takie ćwiczenie z nakazem milczenia. Żeby się oczyścić. Słowa są niebezpiecznym przeciwnikiem.

Mówił to ze śmiertelną powagą. Zero dystansu i zgrywy. Ja zaś kolejny raz utwierdzałem się w przekonaniu, że kościoły wszelkiej maści i wariatkowo mają wiele wspólnego. Czasami to jedno i to samo, a różnica tylko w obrządku.

Wstał, podszedł do okna i wrócił. Usiadł i znów ułożył jedną stopę na drugiej, tyle że teraz odwrotnie.

– Inaczej to panu wyjaśnię. Chciałbym, żeby pan wiedział, co my tu robimy. Wie pan, co to jest przepięcie?

– Ma pan na myśli prąd? Elektronika? Te sprawy?

– Tak. Wzrost ponad maksymalną wartość napięcia. Otóż ja chcę, żeby oni się oczyścili tak, żeby mogli osiągnąć przepięcie. Żeby osiągnęli maksimum. Wtedy – stuknął palcem w skroń – będą mogli korzystać z komunii myśli. Ale bez oczyszczenia nie da rady.

Spojrzał na mnie, a potem na ścianę naprzeciwko.

– Widziałem, że patrzy pan na tę rycinę. Ale jestem pewien, że nie dostrzega pan istoty rzeczy. Tam najważniejsze są pióra. Nie wojownik, nie oszczep... Pan wygląda mi na człowieka czynu i pewnie dlatego zastanawia się, z kim mierzy się ten mężczyzna i jak chce pokonać wroga. A tak naprawdę liczą się pióra na tarczy, nie on. Bo pióra symbolizują lekkość...

– Nie było w panu lekkości, gdy zapytałem o zaginioną dziewczynę... O Magdalenę Wolską. Wszyscy siedzieliście jak wbici w ziemię. A pan to się nawet lekko... spał.

Chciałem dodać, że się wręcz przepiął, tyle że w niewłaściwą stronę.

Mistrz wpatrywał się w swoje espadryle.

– Powiem panu – odezwał się wreszcie – dlaczego tak zareagowałem. Po pierwsze, nadużył pan naszego zaufania. Nie jest pan żadnym pisarzem... Udaje pan kogoś, kim pan

nie jest. A brak szczerości to grzech śmiertelny i źródło wszelkich nieszczęść... Po drugie – westchnął – tej dziewczyny u nas nie było. Tak po prostu. Daję słowo. – Przeniósł wzrok na mnie. – Nie było jej – powtórzył twardo – ale mieliśmy przez nią masę kłopotów.

– To znaczy? – Poprawiłem się na ławie.

– Najpierw... to było lato, tylko takie mniej upalne niż to... pojawił się tu Henryk Koenig. Biznesmen, a poza tym miejscowy watażka, trochę samozwańczy szeryf. Słyszał pan o nim?

– Powiedzmy.

– Więc on szukał tej Wolskiej. Przyjechał tu, groził nam, zniszczył kilka prac, a potem... Nawet nie chcę tego powtarzać.

– Nalegałbym jednak.

– A potem powiedział, że jak znajdzie tę dziwkę, to ją zabije. I że mamy mu dać znać, jeśli się pojawi. Bo jak nie, to zrobi z nami porządek.

– Kiedy to było?

– Sierpień? Druga połowa? Chyba... – Próbował sobie przypomnieć.

– A co go tak rozjuszyło?

Smółka wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie tłumaczył. Wpadł jak tajfun ze swoimi ochroniarzami. I wypadł. A niedawno przyjechał do nas... – zawahał się – przyjechał ktoś taki jak pan. Szukał tej dziewczyny na czyjeś zlecenie... Ale nie był od Koeniga. A my – rozłożył ręce – naprawdę nic nie wiemy. I mamy przez tę dziewczynę wystarczająco przykrości. Staramy się tu żyć spokojnie, a takie najścia wszystko burzą. Podmywają zaufanie. Niech się pan nie dziwi mojej reakcji...

Brzmiało to rozsądnie. Potarłem brodę.

– Wierzę panu. Czy jednak będę mógł porozmawiać z pańskimi uczniami? Oczywiście gdy skończą się umartwiać i milczeć?

– Proszę – zgodził się bez entuzjazmu. – Ale nic to panu nie da. I z pewnością nie dziś. Już raz zakłócił pan proces oczyszczania.

Wstał.

– Proszę zaczekać. – Ruszył do wyjścia.

Zostałem sam. Słyszałem oddalające się kroki.

Raz jeszcze zeskanowałem izbę spojrzeniem. Szybko podszedłem do biurka. Górna szuflada była zamknięta. W dolnej znajdowało się kilka ręcznie zapisanych kartek i ulotka, jaką dołącza się do leków. Przeczytałem nazwę specyfiku. Skrzywiłem się. Gdzieś już o tym słyszałem. Chyba jakiś środek nasenny. Może guru ma problemy z własnymi demonami? Szybko podszedłem do materaca. Podniosłem jeden róg. Potem drugi. Nic. Pochyliłem się nad wezłowiec i odchyliłem trzeci róg. Natrafiłem na opakowanie z kolejnym lekarstwem. Tym razem nazwa nic mi nie mówiła. Wyjąłem telefon i zrobiłem zdjęcie. Warto wiedzieć, czym guru się szprycuje. A chwilę później usłyszałem kroki. Usiadłem grzecznie na swoim miejscu.

Smółka trzymał w rękach kubek. Podszedł do mnie.

– Chciałbym, żebyśmy rozstali się w zgodzie – powiedział. – Mam tu coś wyjątkowego. Jeśli ma pan jeszcze trochę czasu. Wydaje mi się, a znam się na ludziach, że jest pan otwartym człowiekiem.

Spojrzałem na brązowawy płyn. Domyślałem się, co to jest, ale wolałem spytać.

– Ayahuaska – powiedział. – Nauczyłem się tego w Brazylii. W Warszawie pan tego nie dostanie.

Mylił się. Nie znał stołecznych trendów i najwyraźniej nie wiedział, że zaroilo się od amatorów psychodelicznego dzikiego kopniaka prosto z amazońskiej dżungli. Pomyślałem o DiMarchwio, innych aktorach, modelkach, freelancerach i palantach, którzy za pięć stów za sesyjkę fundowali sobie mgiełkę absolutu i potężny odlot. Najważniejsze są tu liście psychotropii zawierające DMT, dimetylotryptaminę, zwaną też „boską cząstką”. Być może to o niej opowiadał Smółka w jednym jedynym wywiadzie, jakiego udzielił. Więc za tych kilka stówek, bez wizyty w chacie zielarza, ryzyka malarii i wszelkich rytualnych pierdół, można nabyć towar z Holandii, Hiszpanii albo ze Szwecji.

Zrozumiałem, że mistrz poi swoich uczniów nie tylko mistycznymi dyrdymałami, ale czymś konkretniejszym. Nie mogłem wykluczyć, że niektórzy przybywali tutaj właśnie z tego powodu.

– Mam swoich własnych *vegetalistas* i *curanderos*³. I własne sposoby na odlot. Poza tym – wskazałem na półkę z książkami – po co panu Castaneda? On raczej gustował w *mescalito*.

Wzruszył ramionami i odstawił kubek na biurko. Zrozumiałem, że nie złoży ponownie propozycji. A może nawet żałował, że już to zrobił. Wstałem.

– Jedna rzecz mnie intryguje. Naprawdę. – Podrapałem się po brodzie.

– Tak? – Wysunął głowę do przodu. Skojarzył mi się z wężem gotowym do ataku.

– Materac. – Wskazałem głową. – To nie jest legowisko dla jednej osoby. Coś mi się zdaje – szelmowsko uśmiechnąłem się do niego – że mistrz nie tylko korzonkami i szarańczą się żywi, ale też młodymi ciałami. Obstawiam tę dwudziestkę, bo Graża to chyba w rezerwie. Puka mistrz tę młodą, co?

Prychnął ze wzgardą. Kropelka śliny trafiła we mnie. Otarłem czoło przedramieniem.

– A jeśli o to chodzi – wskazałem palcem na kubek – proszę pozdrowić swojego kumpla.

– Kogo mam pozdrowić? – Zmieszał się.

Trafiony, zatopiony.

– Aptekarza ze Szczytna. Przecież to pański kumpel, nie? I zdaje się, że jest gdzieś tutaj. Ten samochód na szczycieńskich blachach to jego?

Nie odezwał się. Podszedł do drzwi i otworzył je. Czekał przy nich, aż wyjdę.

Uśmiechnąłem się do niego na pożegnanie, raz jeszcze wskazałem na materac i pogroziłem palcem, jakbym udzielał napomnienia.

A gdy wróciłem do pensjonatu, zobaczyłem samochód, a obok niego dwóch mężczyzn. Po pierwsze, byłem pewien, że czekają na mnie. Po drugie, poza, w jakiej stali, a także wieczna udręka, wypisane na ich twarzach i wymieszane ze szczyptą ponuractwa i zatroskania sprawami świata, nie dawały pola manewru.

Poznałem już w życiu kilku takich.

Ich profesją śmierdziało na kilometr.

Przyjechali czarnym land roverem na miejscowych rejestracjach, trochę zbyt eleganckim i pachnącym. Prosto z myjni i nawoskowanym. Obaj byli równie eleganccy. Jeden w jasnoniebieskiej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach. Znak, że moda dotarła za opłotki Szczytna. Drugi w nowiutkiej dżinsowej kurtce. Obaj niezbyt adekwatnie ubrani do pogody, ale rozumiałem to. Sam niedawno paradowałem z glockiem ukrytym pod flanelową koszulą.

Ten w marynarce podszedł do mnie.

– Pan Hłasko?

Nie było sensu zaprzeczać.

– Dobrze, żeście mi przypomnieli.

Machnął mi przed twarzą legitymacją. Sewerski, Siewierski, jakoś tak. Tyle zdołałem odczytać. Nie miało to zresztą znaczenia. Równie dobrze mógł być Królowną Śnieżką albo utrzymywać, że jest obywatelem Saint Kitts i Nevis i mieszka na Karaibach.

– Chcieliśmy zamienić kilka słów.

– Kabury na broń – wskazałem marynarkę na wysokości pachy – też macie takie eleganckie?

Ten w dżinsowej kurtce odchrząknął. Chciałem zyskać kilka sekund. Ale od rozmowy i tak bym się nie wykręcił. Dopięliby swego. Uznałem, że bilans potencjalnych zysków wynikających ze spotkania jest wyższy od strat. Zwłaszcza że nie miałem wiele do stracenia.

Wzruszyłem ramionami, a oni zaprosili mnie do wozu. Wskazali miejsce obok kierowcy. Prowadził ten w marynarce. Z ognistymi włosami i rzadkim rudym zarostem w cuglach wygrałby casting na Szkota. Ten drugi, o ziemistej cerze, zapadłych szczerowatych policzkach i ustach wąskich jak sznurek, usiadł za mną.

– Zaraz – powiedziałem. – Pasujecie do swoich ról, ale muszę się upewnić, czy nie jesteście jakimiś aktorami miejscowego teatru.

Szkot spojrzął kątem oka na partnera, a tamten znów odchrząknął. Widocznie w taki sposób się ze sobą porozumiewali. W lusterku wstecznym widziałem, że szczerowaty

nieznacznie skinął głową. Ruszyliśmy. Dojechaliśmy do głównej drogi, skręciliśmy w lewo, a potem przy zakazie wjazdu dla wszystkich z wyjątkiem nielicznych uprawnionych odbiliśmy w prawo. Dojechaliśmy do pierwszej bramy. Kierowca machnął wartownikowi, a ten otworzył przejazd. Staaliśmy.

– Wystarczy? – zapytał kierowca. – Nie jesteśmy z teatru.

– Czy możemy wjechać za bramę numer dwa? – zaproponowałem. – Zrobiłbym kilka pamiątkowych zdjęć. A może puście mnie w teren i obejrzę ośrodek, co? Rzadko trafia się taka okazja.

Rudy bez słowa wykręcił. Ruszyliśmy w stronę Szczytna.

– Moglibyście przynajmniej włączyć muzykę. Byłoby nam wszystkim różniej.

Zza pleców dobiegło mnie ciche westchnienie.

Przed Nowymi Kiejkutami odbiliśmy w leśną przecinkę. Szkot opuścił szybę po swojej stronie i wyłączył silnik.

– Może jednak pospacerujemy – rzuciłem. – Będzie przyjemniej. Tak bardziej ekologicznie. W zgodzie z duchem miejsca.

– Zostaniemy w środku – odpowiedział kierowca.

– Co? Wasze mikrofony tak kiepsko zbierają? – Nie miałem wątpliwości, że rozmowa jest nagrywana.

– Nagadał się pan już? – Ten z tyłu odezwał się pierwszy raz. – Co pan tu właściwie robi, panie Hłasko?

Odwróciłem się na siedzeniu.

– Piszę książkę. Chwilowo jestem pisarzem.

Szczurowaty się uśmiechnął.

– Jak na tak taniego artystę trafił pan na dobrego mecenasa. Panią mecenas – poprawił się. – Musi w pana bardzo wierzyć, skoro wypożyczyła dla pana samochód.

Milczałem. Muszę powiedzieć, że byłem pod wrażeniem. Nie sądziłem, że to sprawdzą. A przynajmniej tak szybko.

– Zatem co pan tu robi? – Powtórzył pytanie.

Westchnąłem. A potem zastosowałem się do żelaznej zasady: jeśli nie musisz kłamać, nie kłam. Opowiedziałem, że istotnie, pracuję na prywatne zlecenie. Szukam zaginionej w ubiegłym roku dziewczyny. Trop prowadzi do Koeniga, choć nie wiem jeszcze w jaki

sposób. Ale skoro się już spotkaliśmy, a wy jesteście wszechwiedzący, może moglibyście mi pomóc.

Szkot popatrzył na szefa. Mieli to wyćwiczone. Politowanie plus politowanie to w tym wypadku coś więcej niż zwykła suma spojrzeń.

– Ryzykant z pana. Chce pan zdrzeć z Koenigiem. Ho, ho! – Drwina w głosie szczurowatego była aż nadto wyczuwalna. – Naprawdę powinien pan uważać.

– Jeśli będę potrzebował niańki, to już wiem, że mogę liczyć na was. Poza tym lubię ryzyko. Jak Hemingway. Gdy jestem w Jedwabnem, chodzę po ulicach z zapałką w zębach.

Rudy wpatrywał się w przednią szybę. A gdy zrozumiał, co powiedziałem, prychnął.

Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie ten za moimi plecami przemówił.

– Byłem przeciwny rozmowie z panem. Ale dostaliśmy takie polecenie. Nie chodzi o to, że pracował pan w policji. Chodzi o Biuro Spraw Wewnętrznych. Szef uznał, że zna się pan na robocie... – W jego głosie słychać było powątpiewanie.

– Czyli że trafił swój na swojego? Może chcecie mnie zwerbować? Macie już dla mnie pseudonim? Popielniczka? Jack Pstrąg? Zostawcie mi jakiś wybór?

Kolejne ciężkie westchnienie. Być może szykował się na festiwal astmatyków.

– Proszę pana, sytuacja jest poważna. Dość poważna. Inaczej by nas tu nie było. Tylko ze względu na doświadczenie zawodowe słyszy pan o tym...

– Zaraz – przerwałem mu znów. – A co w zamian? Jaką macie ofertę?

– Proszę posłuchać – zaczynał tracić cierpliwość. – Pod koniec sierpnia w Mikołajkach pojawił się człowiek. Zachowywał się dość nietypowo. Trzy razy wymeldowywał się z pokoju, trzy razy wprowadzał. A my od pewnego czasu jesteśmy wyczuleni na nietypowe zachowania. Dostaliśmy sygnał. Facet, niestety, znikł. A my przeczesaliśmy jego pokój. Wie pan, co było najciekawsze? Nigdzie nie zostawił śladów. Żadnych linii papilarnych, włosa, nic... Całkowicie czyste pomieszczenie. Jakby nigdy w nim nie mieszkał. Jak duch...

– Albo zawodowiec. Są jeszcze kamery, świadkowie... W dzisiejszych czasach nic się nie ukryje.

– I tu jest pan w błędzie. Na kamerach nic nie ma. Samochodu też nie ma. Miał to wszystko rozpracowane, przygotowane... A obsługa pamięta tylko faceta w średnim wieku z hiszpańską bródką. Nic więcej.

– Dlaczego on was interesuje? Ukradł wam butelkę mleka?

Zignorował ostatnie zdanie.

– Od czasu do czasu otrzymujemy sygnały, że ktoś jest zainteresowany naszym ośrodkiem. Że chce nam się zrewanżować... Za akcję z talibami. – Szczurowaty się skrzywił. – Mówiłem, kurwa, że to robienie laski Amerykanom nie było nam do niczego potrzebne.

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy wybuch świętego oburzenia zainscenizował na moje potrzeby.

– Czyli nieuchwytny koleś znika. A chwilę potem grillują w lesie trzech facetów.

Spojrzeli po sobie.

– Słyszał pan o tym?

– W końcu znam się na robocie. Przynajmniej tak mówi wasz szef.

Powiedziałem, że wiem niewiele. Tyle, co ludzie gadają. Że ci trzej pracowali dla Koeniga, i dlatego mnie to zainteresowało. Ale mówią też, że to porachunki mafijne.

– Jednemu z tych trzech obcięto język... Tu nie chodzi o Koeniga. To byłoby zbyt oczywiste. Naszym zdaniem ktoś chce odwrócić uwagę. Myślę, że to nasz nieuchwytny. Rozmawialiśmy z człowiekiem, który go widział. Właścicielem knajpy z okolicy. Nie jest jakimś bystrzakiem, ale zapamiętał gościa. Rysopis by się zgadzał...

– Od czego chce odwrócić uwagę?

– Od tego, co naprawdę planuje. Chcielibyśmy... – Zawiesił głos. – Chcielibyśmy, ze względu na pańskie doświadczenie, żeby miał pan oczy otwarte.

Kiwałem głową, a usta złożyłem w dzióbek.

– Codziennie rano – zacząłem cicho – wyjeżdża z waszego ośrodka granatowy bus.

Szkot spojrział w lusterko wsteczne.

– I tym busem – ciągnąłem – wożone są dzieci waszych pracowników do szkół w Szczytnie. Cała trasa przejazdu jest monitorowana. Jeśli busik zatrzymałby się nagle albo zmienił trasę, byłby to sygnał, że dzieje się coś niedobrego. Natychmiast byście ruszyli. Ale jeśli przeciwnik jest naprawdę dobry... tak dobry, jak mówicie, mogłoby być...

– Wystarczy, cwaniaczk. – Szczurowaty po raz pierwszy dał się wyprowadzić z równowagi.

– Pytam się tylko, czy o takie sytuacje wam chodzi?

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Chodzi nam o to, że gdyby ktoś... gdyby coś wydało się panu interesujące, proszę o informację.

Wręczył mi wizytówkę. Przeczytałem. Usługi podatkowe. Nazwa firmy, Sekret, pasowała bardziej do salonu uciech, ale świadczyła o poczuciu humoru tego, który ją wymyślił. Numer telefonu. Zapewne z przekierowaniem od razu do poczty głosowej. Schowałem wizytówkę do kieszeni.

– Co w zamian?

To był moment, gdy należało przejść do fazy targowania się. Szczurowaty zignorował pytanie. Miał coś jeszcze w zanadrzu.

– Pan był w Szczytnie. W szkole oficerskiej...

– I nazywali ją wtedy Pacanowem. Nie mam do niej żadnego sentymentu. Ale z pewnością nie chce pan wiedzieć, jak w Pacanowie mówili o waszej. Stare czasy.

Uśmiechnął się.

– Ale pana interesują czasy jeszcze bardziej odległe. Na przykład te, gdy spłonęła pewna leśniczówka – powiedział od niechcienia.

Naprawdę go nie doceniłem. Szczurowaty dawał pokaz wiedzy. A wiedza to siła. Czasami zabójcza broń i o wiele skuteczniejsza od giwery, którą nosi się pod pachą.

Patrzyłem przez przednią szybę na pochyłą, murszejącą brzozę i starałem się rozluźnić.

– I to wy przetrzepaliście mój pokój w pensjonacie? Ładnie tak?

Szkot odwrócił się w kierunku tego drugiego. Tym razem w jego spojrzeniu uchwyciłem błysk zainteresowania.

– Ktoś przeszukał panu pokój? – zapytał szczurowaty. – Jest pan pewien?

– Podobnie jak tego, że zaraz mnie odwieziecie, bo taśma w magnetofonie wam się kończy.

– Ciekawe, ciekawe.

Dawał do zrozumienia, że oni by się do czegoś takiego nie zniżyli. Albo przynajmniej nie zostawiliby śladów.

– Interesuje mnie wszystko, co ma związek z Koenigiem. – Wróciłem do równowagi. – Dlatego ta leśniczówka też. Tam chyba spłonął jego brat. I jakiś leśnik z Ukrainy.

– Myślę, że traci pan energię. To nie ma nic do rzeczy. I kiedy to było...

– Interesuje mnie wszystko – zagotowałem się – co dotyczy Henryka Koeniga i tych jego dwóch popieprzonych synów.

Chwilę milczał. A potem zapytał, jakby chciał się upewnić:

– Dwóch?

Spojrzałem na niego.

– A jednak nie jest pan tak dobry, jak o panu mówią. Ma pan niepełne dane, panie detektywie. Henryk Koenig ma trzech synów. Trzech – powtórzył i wyprostował trzy palce. – Ale do jednego nigdy nie lubił się przyznawać. To tylko taka drobna sugestia dla pana...

Dał znak kierowcy, a ten ruszył. Czuję pulsowanie w skroniach. Narastała we mnie wściekłość. Byłem idiotą. Zwyczajnym kretyńcem. Wzorcowym absolwentem Pacanowa. A potem złość przemieniła się w strumień pytań, które natychmiast musiałem zadać. Nie tym dwóm. Komuś innemu. Kurwa jego mać.

Spojrzałem na zegarek.

– Pan się gdzieś jeszcze spieszy? – zapytał szef. Kierowca odruchowo się uśmiechnął.

Podwieźli mnie do ścieżki prowadzącej do pensjonatu. Uznali, że lepiej będzie, jeśli do Mazurii wrócę sam.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

– Trzech? – upewniłem się.

– Trzech. – Tym razem przemówił Szkot. – To, co jest między dwa a cztery. – Tak przy okazji... jak nazywaliście naszą szkołę?

– Wasz szef nie chce tego usłyszeć na nagraniu. – Wsunąłem głowę do samochodu.

Ułożyłem usta w kilka niemych sylab.

Nie zrozumiał, więc powtórzyłem.

Za drugim razem dotarło do niego. Jak się spodziewałem, nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Jedynie pokiwał głową.

Pięć minut później odpalałem samochód, który kiepskiemu artyście wypożyczyła hojna pani mecenas.

Ruszyłem do Szczytna.

Po drodze odbyłem jedną rozmowę.

Odebrał po szóstym sygnale, gdy już traciłem nadzieję, że się dodzwonię.

– On ma trzech synów. Trzech! – powiedziałem.

– On to znaczy kto? – zapytał Clyde.

– Koenig.

Od początku coś w historii Magdaleny Wolskiej się nie zgadzało. Stary Koenig nie był raczej mężczyzną, w którym zadurzyłaby się ładna, rozgarnięta studentka. Jego synowie, Burger i Jaszczur, z pewnością nie byli kandydatami na życiowego Mistera Universum. Oczywiście, nikt nie jest doskonały i nikt też nie składa się z samych wad, jawnych i ukrytych. Tyle że w wypadku tych trzech razem wziętych lista zalet była zapewne krótsza od zdawkowego wpisu na Twitterze. Właściwie nie wierzyłem w tę całą opowieść, którą usłyszałem w barze na Wspólnej od Agnieszki Wrzesień, specjalistki od Pistoriusa i posthumanizmu. Byłem pewien, że coś źle usłyszała, coś przekręciła. Było tak do rozmowy ze Smółką, gdy dowiedziałem się, że senior rodu Koenigów z powodu Magdaleny Wolskiej wpadł w szal. Nikt bez przyczyny tak się nie zachowuje. W tym wypadku musiało się zdarzyć coś szczególnego. Czy miało to związek z jego trzecim synem? Zapewne tak.

– Trzeci syn... trzeci syn – mamrotał Clyde. Zachowywał się jak ktoś przemieszczający się między światami, wyrwany z jednej planety i brutalnie sprowadzony na inną. – Wiesz, to ciekawe, bo ja teraz poszedłem w klasykę. Robię krótki filmik według Czechowa. *Trzy siostry*. Ale u mnie od początku będą tylko dwie...

– Nie pierdol, Clyde – rzuciłem.

– No, przecież właśnie szukam. Nie słyszysz tego koncertu, który klawiatura gra pod moimi palcami?

Zamilkł, żebym mógł posłuchać, ale silnik samochodu skutecznie zagłuszał jego popisy.

Czekałem na łączach.

– Nie ma takiego – odezwał się wreszcie. – Nic nie przeoczyłem. Przewaliłem te informacje o starym Koenigu jeszcze raz. Nic w nich nie ma o trzecim synu.

– Zostaw problemy dwóch czy trzech sióstr. Poszukaj coś na jego temat.

– Ułatwiłbyś mi sprawę, podając jego PESEL. Ale może ma chociaż jakieś imię?
Zakląłem.

– Jak się tylko dowiem, dam ci znać. Zajmij się tym, proszę. Aha, i jeszcze jedno.
Sprawdź, co to jest nifurtimoks.

– Co takiego?

Przesylabizowałem.

– To jakiś lek. Zobacz, na co się to bierze. Na syfa, AIDS, coś innego...

Mruknął pod nosem, co oznaczało, że przyjął zlecenie, i rozłączył się.

Pod barem Endżel stało kilka samochodów i musiałem poszukać miejsca w bocznej uliczce. Właściwie wszystkie uliczki były tutaj boczne.

Za kontuarem stała moja dobra znajoma. Rozpoznała mnie i ułożyła usta w jakiś dziwny grymas. W coś pomiędzy uśmiechem a ziewnięciem.

– Znów szuka pan Curyły, aha?

– Aha.

Tośmy sobie pogadali.

– Dziś już tu był. Ale odgrażał się, że jeszcze przyjdzie. W ogóle jest w złej formie.

– Co to znaczy: w złej?

– Zobaczy pan.

– Aha.

Poprosiłem piwo, tym razem to za trzy siedemdziesiąt, i usiadłem. Tyłem do mnie, przy automacie, siedział mężczyzna. Na plecach miał T-shirt sławiący czyn żołnierzy wyklętych. Wolałem nie widzieć, co jest z przodu koszulki. Na ścianie wisiał plakat reklamujący sklep mięsny. Zapewne należał do tego samego właściciela, co ten piwny przybytek. Albo do kogoś z rodziny. „Poszukiwany produkt z konia”, przeczytałem. „Smacznie, bezpiecznie, zdrowo. Jedząc mięso z konia, nie zarażasz się tasiemcem i włosieniem”. Ciekawe, o ile powiększyło się grono amatorów koniny. Na mnie nie mogą liczyć.

I wtedy wtoczył się Curyło. W koszuli o ósmym stopniu lepkości, a ostatnim świeżości. Z plastrem na wielkim nosie, tak opuchniętym, że trudno go już było nazwać wielkim. Zrozumiałem, co miała na myśli wiecznie zaspana barmanka, gdy mówiła o złej formie dziennikarza.

Curyło zobaczył mnie i zatrzymał się w pół kroku. Chciał się odwrócić, ale nie zdążył, bo zerwałem się i zatarasowałem mu drogę. Chwyciłem go za koszulę, dwa guziki

trzasnęły, odsłaniając nagi tors. Nie spodziewał się mojej reakcji. Rozejrzał się rozpaczliwie, jakby szukał ratunku, ale nikt nie ruszył mu z pomocą.

– Co jest? Starych znajomych nie poznajesz? Ktoś życzliwy pochylił się nad twoim kulfonem?

– Odejdź pan. – Próbowałem się wyswobodzić.

– Kto cię tak urządził? – Zacisnąłem rękę na jego przedramieniu.

– Nikt. Przewróciłem się. – Szarpnął ręką, ale nie zdołał mi się wyrwać.

Barmanka przypatrywała się nam, a senność ustąpiła ciekawości.

– Dziś nie spotkasz się z Zygmuntem Starym. Należy mi się bonus, bo nie dokończyłeś opowieści. A jeśli nie odpowiesz na kilka pytań, spotkasz się z Koenigiem. Kapujesz? Dowie się, kto o nim rozpowiada w Szczytnie.

Patrzył na mnie przekrwionymi oczami.

– W chuja sobie lecisz? – szepnąłem. – A trzeci syn? Dlaczego o nim nie powiedziałaś?

Białka oczu powiększyły się. A ja ścisnąłem go jeszcze mocniej.

– Ciszej. – Widziałem strach w jego oczach. W końcu dał za wygraną. – Nie tu – mruknął. – Tam. – Kiwnął głową na salkę bilardową z arcydziełem malarstwa na ścianie. – Kup mi piwo. I pięćdziesiątkę luksusowej.

– Tyle mogę jeszcze dla ciebie zrobić.

Puściłem go i podszedłem do baru.

W salce było pusto. Nie licząc parki grającej w bilard. Głuchy stukot bil mieszał się z dźwiękami popu z głośników. Postawiłem szklankę i kieliszek przed dziennikarzem. Pociągnął łyk piwa, wychylił stopkę i chuchnął mi w twarz z poczuciem ulgi.

– Najpierw coś mi obiecasz. – Pochylił się w moim kierunku.

– To nie jest koncert życzeń. Ale mów. Co mianowicie?

– Że to nasze ostatnie spotkanie.

– Zależy, co powiesz. Ale okej. Jeśli będę miał, co chcę, zniknę jak duch. Nie będę nawiedzał cię nawet w snach. Koenig ma trzech synów. Kim jest ten trzeci?

Westchnął i pociągnął kolejny łyk. Dziewczyna zaklaskała. Najwyraźniej wygrała partię. Chłopak poklepał ją w tym miejscu, gdzie znajdują się tylne kieszenie dzinsów.

– Dawne czasy – zaczął Curyło, przypatrując się parce bilardzistów z niechęcią. – W latach osiemdziesiątych Koenig prowadził różne biznesy. I miał takiego wspólnika... –

Próbował sobie przypomnieć nazwisko.

– Bogusława Wasiaka. Relax, taką tancbudę, razem tu mieli.

– Wasiak. – Pstryknął palcami. – No widzisz pan, wiesz pan więcej ode mnie. I ten Wasiak kręcił na boku z żoną Koeniga. A potem razem wyjechali. Właściwie... uciekli. Do Wenezueli czy gdzieś...

Pokiwałem głową. Przypomniała mi się opowieść właściciela Mazurii. Na razie wszystko się zgadzało.

– Stary Koenig odchodził od zmysłów. Pił, jeździł nawalony po Szczytnie i przysięgał zemstę. Mówiło się, że nawet bilet lotniczy kupił i szukał kontaktów wśród południowoamerykańskich gangsterów. A potem – znów spojrzał niechętnie na bilardzistkę – znalazł sobie jakąś młódkę. I kompletnie mu się odmieniło. A ona zaszła w ciążę. Nie wiem... Poleciała na jego kasę czy co.

– Jak się nazywa najmłodszy syn Koeniga?

– Janek.

Przeprosiłem Curyłę. Poszedłem do toalety. Wysikałem się. Wysłuchałem, jak dwaj, grubas i chudzielec, przekomarzają się przy suszarce do rąk. O dziwo, coś takiego tu zainstalowali. Uważaj, mówił gruby, bo jak będziesz suszyć ręce, to cię wciągnie do środka. Wysłałem SMS-a do Clyde'a. Z jednym słowem. Zahaczyłem o bar i wziąłem jeszcze jedno piwo dla dziennikarza. Wróciłem do salki w chwili, gdy dziewczyna, pochylona nad stołem, wbiła kolejną bilę do luzu, a potem tryumfalnie spojrzała na partnera.

– To była wielka miłość, ale krótka – ciągnął Curyło. – Laska dała nogę. Koenig miał szczęście w interesach, ale kobitki coś się go nie imowały. A chłopak wychowywał się z ojcem i przyrodnimi braćmi.

Stuknęliśmy się szkłem. Znów wyglądaliśmy jak starzy kumple, którzy opowiadają sobie o zamierzonych czasach.

– On był zupełnie inny. – Dziennikarz pokręcił głową. – Taki szczupły blondynek. Ale hardy... Żyłasty... Nie dogadywał się ze starszymi braćmi. Potrafił postawić się staremu. Jako jedyny. Pamiętam, gdy dorósł, było kilka awantur między nimi, tak publicznie, w knajpie.

– O co poszło?

– Nie wiadomo. Albo raczej wiadomo. W takich historiach zawsze chodzi o wszystko – orzekł. – A Janek mówił ojcu, że go kiedyś zabije. I żeby pamiętał, co zrobił matce. Nikt nigdy nie odważył się tak mówić do Henryka Koeniga. – Dziennikarz podrapał się po kłacie. – Nikt.

– A co on zrobił tej dziewczynie?

Curyło wzruszył ramionami.

– Chyba nic. Pewnie przejrzała na oczy i też uciekła. Miała stracić najlepsze lata z kimś takim? A młody skończył szkołę, nie mogę powiedzieć, Henryk dbał, żeby się uczył. Poszedł na politechnikę. Informatykę studiował. Skończył w ubiegłym roku, wrócił na Mazury. A potem, latem...

Zawiesił głos i znów poczułem przy twarzy alkoholową otoczkę.

– A potem – wyszeptał – nagle wyjechał. Stary szukał go. A później, jak się kiedyś upił, powiedział, że...

– Że?

– Że nie ma już syna. I jeśli ktoś tak o Janku powie, jeśli wymówi jego imię, to go zabije.

Wyprostował się, a krzeselko pod nim cicho jęknęło.

– Więc nie jestem za bardzo wylewny. Rozumiesz teraz?

Rozumiałem.

I dotarło do mnie, że coś tu się jednak w ubiegłym roku stało. Agnieszka Wrzesień nie myliła się. Zdarzyło się tu coś, co miało związek z zaginięciem dziewczyny i rodziną miejscowego watażki.

– Pamiętasz, kiedy to było? Kiedy młody wyjechał?

– To chyba... sierpień był. Na pewno. Tak, połowa sierpnia. – Ożywił się. – Pamiętam, bo przygotowywałem wtedy artykuł o chłopaku, który chciał ukraść transformator, ale utknął na słupie. Słupnikiem żeśmy go nazywali. Wtedy stary Koenig wpadł do knajpy.

Połowa sierpnia. Bingo.

– Skończmy tę rozmowę – poprosił Curyło. – I tak za dużo powiedziałem. A tu... – Rozejrzał się. – Tu nawet ściany mają uszy.

Dotknął nosa i skrzywił się.

Zostawiłem go z tym grymasem.

Na dworze ściemniało się, a upał lekko zelżał. Wsiadłem do samochodu. Byłem pewien, że wreszcie coś mam.

Dojeżdżałem do Leman, gdy odezwał się telefon.

– Po pierwsze, Jan Koenig – usłyszałem głos Clyde’a. – Niewiele jest, ale jednak. Dodałem Szczytno i wyskoczył ktoś taki, tylko nie wiem, czy ten. Student informatyki.

– To ten – potwierdziłem i zmieniłem bieg.

– Trochę hulał na fejsie, ale od prawie roku nie ma żadnych wpisów. A dokładniej mówiąc, nie ma ich od połowy sierpnia. Facet przepadł. Grał w jakiejś kapeli rockowej, ale takiej mało znanej. Pewnie w ogóle nieznaney. Gitarzysta.

Uniosłem brwi. Zupełnie nie pasowało mi to do rodzinnego konterfektu Koenigów. Odmienne style życia, więc stary z młodym szli na zderzenie czołowe.

– W tych wpisach nie ma żadnych wzmianek o ojcu, rodzinie. O tej dziewczynie, Wolskiej, też zresztą nic... Jest o nowinkach technologicznych, trochę o muzyce. Poszperam dokładniej.

– Po pierwsze, Jan. – Wróciłem do początku naszej rozmowy. – A po drugie?

– Pytałeś o nifurtimoks. Ciekawe. To jest lek podawany przy chorobie Chagasa.

– Przy czym?

Westchnął.

– Jest takie cholerstwo. Wywoływane przez pierwotniaka *Trypanosoma cruzi* – wymówił z trudem. – A przenoszone przez pluskwiaki i bezpośredni kontakt z ich odchodami. Jesz coś teraz? Czuję zapach... Konina?

– Przestań. – Skrzywiłem się.

– Ale to nie wszystko. Wiesz, jak te pluskwiaki atakują? Na przykład przez oko. Gdy śpisz.

– Obrzydlistwo.

W lusterku wstecznym zamajaczyły światła samochodu.

– A dlaczego to się tak nazywa?

– Ten Chagas był Brazylijczykiem. To choroba z Ameryki Południowej i Środkowej. Inaczej nazywa się trypanosomozą amerykańską. Choroba zawodowa misjonarzy, pracowników akcji humanitarnych. I więźniów w zakładach karnych...

– Misjonarzy? – Zmieniłem bieg.

– Tak. Te pluskwiaki żyją w zagłębieniach ścian, w szczelinach podłóg. W ceglach, liściach palm. Więc sobie zbawiasz świat i nawijasz o Panu Bogu, mieszkasz w lepiance albo bungalowach, zasypiasz i jebes! Taki pluskwiak atakuje cię przez spojówkę gałkową...

Przypomniałem sobie, co wiem o młodości Smółki. Coś mi się w tym nie zgadzało.

– Zaraz. A czy można na to chorować po wielu latach?

– Można. To też wyczytałem. Objawy występują nawet po dwudziestu, trzydziestu latach. I są to ciężkie sprawy. Serducho siada, jelita puchną jak balony, układ nerwowy się sypie i możesz mieć nierówno pod sufitem.

Nawet jeśli teraz trochę koloryzował, był w tym niezły.

– Nie chciałbyś czegoś takiego mieć. Ogólnie niezłe gówno. Że tak powiem. Tyle że nifurtimoks w takim stadium, po wielu latach, średnio działa. Tak przynajmniej piszą... W ogóle ten nifurtimoks nie jest zarejestrowany w Polsce. I jest takie drugie coś podobne, też niezarejestrowane... Benzonidazol.

– Benzo co?

Usłyszałem trzask w telefonie i przerwało nam rozmowę.

Wjechałem w lewy zakręt. Próbowiałem połączyć się z Clyde'em, ale wyświetlacz pokazywał, że nie ma zasięgu. Przejechałem obok tabliczki z napisem: „Posesja na sprzedaż”. Nie zamierzałem tu niczego kupować. Minąłem pojemnik PCK na używaną odzież.

Przypomniałem sobie, co Smółka mówił o demonach.

Każdy ma swoje. Ja też. Jeszcze z czasów w Brazylii.

Przypomniałem sobie o drugim specyfiku, który widziałem w jego izbie spowitej aurą piór, lekkości, przepięć i seksu.

Chlorprotiksen. Naprawdę musi mieć kłopoty ze snem, bo chlorprotiksen to już nie są żarty, ale silny usypiacz.

Każdy rozprawia się z demonami po swojemu. W sumie niczym się od tego Smółki nie różniłem. Wybrałem tylko inną drogę. A ta wiodła mnie teraz mazurskimi serpentynami i wciąż nie wiedziałem dokąd.

I gdy ta myśl przemknęła mi przez głowę, zobaczyłem jasność.

Samochód, który jechał za mną, włączył dodatkowe światła. Mnóstwo dodatkowych światłał wbijających się w blachę mojego wozu. Oraz w moje oczy.

Odruchowo spojrzełem w lusterko wsteczne i to był błąd, bo po chwili widziałem jedynie wirujące plamki. Sunąłem przed siebie na oślep.

Tyle że ktoś postanowił mi pomóc. Poczulem potężne uderzenie w tył samochodu, które niemal wyrwało mi kierownicę z rąk.

Kolejne uderzenie sprawiło, że stoczyłem się z głównej drogi.

W pierwszej chwili poczułem się tak, jakby w kabinie samochodu rozświetliły się wszystkie jupitery nad stadionu Legii. W kolejnej, gdy zostałem trafiony raz i drugi, usłyszałem koszmarny zgrzyt blachy. W trzeciej, jak dotarło do mnie, co się dzieje, poczułem się zwyczajnie bezradny.

Gdyby mój oprawca nie był niecierpliwy i wstrzymał się kilkadziesiąt sekund, dojechalibyśmy do dwóch ostrych zakrętów. Szanse, że tam utrzymałbym się na drodze, były równe zeru. W najlepszym razie wylądowałbym w rowie na dachu. Inna sprawa, że na tym odcinku napastnik także musiałby zwolnić, wybrał więc takie miejsce, w którym mógł zaatakować z impetem. I takie, gdzie były drzewa.

Po drugim uderzeniu gwałtownie skręciłem i znalazłem się na szerokim pasie pobocza. Samochód wpadł na nierówność, przez ułamek sekundy, który dla mnie trwał wieczność, zawisł w powietrzu i przechylił się w prawo.

Widziałem przed sobą dwa drzewa. Auto wróciło do właściwej pozycji i opadło na ziemię. Podwozie jęknęło, a wóz sunął na spotkanie z pniami. Wcisnąłem hamulec i raz jeszcze odbiłem kierownicą. Mogłem liczyć tylko na cud.

I cud się zdarzył. Drzewa nagle przestały potężnieć. Samochód zatrzymał się metr przed nimi. Wyłączyłem silnik, otworzyłem drzwi i wyskoczyłem z wozu. Ciężko dyszałem. Przykucnąłem. Wsunąłem głowę do środka i spod siedzenia wyjąłem glocka. Kucnąłem i przeładowałem broń. Nasłuchiwałem.

Panowała cisza.

Nie słyszałem śpiewu ptaków, ale wrażenia ornitologiczne miałem teraz gdzieś. Ważniejsze było to, że nie dobiegał żaden odgłos, który należałby do zbliżającego się samochodu. Najwyraźniej mój oprawca nie miał potrzeby sprawdzenia, jak skończyłem. Obstawiałem, że w aucie był tylko kierowca. Inaczej zatrzymaliby się, żeby dokończyć robotę. Trwałem ukryty za wozem przez minutę, może dwie, wreszcie podniosłem się. Przez ten czas nic się nie wydarzyło. Otarłem pot z czoła. Wciąż z pistoletem w ręce, obszedłem samochód. Blacha bagażnika wgięła się do środka, a światła były rozbite. To było naprawdę porządne uderzenie. Prawa opona z przodu spadła z pogniecionej felgi.

Poszedłem w kierunku drogi. Kilkanaście metrów dalej leżał spory kamień, na który musiałem najechać. Głaz oraz nierówności terenu spowolniły pęd samochodu. Tylko temu, a nie moim umiejętnościom, zawdzięczałem, że nie skończyłem wprasowany w drzewo.

Wróciłem do auta. Na podłodze od strony pasażera znalazłem telefon. Gdy przerwało mi rozmowę z Clyde'em, położyłem komórkę na siedzeniu. Telefon był cały, nie rozpadł się na części i uporczywie pokazywał brak zasięgu. Zakląłem. Wsadziłem go do spodni, a glocka wsunąłem za pasek spodni. Odpaliłem silnik i chwilę wsłuchiwałem się w jego łagodny terkot. Wrzuciłem jedynkę, blacha zgrzytnęła, ale samochód stał, jakby był przyspawany do podłoża. Zakląłem ponownie. Pani mecenas będzie miała wydatki ekstra. I niewykluczone, że będzie musiała podstawić mi nowy samochód. Zrzuciłem koszulę, żeby ukryć broń, i ruszyłem przed siebie.

Byłem zdany na łaskę przygodnych kierowców, czekałem. Minęło pięć minut, zanim na drodze pojawił się tir. Włączyłem latarkę w telefonie, a potem musiałem odskoczyć, żeby ująć z życiem. Kierowca zignorował moje sygnały, a na końcu potraktował mnie rykiem klaksonu. Zakląłem trzeci raz. A potem usłyszałem narastający warkot silnika. Zza łuku wynurzył się znajomy wóz. Sta na środku drogi.

Kamper należący do poszukiwaczy złota generała Samsonowa zatrzymał się, ale nikt z niego nie wysiadł. Podeszedłem do drzwi od strony pasażera. Mężczyzna nazywany Docentem wpatrywał się we mnie. Zdjął okulary, jakby nie dowierzał widokowi, i z powrotem nasunął je na nos. Jeszcze przez chwilę przeżywał wewnętrzne rozterki, wreszcie otworzył drzwi.

– Jakieś kłopoty?

– Można tak powiedzieć. Drobne... Rozkraczyłem się na drodze. Właściwie... wypadłem z niej...

– A to? – Wskazał palcem na moją głowę.

– Co? – Nie zrozumiałem.

– To. – Powtórzył gest. – Coś ci cieknie po skroni. Coś czerwonego.

Dotknąłem ręką łuku brwiowego. Spojrzałem na palce. A więc jednak miałem na sobie wypisane dzisiejsze zdarzenie.

– Może pan to opowiedzieć jeszcze raz? – Mężczyzna o twarzy jak księżyc w pełni uśmiechał się do mnie z politowaniem.

– Od którego miejsca? Wybrał pan sobie ulubiony fragment? – Resztką woli powstrzymałem się, żeby nie wybuchnąć.

Zignorował moje docinki. Powiódł wzrokiem za bzyczącą muchą, która zawisła nad jego głową.

– Od początku. Jeszcze raz. Od początku.

Był kolejny słoneczny dzień i może nawet uznałbym, że jest piękny. Z kilku powodów nie mogłem jednak tego zrobić. Po pierwsze, przede mną siedział beznadziejny przypadek. Przypadek ten miał nawet nazwisko, Nowina, a to nie była dobra nowina dla mnie. Był aspirantem w komendzie miejskiej w Szczytnie i łaskawie przyjął mnie na audiencji. Wcześniej przez godzinę z okładem odbywał się rytuał, który pamiętałem dobrze z dawnych czasów, gdy sam byłem policjantem. Przesadzano mnie z kąta w kąt, coś tam zagadała do mnie policjantka gruba jak skandynawski kryminał, a potem mnie koncertowo zignorowano. Ale w ten pięknie parszywy dzień ktoś w końcu zaszczyił mnie rozmową i powinienem był przyjąć to za dobrą monetę.

Po wtóre, Nowina przypominał mi kogoś. Właściwie miałem *déjà vu*. W dodatku byłem zmęczony po nieprzespanej nocy i – był to najbardziej odczuwalny efekt wczorajszego ataku – bolały mnie plecy. Miałem nadwerężony kręgosłup i urażoną męską dumę. Jak mogłem dać się tak załatwić?! Pytanie to powtarzałem bez przerwy.

Z głową było wszystko w porządku. Rozcięcie nie okazało się głębokie i wystarczył zwykły plaster, który dał mi właściciel Mazurii. Jacek Daniel zadzwonił w kilka miejsc i jeszcze tego samego wieczoru suzuki trafiło do warsztatu w Szczytnie. Musiałem przyznać, że działał nad podziw sprawnie. Pistolet ukryłem w pokoju i liczyłem na to, że nie spotkają mnie nieoczekiwane odwiedziny. Przymocowałem glocka pod blatem stolika, choć równie dobrze mogłem trzymać go na wierzchu. Opowiedziałem Clyde'owi, co mnie spotkało. A w głosie pani mecenas, gdy do niej zadzwoniłem, znów wyczułem napięcie. Usłyszała, co zaszło, ode mnie, więc chyba nie śledziła jednak moich ruchów.

– Jest pan pewien, że to nie zbieg okoliczności?

– Tu nie ma mowy o zbiegu okoliczności.

– Myśli pan... myśli pan, że ktoś próbował...

– Myślę, że chciał mnie solidnie nastraszyć. Nawet mu się to udało. I nie wiem, jaki był powód tego ataku. A bardzo nie lubię trwać w niewiedzy.

Zadałem jedno pytanie.

– Czy... jakoś tak niedawno... wysłała pani kogoś do Starych Kiejkut?

– Czy wysłałam? – powtórzyła niepewnie.

– Do Smółki. Do tej jego zaszranego komuny, gdzie sztuka miesza się z psychozą. Wysłała pani kogoś, żeby rozpytywał o Magdę?

– Nie. Nikogo ostatnio o to nie prosiłam. Poza panem.

Zapewniłem mecenas Hyżę, że nie zamierzam się wycofać. Atak na mnie był jasnym sygnałem. Znaczył tylko tyle, że komuś puszczają nerwy. Albo zaczyna się bać. I że moja obecność zaczęła go uwierać. Kogo? Dobre pytanie. Pracuję nad tym. Samochód? Czy będzie potrzebny nowy? Jutro będę wiedział.

Rozłączyłem się i raz jeszcze poskładałem to, czego dowiedziałem się ostatnio. Sprawy nabrały przyspieszenia, gdy na horyzoncie pojawił się trzeci syn Koeniga. Gdy okazało się, że popaprana rodzinka szukała latem ubiegłego roku Magdaleny Wolskiej. I tak się jakoś złożyło, że w tym samym czasie znikł Jan Koenig, informatyk, rockman i ciało obce wśród zdrowych rodzinnych komórek. Te dwa zniknięcia musiały wiązać się ze sobą. Tego byłem już pewien. Nie miałem też wątpliwości, że ktoś obserwuje moje ruchy i robi to na tyle sprawnie, by pozostać w ukryciu. A wczoraj postanowił naprężyć mięśnie. Kiedy przekroczyłem cienką czerwoną linię?

Przypomniałem sobie rozmowę z dziennikarzem. Może coś istotnego przeoczyłem. Ale co? Otworzyłem katalog z twarzami, które mignęły mi wczoraj w barze. Raczej nikt nas nie podsłuchiwał. Chociaż Curyło mówił, że tam ściany mają uszy, i nie był to bełkot pijaka. Pomyślałem o Smółce. Ten przecież zмага się raczej z brazylijskimi pluskwami i wrywa korporacyjne strauatyzowane łaski, bajdurząc o posthipisowskich wibracjach. Nie wyglądał mi na specja od taranowania aut. Na polu walki został Koenig. Chyba że jest jeszcze ktoś, kogo nie dostrzegłem. Kto do tej pory nie wyszedł z cienia.

A teraz siedziałem przed aspirantem Nowiną i mógłbym przysiąc, że widziałem już tę twarz wiele lat temu. Księżycowy owal, pustynny zarost, taka sama pustynia na głowie,

jedynie kępki włosów w uszach i wzrok błędzący w poszukiwaniu owada.

Przypomniałem sobie, że wtedy w pokoju przesłuchań też latała namolna mucha. Przesłuchiwałem faceta. Opowiadał cichym, lekko piskliwym głosem. Razem z żoną mieli kotkę. Nie mieli dzieci.

– Kotka brała psychotropy. Tak, panie komisarzu, psychotropy, i dlatego nazwaliśmy ją Pati. Nie od Patrycji. Psycho Pati, rozumie pan? A dlaczego brała? Chodziło o to, żeby podnieść u niej poziom serotoniny, tak mówił weterynarz. Po co? Żeby szczęśliwsza była. Bo widzi pan, ona panicznie się bała, gdy my wychodziliśmy z domu. Wtedy sikała krwią. A u nas wszystko na biało. Ściany w bieli, kanapa, bardzo droga, widział pan przecież. No, ale wczoraj żona zapomniała położyć ceraty przed wyjściem. A jak wróciliśmy i to wszystko zobaczyłem, coś we mnie wstąpiło. Wpadłem w szal. Zatłukłem obie. Czyli kotkę. I żonę też. Znaczący, najpierw żonę, później Pati, taka była kolejność.

– Czy może opowiedzieć pan to jeszcze raz? – poprosiłem. – Od początku.

Teraz siedziałem po drugiej stronie biurka i odpowiadałem na to samo pytanie. Przerwał mi.

– Dobrze. A co to był za samochód? Ten, który w pana wjechał.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Na pewno ciężka terenówka. Może nissan patrol. Może jakiś legendarny model forda? Taki z lat pięćdziesiątych? Tak czy inaczej, czarne bydlę wielkości czołgu. Włączył szperacze z przodu, oślepił mnie i już nic nie widziałem.

Aspirant Nowina bawił się długopisem. Obracał w palcach żółtego bica, a potem wystukał na rozłożonych papierach sobie tylko znany rytm. Skojarzył mi się z Szalonym Archiwistą, któremu ktoś swoim najściem przerwał ważną kwerendę.

– Ale twierdzi pan, że ten samochód nie miał z przodu tablicy rejestracyjnej... To zdążył pan dostrzec?

– Zdążyłem. W ogóle spostrzegawczy jestem. Jestem pisarzem realistą. Obserwacja to podstawa w moim zawodzie.

Uniósł oczy, nie zmieniając położenia głowy. Patrzył na krążącego owada. A ja zobaczyłem, bo naprawdę jestem spostrzegawczy, że na parapecie kłębi się cały pluton martwych much z powykręcanyimi w różne strony odnóżami. Wyglądały, jakby ćwiczyły jogę.

– I chce pan powiedzieć, że po moim terenie – zaakcentował te dwa słowa – krąży terenówką pirat drogowy bez tablic? – Przeniósł wzrok na mnie. – Taki... Pan Mercedes. Pewno słyszał pan o tym psycholu, co na Monciaku w Sopocie rozjeżdżał ludzi? Nie, takie rzeczy, proszę pana, u nas się nie zdarzają. To spokojny teren.

– Mówię tylko tyle, że ktoś to zrobił celowo.

– Ale przecież pan jest pisarzem. Dlaczego – rozłożył ręce – ktoś miałby robić panu krzywdę? Może tu jest dla pana zbyt niebezpiecznie? Wie pan... Trudne drogi... I tak dalej. Sam pan wie, jak prowadzą się artyści.

Czułem, że pieką mnie policzki.

– Proszę pana – zacząłem cicho – odkąd tu przyjechałem, ciągle ktoś mi mówi, że zajmuję się nie tym, czym powinienem. Albo że to nie jest właściwe miejsce dla mnie. Że to nie jest kraj dla starych ludzi. Kuma pan? Pan jest kolejny. Otóż oświadczam panu, że nie zamierzam nigdzie stąd wyjeżdżać. Dobrze mi tu.

Równie dobrze mógłbym moją przemowę skierować do martwych much.

– Może pan się zagapił, zamyślił, pisarzom to się zdarza. Mogło tak być? A teraz pan trochę – odchrząknął – konfabuluje. Tak to się mówi? Może o ubezpieczenie panu chodzi. – Uśmiechnął się kwaśno.

Wstałem. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

– A tych trzech w lesie samych się spaliło. A jeden sam sobie odciął język.

W jednej chwili zmienił się na twarzy. Patrzył na mnie, ale nie było to spojrzenie łagodnego księżycy w pełni.

– Co? – Wsunąłem ręce do kieszeni. – Chce pan wiedzieć, aspirancie, skąd wiem o języku? Ludzie na mieście gadają. Bo z kolei wy – wycelowałem palcem w kierunku jego niegdyś błękitnej koszuli – nie potraficie trzymać języka za zębami. Bo znacie się na prowadzeniu śledztw jak arcybiskup Wesołowski, ten z Dominikany, na ascezie.

Poderwał się z krzesła, ale ja już stałem w progu. Trzasnąłem drzwiami i warknąłem pod nosem przekleństwo.

Wróciłem do Kiejkut w taki sam sposób, w jaki tu przyjechałem. Taksówką. Pistolet tkwił przymocowany do stołu. Otworzyłem laptopa i na własną rękę poszukałem czegoś o najmłodszym synu Koeniga. Jestem ekspertem potrafiącym znaleźć igłę w stogu siana i człowieka w tłumie, ale moim terenem łowieckim jest realny świat. W cyberprzestrzeni czuję się jak drużyna rozgrywająca mecz na wyjeździe. Nie mogłem konkurować tu z Mr.

Clyde'em, ale czasem cuda się zdarzają. Najlepszym dowodem było to, że wczoraj nie zostałem zmiądzony przez drzewo.

Tym razem nie miałem tyle szczęścia. Buszowałem w sieci bez efektów. Przeczytałem natomiast dwa artykuły o trypanosomozie amerykańskiej lub jak kto woli, chorobie Chagasa. Mój przyjaciel haker dobrze to ujął. Niezłe gówno. To się Mistrzowi przytrafiło. Poszedłem nad jezioro. Najwyraźniej zrobiłem to w niewłaściwym momencie, bo spłoszyłem młodą parkę. Miałem nadzieję, że spotkam Docenta i jego kompana, ale pewnie pojechali gdzieś szukać skarbów.

Pod wieczór zadzwonił mechanik. Samochód przetrwał atak i nie był w najgorszym stanie. „Nawet jest na chodzie. Tylko z blacharką to już musi pan do kogoś innego, bo w tym nie robię”.

Zamówiłem taksówkę i po raz drugi tego dnia pojechałem do Szczytna.

Wracałem terenówką. Prowadziłem ostrożnie, a wóz skrzypiał na wybojach. Droga była niemal pusta. Minął mnie jeden tir i dwa samochody osobowe. Przejechałem obok dwóch rowerzystów. Nikt nie chciał mnie zabić.

Nie spuszczałem wzroku z lusterka wstecznego.

Poranna wiadomość od Clyde'a składała się z dwóch słów. „Nic. Gównno”. On także nie lubił trwać w niewiedzy i ponosić porażek w swoim świecie. Dwa słowa były świadectwem furii człowieka, który odyseję 2.0 potrafił skrócić do minimum i migiem odnaleźć w drogach głównych i odnóżach internetu to co trzeba. Najmłodszy z klanu Koenigów wciąż pozostawał postacią mgławicową.

Powracałem do tych samych pytań. Co się z tobą stało, synek? Jaki związek ma twoje zniknięcie z zaginięciem dziewczyny? Dlaczego groziłeś ojcu śmiercią? Z jakiego powodu stary Koenig szukał Magdaleny Wolskiej? Zataczałem koła, krążyłem wokół truchła jak sęp.

Zwiedziłem teren pensjonatu. Kamper stał na swoim miejscu, a dwaj poszukiwacze rozsiedli się na plastikowych krzeselkach, każdy ze swoim laptopem. Pierwszy raz przyjrzałem się im uważniej. Ten starszy, nazywany Docentem, nosił okulary w drucianej oprawce. Łysienie już dawno zaatakowało przód i boki głowy, ale skupione na tych fragmentach czaszki, oszczędziło tył. Docent poszedł więc na całość i zapuścił dredy. W liczbie trzech. Trzy wijące się erylne do połowy pleców, pozostałość po dawnych czasach i bujnej czuprynie. Był ubrany w czarny T-shirt z liściem marihuany. Ten drugi, nazywany Bratem, miał na koszulce hasło „Sniff & Wesson”, a jako znak graficzny rewolwer i zwitek banknotów. Blondyn był znacznie młodszy od swojego kompana, a twarz szpeciły mu nieregularne blizny, które mogły być efektem pogryzienia przez psa. Obaj byli w sandałach pamiętających czasy Rzymian. Na ziemi cztery puszki „czarnej śmierci”. Najwyraźniej poszukiwacze zrobili sobie wolny dzień.

Przywitałem się, opowiedziałem, jak się czuję i w jakiej formie jest suzuki samurai. „Bo widzieliśmy, że już stoi. Tylko to wgniecenie paskudne”. „W sumie i tak ekspresowo mechanik załatwił sprawę, powinienes być mu wdzięczny”. „Nam jesteś wdzięczny? A to mamy pewien pomysł”.

Rzeczywiście, tego dnia nie ruszali w teren. Pracowali koncepcyjnie. Nanosili na mapy przeszukane miejsca i oznaczali je dodatkowo w sobie tylko wiadomy sposób. „A właściwie to Brat weźmie się do roboty, gdy skończy grać”. Patrzyłem na obudowę laptopa

upstrzoną nalepkami. „W co on gra?” Westchnienie. „*Dark Souls 2*. Wyrósł już z *Mortal Kombat*, nie wrywa pokonanemu przeciwnikowi kręgosłupa”.

– Grałeś w to kiedyś? – Docent dotknął erynii, ale o dziwo nie zaatakowały go.

Zaprzeczyłem.

– To naprawdę twój brat? – spytałem.

Chłopak z bliźniami oderwał wzrok od ekranu.

– Nie, bracie. A ta gra – wskazał palcem na ekran – to ogromny krok w dziejach ludzkości. Właściwie przełom.

– A to dlaczego? – zdziwiłem się.

– Bo tu nie chodzi o żadne wędrówki rycerzykiem, machanie mieczem i zbroją, bracie. Tu, bracie, idzie, o coś znacznie g-g-głębszego. – Nad wymówieniem ostatniego słowa musiał trochę popracować.

– Czyli? – Nie ustępowałem.

Nakreślił palcem kilka liter w powietrzu, postawił kropkę i usatysfakcjonowany kiwnął głową.

– A możesz to powiedzieć? Pisziesz dość niewyraźnie.

– Cho-chodzi, bracie, o pracę nad uniwersum. Twoim wewnętrznym uniwersum. Cho-chodzi o duchowe s-s-samodoskonalenie.

Aha. Nie tylko ludzie Smółki pracowali tu nad sobą. Najwyraźniej byłem w miejscu, które służy duchowym wędrówkom. Może sam powinienem popracować? Obiecałem, że wrócę do nich. Za kilka godzin. Z kolejną baterią „czarnej śmierci”. O ile przez ten czas nie wykończy was robota koncepcyjna. Odprowadził mnie zgodny rehot.

Poszedłem do pokoju i zabrałem glocka. Wybierałem się na przejażdżkę i wolałem mieć pistolet ze sobą. Wsunąłem broń do prowizorycznego schowka pod siedzeniem.

Przejechałem kilkaset metrów i zatrzymałem się przy barze. Nazywał się Na Zakręcie i znajdował się na łuku drogi. Pierwszy raz zauważyłem, żeby był otwarty. W schowku miałem kopie zdjęć Magdaleny Wolskiej i mojego ojca siedzącego na krzeselku wędkarskim. Pokazałem barmance zdjęcie dziewczyny. Przypatrywała się długo. Pokręciła głową.

– Kiedy miała tu być?

– W ubiegłym roku. W sierpniu.

– Może tu była... Raz... Albo nie... Ona chyba do jakiejś innej podobna. – Nie mogła się zdecydować. – Tak w ogóle powinien pan Elvisa zapytać.

– Elvisa?

– Didżeja na naszych potańcówkach. Baki nosi, o, takie. – Przyłożyła palce do skroni. – I lubi turystki. Starsze, młódki. Żadnej nie przepuści.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– U sołtysa. Chyba że pojechał do brata, do Niemiec.

Wypytywałem ją jeszcze przez dobre pół godziny, podziwiając inskrypcje wycięte nożem na drewnianych ławach przez bywalców. Grzybiarzy, wędkarzy, motocyklistów, zakochane pary. Być może liczyłem, że znajdę tam miłosne inicjały. M.W. + J.K. Magdalena Wolska i Jan Koenig. Na nic takiego nie natrafiłem.

Nic. Gównno. Drugie z tych słów było wyryte w drewnie z błędem ortograficznym.

Sołtysa i tym razem nie było. Na drzwiach pojawiła się natomiast tabliczka. „Najlepszy sołtys to taki, który nie rzuca się w oczy”. Kopnąłem wystający kamień i wzruszyłem ramionami. W sumie trudno odmówić racji.

Podjechałem sto metrów dalej do sklepu U Bożenki. Mężczyzna w ciężkich zniszczonych butach pochylał się nad ladą. W ręce trzymał długopis i składał podpis, co przychodziło mu z pewnym trudem. Szefowa tego przybytku czekała cierpliwie. Sześć tyskich na ladzie także nie zdradzało oznak niepokoju. Mężczyzna brał piwa „na zeszyt”. Prosta i stara jak świat metoda kredytowania, stosowana także i tu. Pokazałem sprzedawczyni zdjęcie, z grubsza wyjaśniając, o co chodzi. Nie, zdecydowanie zaprzeczyła. Nie było tu takiej. Mam pamięć do twarzy, w tej robocie muszę mieć, nie? Gienek też ma, pokazała na mężczyznę, ale wtedy, jak się napije. Podsunęła mu fotografię, spojrzął na nią przelotnie, burknął coś pod nosem i z mozołem powrócił do składania autografu.

Gdy skończył, skupił się na mnie.

– A tymi trzema też się pan zajmuje? – spytał.

– Gienek, daj spokój. – Sprzedawczyni ostrzegawczo uniosła palec.

– Którymi trzema? Z lasu?

– Ano – przytaknął. – Czyli słyszał pan.

– Ludzie mówią, że ma coś z tym wspólnego ksiądz... – zacząłem.

– To nie ksiądz – zaprzeczył gwałtownie. – To duch. Ktoś, kto znika w powietrzu.

– Powtarzam ci, Gienek. – Szefowa chciała przysunąć sześciopak do siebie, ale Gienek był szybszy.

– To duch – powtórzył, stojąc w drzwiach. – Tylko zabobonne babska w to nie wierzą.
– Roześmiał się. – No co? Pożartować już nie wolno?

Po jego wyjściu kupiłem dwa czteropaki dla poszukiwaczy skarbów. Piwo było ciepłe, lodówka wyłączona. „Pan żartuje, miałabym włączać w taki upał, żeby się popsuła? I nie nazywam się Bożenka. Jadwiga”. „A nazwa, bo tak ładniej. Oryginalniej”. A potem zatrzymywałem się przy każdym barze i sklepie aż do Szczytna, w kolejnych Małgosiach, U Rycha i innych. Byłem miły i pokazywałem dwa zdjęcia. Za każdym razem z tym samym skutkiem.

Nic. Nikt niczego nie słyszał. Nie poznawał dziewczyny. Niczego nie pamiętał.

Kolejny upalny dzień dał mi się we znaki, blacha samochodu parzyła i czułem się tak, jakbym miał dostać udaru. Gorące powietrze wpadało przez opuszczone szyby i równie dobrze mogłem przystawić żelazko do twarzy. Wróciłem do pensjonatu spocony, zły i zrezygnowany. Wziąłem prysznic. W myślach powtarzałem dwa słowa. Znak pokoju wysłany rano przez Clyde'a.

Przy kamperze trwały prace koncepcyjne. Liczba puszek zwiększyła się wprawdzie nieznacznie, ale poszukiwacze oznaczali teren także w inny sposób. Okadzili go. Świadczył o tym intensywny zapach marihuany. Ten pokąsany w dzieciństwie przez psa wyglądał na całkiem zrelaksowanego. Najpewniej proces samodoskonalenia postępował. Z laptopa sączyła się muzyka z lat sześćdziesiątych. The Mamas and the Papas albo inni hipisowscy przebierańcy. Wręczyłem dary, mój dowód wdzięczności za pomoc, a oni zaproponowali blanta. Odmówiłem.

– Ty aby nie jesteś z policji, bracie?

– Nie. A skąd takie przypuszczenie?

– Bo podobno szukasz jakiejś dziewczyny.

Zapytałem, skąd o tym wiedzą. Od tego grubasa. Wędkarza. Wspominał o tym przy piwie. W sumie spoko koleś. Wyjaśniłem, że to sprawa osobista. Drobnie prywatne śledztwo. Do pewnego momentu romantyczna historia. Później bolesna, jak to bywa z miłosnymi przygodami. „Naprawdę, chłopaki, nie chcę wdawać się w szczegóły. Sami wiecie, jak jest. Nie jestem tajniakiem. Naprawdę zajmuję się pisaniem”.

Sącząc browary, rozmawialiśmy o generale Samsonowie. Szczegółowo opowiedziałem o bitwie pod Tannenbergiem, a oni zrewanżowali się opowieścią o poszukiwaniach. W ubiegłym roku byli pełni zapału. I konkurencji było mniej. Ten cholerny Żółty Pociąg namieszał teraz ludziom w głowach. I kolejne pogłoski o poszukiwaniu Bursztynowej Komnaty, która może być też gdzieś tu, na Mazurach, zrobiły swoje. Teraz każdy chce szukać. Albo gra w Lotto. „Nikommu, bracie, już się nie opłaca normalnie pracować, jak wszyscy cię dymają”. Opowiadali o sprzęcie, którego używają. Poważna inwestycja. Nie miałem na to ochoty, ale wyjęli z kampera to całe ustrojstwo i chcieli zademonstrować, jak działa. „Chcesz zobaczyć, jak pracują «luksusowe białogłowy»?” „Bo tak je nazywamy, bracie. Czule, nie?” Dowiedziałem się, że w trakcie poszukiwań mogą komputerowo konfigurować dane terenu i robić mnóstwo innych rzeczy.

– Bo to już zupełnie inaczej – wtrącił Docent – niż gdy zaczynałem we Francji. Teraz tam skurwiele rozpylają nad terenami poszukiwań opiłki aluminium, żeby zakłócić pracę urzędów i całkiem zniechęcić ludzi. Do nas też to dotrze.

– Dlaczego nazywają cię Docentem?

– Dwa lata studiowania archeologii. – Wypiął pierś z dumą. – Ale takie szukanie to jest moja pasja. Jestem niezależnym poszukiwaczem i badaczem, unikam akademickiej opresyjności.

– A jak znajdziesz ten skarb, to co zrobisz z tym całym hajsem?

Wzruszył ramionami i wziął macha.

– Nie wiem. W sumie nie myślałem o tym. Ale Brat wie. Nie, Brat?

– Wiem – wtrącił pokąsany. – Kupię ziemię. Na Lubelszczyźnie.

– Na Lubelszczyźnie?

– Tak. Zamierzam produkować piwo. Idę w piwa rzemieślnicze. Z amerykańskich odmian chmielu, bracie. Zrobiłem nawet rozeznanie. Equinox, sorachi ace, chinook, amarillo – zaczął wyliczać. – Coś takiego będę hodować. Rewolucja się jeszcze nie skończyła i wszystko na tej planecie w naszych rękach. – Wypluwał z siebie zdania, między którymi niekoniecznie był jakiś związek. Przynajmniej ja miałem kłopot, żeby go dostrzec.

– Brat nawet miał wspólnika – wtrącił Docent. – Szukał w ubiegłym roku razem z nami, ale przepadł...

Rozbrzmiały pierwsze takty *Hey Joe*.

– Po-ponura historia, bracie.

- Mały dramacik.
- Melanż mroczo-cz-cznych sił.
- Ciemność absolutna. Jak Murzyn w darkroomie.
- Murzyn w darkroomie, który je razowca.

Rozkręcali się. I rywalizowali jak raperzy podczas bitwy albo dwaj paranoiczni pokerzyści podbijający stawkę.

– A było tak – Docent otworzył kolejną puszkę – że Bono, wiesz, on podobny był do tego wokalisty kropka w kropkę, pojechał gdzieś kopać. I wrócił cały roztrzęsiony. Natrafił na metal. Kopie. Kopie. Co znajduje? Zwłoki. Ludzkie zwłoki. I uciekł w popłochu stamtąd.

- Kiedy to było? – Ściszyłem głos.
- Rok temu. We wrześniu.
- Gdzie znalazł ciało? I co mówił? Zwłoki mężczyzny? Kobiety? W jakim stopniu rozkładu? – zarzuciłem ich pytaniami.

Patrzyli na mnie, milcząc.

- Po prostu ciekawią mnie takie historie.
- Tyle że Bono nic nie mówił. – Docent podał skręta Bratu. – Zaciął się. Wrócił i cały się trząsał. Zamknął się w kamperze. A następnego dnia zniknął.

- Jak to: zniknął?
- Po prostu wyjechał. Nawet nie zauważyliśmy kiedy. Zostawił nam nawet swoją białogłową.

- Zaskakująca decyzja, bracie.
- Dziwna.
- I c-całkowicie niezrozumiała.
- To tak, Bracie, jakby wykupić wakacje *all inclusive* w Radomiu.
- Albo masować się chińskimi kamieniami w So-So...
- W Soho? – przyszedłem z pomocą.
- W So-Sochaczewie.

Powoli miałem ich dosyć, a oni zgodnie pokiwali głową w rytm ostatnich taktów *Hey Joe*.

- Jedno tylko powiedział. – Brat pochylił się nad laptopem. – Że to wszystko przez tych dwóch.

– Jakich dwóch?

– Mówił, że zatrzymało go dwóch takich... Charakterystycznych... Jeden grubas, a drugi z liszajem na twarzy czy czymś takim. I wiesz co – coś sobie nagle skojarzył – oni też pytali o jakąś dziewczynę.

Pomyślałem o trzech synach Koeniga. Trzech braciach Karamazow w mazurskiej skali. Oraz ich wszechwładnym ojcu. Gruby i z liszajem. Burger i Jaszczur. To musieli być oni. Próbowałem coś jeszcze wycisnąć. Poprosiłem, żeby sobie przypomnieli tamten dzień. Bez skutku. Zapętlili się i powtarzali w kółko to samo. A Bono wyjechał. Nie odezwał się więcej. Wyłączył telefon. Albo zgubił. Czy powiadomili kogoś? „A kogo? I co mielibyśmy powiedzieć? Jak się szuka skarbów, czasem znajduje się kości. Albo szkielet, bracie”.

Zmierzchało. Hendrix grał amerykański hymn, a my rozstawaliśmy się w pokoju. Chciałem wrócić do pensjonatu i raz jeszcze ułożyć w głowie kawałki układanki. Zobaczyć, jaki obraz się wyłoni. Czy wyłoni się jakikolwiek.

Podszedłem do samochodu, żeby wyjąć pistolet. Wolałem mieć go ze sobą. Kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem ciche odchrząknięcie.

Odwróciłem się.

Wpatrywał się we mnie księżyc w pełni, aspirant Nowina. Władca much.

– Ma pan chwilę? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami. Mogło to oznaczać, że mam, ale równie dobrze, że jestem zajęty.

– To chciałbym, żeby pan coś zobaczył. Coś, co może mieć związek z... z przedwczorajszą sytuacją. Z tym... domniemanym atakiem na pana. – Wskazał ręką samochód. – Pił pan?

– Piłem piwo. Chciałem się tylko upewnić, czy nie zostawiłem dokumentów.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To ja poprowadzę. Coś panu pokażę. To może być dla nas obu interesujące. – Wyciągnął rękę po kluczyki.

Usiadłem na miejscu dla pasażera, a on uruchomił samochód.

Dojechaliśmy do głównej drogi. Nowina popatrzył na mnie i zatrzymał się. Zaciągnął hamulec ręczny. W spojrzeniu policjanta było coś, co uruchomiło w mojej głowie dzwonek alarmowy. Nie zdążyłem jednak zareagować. A właściwie przed reakcją powstrzymała mnie lufa pistoletu wycelowana w moją pierś.

Nowina bez słowa sięgnął po kajdanki. Metal na nadgarstkach był chłodny, ale nie przyniosło mi to ukojenia. Kajdanki szczęknęły.

– Powiedziałem ci, że czeka nas krótka przejażdżka. A potem rozmowa. Tylko od ciebie zależy, jak się potoczy. I jak długo potrwa.

Ruszył.

Prowadził jedną ręką. W drugiej wciąż trzymał pistolet.

Skręcił w prawo. Nie jechaliśmy do Szczytna. Nie wiózł mnie na komendę.

Wiedziałem, gdzie się kierujemy. Pomyślałem, że z tej rozmowy nikt nie sporządzi protokołu.

Odbił w prawo, w boczną drogę, potwierdzając moje przypuszczenia.

Mój Glock znajdował się pod siedzeniem kierowcy. Miałem skute ręce. Pistolet Nowiny wciąż skierowany był w moją stronę. Aspirant prowadził pewnie i wiedział, co robi. Szanse na podjęcie walki były bliskie zeru. Jedyne, co mogłem zrobić, to przerwać milczenie.

– Więc tak to działa? – spytałem. – Kupił was wszystkich? Nawet policję?

Nie odpowiedział. Lekko się uśmiechnął i dodał gazu.

Minęliśmy tabliczkę informującą o wjeździe na teren prywatny. Przejechaliśmy przez wyrwę w murze, która była namiastką bramy. Podskoczyliśmy na jakiejś nierówności. W oddali wyłoniły się światła. Dom Koeniga zyskał kontury, a potem ukazał się w masywnej pełni. Na drodze pojawił się cień mężczyzny. Aspirant otworzył okno i zagadał do niego. Znowm mogłem żałować, że nie jestem Jackiem Reacherem.

Dom Koeniga nie był architektonicznym mistrzostwem świata. Nikt nie dałby za niego Nagrody Pritzкера. Dwa reflektory oświetlały podjazd i wejście. Zwalisty budynek miał drewniany parter w ciepłym, orzechowym kolorze i czerwone ceglane piętro, które można by potraktować jako ukłon w stronę starej miejscowej zabudowy. Budynek był asymetryczny, z jednym skrzydłem dłuższym, i – jak przypuszczałem – rozbudowany w głąb. Prosty dwuspadowy dach z nowymi dachówkami ciemniejszymi od ścian. Żadnych ganków, kolumnad i lwów na cokołach, a raczej królestwo prostoty, surowości, niemal ascezy. Tacy jak Koenig, jeśli potrzebują odrobiny luksusu, po prostu lecą na drugi koniec świata i wynajmują wyspę na południowym Pacyfiku. Bezludną. Jeśli nie liczyć hotelu spa, ochroniarzy oraz zastępów pokojówek i kelnerów gotowych zaspokoić każdą potrzebę. Pytanie, czy Koenig czegoś takiego potrzebował.

Koła zachręściły na żwirze i samochód stanął. Nikt tu nie robił ceregieli i nie rozłożył czerwonego dywanu. Stanęliśmy od frontu, a Suzuki było jedynym samochodem na podjeździe, garaż musiał znajdować się gdzieś z boku. Drzwi po mojej stronie otworzyły się. Ponieważ wciąż w cenie była surowość, wpatrywała się we mnie twarz pochodząca z czasów, gdy ludzkość walczyła o ogień i uczyła się mówić. Dwumetrowy troglodyta szarpnął mnie za ramię, a ja wylądowałem na żwirze. Jęknąłem. Ostre kamyki wbiły mi się

w twarz. Kilka z nich wyplułem. Przywitanie z matką ziemią trwało krótko. Troglodyta chwycił mnie pod pachy i uniósł jak piórko. Jego twarz przecinał bolesny grymas, jakby facet cierpiał z powodu hemoroidów. Otrzeptał mnie, najwyraźniej uznając, że nie mogę tak pokazać się na salonach. Gwizdnął na palcach i zza węgła wyłonił się jego współplemieniec podobnych gabarytów. Patrzył na mnie i policjanta bez sympatii. Chciałem zapytać, gdzie porzucił maczugę, ale Nowina mnie uprzedził.

– Co się tak gapisz?

Tamten nie odpowiedział. Dał znak głową, abyśmy ruszali.

Weszliśmy do środka. Policjant, potem ja, a za mną Hemoroidalny i ten drugi. Panowała cisza. Tylko deski skrzypiały pod nami. Przeszliśmy kilkanaście metrów w półmroku i podeszliśmy do jakichś drzwi. Zawiasy skrzypnęły i znaleźliśmy się w kręgu światła. Musiałem zmrużyć oczy.

Dopiero tutaj czekał na mnie komitet powitalny.

Szczupły mężczyzna z przerzedzonymi blond włosami opierał się o stół. Jego twarz łuszczyła się jeszcze bardziej niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Jaszczur wyglądał paskudnie i przewiercał mnie swoimi równie paskudnymi oczami. W fotelu siedział senior rodu. W wyczyszczonych na glanc wysokich butach, których najwyraźniej nigdy nie zdejmował. Zmieniał natomiast koszulę. Czerwono-czarna krata była wypuszczona na jasne spodnie. Henryk Koenig nie zaszczylił mnie spojrzeniem. Wpatrywał się w drewniany kredens, inkrustowany motywami myśliwskimi. Na ścianach, tyle zdążyłem zauważyć, wisiały reprodukcje obrazów z końskimi motywami. Przy fotelu stał jeszcze jeden mężczyzna. W dobrze skrojonej, zapewne uszytej na miarę marynarce i okularach w połączanej oprawie wyglądał, jakby zabłąkał się tu z innej imprezy. Gruby kark, spłaszczony nos i wielka łapa, którą trzymał na oparciu fotela, podpowiadały jednak, że o pomyłce nie ma mowy. Kiedyś musiał być bokserem, a teraz pełnił wartę honorową przy królewskim tronie.

Podszedł do mnie, trzema palcami poprawił okulary, jak profesor szykujący się do wygłoszenia wykładu, a następnie sprawnymi ruchami mnie przeszukał. Dał znak Nowinie, a ten zdjął mi kajdanki.

– To co, panowie – próbowałem rozładować atmosferę – będziemy tak stać na sucho czy podacie jakiś aperitif?

– Ja go pamiętam, tato – odezwał się Jaszczur. – On był wtedy w smażalni... Wtedy, co ci dwaj motocykliści dostali wpierdol. Pamiętasz, Twardoch?

Mężczyzna w marynarce skinął głową. Stary Koenig wciąż patrzył przed siebie. Ignorował mnie, jakbym był powietrzem.

Aspirant podszedł. Na tyle blisko, że zaatakowała mnie woń kwaśnego oddechu.

– To teraz, pisarczyku, zobaczmy, kto tu będzie arcybiskupem Wesołowskim. – Na szczęście cofnął się trzy kroki i zmierzył mnie spojrzeniem. – Gdzie on jest?

– Kto? – Nie rozumiałem. Naprawdę nie wiedziałem, o kogo pyta.

– Twój kumpel w koloratce. Ten, który lubi obcinać języki.

– Nie wiem, o kim mówisz. Jestem...

– Wiem. – Machnął ręką zniecierpliwiony. – Jesteś kawał gnoja. Tyle już wiem. Gdzie on, kurwa, jest? I dla kogo pracujecie? Kto dał zlecenie?

Pojałem, o co w tym wszystkim chodzi. Uczestniczyłem w czymś w rodzaju transakcji związanej. Nowina chciał przyszpilić mordercę z lasu. Jeśli go złapie, będzie huczało w całej Polsce. Splendor, wywiady, spotkanie z komendantem głównym, pewny awans. A jakiś murzyn napisze za niego książkę. Może będzie to Curyło. Stary Koenig też miał swoje powody, żeby ze mną porozmawiać. Rozniosło się, że jakiś namolny typ wypytuje o niego i rodzinę. Połączyli teraz siły. Tak wygląda wzorowa współpraca biznesu i organów państwa. To było oko cyklonu, w którego środku tkwiłem.

– Mówiłem ci już – zacząłem – że ludzie w mieście...

– Ludzie w mieście gówno wiedzą. Skąd wiesz o obciętym języku?

Milczenie przerwał zgrzyt kamienia w zapalnicze. Stary Koenig zapalił papierosa. Wstał. Zrobił cztery kroki i stanął. Błada cera poprzecinana była setkami zmarszczek. Niektórzy biznesmeni ratują się botoksem, jakby chcieli w ten sposób załatwić sobie nieśmiertelność. Ale to nie był ten przypadek. Dzieliło nas kilkadziesiąt centymetrów i mogłem przywalić mu z bańki, ale w ten sposób podpisałbym na siebie wyrok. Powstrzymałem się i czekałem.

– Zwykle w takich razach – zaczął – zadaję trzy pytania.

Wiedziałem jakie.

– Pierwsze – wypuścił dym prosto w moją twarz – co dziś zrobiłeś dobrego dla świata? Drugie: co zrobiłeś dzisiaj dobrego dla naszej ojczyzny? Trzecie: co zrobiłeś dziś dla siebie?

– Prawą ręką. – Próbowałem się uśmiechnąć. – Zwykle robię to prawą ręką.

Znieruchomiał. A potem spojrział na Twardocha.

Mężczyzna w marynarce podszedł do mnie, poprawił oprawki okularów, jakby był zakłopotany, a potem wielką, ciężką łapą wymierzył mi plaskacza. Poczułem, jakby kopnął mnie prąd. Na ułamki sekundy mój kręgosłup zamienił się w słup wysokiego napięcia. Oczy zaczęły łzawić, skóra piekła, zadzwoniło mi w uszach, a w ustach poczułem smak krwi. Przywalił mi raz jeszcze, poniżej ucha. W jednej chwili z Mazur przeleciałem na Malediwy. Zatoczyłem się, ktoś mnie podtrzymał, ale nie był to jednak uczynek samarytanina. Nim zdążyłem dojść do siebie, krótki, szybko wyprowadzony cios wymasował mi wątrobę. Zgiąłem się wpół. Padłem na kolana. Straciłem oddech, a potem zacząłem rzezić. Moje ciało rozpadło się, a następnie scalił je ból.

– Dość. – Głos Koeniga dobiegał jak z zaświatów. – Starczy tego boksu. Ocućcie go.

Czarne punkciki migały mi przed oczami. Przeszkłone drzwi prowadziły na taras i tam mnie wywlekli. Ktoś wylał mi na głowę zimną wodę. Usłyszałem chichot Jaszczura. Otrząsałem się.

Twardoch i Hemoroidalny postawili mnie do pionu. Drugi z mastodontów znikł. Pewnie stał przy drzwiach. Wciąż z trudem łapałem oddech.

– Udzielasz samych złych odpowiedzi. – Koenig przemawiał łagodnie, jakby tłumaczył coś krnąbrnemu dziecku. – I podejmujesz złe decyzje, Hłasko. Bo tak się nazywasz, prawda? Wściubiasz nos w sprawy, od których powinieneś trzymać się z daleka. Jesteś nieostrożny. O mało nie staranowałeś mojego kierowcy w terenówce...

Podszedł do popielniczki i starannym ruchem, bez pośpiechu, wgniótł niedopałek w metal.

– Same skargi są na ciebie. – Znów spojrział na mnie. – Ale ja mam sposoby na takich zawodników jak ty.

Dał znak Twardochowi, a ja zacisnąłem pięść i naprężyłem ciało, spodziewając się kolejnego ciosu.

Ten jednak nie nadszedł. Twardoch wykonał ruch głową w kierunku myśliwskiego kredensu. Stary Koenig podszedł bliżej i położył mi rękę na ramieniu. Jaszczur zrobił to samo. Wyglądaliśmy jak turyści w muzeum pochyleni nad rzadkim eksponatem. Jak paczka starych przyjaciół.

– Myślisz, że jesteś pierwszy? – Stary Koenig pokręcił głową. – Nie. Nie jesteś pierwszy. Mam tu taką gablotkę. Pełną skalpów. Ludzie sprawiają kłopoty, a ja się tylko odwdzięczam. Popatrz.

Na szklanej półce znajdowało się kilka zegarków o mniejszej i większej wartości. Stary skórzany portfel. Wizytownik. Flakonik z perfumami. Kluczyki do samochodu. Długopis i dwa wieczne pióra. Wzdrygnąłem się, gdy zobaczyłem dwa odcięte palce. Nie, to były jednak cygara. Obrączka i sygnet. Trochę badziewia, zapewne kilka rarytasów.

A w głębi, w ostatnim szeregu, leżał niewielki przedmiot.

Zamrugąłem i przełknąłem ślinę. I jeszcze raz. Świat wokół zamarł. Wpatrywałem się w jeden punkt, jakbym dostrzegł ducha.

– Twój skalp będzie kolejny. – Głos Koeniga dobiegał z oddali. – Zdejmijcie mu zegarek.

Nie stawiałem oporu. Widziałem, jak wkładają zegarek do gabloty. Wciąż patrzyłem w jeden punkt i czułem się, jakby spadła na mnie lawina ciosów o wiele cięższych niż te, które mógł mi wymierzyć bokser w marynarce. Przeniosłem wzrok na Koeniga. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. W głowie kołatała mi jedna myśl. Muszę zrobić wszystko, żeby przeżyć.

– Inaczej sobie porozmawiamy. Są metody, które natychmiast przywracają pamięć. – Senior rodu ruszył do drzwi. – Weźcie go tam.

„Tam” oznaczało pomieszczenie przylegające do salonu. Kwadratowe i puste, nie licząc haka w ścianie. Z białymi i czarnymi kafelkami na podłodze. Białą glazurą na ścianach. Ta pustka przerażała. Kojarzyła się z rzeźnią albo sklepem mięsnym z czasów kryzysu. Domyślałem się, w jakich sytuacjach korzystają z tego miejsca.

Aspirant gdzieś znikł. Policja potrafi zachowywać się subtelnie. Hemoroidalny wziął skądś krzeselko i postawił je na środku. Żarówka zaskwierczała i zgasła.

– Zrób coś z tym – wycedził Jaszczur do Twardocha.

– Sam coś zrób – usłyszałem warknięcie. – Wiesz przecież – ochroniarz wskazał na serce – że nie mogę się do takich rzeczy dotykać.

Hemoroidalny wybiegł i po chwili wrócił z mocniejszą żarówką. Stała się jasność, a oni posadzili mnie na krześle. Zapierałem się, ale przy dwóch potężnych bydlakach byłem bez szans.

Troglodyta przytrzymał mnie, a Twardoch obwiązywał szarą taśmą samoprzylepną. Stary Koenig gładził ręką rzeźnicki hak.

– Jak pewnie wiesz, mamy tu w Kiejkutach naszą lokalną specjalność. Nie ma takiego, który nie pęknie.

Szarpnąłem się.

– Kawał gnoja z ciebie, Koenig. Zabiję cię.

– Nie pierwszy mi to mówisz. – Koenig roześmiał się, a Jaszczur poszedł w jego ślady.

Wiedziałem, co będzie. Nie ma zmyślniejszej tortury niż podtapianie. Zwykle mocuje się gościa do deski. Albo drzwi. Ustawia się ciało pod takim kątem, żeby woda nie spłynęła do płuc. Przykrywa twarz szmatą albo czymkolwiek, wedle fantazji. A potem niespiesznie polewasz wodą.

Czułem, jak wali mi serce. Krew pulsowała w skroniach. Nic jeszcze nie zrobili, a ja już się bałem. Może gdybym przeszedł odpowiednie szkolenie, byłoby inaczej. Szybki kurs dla komandosów. Taktyka zielona. Taktyka czarna. S.E.R.E. *Survival. Evasion. Resistance. Escape.* Przetrwać. Uniknąć. Stawić opór. Uciec. Za wszelką cenę muszę przeżyć. Wydostać się. Powtarzałem to jak mantrę.

Nie mogłem się ruszyć. Na ucieczkę nie miałem najmniejszych szans. Ale nie dlatego dopadł mnie kurewski strach. Po prostu wiedziałem, na czym polega podtapianie. Nie ma większego bólu niż ten, który możesz zadać głowie. Tu w ogóle nie chodzi o wodę, która napływa do ust, nozdrzy, uszu. Nie chodzi o to, że się topisz, ale że o tym wiesz. Od początku do końca masz świadomość tego, co się dzieje. I wiesz, że będzie to trwało i trwało. Ciągnęło się w nieskończoność. Że urodzą się w tym czasie twoje wnuki, o ile masz dzieci, a ty będziesz wciąż tonął. Ten, kto wymyślił podtapianie, powinien dostać Nobla.

Koenig zdecydował się na inny wariant. Czasem łatwiej zdobyć krzesło niż dużą deskę. Zwłaszcza w warunkach bojowych. Amerykanie często korzystali z tej metody. Można gościa przesłuchać w helikopterze, a potem dać mu szansę, żeby zmierzył się z prawem grawitacji. Hemoroidalny przyniósł czarne worki. Takie na śmieci. „Najmocniejsze z mocnych”, mignął mi napis na opakowaniu. „Jan Niezbędny przydatny na tysiąc” i, okazywało się, na jeszcze jedną okazję. Zrobili mi kołnierz, a szyję ściśle obwiązali taśmą. Wyglądałem, jakbym miał założony klosz. Albo strój Elżbiety I.

Zaczęli łać wodę, a ja próbowałem oswobodzić się z więzów. Wykrzykiwałem, sam nie wiem co. Jeden unieruchomił mi głowę. Trzymał ją mocno jak w imadle. Chciałem go ugryźć w rękę, ale nie mogłem sięgnąć. Woda podeszła do ust, a serce waliło jak oszalałe. Wziętem oddech, ale wiedziałem, że nie wytrzymam długo. Pociemniało mi przed oczami. Jeszcze moment i moje skronie, a potem cała głowa, wystrzela w kosmos.

Odpłynąłem.

Byłem małym chłopcem, chyba to było po pierwszej klasie podstawówki, i pojechaliśmy wszyscy nad Świder. Zrobiłem o kilka kroków za dużo i porwał mnie wir. Prąd w tamtych miejscach, między Warszawą a Otwockiem, jest zdradliwy i często wyławia się tam topielców. Czułem, jak potężna siła ciągnie mnie na dno. W ostatniej chwili silna męska ręka nieznanego mężczyzny przytrzymała mnie i wyciągnęła na brzeg.

Teraz było tak samo.

Tyle że ręka wymierzyła siarczysty policzek, który przywrócił mnie rzeczywistości.

– Dość czy powtarzamy? – Stary Koenig pochylił się nade mną. – Dlaczego tak interesują cię moje sprawy? Kim jest ten facet z lasu? Ten ksiądz z hiszpańską bródką? Dla kogo pracujesz?

Nie odpowiedziałem. Zaczerpnąłem powietrza. Walczyłem o życie.

Ponownie przytrzymali mi głowę i zaczęli zabawę od początku.

W ostatniej chwili ręka nieznanego mężczyzny... Nie. To była zupełnie inna ręka. Trzymała mnie za kark i należała do mojego ojca. „Nasz ojciec nigdy się nie wściekał”. Ale raz wściekł się na mnie. Byłem jeszcze młodszy niż wtedy, gdy się topiłem. Podkradłem ojcu portfel. Byłem ciekaw, co ma w środku. Nie. Nie zainteresowały mnie pieniądze. Ani monety z orzełkiem, ani banknoty. Nie ciekawiły mnie wizytówki, nie umiałem czytać. Ale w bocznej kieszeni, takiej na suwak, znajdowała się metalowa, poczerniała blaszka. Zrobiona z jakiejś puszki, w dziwnym kształcie. Z trzema wyskrobanymi literami. „Co ty robisz?”, ojciec trzymał mnie i patrzył na mnie wściekłym wzrokiem. „Nic. Oglądam tylko twoją blaszkę”, odpowiedziałem przestraszony i rozplakałem się. Zabrał mi ją bez słowa. Pogładził po głowie. Nigdy więcej jej nie widziałem i zapomniałem o niej.

Niepozorna zaśniedziła blaszka. Nie widziałem jej aż do dziś. Gdy Henryk Koenig pokazał gablotkę pełną skalpów.

Serce waliło mi jak oszalałe, ale nie mogłem oddychać. Czułem, że jeszcze chwila i uduszę się. I wtedy przestali. Wylali wodę i rozwiązali mnie. Osunąłem się na posadzkę i przywarłem twarzą do kafelków. Powlekli mnie do salonu. Nie rozumiałem, co się dzieje. Aż zobaczyłem księżycową twarz aspiranta Nowiny. Trzymał mojego glocka. I plik zdjęć. Jaszczur oglądał dwie fotografie.

– No to, panie detektywie, jesteśmy w domu – powiedział Nowina. – Prawie w domu. – Powiódł wzrokiem po obecnych. – Nie ma to jednak jak klasyczne metody. Trzymał to wszystko ukryte w samochodzie.

– Nie wiem... – wybełkotałem. – Moje słowa dobiegały z zaświatów. – Nie wiem... kim jest ten mężczyzna. Nie mam z tym... – Z trudem składałem słowa.

Milczeli. I chyba mi uwierzyli.

– Szukam dziewczyny. Ona nazywa się Magdalena Wolska...

– A ten facet? Ten na tym starym zdjęciu?

– To zupełnie inna sprawa. Inne zlecenie. Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Dziewczyna interesowała ich bardziej. Stary Koenig nawet nie spojrzał na zdjęcie mojego ojca. Nie wierzę w Boga, jestem natomiast pewien obecności złych mocy. Modliłem się teraz tylko o jedno. Żeby Koenig zignorował fotografię. Raz już wymienił moje nazwisko. Spojrzy na zdjęcie i przypomni sobie coś. Tylko co?

– Co o niej wiesz? O dziewczynie? – spytał Jaszczur.

– Że miała przyjechać tu... do tego szarlatana... Do Smółki.

– To dlaczego o nas wypytyujesz?

– Bo tu wszystko jest powiązane z wami... Wszystko wiecie...

Zamarłem. Stary Koenig wziął do ręki fotografię mojego ojca. Spojrzał na nią, a potem przeniósł wzrok na mnie.

– Co tak na mnie patrzysz? – spytał.

Odłożył zdjęcie.

Wziąłem kilka wdechów. Nie wiedziałem, co się stało. A właściwie dlaczego nic się nie stało.

– Możemy... możemy dojść do porozumienia. Pomóżcie mi ją odnaleźć. Interesuje mnie tylko dziewczyna. Mój zleceniodawca jest wpływową osobą, a taki dług wdzięczności...

– Nie – przerwał mi Koenig. – Najwyraźniej ubijanie interesów nie jest moją mocną stroną. Nie, przyjacielu. Nie będzie żadnego dealu.

Zapadła cisza. Koenig podszedł do fotela. Sięgnął po papierosy leżące na oparciu. Wsunął jednego do ust.

– Ta dziwka wystarczająco nam krwi napsuła. Ale znajdę ją. I tamtego też. Sam.

Usiadł w fotelu i zamyślił się. Stukał palcami w oparcie. Nikt się nie odzywał. Usłyszałem dźwięk za drzwiami. Pewnie Hemoroidalny i ten drugi sprząтали miejsce kaźni. Twardoch zapiął środkowy guzik marynarki. Nowina i Jaszczur patrzyli w ogromne okno. Koenig rzeczywiście był teraz królem, a poddani czekali na jego decyzję, od której nie było odwołania.

– Był tu już taki. Też szukał tej dziewczyny. Węszył... Zupełnie jak ty. Potraktowałem go łagodnie. Twardoch zapewnił mu kołnierz ortopedyczny i na tym się skończyło. Ale najwyraźniej to są półśrodki. Nigdy nie byłem przekonany do półśrodków. Może się starzeję.

– No co ty, tato. – Jaszczur okazał dowód synowskiej miłości.

– Nikt cię nie pytał o zdanie. – Koenig wpatrywał się w kredens. – Ale dość z tym. Wiem, kim jest twój zleceniodawca. Twój poprzednik mi powiedział. Pani mecenas nie jest tak wpływowa, jak się jej wydaje.

Wstał.

– Dość z tym – powtórzył. – Twardoch! – Spojrzał na boksera. – Wywieź pana.

Nowina poruszył się niespokojnie.

– Umawialiśmy się...

– Wiem, jak się umawialiśmy. – Koenig nie krył irytacji. – Ten pan po prostu dostanie solidną nauczkę.

Aspirant nie odpowiedział. A ja uznałem, że jest szansa, by wyjść z tego cało. Z nogami w gipsie i nie o własnych siłach. Coś za coś.

Nikt więcej się nie odezwał. Koenig uznał audiencję za skończoną. A bokser wiedział, co ma robić.

Ochroniarz podszedł do policjanta. Wziął kluczyki do suzuki i mój pistolet. Wyszedł i wrócił, gdy aspirant kończył krępować mi ręce. Związał mi je za plecami taśmą. Jaszczur podszedł do mnie i strzelił mnie otwartą dłonią w kark. Tak na pożegnanie.

– Nie dotykaj mnie. Nie chcę się czymś zarazić – warknąłem.

Splunął mi w twarz. Zamknąłem oczy.

A potem Twardoch wypchnął mnie przez drzwi.

Wsiadliśmy do mojego samochodu we trzech. Nowina wysiadł przy pensjonacie.
Gdzieś tu miał swój samochód.

– Pamiętaj, jak się umawialiśmy – upomniał Twardocha.

Bokser kiwnął głową.

A potem już we dwóch ruszyliśmy w nieznane.

Ręce miałem związane mocno i czułem, jak odpływa mi krew. Za Lemanami kierowca odbił w las. Włączył długie światła i jechał po ledwie widocznych śladach wytartych w trawie. Samochód ocierał się o gałęzie i podskakiwał na wybojach. Nie wiedziałem, dokąd zmierzamy i jak długo potrwa nasza podróż. Mogłem jedynie przypuszczać, że niedługo dotrzemy do celu.

– Wyglądasz na rozsądnego faceta – próbowałem negocjować. – Wypuść mnie, a przysięgam, że nigdy mnie nie zobaczycie i więcej o mnie nie usłyszycie. Jeszcze na tym zarobisz. A szefowi powiesz...

– Szefowi zawsze mówię prawdę. – Twardoch spojrzał na mnie. W jego głosie słychać było dumę. – Powiem mu, że poszedłeś do piachu.

– Dogadajmy się. Jak bokser z bokserem. Wprawdzie startowałem w innej wadze...
Roześmiał się.

– Nigdy nie byłeś bokserem. Nie masz odruchów boksera.

W jego ustach brzmiało to tak, jakby mówił, że jestem ciotą.

Wyświetlacz w samochodzie pokazywał dziesiątą wieczorem. Nie wiedziałem, czy jest to właściwa godzina i czy zegar jest dobrze ustawiony. Korzystałem z zegarka, który teraz znajdował się w gablocie z trofeami w salonie Koeniga. Leżał nieopodal niepozornej metalowej blaszki. Byłem pewien, że Koenig nie zada sobie trudu, żeby na niego spojrzeć, bo i po co. Nie byłem już dla niego przeciwnikiem. Rozgrywkę uważał za zakończoną.

Ciekawe, czy Nowina zabrał pieniądze ze schowka, traktując je jak honorarium? Jeśli nawet, z pewnością nie ruszył banknotów, które poupychałem w innych miejscach.

Gdy wjechaliśmy w las, podjąłem jeszcze jedną próbę. Tym razem inaczej.

– Co zrobiliście z dziewczyną? I z trzecim z synów Koeniga? Z Janem.

Gdy usłyszał imię, drgnął.

– Zabiliście ich, prawda? Młody stawiał się staremu. A on traktował go inaczej niż dwóch pozostałych. Więc pozbyliście się kłopotu. A swoją drogą, dlaczego dziś nie było z wami grubasa? Brzydzi się tortur?

Twardoch się skrzywił. Najwyraźniej Burger nie był jego ulubieńcem.

– Pojechał na dziwki.

– No to powiedz, jak było? Załatwiliście ich, tak? Pewien poszukiwacz skarbów natrafił później na ciało. Też go sprzątnęliście? Czy uciekł? Może sam to załatwiłeś swoimi zgrabnymi łapkami?

– Nie pierdol – warknął. – Nikogo nie zabiłem. Ojciec nie zrobiłby tego synowi. Nawet takiej łachudrze. Nikt nikogo nie zabił.

Zajechaliśmy na polankę i samochód gwałtownie zahamował. Twardoch wyprowadził mnie z wozu i podszedł do bagażnika. Kłapa, mimo wgniecenia, otwierała się. Wyjął łopatę. Musiał ją włożyć do auta, gdy Nowina krępował mi ręce. Zostawił włączone światła i rozejrzał się, jakby nie mógł się zdecydować. Wyłączył reflektory i zaczął oświetlać polankę telefonem. Wybrał miejsce na skraju, nieopodal trzech sosen, i popchnął mnie w tamtą stronę.

Wyjął z kieszeni nóż i przeciął taśmę. Przeładował mojego glocka i rzucił mi łopatę pod nogi.

– Kop – rozkazał.

– Żartujesz. – Rozcierałem nadgarstki.

– Kop! – powtórzył głośniej.

Chciałem zyskać na czasie. Oceniałem szanse. Byliśmy tylko we dwóch. Jeden na jednego. Albo Koenig nie ufał innym, albo był pewien, że posyła najlepszego, który wykonana zadanie. Uznałem, że mam do czynienia z tą drugą opcją.

Jeden to jednak nie pięciu. Pocierałem chwilę nadgarstki i sięgnąłem po łopatę. Twardoch nie spuszczał ze mnie wzroku. Stał w bezpiecznej odległości.

Tej nocy księżyc nie rozświetlał nieba. Drzewa cicho szumiały, a zwierzęta, jeśli były w pobliżu, przypatrywały się mojej pracy w milczeniu. Być może Twardoch kiepsko widzi. Bokserzy tak mają. Może spodziewać się ataku, ale nie tego, że spróbuję uciec. Ocenilem odległość od linii drzew. Kiepsko. Sześć, siedem kroków. Nawet zaskoczony, zdąży pociągnąć za spust. I raczej nie chybi.

W ogóle powinni mnie zastrzelić. Zginąłbym od kuli z własnej broni i byłaby to stara jak świat historia. Były policjant w depresji targnął się na swoje życie. Udał się do mazurskiego lasu i pociągnął za spust. Niech mu ziemia lekką będzie. Tyle że nie chciało im się, a ponadto nie byłoby to w stylu Koeniga. Nie tak się załatwia sprawy. Chodziło o to, żebym czuł się upokorzony.

Zacząłem kopać. Ziemia była twarda, a mnie bolała wątroba. Szumiało mi w głowie. Po dwudziestu minutach byłem zlany potem. Wtedy zadzwonił telefon.

– Nie. Jeszcze nie – usłyszałem. – Jeszcze kopie.

Ciało odmawiało posłuszeństwa, ale głowa pracowała. Ponownie oceniłem sytuację. Twardoch trzymał pistolet w prawej ręce. Gdy zadźwięczała komórka, przełożył go do lewej. To był ten moment. Musiałem zwolnić pracę i poczekać, aż ktoś od Koenigów zadzwoni ponownie. Zresztą i tak nie mogłem kopać szybciej. A jeśli nie zadzwoni? To zostawała ostatnia szansa. Bokser miał gest, którego nie kontrolował. Poprawiał okulary. Dotykał palcami oprawek. Robił to palcami prawej ręki. Byłem pewien, że powtórzy jeszcze ten gest. Przełoży broń. Wtedy rzucę się na niego. Albo, albo. Nie będzie już odwrotu. Czekałem.

Kopałem wolniej. Nie pytał, dlaczego się guzdrzę. Nie chciał się wdawać w rozmowę i rozpraszać. Zachowywał się zawodowo. Po prostu stał i patrzył. Czekał.

Wyprostowałem się i oparłem na łopacie.

– Nie daję rady. Strasznie przywaliłeś mi w salonie.

– Kop.

– Jeśli chcesz mi połamać nogi...

Roześmiał się.

– A kto mówi o połamaniu nóg?

Zacisnąłem ręce na trzonku.

– Nowina umawiał się z twoim szefem...

– On może co najwyżej umówić się ze swoją starą. Kop!

Kolejnych kilka machnięć. Dziesięć. Piętnaście. Wiedziałem już, co ma się stać i dlaczego Twardoch mnie nie zastrzeli. Postanowili zakopać mnie żywcem. Jeszcze dwa, trzy ruchy. Obliczałem swoje szanse.

Usłyszałem dźwięk komórki.

Teraz.

Rzut oka.

Nie. Nie teraz.

Twardoch wyjął telefon lewą ręką. Trzymał broń wycelowaną we mnie. Popatrzył na wyświetlacz. Błękit ekranu odbijał się w jego okularach. Twardoch zawahał się, ale odebrał.

Usłyszałem męski głos, ale nie mogłem zrozumieć, kto mówi.

– Jak to, że wciąż jest za płytki? Kto właściwie mówi? – Zaczął się rozglądać.

Teraz.

Naprężyłem mięśnie i zacisnąłem ręce na łopacie.

Skoczyłem i zobaczyłem, że dzieje się coś dziwnego. Zanim znalazłem się przy bokserze, Twardoch osunął się na ziemię. Dосkoczyłem do niego i podniosłem łopatę. A potem ją opuściłem.

Na ustach Twardocha zastygł grymas ni to bólu, ni zdziwienia. Bokser patrzył na mnie spojrzeniem pełnym pretensji i zdziwienia. Miał oczy otwarte i doskonale martwe.

Okulary zsunęły się na nos. Jedno ze szkieł pękło.

Poprawiłem mu okulary i rozejrzałem się.

Trzasnęły gałęzie i spomiędzy drzew wychynęła postać. Mężczyzna podszedł wolnym krokiem do nas i pochylił się nad ciałem. W ręce trzymał paralizator. Doskonały model firmy Taser International. Strzela elektrodami i wyposażony jest w haczyki, które wbijają się w ciało. Każdy taser ma coś w rodzaju indywidualnej metryczki, żeby można było zidentyfikować broń. Mężczyzna najwyraźniej nie dbał o to. Musiał przerobić ją tak, żeby nie poddawała się identyfikacji.

Światło latarki skierował na twarz Twardocha. Skrzywił się. Odłożył paralizator i w zamyśleniu potarł hiszpańską bródkę. Był skupiony na zwłokach i wyglądało to tak, jakbym dla niego nie istniał.

– Jak to: kto mówi? – zwrócił się do zmarłego. – Ja. Ale tego w sumie nie przewidziałem. – Pokręcił głową.

Domyśliłem się, co się stało. Przypomniałem sobie, że ochroniarz nie chciał wkręcić żarówki.

– On miał rozrusznik serca – powiedziałem. – Kopnęło go na cacy.

Mężczyzna poprawił bejsbolówkę. Rozdarł koszulę należącą do boksera i poświecił latarką. Patrzyliśmy na czerwone i brunatne pasma na ciele, nazywane figurami Lichtenberga.

– Tego o nim nie wiedziałem. Wawrzyniec Andrzej Twardoch. Imiona po dwóch męczennikach, drugie po Boboli. Piękną śmierć dla niego przygotowałem. A zginął tak banalnie.

Uznałem, że właściwie podsumowałem sprawę.

– Zapomniał ksiądz koloratki. – Wskazałem szyję.

Nie odpowiedział od razu.

– Nie chciałem, żeby rzucała się w oczy w ciemnościach – odparł wreszcie. – Nie produkują jeszcze takich z kamuflażem.

Podniósł glocka i przyjrzał się broni.

– To mój. – Pokazałem na pistolet.

Nie zareagował.

– Irlandzkiego wampira ksiądz ze sobą też nie zabrał.

– Kogo? – Zdziwił się.

– Wampira z Irlandii. Jest taki komiks o...

– Dobra – przerwał mi. – Sprawia mi pan mnóstwo kłopotów. – Milczał dłuższą chwilę. – Co pan zamierza?

Podnieśliśmy się z kucek. Był nieco wyższy ode mnie. Patrzyliśmy sobie w oczy. W oddali usłyszałem krzyk ptaków.

– Zamierzam się stąd wydostać. Potem muszę tam wrócić. Do Koeniga. I chcę go zabrać ze sobą. – Trąciłem ciało butem.

Mężczyzna przeniósł wzrok na trupa. I z powrotem na mnie. Liczyłem sekundy. Pięć, dziesięć, dwadzieścia. A on próbował zrozumieć, co mu powiedziałem.

– Zaczekaj tu – zdecydował wreszcie. – Jeśli się stąd ruszysz – wycelował pistolet w moją stronę – znajdę cię. I wtedy zabiję. Obserwuję cię od pewnego czasu. Chcesz wiedzieć, ile razy dziś zatrzymywałeś się przy sklepach i barach?

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i znikł w lesie. Przez chwilę myślałem, że widziałem zjawę. Albo zwariowałem. Tyle że ciało Twardocha świadczyło o czymś innym. Wszystko rozgrywało się na jawie. A ja żyłem. Nie zauważyłem, żeby ktoś za nami jechał. Najważniejsze, że świętej pamięci bokser też tego nie widział. Gdy rozpytywałem dziś o dziewczynę w barach i sklepach, też byłem pewien, że nikt mnie nie śledzi.

Niczego nie można być pewnym. Nie ma nic bardziej zgubnego od wiary we własną doskonałość.

Zastanawiałem się, dlaczego facet mnie uratował. Mógł poczekać, aż Twardoch skończy ze mną, aż wyląduję w dole, i dopiero wtedy go dopaść. Albo mógł zignorować całą sytuację i po prostu się nie mieszać. Jeśli o mnie słyszał, byłem tylko dodatkowym źródłem kłopotów. Nie mogło tu być wątpliwości. Miałem do czynienia z zawodowcem, a profesjonaliści nie lubią, gdy ktoś wchodzi im w paradę. Teren należy czyścić. Ciało obce trzeba wyeliminować. Tak to działa. Zostałem jednak przy życiu. I musiał być powód, dlaczego tak się stało.

Jego powrót wyrwał mnie z rozmyślań. Mężczyzna wracał bez paralizatora, taszczył natomiast skórzaną torbę. Postawił ją na brzuchu martwego boksera.

– Dlaczego chce pan tam wrócić?

Miałem tylko jedną odpowiedź.

– Muszę zabić Koeniga.

– Dlaczego?

– Sprawa osobista.

Kręciło mi się w głowie. Twarz mężczyzny straciła ostrość. Zamrugałem.

– Dobrze się pan czuje?

– Nie za bardzo – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Potarł czoło. Zastanawiał się, co zrobić. Trochę było tak, jakbym brał udział w aukcji, a on prowadził licytację. I zaakceptował moją ofertę.

– Nie zawiezie go pan do Kiejkut. On zostanie tu. – Wskazał na dół. – Z drobnym wyjątkiem. Proszę zabrać coś mniej kłopotliwego.

Stuknął czubkiem buta w martwą głowę.

– Nie... Nie mówi pan poważnie.

– Mówię jak najbardziej poważnie.

Przełknąłem ślinę. Raz jeszcze spojrzałem na Twardocha. Koenig był typem człowieka, którego trzeba przelicytować. Zaskoczyć i zadziwić. I jeszcze zaimponować mu. Podjąłem decyzję.

– Ma pan siekierę?

Wyjął z torby nóż porcelanowy. Z dwudziestocentymetrowym ostrzem. Idealny do filetowania ryb.

– Widać, że pan się nie zna. Widział pan jego kark? Siekiera by się tylko odbijała. Trzeba przeciąć skórę i naciąć mięśnie. A potem popracować brzeszczotem.

Mówił o tym bez emocji. Jakby czytał instrukcję składania łóżka kupionego w Ikei.

Przewróciliśmy Twardocha na brzuch. Mężczyzna wziął się do pracy. A potem obaj chwyciliśmy za brzeszczotową piłkę. Przód, tył, przód, tył. Kilka razy piłka nieprzyjemnie zazgrzytała, raz zaklinowała się i wygięła. Kręciło mi się w głowie, a żołądek obracał się jak karuzela w niedzielne południe. Wyglądaliśmy jak obłąkani synowie Adama Słodowego. Byłem ciekaw, co mój wybawca nosi jeszcze w torbie, ale zadałem zupełnie inne pytanie.

– Dlaczego pan to robi?

Nie odpowiedział. Powiedziałem mu o moich motywach. W dużym skrócie. Milczał. I piłował dalej.

– Jaki ma pan powód? I czy to ma jakiś związek z zaginioną dziewczyną? Szukam...

– Wiem, kogo szukasz. Ale ja w takich razach lubię pracować w ciszy. – Na chwilę przerwał pracę. – Uszanuj to.

Słyszeliśmy tylko zgrzyt ząbków piły tnącej kości, jak odcinaliśmy ludzką głowę. Taka sytuacja nie służy konwersacji.

Kiedy było po wszystkim, podał mi płócienny worek. Chwycił głowę za włosy, przez chwilę przypatrywał się jej, a potem wsunął ją do środka, jakby pakował dorodną główkę kapusty.

– Zostanę tu i zajmę się ciałem – oznajmił. – A ty wrócisz. Ale nie zabijesz Koeniga.

– Dlaczego nie zabiję?

Uśmiechnął się.

– Dlatego że właśnie zostałeś irlandzkim wampirem. Skoro wmieszałeś się w nie swoje sprawy, zachowaj się jak należy. Wystarczająco pomieszałeś mi szyki, ale nie ma tego złego... Śmierć byłaby dla Koeniga najniższym wymiarem kary. Powiem ci, co masz zrobić. Po kolei. Albowiem jak powiada prorok: „Bóg wstrząśnie niebem, a król babiloński obudzi się w łożu pełnym robactwa. Wszyscy chłopcy – prawi Izajasz – będą roztrzaskani”⁴. Coś takiego go właśnie spotka. Ich to spotka. Słuchaj uważnie...

Opowiadał, a ja słuchałem.

I jednego byłem pewien. Z każdą kolejną minutą przemieniałem się w upiora.

Płócienna torba kolebała się na siedzeniu pasażera. Patrzyłem na odciętą głowę i przypomniiał mi się cytat z jakiegoś starego filmu. Jedni noszą pistolety, inni kopią groby. Chyba tak to szło.

Wjechałem na posesję Koeniga. Zaparkowałem od frontu. Susami zbliżał się ten, któremu brakowało maczugi. Spodziewał się kogoś innego za kierownicą. Dopiero gdy był całkiem blisko, otworzyłem drzwi i wycelowałem w troglodycką łepetynę.

Kazałem mu zabrać zawiniątko. Zarzucił je sobie na plecy i poniósł do domu. Wyglądał jak turysta z nietypowym pakunkiem. Przeszliśmy korytarzem pogrążonym w mroku. Zatrzymał się przed drzwiami salonu. Ze środka dobiegał tubalny śmiech.

Postanowiłem być posłańcem dobrej nowiny. Dźgnąłem troglodytę lufą w kark, a ten otworzył drzwi.

Od mojego pierwszego pobytu niewiele się zmieniło. Stary Koenig siedział w fotelu. Jaszczur stał przy stole. Doszedł jeden gość. Przy drzwiach na taras stał monstrualny grubas w bermudach i rozpiętej koszuli. Na oko sto czterdzieści kilo żywej wagi. Dwa

podbródki, włosy na jeża. Trzymał w ręce szklanę z grubego, rżniętego szkła. Jaszczur i Burger przekomarzali się, a stary im sekundował. Było radośnie i ciepło, a ja postanowiłem zepsuć rodzinną idyllę swoim najściem.

Zobaczyli mnie i zamilkli. Ujrzeni pistolet w moim ręku i zamarli.

Migotało mi przed oczami. Płaciłem cenę za dzisiejszy wieczór. Dopiero teraz zauważyłem, że do rąk i ubrania przyłgnęły odpryski tkanek miękkich. Miałem to jednak gdzieś.

– Znajdę go – powiedziałem. – Znajdę – powtórzyłem ciszej.

Kazałem wyrośniętemu rzucić torbę, a ta z głuchym łoskotem potoczyła się pod nogi Jaszczura.

Chwilę stał bez ruchu, wreszcie spojrzął na ojca i pochylił się. Na rękach łuszczyła mu się skóra. Ostrożnie rozchylił płótno i zajrzał do środka.

– O kurwa – wyszeptał.

Puścił worek, jakby ten go parzył. Głowa Twardocha stuknęła o podłogę.

Punkiki przed oczami przestały wirować. Zamieniły się w żółtą plamę. Skojarzyła mi się z naręczem jesiennych chryzantem. Plama zaczęła ciemnieć. Usłyszałem podniesione głosy, ale jakby stłumione. Zobaczyłem jeszcze poruszające się usta. Sam też coś powiedziałem, nie wiem co.

A potem zapadła cisza i ogarnęła mnie ciemność.

Część trzecia

Szloch mężczyzny.

Brudny paznokieć.

Wizg metalu.

Głuchy odgłos siekiery wbijającej się w pień, dziki wrzask, a potem wycie.

Pierś Koeniga unosiła się rytmicznie i opadała. Czerwone plamy wystąpiły na jego szyję. Piękny Ząbek i Troglodyta zamarli. Wyglądali jak góra Rushmore wyrzeźbiona w hołdzie neandertalczykom. Złodziej klęczał ze wzrokiem wbitym w swoją rękę. Być może liczył palce.

Uderzasz. I już nie ma odwrotu.

– O ile pamiętam, miałeś dwie sprawy – powiedziałem. – Jedną załatwiliśmy. Jaka jest druga?

Koenigowi drgnął policzek. Drugi raz i trzeci.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – Wskazał głową klęczącego. – Kazałem ci, żebyś obciął mu palec.

Odwrociłem się w stronę złodzieja.

– On już nigdy niczego nie ukradnie. Prawda, Przygłupie?

Mężczyzna nerwowo potrząsnął głową.

– On nie dość, że niczego nie ukradnie, to jeszcze będzie pilnował, by nigdy nic z twoich stawów nie ginęło – zwróciłem się do Koeniga. – I sam przegoni takich, którzy próbują coś ukraść. A jeśli chodzi o obcinanie, nie mam z tym kłopotów. Chyba widziałeś wieczorem.

Hemoroidalny podrapał się w głowę. O ile to coś można nazwać głową.

Koenig milczał. Podszedł do kredensu i wpatrywał się w leżące w nim skalpy. Moje tętno od razu przyspieszyło.

– Może masz rację – mruknął. – Może. – Wciąż wpatrywał się we wnętrze gablotki. – Sprzedajcie mu kilka kopniaków i puście go. Upiekło ci się, Przygłup.

Troglodyci wyprowadzili mężczyznę, a gdy wyszli, zza drzwi dobiegł pisk, jakby kot dopadł szczura, i jakiś rumor.

Mężczyzna w bejsbolówce odłożył lornetkę. Leżał od zachodu i refleksy słońca, które odbijały się w drzwiach wychodzących na taras, utrudniały widoczność. Zobaczył jednak to, co chciał. Z uznaniem pokiwał głową, co nieczęsto mu się zdarzało.

Zobaczył dwóch potężnych mężczyzn, którzy wyprowadzali trzeciego. Trzymali go pod pachy i wyglądało to tak, jakby ten wąty mężczyzna zawisł w powietrzu. Przypominało to beztroską zabawę z dzieckiem, które unoszone za ręce, szybuje w powietrzu.

Beztroskie zabawy.

Kolejne wspomnienie sprawiło, że jego twarz stężała. Zmrużył oczy i odegnał przeszłość. Znow był myśliwym czyhającym na ofiarę.

Ochroniarze cisnęli mężczyznę. Ten zatoczył łuk, przeleciał kilka metrów i wyrznął na ziemię. Uklęknął, co zabrało mu chwilę, a potem wstał. Zaczął niezdarnie biec, oddalając się od posesji. Jeden z osiłków cisnął za nim kamieniem. Nawet z tej odległości słychać było jego rechot. Uciekinier obejrzał się dwa razy, zupełnie niepotrzebnie. Nikt go nie gonił. Tamtych dwóch znikło za rogiem domu.

Myśliwy wstał. Wgniół niedopałek w ziemię. Spojrzał na trzy niewielkie otwory, które wywiercił w twardej glinie. Ślad buta nie był tak czytelny, ale wyraźniejszego zrobić się nie udało. Na ledwie widocznych liniach protektora położył rachunek z baru. Było bezwietrznie, papier nawet nie drgnął. Uznał, że to wystarczy.

Czas beztroskich zabaw skończył się wieki temu.

Mężczyzna w bejsbolówce otrzepał bojówki i ruszył w stronę lasu.

Koenig usadowił się w fotelu, a mnie kazał wziąć krzesło z werandy. Deski skrzypiały mi pod nogami jak stary trap prowadzący na jeszcze starszy statek. Nie spieszyłem się. Zmrużyłem oczy i popatrzyłem przed siebie. Pofałdowany teren aż po las. Nie licząc dwóch szpalerów drzew owocowych po lewej i po prawej, pożółkłych traw, które po kilkudziesięciu metrach zanikały tak, jakby pożarła je brunatna ziemia, nie było tu nic więcej. Najwyraźniej taki właśnie obraz chciał widzieć Koenig z salonu. W oddali kilka wybrzuszeń ułożyło się w poprzeczną falę.

– Co ty tam robisz? – Koenig mnie ponaglił.

Wróciłem z plastikowym krzeselkiem i ustawiłem je na wprost fotela. Koenig w palcach obracał szklankę z whisky. Nie zaproponował mi nic do picia.

– Druga sprawa dotyczy tego, co powiedziałaś wczoraj, jak... Wiesz, jest taki film. – Ożywił się i równie szybko zgasł. – Zresztą nieważne...

Zapatrzył się w dno szklanki i zamieszał resztką trunku.

– Powiedziałeś, że Twardoch zdradził. Co masz na myśli?

Teraz sobie przypomniałem. Ostatnie słowa, zanim straciłem przytomność. Wytłumione, wygłoszone. Wydobywające się z innego ciała.

– Twardoch cię zdradził. On jest... był w zмовie z tym w koloratce. Tym od obcinania...

– Kto to jest i czego chce?

– Nie wiem. Próbowałem to z Twardocha wyciągnąć, ale twardy był. Uwierz, że też mam swoje sposoby. – Westchnąłem. – Ale dowiem się tego.

– Dlaczego tu wróciłeś?

Uśmiechnąłem się.

– Jak to dlaczego? Dla pieniędzy. Myślę, że docenisz mój... – Wykonałem dłonią kilka ruchów, szukając właściwego słowa. – Mój profesjonalizm. Poza tym może upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Ten w koloratce może doprowadzić mnie do dziewczyny. Tej Magdaleny Wolskiej...

Poderwał się z fotela.

– Nie mów przy mnie o tej dziwce!

Czekałem cierpliwie, aż mu przejdzie. Miotał obelgami, walnął pięścią w stół, a potem, jakby ktoś go nagle wyłączył, oklapł. Stał się bezradnym starym człowiekiem, tępo wpatrującym się w jakiś punkt na ścianie.

– Obawiam się, że będę musiał mówić. Nie wykluczam, że ta dziewczyna i pański syn, Jan... – chciał zareagować, ale powstrzymałem go gestem – ...mają z tym wiele wspólnego. Że byli w zмовie z Twardochem i tym pojebanym księdzem.

– Dlaczego ksiądz?

– Dla mnie równie dobrze może chodzić w stroju płetwonurka i jeździć beczkowitzem. To chyba bez znaczenia.

Koenig ciężko oddychał. A potem cisnął szklanką przez otwarte drzwi tarasu. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Musiał trafić w jakiś kamień.

– Dowody! – zażądał. – Jakie masz dowody?

Wstał i zaczął przechadzać się po salonie. Podniosłem się z krzesła.

– Czy możesz oddać mi mojego glocka? – zapytałem.

Podszedł do kredensu z bronią. Z kieszeni wyjął klucz, wsunął do zamka i przekręcił. A potem sięgnął po strzelbę.

– Jedną mam zawsze naładowaną. Przepisy mnie nie interesują. A teraz czuję, że się nie będę bez niej ruszał. Jakie masz dowody? – powtórzył.

Trzymał broń skierowaną lufą ku podłodze. W jednej chwili dwa otwory lufy mogły spojrzeć na mnie. Bez wielkiej przyjaźni.

– Twardoch nie był zbyt rozmowny, ale coś jednak powiedział. Na przykład, że ten w koloratce obserwował, co się dzieje w twoim domu. Chyba wiem, gdzie jest to miejsce. Nie sądzę, żeby był tam teraz, ale na wszelki wypadek weź ze sobą broń.

Minęła minuta, a on stał. Po trzech minutach wymownie spojrzałem na zegarek.

– Przyjmijmy... Przyjmijmy, że ci wierzę – przemówił wreszcie. – To ma sens. Pokażesz mi to miejsce.

Nie rozstawał się z dwururką.

– Poczekaj przy stajni. Oczywiście, że wezmę strzelbę. I jeszcze kogoś.

Wyszedłem z domu i odetchnąłem pełną piersią. Pierwszy raz od wielu godzin. Wróciłem do jako takiej formy. Widziałem ostro i myślałem precyzyjnie. Nie czułem głodu ani pragnienia. Dwie sprawy nie dawały mi spokoju. Jedna rozstrzygnie się zaraz, myśl o drugiej powracała natrętnie co chwila. Obszedłem dom, tym razem z drugiej strony. Minąłem przybudówkę, która mogła służyć za garaż, i usłyszałem rżenie koni. Poszedłem za dźwiękiem. Wypalone w drewnie napisy informowały, że minąłem paszarnię i siodlarnię.

Przed stajnią był młody chłopak. Ten sam, którego widziałem z okna. Tym razem nie zajmował się końmi. Siedział na pieńku, a w rękach trzymał piłę łańcuchową. Obok na klocku leżał pilnik.

Przypomniałem sobie, że mój ojciec miał kiedyś takie cacko, sam nie wiem po co. Chyba żeby wycinać drzewa z Łazienek. Stihl z biało-pomarańczową obudową powędrował wreszcie do mojego brata i może nawet tkwił gdzieś w piwnicznych czeluściach między wrakami aparatów fotograficznych. Pamiętam, co obaj mówili. Taka pilarka to potężna sprawa. Łańcuch przesuwa się z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, a kilkaset zębów przemieszczających się w ciągu sekundy zakończy żywot największego drzewa, a nas może przerobić na carpaccio.

Chłopak wymamrotał „dzień dobry”, choć był już wieczór, i wziął się do ostrzenia łańcucha. Przyglądałem się, jak pracuje. Kiedyś dla zabawy ojciec uczył mnie, jak to robić.

Każde ogniwo ma dwa zęby. Jeden tnie, drugi decyduje o głębokości. Szlifuje się zęby tnące. Wystarczył rzut oka, żeby zorientować się, że chłopak miał większe pojęcie o koniach niż piłach łańcuchowych.

– Coś ci podpowiem – powiedziałem. – Na każdym zębie wykonuj tyle samo pociągnięć. Trzy wystarczą, jeśli pilnik jest dobry. I tylko ruchami do przodu.

Spojrzał na mnie spode łba i odgarnął grzywkę spadającą na oczy.

– Pan zna się na tym?

– Trochę. – Wzruszyłem ramionami. – Zdecydowanie bardziej niż na koniach. Ale widziałem, że ty się znasz.

Rozpromienił się.

– To niech pan jutro przyjdzie. Będę trenował quartera do zawodów.

Wykonał trzy ruchy pilnikiem.

– Szef to się dopiero zna na koniach. Sam już nie może jeździć, ale kupił niedawno siodło z bizona. Takie z dziewiętnastego wieku, piękna robota. – Chłopakowi zaświeciły się oczy. – Ale tu tego nie trzyma. – Wskazał na siodlarnię. – Zbyt cenna rzecz.

Pochylił się nad łańcuchem.

– Powiedział, że będę mógł używać tego siodła, jak się spiszymy. Konie to jego życie. Tu trzyma tylko kilka, ale w całej Polsce to trudno zliczyć. Kiedyś nawet tak przebudował stajnię, żeby można schodzić do niej z domu.

Mówił szybko, jakby bał się, że odejdę, a on straci wdzięcznego i jedyne go słuchacza.

– Stajnia jest połączona z domem? – dopytywałem.

– No. W dodatku niesie strasznie i konie się czasami denerwują.

– Co niesie?

Przerwał szlifowanie.

– Głosy. Na przykład w ubiegłym roku, jak ta awantura była...

– Awantura?

– Kłócili się w domu. Strasznie. Dwaj synowie szefa i Janek. Bardzo go lubiłem...

Szkoda, że tak nagle wyjechał...

– O co się kłócili?

Przekrzywił głowę.

– A tego to ja nie wiem. Ale grozili sobie i...

Urwał. Usłyszeliśmy kroki. Po chwili zobaczyłem Andrzeja Koeniga. Jaszczura. Wydał usta, splunął, a potem dał znak głową, żeby chłopak sobie poszedł.

Jaszczur wsunął ręce do kieszeni.

– Gaduła z młodego, co?

– Czego nie mogłem powiedzieć o Twardochu.

Uśmiechnął się i wolałbym, żeby tego nie robił. Wyglądał jeszcze obleśniej niż zwykle.

– Jak go załatwiłeś?

– Po prostu nie uważał. Zdarza się.

– Jemu się nie zdarzało. – Przesunął kciukiem między górnymi jedynekami, jakby chciał stamtąd wydłubać moje kłamstwo. – I co? Jak obciąłeś mu głowę? Zawsze wozisz ze sobą siekierę? Nie wierzę ci. – Nie krył drwiny.

– Nie. Nie zawsze wożę. Ale jestem mistrzem improwizacji.

Zrobiłem krok w jego stronę, a on odruchowo się cofnął.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, jak to się robi.

– Nie wierzę ci – powtórzył. – Gdyby to zależało ode mnie...

– Dosyć!

Głos należał do starego Koeniga. Gdy mówił głośniej, zaczynał chrypieć. W prawej ręce trzymał strzelbę, a w lewej kluczyki do samochodu.

– Mówię mu tylko, tato...

– Dość! – uciął Koenig i rzucił kluczyki Jaszczurowi. – Będziesz prowadził.

Wsiadliśmy do starego gazika i ruszyliśmy. Samochód pokonywał nierówności, a ja błagałem wszystkich złych bogów, żeby dali mi szansę i zapomnieli o moim istnieniu. W razie komplikacji miałem w zanadrzu plan rezerwowy, ale wolałem, żeby nic nie pokrzyżowało moich zamiarów. Sunęliśmy majestatycznie, dwadzieścia na godzinę. Trzysta, czterysta metrów, jeszcze trochę. Dojechaliśmy do poprzecznej fali i tam kazałem się zatrzymać. Poprosiłem, żeby każdy patrzył pod nogi i poruszał się ostrożnie jak saper.

Znaleźliśmy się na osi domu. W oddali na wprost widziałem szpalery drzew i werandę, na której ktoś stał i patrzył w naszym kierunku. Zrobiłem kilka kroków do przodu i odetchnąłem z ulgą. Znajdowaliśmy się we wgłębieniu, osłonięci przez garb twardej ziemi. Nie na tyle skamieniałej jednak, by nie dało się zrobić w niej trzech otworów. Dziury były wierzchołkami trójkąta. A w niecce koło naszych stóp walały się niedopałki.

– Widzicie te otwory? – Pokazałem. – To od statywu do lornetki. Chyba że to ty – zwróciłem się do Jaszczura – lubisz podglądać, co dzieje się w waszym domu.

W odpowiedzi usłyszałem prychnięcie. Podniosłem pety z ziemi.

– Nasz księżulo pali malborasy. Coś już o nim wiemy. I jeszcze ślad buta, widzicie? Ale bardzo niewyraźny. Na odlew się nie nada.

Obok niedopałków leżała zgnieciona kulka papieru. Jaszczur podniósł ją i rozprostował.

– Co to jest? – zapytał Koenig.

– Paragon. Z restauracji w Mikołajkach. Z sierpnia. Jadł rybkę i...

– Jak to się tu znalazło? – Koenig nie był ciekaw gastronomicznych szczegółów.

– Pewnie wypadło mu z kieszeni, kiedy szukał papierosów. Nikt nie jest doskonały – dodałem sentencjonalnie.

Mogłem jeszcze dodać, że jedyna względna doskonałość, która rozwiąże ich problem, stoi właśnie przed nimi.

– Gdzie komórka Twardocha? – Jaszczur zmienił temat. – Chciałbym zobaczyć, z kim rozmawiał.

– Leży pogrzebana razem z ciałem. W kawałkach. Jak on.

– Gdzie?

Rozłożyłem ręce.

– Naprawdę myślisz, że ci powiem? Jak cię interesują połączenia, załatw sobie jego billing. Niech Nowina to zrobi. Ale nic tam nie znajdziesz, bo to sprawdziłem. Powiem ci, kto ostatni do niego dzwonił. „Koenig Trzy”. Trójka to ty?

Nie odpowiedział, ale chyba zabolalo go miejsce w dynastycznym szeregu. Stary Koenig patrzył na trzy otwory w ziemi i wydawał się nieobecny. Wreszcie dał znak, żebyśmy wracali.

Jechaliśmy w milczeniu. A ja czekałem na jego decyzję.

– Jutro koło południa – zdecydował, gdy dojechaliśmy do domu. – Nie. Trochę później. Muszę się wreszcie wyspać. Porozmawiamy i powiesz mi, jak chcesz się do tego zabrać.

Jaszczur wysiadł i ostentacyjnie trzasnął drzwiami. W jego spojrzeniu mieszał się życiowy jad z truciznami Borgiów.

– Możesz oddać mi glocka? – Bardziej poprosiłem, niż zapytałem.

– Poczekaj tu – zaordynował stary.

Wysiadł z samochodu i wrócił po pięciu minutach. Oddał mi pistolet, a ja czułem się tak, jakby uściskał mi rękę. Jakby powiedział: „Witaj w klubie” lub coś równie głupiego.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziałem.

– Mów.

– Patrzyłem tak z tej werandy... Dlaczego tam nic nie ma?

Spojrzał na mnie jak na wariata.

– A co miałyby być?

Postanowił sam udzielić odpowiedzi:

– Siadam i lubię patrzeć przed siebie. I lubię patrzeć na konie.

Wolnym krokiem ruszył w stronę domu.

W Mazurii było cicho. Wziąłem długi prysznic. Minuta po minucie doprowadzałem się do stanu używalności. Chłodna woda ściekała po mnie i czułem się tak, jakby w odpływie zniknął cały brud ostatnich dni. Poczuję się wściekle głodny. Przez chwilę wahałem się, czy nie pojechać do Szczytna na sutą kolację, w końcu jednak zdecydowałem się na party z glutaminianem sodu. Rozerwałem trzy opakowania zupek chińskich.

Jadłem, a równocześnie dwie myśli wypełniały moją głowę. Pierwsza dotyczyła Koenigów. Co się wydarzyło w tym domu? Chłopak od koni opowiadał o dzikiej awanturze. Między synami Koeniga i Jankiem. Między swoimi i bękartem. O co poszło? I dlaczego najmłodszy przepadł bez wieści? Zniknął sam czy ktoś mu w tym pomógł? Co ma z tym wspólnego Magdalena Wolska?

Ale druga sprawa była ważniejsza. Koenig wiedział, jak się nazywam. Zapamiętał nazwisko. Widział zdjęcie mojego ojca. W kredensie trzymał trofeum. Prostokątną starą blaszkę. Nie był głupi, a jednak nie połączył faktów. Dlaczego? Czyżby zawodziła go pamięć? Musiało być jakieś inne wytłumaczenie. Byłem pewien, że odznaka, czymkolwiek była, należała do mojego starego, do Ryszarda Hłaski, i nie było możliwości, żeby ktoś jeszcze taką miał. Ale ktoś mógł ją ojcu zabrać. A dopiero potem tym kimś zajął się Koenig.

Ryszard Hłasko przyjechał na Mazury, żeby spotkać się z kimś innym. Jeśli tak było, cała historia zyskiwała drugie dno.

Była jak tajemniczy pokój w pałacu, a ja wciąż nie wiedziałem, jak do niego wejść.

Trzech mężczyzn obserwowało popisy jeźdźca i gniadej klaczy. A razem ze mną czterech. Wioskowy mędrzec Dziembała stał z założonymi rękami i lekko mi się skłonił na przywitanie. Burger dotknął serdelowatym palcem runda kapelusza. Tylko stary Koenig nie zareagował. Stał bez ruchu i wpatrywał się jak urzeczony w quartera poruszającego się po kole.

Rano obudziłem się, wyjrzałem przez okno i pierwszy raz od wielu dni, tygodni nawet, zobaczyłem chmury. Wisiały nieruchomo na niebie i wyglądały jak kawalkada, która zatrzymała się na chwilę wytchnienia. Pokój przesiąknięty był aromatem curry, papryki i czegoś jeszcze. Byłem pewien, że moja skóra po wczorajszej wieczornej uczcie pachnie w ten sam sposób, a w mojej głowie kołatały, niczym złośliwe demony, wciąż te same pytania. Sprawdziłem w internecie, co to są te quartery, wymieniłem się SMS-ami z Clyde'em, który powtórzył swoją dwuwyrzową mantrę, i odpaliłem terenówkę. Glock znów tkwił pod siedzeniem. Uznałem, że dziś raczej nie będzie mi potrzebny.

– W nocy pracowali... – Henryk Koenig mówił cicho, nie odrywając wzroku od quartera. – Przywieźli specjalny piasek, taki do reiningu. – Dopiero teraz zwróciłem uwagę na dwa reflektory na wysięgnikach podłączone do aparatu. – Podkowy są kute na gładko. Spłaszczone i wydłużone... – Nie wiedziałem, czy tłumaczy to mnie, czy też mówi sam do siebie. – Tu wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Nic nie pozostawiam przypadkowi, rozumiesz? – Pierwszy raz spojrział na mnie.

Nie zareagowałem.

– Ale ta Golka się porusza! – Dziembała westchnął.

– Golka? Dziwne imię...

– Tak naprawdę nazywa się Go On Lolita – wmieszał się stary Koenig. – Najlepiej, jak jest po angielsku. I najlepiej trzy słowa. Głupia westernowa moda. Ale wołamy na nią inaczej.

Chłopak trzymał wodze w lewej ręce. Wydawało mi się, że koń płynie, w galopie połyka przestrzeń, kierowany siłą woli jeźdźca, i że to tajne porozumienie między nimi decyduje o wszystkim. Blondyn rozpędził konia, a potem „Lotna” zahamowała, ślizgając

się kopytami po piasku. I znów, jakby sama tak zdecydowała, zrobiła na tylnej nodze trzy zwroty w jedną i trzy w drugą stronę i skończyła w miejscu, gdzie zaczęła.

Burger gwizdnął na palcach, coś tam pokrzykiwał i machał kapeluszem.

– Nie spłoszy konia? – zapytałem Dziembały, chcąc wykazać się znanstwem i troską.

– Konie westernowe są przyzwyczajone do hałasu. – Popatrzył na mnie z politowaniem. – Na takich zawodach panuje dość piknikowa atmosfera.

Postanowiłem milczeć. I już nie wypowiadać się na kowbojskie tematy.

Jeździec podjechał do ogrodzenia i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Cofnąłem się pół metra. Stary Koenig spojrział na mnie z ukosa, a potem poklepał zwierzę.

– Będą z ciebie ludzie, Julek – zwrócił się do jeźdźca. – Popracujcie jeszcze nad zmianą nogi przy ósemce, bo coś mi się nie podobało.

Chłopak się zachmurzył.

– Ale sliding to już robisz prawie jak ja.

Wydawszy stosowne instrukcje, Koenig westchnął i odwrócił się. Zachwyty w jego oczach w jednej chwili przygasł i zmatowiał. Przypominał mi uczniaka, który musi wyłączyć grę komputerową, porzucić świat magii i miecza i zająć się odrabianiem lekcji. Wytarł ręce o spodnie, a potem wyjął z kieszeni papierosy.

– To co robimy? – zapytał, spoglądając w niebo. Podmuch wiatru skierował dym prosto w moją twarz.

W sprawach takich jak ta liczy się systematyczność. Ten w koloratce myśli, że jest dobry, ale my będziemy lepsi. Z trudem przychodziło mi wymawianie tego „my”. Musimy zacząć od miejsca, w którym księżulka widziano po raz pierwszy. Gdzie to było? W smażalni ryb za Wielbarkiem? No to jedziemy.

Chciał porozmawiać na werandzie, ale odradziłem mu to. „Dlaczego?” „Potem ci to powiem. Nie tu i nie teraz”. Zdziwił się, ale nie stawiał oporu. Miał z nami jechać Burger. Ten uparł się, że za żadne skarby nie będzie prowadził gazika. Poza tym w jego saabie klima pracuje bez zarzutu.

– Jedź, czym chcesz.

Burger lubił szybką jazdę. Dwa razy na ostrych zakrętach wyniosło nas na pobocze, ale wyglądało to trochę tak, jakby kierowca bawił się naszą odpornością i możliwościami samochodu. Poza tym znak ryby i medalik ze świętym Krzysztofem miały nas ochronić przed wypadkiem. Siedziałem z przodu, a stary rozparł się z tyłu.

– Wiecie, co to jest? – Burger przerwał ciszę. – Ma dwie łapy i krwawi?

Nie czekał na odpowiedź.

– Pół psa!

Jego tubalny śmiech pewno spłoszył wszystkie sarny.

– Dlaczego się nie śmiejecie? Moich podwładnych to śmieszy za każdym razem, gdy im opowiadam.

– Zapomniałeś, że nie jesteśmy twoimi podwładnymi – dobiegł głos z tyłu. – Nie musimy zabiegać o twoje względy.

Uśmiech na twarzy Burgera zastygł i właśnie wtedy minęliśmy wielbarski tartak pracujący na potrzeby Ikei.

Dziesięć minut później byliśmy na miejscu.

W środku panował półmrok i uznałbym, że bar jest całkiem sympatyczny, gdyby przyjechać tu z dziewczyną na romantyczną rybkę, smażoną na starym oleju i podawaną na tekturowej tacce. Byłem tu jednak w innym towarzystwie. Stary wziął piwo, a ja zrobiłem to samo. Burger zdecydował się na pizzę.

– A wy nie będziecie nic jeść? – zapytał – No to zamówię dwie i zjem za wasze zdrowie.

Za kontuarem stała sterana życiem kobiecina. Zastępowała Andrzeja Polaka, który miał wrócić za pół godziny.

Wybraliśmy ławę pod oknem. Burger co chwila się z kimś łączył i odbywał szereg telekonferencji. Stary skinął na niego głową i ten, z poczuciem krzywdy wypisanym na twarzy, przesiadł się obok.

– Więc? – Koenig wpatrywał się w etykietę piwa. Pił z butelki.

– Więc proszę powiedzieć, co zdarzyło się rok temu. O co poszło z tą dziewczyną?

Zmarszczył brwi i wziął głęboki wdech, jakby w ten sposób zbierał myśli.

– Janek... Mój trzeci syn... – Wydął usta i zamilkł.

Czekałem. Z radia cicho sączyła się muzyka. Raz jeszcze zebrał się w sobie.

– Trudno mi o tym mówić... Z Jankiem nigdy się nie dogadywałem. Chłopak był bardzo zdolny, skończył studia, miałem wobec niego pewne plany... A on nagle oświadcza, że zakochał się i że się żeni. Tak z dnia na dzień. Że potrzebuje pieniędzy... Rozumiesz? A we mnie jakby grom strzelił. On ją znał kilka dni, a ona go całkiem omotała.

– I?

– Staralem mu się przemówić do rozumu. Ale uparty był. Przynajmniej tę jedną cechę miał po mnie. – Z jego słów przebijała gorycz.

– Poznałeś ją?

– Zabroniłem mu się z nią spotykać. I wtedy... powiedział, że wie o mnie więcej, niż mi się zdaje. I że urządzi mnie tak, że się nie pozbieram.

Upiłem łyk z kufla.

– Mówiąc po ludzku: to był szantaż?

Zgodził się niechętnie.

– Nikt tak ze mną nie pogrywał. Ściągnąłem dwóch moich synów, żeby z nim porozmawiali. A potem...

Urwał, bo do baru wszedł Andrzej Polak. A właściwie, biorąc pod uwagę jego posturę, wtoczył się. Szef smażalni podszedł do nas i przywitał się. Z Koenigiem z należnym szacunkiem. Ze mną też, bo siedziałem z niebyle kim. Przybił piątkę z Burgerem pałaszującym pizzę i rozmawiającym przez telefon. Razem wyglądali jak zawodnicy sumo.

– Co było dalej?

– Dalej było tak, że wpada Janek, mówi, że dziewczyna zniknęła. Nie wiadomo, gdzie jest, jej telefon milczy. Że zmusiliśmy ją do wyjazdu albo coś jej zrobiliśmy.

– A zrobiliście?

Zacisnął rękę na szyjce butelki.

– Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale mam swój honor.

Przypomniałem sobie, co kazał ze mną zrobić w lesie Twardochowi. Przede mną z pewnością siedział okaz zdrowych zasad i człowiek honoru. Jakoś przełknąłem to, co powiedział.

– Nikt nie tknął jej palcem, zapewniam cię. Nie wiem, co się z nią stało. I wiesz, co wtedy zrobił ten gówniarz? Ulotnił się. Z moją kasą.

Na to wspomnienie jego twarz przybrała buraczkowy odcień.

– Z jaką kasą?

– Mam w domu sejf. Miałem... Na różne nieoczekiwane wydatki. I zanim zniknął, dobrał się do mojej forsy.

– Dużo tego było?

– Nie wiem, co to znaczy dużo.

Wymieniłem okrągłą sumkę. Kazał mi dopisać zero. Gwizdnąłem cicho.

– Da się za to trochę żyć. Albo wynająć kogoś do brudnej roboty.

Popatrzył przez okno. Wstałem, zamówiłem dwa piwa. Jedno po to, żeby stary Koenig mógł topić smutki, drugie, by mi się lepiej gawędziło z Polakiem.

Wypytałem go o tamten dzień. „Kto był i o której godzinie?” Mężczyzna w koloratce mógł być z kimś umówiony. „Nie było nikogo?” „Aha. Jak wyglądał?” „Jakim przyjechał samochodem?” „Może wykonywał jakiś charakterystyczny gest, mówił w szczególny sposób?”

– Oczy miał takie... Zimne... Jak trup. Aż ciarki szły, a ja nie z tych bojaźliwych. A mówił tak jakoś dziwnie. Jakby z Biblii czy skądś...

Rozmawialiśmy dobry kwadrans, wreszcie uznałem, że wystarczy. Zostawiłem Andrzeja Polaka przy kontuarze. Obejrzałem płyty Czerwonych Gitar wiszące na ścianie. Spojrzałem na ucho Burgera rozgrzane do czerwoności od rozmów telefonicznych. Popijał pizzę trzecią butelką Oranżady Mazurskiej. Usiadłem na ławie.

– I co?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem – rzuciłem. – Potwierdza się to, co przypuszczałem.

– To znaczy?

Nie zdążyłem udzielić odpowiedzi. Drzwi baru otworzyły się i stanęły w nich cztery dziewczyny, ale równie dobrze mógłbym powiedzieć, że do smaźalni wkroczyła stadnina. W jednej chwili swąd smażonych ryb przegrał pojedynek z zapachem koni. Za oknem stało pięć wierzchowców przywiązanych do ogrodzenia.

Dziewczyny podeszły do baru, przepychając się i gadając, i wtedy wszedł on. Głowę osłaniał mu rozłożysty kapelusz, a ze skórzanej kurtki powiewały frędzle. Szedł na szeroko rozstawionych nogach i przy każdym kroku podzwaniały ostrogi. Wyglądał jak błąd genetyczny. Niezbyt udana krzyżówka Johna Wayne'a z Buffalo Billem z mazurskiej rewii. Dziewczyny odwróciły się jak na zawołanie i prawie wszystkie omdlały na jego widok.

– Szkółka wyjechała w teren – syknął stary. – Ani dzień dobry, ani do widzenia. Popatrz na nie... Po pewnym czasie wszystkie wyglądają jak lafiryndy.

Rzeczywiście. Nie były to panny pierwszej świeżości. Z pozlepianymi włosami i brudnymi paznokciami, co mogłem dostrzec nawet ze swojego miejsca.

Koenig wstał. Podeszedł do ławy opanowanej przez jeźdźców i pochylił się nad mężczyzną. Przy stole zapanowała cisza. Dziewczyny patrzyły na nich, wreszcie jedna nie

wytrzymała.

– Bo co nam zrobisz? – pisnęła.

Koenig szepnął coś, wskazał palcem na barmana i usiadł naprzeciw mnie. Burger patrzył na dziewczyny, ślinił się i wyglądał, jakby chciał zjeść je wszystkie na deser.

– Po co to robisz? – zapytałem.

Pięć postaci przy ławie uzgadniało coś nerwowym szeptem.

– Co?

– To wszystko. – Wykonałem nieokreślony ruch ręką.

Zrozumiał, o co pytam, i uśmiechnął się. Jeździec wstał, podszedł do baru i zaczął rozmawiać z Polakiem.

– Wiesz, kto jest teraz największym polskim ekonomistą? – zapytał zniecierpliwiony Koenig.

– Co?

– Kto dostał nagrodę podczas forum ekonomicznego w Krynicy? Nie śledzisz wiadomości?

Nie czytałem i nie słuchałem ich od wielu dni. Tak jakbym tu, na Mazurach, wziął resztę świata w nawias. Albo wziął w nawias samego siebie. Liczyły się tylko moje sprawy. Nadymałem się i pęczniałem tylko od moich problemów. Nie wiedziałem, co dzieje się w kraju, za granicą, jaki jest kurs dolara i co tam w sporcie. Uświadomiłem sobie to teraz. Wpadłem w czarną dziurę.

Koenig wymienił nazwisko. Zakrztusiłem się piwem. Oczy wylazły mi na wierzch.

– A wiesz, dlaczego mu dali? – zapytał, gdy przestałem się krztusić. – Bo to są lizidupy i doskonale wiedzą, co wydarzy się za półtora miesiąca po wyborach. I wiedzą, kto będzie dymał Polskę na tylnym siedzeniu.

Pięcioro jeźdźców wstało, obrzuciło nas spojrzeniem i wyszło z baru.

– A jaki to ma związek z tobą?

– Pytałeś, po co to robię. – Pociągnął dwa łyki. – Tylko w jednym celu. – Otarł usta, jakby zbierał się do wygłoszenia ważnego oświadczenia. – Ja już wiele nie oczekuję. Mam wszystko. Moi synowie też. Zamierzam tylko skończyć we własnym świecie. Po swojemu. Na moich warunkach.

Zabębnił palcami o blat. Pięcioro jeźdźców zjawilo się z powrotem. Burger wciąż patrzył na dziewczyny. Pewnie tak Minotaur przyglądał się ateńskim dziewczynom. Mężczyzna podszedł do naszego stołu. W dłoniach międlil rondo kapelusza.

– Przepraszam pana – zwrócił się do Koeniga. – To się więcej nie powtórzy.

Stary siedział nieruchomo. Tamci wrócili do swojego stołu.

Patrzyłem na Koeniga.

– Co mu powiedziałaś? Tam, przy stoliku.

– Że mają wyjść i przynajmniej wyczyścić buty. Widziałem, że wrócili w czystych.

– A jeśli nie?

– Powiedziałem temu mądrali, że wtedy pojawią się moi chłopcy. I odetną mu palec. A potem tym palcem uzgodnię mu płęć. Czapsy – przeniósł ręce w okolice podbrzusza – mu wtedy nie pomogą, bo tego akurat nie zasłaniają. I żeby poszedł porozmawiać z Polakiem, jeśli nie wierzy.

Odbiło mu się piwem. Przesłonił usta dłonią i przenicował mnie spojrzeniem, do tej pory zapatrzony w odległy, sobie tylko wiadomy punkt.

– Rozumiesz teraz, co to znaczy skończyć we własnym świecie i na własnych warunkach?

Siedzieliśmy we dwóch. Smażalnia opustoszała. Jeźdźcy nasycili się, miejscowy John Wayne odzyskał rezon, podszedł do nas na pożegnanie, stanął na szeroko rozstawionych nogach, jakby prosił się o kopa w jaja, wybąkał podziękowanie za miłe i pouczające towarzystwo, strzepnął nieistniejący pył z kapelusza i tyleśmy go widzieli.

– Pajac – burknął Koenig. – Namnożyło się dzisiaj pajaców.

Kończył trzecie piwo i dał znać Polakowi, żeby dokonał cudownej przemiany pustego w pełne. Poza dniem mojego przyjazdu, gdy pojawił się w podobnym barze, żeby rozprawić się z rockersami, nie widziałem go bez szklaneczki czegoś mocniejszego albo przynajmniej piwa. Alkohol był dla niego tak naturalny jak smycz dla psa. Czekałem cierpliwie, aż straci kontrolę nad sobą, coś mu się wymsknie i powie o czymś, co wolałby przemilczeć, ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet jeśli miał trochę w czubie, nie okazywał tego. Twarz poczerwieniała mu nieco i to wszystko. W stosunku do niego byłem o jeden kufel do tyłu i na trzecim, które właśnie zamówiłem, zamierzałem poprzestać. Burger pojechał załatwić jakąś sprawę, choć równie dobrze mógł pognać za czterema dziewczynami na koniach.

– Więc? – Koenig wrócił do swojego ulubionego pytania.

Złożyłem koniuszki palców w piramidkę.

– Może być tak, jak przypuszczasz. Ta dziewczyna to lepsze ziółko. Niezła manipulantka. To jej całe zniknięcie to lipa.

– Też tak myślę.

– Młody się w niej zabujał, a ona to postanowiła wykorzystać. Namówiła twojego syna, żeby cię oskubał, i uciekli razem. Chłopak niedoświadczony, słaby, zapatrzony w dominującą dziewczynę, i tragedia gotowa. Pełno dziś takich historii.

Chciałem dodać, że takie spektakularne ucieczki to w biografii Koenigów nie pierwszozna, ale ugryzłem się w język.

– Co ma z tym wspólnego Twardoch i ten drugi? – zapytał.

– Potrzebowali pomocników. Może młoda parka przehulała tę kasę. A może po prostu uznali, że cię zastraszą... przejmą twoje wpływy, zwietrzyli, że...

Zacisnął obie pięści i pochylił się przez stół.

– Że się zestarzałem i już nie mam ikry?

– Ty to powiedziałaś.

Widziałem, jak pracują mu szczęki. Żeby je rozluźnić, solidnie pociągnął z butelki.

– Co proponujesz?

Uniosłem oczy do sufitu, jakbym tam szukał odpowiedzi.

– Księżulo jest zawodowcem. Bezwzględny zawodowcem. I na pewno zorientował się, że coś nie gra. Twardoch nie odbiera telefonu, gdzieś znikł... Nie wie, co się dzieje, i na pewno stał się ostrożniejszy. Wybiliśmy mu zęby, ale nie wszystkie.

– To znaczy?

– Powiedziałaś, że nic nie pozostawiasz przypadkowi. On też. I dlatego chciałem porozmawiać poza domem.

– Możesz jaśniej? – Zaczynał się niecierpliwić.

– Twardoch był jego wtyczką. Oczami i uszami w twoim domu. Ale taki facet z pewnością miał plan B. Jestem pewien, że kazał Twardochowi zainstalować pluskwy. Jestem gotów się założyć, że twój dom – zrobiłem efektowną pauzę – jest na podsłuchu.

Milczał. Zerwał etykietę z butelki i zmiął ją w kulkę.

– Twardoch nie dotykał się do żadnej elektroniki. Nie mógł. Miał rozrusznik.

– Bajerował. Właśnie po to, żebyś tak myślał, jeśli przypadkiem ktoś odkryłby podsłuch. Znam się na tym. Rozrusznik nie ma tu nic do rzeczy.

Opowiedziałem mu, czym się zajmowałem. Na czym polegają moje zlecenia. Wspomniałem o policyjnej przeszłości. Nie było sensu kłamać. Musiałem być o wiele bardziej wiarygodny niż cuda świętych. I tak mógł mnie sprawdzić. Ja przynajmniej na jego miejscu bym tak zrobił. Słuchał zapatrzony w okno, a z jego reakcji nie mogłem nic wyczytać.

– Muszę znaleźć te pluskwy – powiedziałem. – To raz. Po drugie, pojedę do Mikołajek, do tej restauracji. Popytam tu i tam, poszperam. Ale zaczniemy jutro od twojego domu.

– Dlaczego dopiero jutro?

– Bo nie pracuję po alkoholu. – Pierwszy raz od dłuższej chwili skłamałem. – Można coś przeoczyć. Poza tym... poza tym jestem wciąż zmęczony po – skrzywiłem się – ścieżce zdrowia. Wieczór u was to nie była gorączka sobotniej nocy.

– A czego się spodziewałeś? – Oczy mu zapłonęły. – Temu skurwielowi, jak go już złapiemy, dopiero urządzę krwawą łaźnię.

Przypomniałem sobie rzeźnicki hak wyzierający smutnie spomiędzy kafelków. Na ułamki sekund mignęła mi postać mojego ojca.

Wrócił Burger. W kącikach ust wciąż tkwiły pozostałości pizzy. Miał mnie odwieźć do Kiejkut. Stary chciał zostać w smażalni sam. Przemyśleć kilka spraw. Tak powiedział. Grubas oponował, ale w końcu ustąpił. Podszedł do karczmarza i gdy się zbierałem do wyjścia, usłyszałem strzępy rozmowy. „Ile?” „Czwarte”. „To po szóstym odwieź go do domu. Góra po siódmym. On już nie może dawać w palnik tak jak kiedyś”. Andrzej Polak przytaknął ze zrozumieniem, a potem przybili piątkę na odchodne.

Burger sypał dowcipami, a żaden z nich nie był tak dobry jak ten o psie. Chciałem poprosić, żebyśmy się zatrzymali, potrzebowałem zatyczek do uszu. W Szczytnie skręcił przy placu Juranda i stanął przy jakiejś obskurnej budzie z hamburgerami. A ledwo ruszyliśmy, zatrzymał się przy małym kościółku ocienionym drzewami.

– Idź zobacz, kto umarł. – Uchylił szybę i wskazał nekrolog na tablicy ogłoszeń. – Nie mogę się ruszyć, chyba przesadziłem – jęknął.

Nazwisko zmarłego nic mi nie mówiło, ale jemu tak.

– Jakub Czekał? Kuba? – Pokręcił głową i przeżegnał się. – Czekał, czekał, aż się doczekał. – Szparki wokół oczu zacisnęły się i zaczął szeptać: – Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista... – odpowiedział, >bezgłośnie poruszając ustami. Jego oblicze przybrało uduchowiony wyraz, jakby kończył list do papieża Franciszka.

Nagle się ocknął.

– Widziałeś ją?

– Którą?

– Tę w tych szortach do pół dupy. Szła tu lewą stroną.

Nie zwróciłem uwagi, ale sejsmografy Burgera pracowały bez zakłóceń.

– Widziałem – skłamałem.

– Miała nieźle wyklepaną karoserię.

– Ale niskie zawieszenie.

Roześmiał się, a ja znów zatęskniłem za zatyczkami.

– Wiesz co? Zaczekaj. Ruszę się jednak. – Wygramolił się z samochodu. Podszedł do tablicy i zerwał nekrolog. Podarł go, rzucił strzępy na ziemię i wdeptał je butem. –

Należało mu się. – Sapał, gdy znalazł się w samochodzie.

Dojechaliśmy do pensjonatu.

– W sumie to cię lubię. Fajny facet jesteś. Chociaż mój brat uważa inaczej.

Odwrócił głowę w moją stronę.

– Powiem ci coś... Może nie powinienem... Wtedy, jak wróciłeś... Był za tym, żeby skończyć z tobą. Ja i ojciec uważaliśmy inaczej. Ojciec to nie wiem czemu, ale ja uważam, że chrześcijanin powinien przebaczać. I obaj razem nie pomyliliśmy się co do ciebie.

Burger podał mi na pożegnanie mokrą od potu kluchowatą rękę. Na znak pokoju.

Spałem dobrze. Bez koszmarów i zakłóceń. Popołudnie spędziłem nad jeziorem, spoglądając na piętrzące się chmury. Dosiadł się do mnie Wojtek Kowalewski w nieodłącznej żonobijce i z chmielowym przyjacielem w puszcze. Pytał o postępy w pracy nad książką. „Chyba panu idzie, bo dawno pana nie widzieliśmy. Wyjeżdżał pan czy co?” Mogłem odpowiedzieć, że rzeczywiście była to długa podróż prawie na tamten świat i z powrotem, ale zbyłem go jakimiś półsłówkami. Poskarżył się, że ryby ostatnio nie biorą, i wreszcie sobie poszedł.

A potem z drugiego schowka w bagażniku wyjąłem dwa owalne przedmioty wielkości pięćdziesięciogroszówki. Po przygodach, które spotkały moją terenówkę, pluskwy mogły już nie nadawać się do użycia, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Nie zamierzałem nikogo podsłuchiwać. Wsunąłem je do najmniejszej kieszeni w bojówkach.

Wziąłem kartkę, napisałem kilka inicjałów, a potem starałem się powiązać je ze sobą. Wreszcie zrezygnowany cisnąłem długopisem, jakbym rzucał nożem. Wersja, którą przedstawił Koenig, nie kleiła się. Wierzyłem jedynie w płomienny romans studentki i jego syna, reszta była jednym wielkim znakiem zapytania. Dziewczyna znika, a Jan Koenig zachowuje się irracjonalnie. Zamiast jej szukać, wyjeżdża. Podwędziwszy kasę staremu. Jeśli wcześniej toczył z nim bitwy, to musiał wiedzieć, że teraz wywołuje wojnę totalną. Wszyscy szukają dziewczyny, tylko nie on. Stary Koenig najeżdża komunę Smółki. Burger i Jaszczur wypytyują o Magdę poszukiwaczy skarbów. Tylko nie on. Jakby wiedział, co się z nią stało. A może nie: co z nią zrobił?, tylko: co jej zrobił? Zdarzały się takie historie nie raz, nie dwa.

Moja głowa potrzebowała resetu, zwoje się przegrzały. Wrzuciłem na laptopie *15.10 do Yumy*. Tę starą wersję z Glennem Fordem i Van Heflinem i gdzieś w połowie zasnąłem.

Wysiądałem z samochodu pod domem Koeniga, wymacałem w kieszeni dwie pluskwy, spojrzałem na sine niebo i wtedy usłyszałem sygnał przychodzącej wiadomości.

Jest pan na Mazurach? Bo ja tak.

W pierwszym momencie nie skojarzyłem nadawcy, ale za chwilę nadszedł kolejny SMS.

Jestem u Smółki. Zdaje się, że pan tu był. Mam coś ważnego.

Odpisałem.

Czy dotyczy to Oscara Pistoriusa?

Odpowiedziała lakonicznie, ale mnie to starczyło.

Nie. Dotyczy MW.

Podaliśmy adres. Zaproponowałem szóstą po południu. Nie potwierdziła, nie zaprzeczyła.

A potem odegrałem przedstawienie, które od lat nie schodzi z afisza w moim teatrzyku. Dziembała przyniósł mi drabinę i komplet narzędzi, a ja cierpliwie wyjaśniałem staremu i Burgerowi, co zamierzam zrobić. Nie muszę szukać w całym domu. Wystarczy salon, kuchnia i weranda. Miejsca, gdzie się spotykaliście i rozmawialiście. No, może jeszcze wasze pokoje.

– Nie ma mowy. – Koenig zaproponował. – Tu możesz sobie grzebać. U mnie na górze nie.

– U mnie też nie – zawtórował Burger. – Niezły burdel tam panuje – dorzucił tonem usprawiedliwienia.

Burger i burdel. Nawet pasuje. Nie, to nie. Wzruszyłem ramionami.

Zacząłem od werandy. W tej robocie trzeba mieć zdrowy kręgosłup i kolana. Pracowałem na klęczkach, lustrując szpary między deskami, a oni przyglądali się, jak szukam. Wreszcie mieli dosyć. Obaj poszli popatrzeć, jak chłopak trenuje quatera do kowbojskich zawodów.

W salonie oderwałem listwę przypodłogową. Drewno było miękkie, wydłubałem w nim dziurę i sprawdziłem, czy zmieści się pluskwa. Odkręciłem gniazdka i zdjęłem żyrandol. Niech sobie potem sprzątają. Uznałem, że wystarczy, i przeszedłem do kuchni. Zabudowa kuchenna była solidna i bez polotu, z grubsza jak wszystko w tym domu. Niczego nie brakowało, ale też nic nie świadczyło o zamożności domowników. Zajrzałem do zmywarki. Była pusta. Szklanka, z której pił whisky, stała w zlewie. Właściwie nie wiedziałem, kto gotuje Koenigowi. Żywi się sam czy zamawia z knajpy? Tak czy inaczej, w tym domu dawno nie było kobiety. Chyba że była tu jednak Magdalena Wolska.

Wykonałem te same czynności co poprzednio. Przyjrzałem się obrazom wiszącym na ścianie. Podobnie jak malowidła w salonie, także i te były replikami, całkiem udanymi, i przedstawiały sceny końskich targów. Po jednej stronie wisiały kopie Juliusza Kossaka i Norblina, na przeciwległej ścianie *Koński jarmark* Rosy Bonheur. Miałem do tej malarki pewną słabość, bo, podobnie jak mnie, zdarzało jej się pracować w przebraniu. Aby swobodnie poruszać się po targach i rzeźniach, przebierała się, za zgodą prefektury, za mężczyznę. Patrzyłem na dwa wierzgające perszerony, chyba to były perszerony, siwego i karego, wypełniające pierwszy plan obrazu. Zastanawiałem się, skąd u Koeniga takie obrazy? Pewnie dostał je w prezencie albo za jakąś przysługę. Kopię *Końskiego jarmarku* pokrywał kurz, nikt jej dawno nie przecierał i uznałem, że będzie najlepsza do moich potrzeb. Zdjąłem podróbkę arcydzieła, pogrzebałem w skrzynce z narzędziami i dokleiłem do ramy pasek taśmy samoprzylepnej.

Otrzeptałem ręce. Tyle powinno wystarczyć.

W domu panowała cisza. Szybkimi susami dotarłem na piętro. Znajdowałem się w dłuższym skrzydle. Szarpnąłem za klamkę pierwszych solidnych drzwi. Były zamknięte na klucz. To mogła być sypialnia starego Koeniga. Drugie drzwi ustąpiły bez trudu, ale zatrzymałem się w wejściu. Precyzyjniej mówiąc: zostałem w nim przyblokowany. Dostęp do środka tarasowały pudła po pizzy, plastikowe pojemniczki, puszki i butelki. Pomieszczenie wyglądało tak, jakby zdetonowano tam bombę atomową zrobioną z kartonów, śmieci, odpadów i innego bzdiewia niewiadomego pochodzenia. Burger i burdel. Wycofałem się w popłochu.

Kolejne drzwi także były otwarte. Rzut oka wystarczył, żebym wiedział, kto tu mieszkał. Podręczniki do informatyki, trochę powieści fantasy, a poza tym płyty główne, mikroprocesory, kable i złączki, o których nie miałem bladego pojęcia, walające się na biurku. Pod ścianą gitarowy wzmacniacz. Zajrzałem pod łóżko. Futerał, który wyjąłem, był dziwnie lekki. Otworzyłem go. W środku nie było instrumentu. W wyżłobieniu przeznaczonym na gryf gitary znajdował się schowek na akcesoria, a w nim komplet strun D'Addario. Torebka była otwarta, między strunami tkwiło zdjęcie. Na fotografii chłopak o nieśmiałym uśmiechu obejmował dziewczynę. Napatrzyłem się na nią w ostatnim czasie wystarczająco i nie miałem żadnych wątpliwości, kim jest.

Najmłodszy z synów Koeniga pozował z Magdaleną Wolską.

Schowałem zdjęcie do kieszeni, a futerał wsunąłem na miejsce.

Kolejne drzwi były zamknięte, ale ostatnie już nie. Wszedłem do środka. Znajdowałem się w bezosobowej przestrzeni wypełnionej łóżkiem i biurkiem, na którym stał laptop. W łazience przylegającej do pokoju obok pasty na zęby stały dwie tubki z jakimiś smarowidłami. Wróciłem do pokoju. Pod oknem leżała sporych rozmiarów walizka.

Znajdowałem się w królestwie Jaszczura, co do tego nie miałem wątpliwości. Położyłem walizę na łóżku i próbowałem ją otworzyć. Była zamknięta. Pobiegnę na dół i wróciłem z cienkim śrubokrętem. Kilka ruchów starczyło, żeby zamek ustąpił z cichym szcęknięciem. Po lewej stronie znajdowały się ubrania, przepisowo, pedantycznie poskładane w kostkę. Ale to z powodu akcesoriów po prawej Jaszczur dbał o to, żeby nikt nie poznał zawartości. Na wierzchu znajdowała się maska przeciwgazowa. Pod nią kominiarka i dwie pary kajdanek. A na dnie skalpel, nożyczki i komplet żyłetek, których raczej nie używano do golenia zarostu. Oraz kilka filmów porno świadczących o upodobaniach. Przyglądałem się małemu arsenałowi sadomasochisty, gdy trzasnęły na dole drzwi. Zamknąłem walizkę, odstawiłem na miejsce i wyszedłem z pokoju, gdy usłyszałem kroki na schodach.

– Co tu robisz? – Jaszczur patrzył to na mnie, to na drzwi.

– Zapytaj ojca – odpowiedziałem z miną niewiniątka.

– Właśnie z nim rozmawiałem. Zabronił ci węszyć na górze.

– Nic nie mówił, że u ciebie nie mogę. Mogę? – Nacisnąłem klamkę do pokoju najmłodszego z Koenigów.

Taksował mnie spojrzeniem.

– Spierdalaj – warknął, a ja przychyliłem się do jego życzenia.

Starego zastałem przed domem. Stał naprzeciw mężczyzny w beżowym garniturze. Płowe włosy i cielistą skórzaną aktówką dopełniały całości. Koenig trzymał w dłoni plik papierów. Uniósł je na wysokość twarzy mężczyzny, a następnie wolnym ruchem przedał na pół.

– Tak brzmi moja odpowiedź. Oferujecie śmieszne pieniądze. Powiedz swojemu szefowi, że nie jestem instytucją charytatywną. – Zwrócił się do mnie. – Im się wydaje, że sprzedam im firmę za półdarmo. – Znów popatrzył na płowego. – I posprzątaj te papiery, niech mi się to tutaj nie wala.

Wziąłem go pod łokieć. Chmury zgęstniały i zbierało się na deszcz, a ja pokazywałem chiński szajs służący do podsłuchiwania rozmów. Wyjaśniłem, jak to działa.

– To są moje trofea. Teraz nasz nieznamy w koloratce ma naprawdę wybite zęby. I będzie wiedział jeszcze jedno. Że poważnie zabraliśmy się do rzeczy.

– Daj mi to – wyciągnął rękę.

Zawahałem się na ułamek sekundy, ale podałem mu pluskwy.

Ustaliliśmy plan działania. Miałem jechać do Mikołajek i odświeżyć pamięć kelnerom w restauracji.

Gdy przyjechałem do Mazurii, czekała na mnie. „Pan to ma szczęście do dziewczyn”, usłyszałem od sprzedawcy obrusów. „Czekała na pana i chyba nad wodę poszła”. Skierowałem się nad jezioro. Z butelką wina zakupioną w Szczytnie i dwoma plastikowymi kubeczkami.

Odwróciła się, gdy usłyszała kroki. Była teraz brunetką, miała dłuższe włosy albo czesała je jakoś inaczej. Poza tym szczęśliwie nie zmieniła się. Jej filigranowa sylwetka w zwiewnej żonkilowej sukience odcinała się na tle jeziora. Dwa górne guziki były rozpięte. Na szyi połyskiwał złoty łańcuszek. Na stopach miała sandały na cienkim, prawie niewidocznym pasku. Agnieszka Wrzesień patrzyła na mnie. Podeszedłem bliżej.

– Wrześniowa dziewczyna – powiedziałem, a ona się uśmiechnęła. – Dobrze schłodzone. – Wskazałem na butelkę.

– Dziś już nie jest tak gorąco. Upały chyba się skończyły.

Usiedliśmy na wzniesieniu, pod drzewem. Mówiła o tym, co dzieje się w Warszawie. Rozmawialiśmy o bezglutenowych zapiekankach, modzie na literaturę faktu, festiwalach filmów dokumentalnych, dwóch nowych muralach coś tam upamiętniających oraz innych bzdetach, którymi dziś faszeruje się młode umysły, i oboje wiedzieliśmy, że to przystawka do głównego tematu rozmowy. Odkorkowałem wino, co przyszło mi z pewnym trudem, a ona skwitowała to śmiechem. Powiedziałem, że lepiej sobie radzę z rozpalaniem ognia i znakami dymnymi. Wreszcie zapytała, jak mi idzie. Jak poszukiwania. Opowiedziałem jej o Koenigach. Pokazałem zdjęcie znalezione w futerale między strunami. Długo się w nie wpatrywała, a potem odwróciła głowę i wytarła oczy dłonią. Zapytała, co to może znaczyć, ale nie miałem sensownej odpowiedzi. Opowiedziałem o rozmowach ze Smółką i wizycie w komunie.

– Przyjechałam tam wczoraj – przerwała mi.

– Widziałaś Mistrza?

– Widziałam. Dziwny koleś. Pokręcony jakiś.

– Twój SMS był z kolei tajemniczy.

Silniej powiało, a ona się przysunęła. Czułem zapach słodkich perfum. Nasze ramiona się stykały. Kubki z winem też.

– Poznałam wczoraj taką dziewczynę – zaczęła z ociąganiem.

– Tę młodą, w twoim wieku, z dredami? – dopytywałem.

Skinęła głową.

– Zaczęłyśmy rozmawiać. Reszta to jacyś sztywniacy. I gbury.

Pamiętam, że tak samo o nich pomyślałem. Dolałem wina do plastików.

– Zaczęłam jej mówić o Magdzie... Stąd wiem, że tam u nich byłeś i zrobiłeś trochę zamieszania. Ale nie to jest najważniejsze...

Przełknęła ślinę.

– Ona... ona powiedziała mi, że chciała ci to powiedzieć... Ale...

Ale, kolego, dałeś ciała, pomyślałem. Domyślałem się, jaki będzie ciąg dalszy opowieści. Byłem wściekły na siebie. Agnieszka Wrzesień w ciągu doby załatwiła to, czego nie udało mi się przez dwa tygodnie. Pokpiłem sprawę. Skupiłem się tylko na Koenigu, tak jakby on trzymał klucz do wszystkich tajemnic. A tak naprawdę postąpiłem tak dlatego, że dwie historie zaginięć, ta sprzed roku i ta sprzed wielu lat, położone na szalach, nie ważyły tyle samo. Jedną potraktowałem jako środek, drugą jako cel. Od samego początku symetria była zachwiana. Taka była prawda, choćbym się bardzo wypierał.

– Co się stałeś taki ponury?

– Nic takiego. Mów dalej.

– Więc ta dziewczyna, Ania, powiedziała mi, że Magda u nich była. W ubiegłym roku... Przez dwa dni... A potem wyjechała.

– Smółka mówił coś innego.

– Oni wszyscy mówią, że jej nie było. Smółka im kazał.

– Powiedziała ci dlaczego?

– Nie chcą mieć kłopotów. Boją się policji. I miejscowych. Obiecałam jej, że nikomu tego nie powiem. Nie wiem, czy mi uwierzyła...

Siedzieliśmy w milczeniu. Zerwał się wiatr, a chwilę później zaczęło padać.

– Na górze mam jeszcze jedno wino – zaproponowałem.

Popatrzyliśmy sobie w oczy i coś pękło w naszych spojrzeniach. Jakbyśmy chcieli naszą emocjonalną raketą wybić wszelkie smutki na aut.

Pobiegliśmy do pensjonatu, a do pokoju wpadliśmy zdyszani. Nie chciała wina. Chciała mnie. Popchnęła na łóżko, sprężyny jęknęły, a ona przywarła się do mnie. Dotknęła mojego nadgarstka.

– Co robisz?

– Zdejmuję ci zegarek – szepnęła mi do ucha.

– Zegarek?

– Pamiętasz, opowiadałam ci... Miałam chłopaka. Nosił zegarek na skórzanym pasku. I ten pasek strasznie śmierdział. I jak go zdejmowałam, to zawsze wiedziałam, że będzie akcja.

Uporała się z zegarkiem. A potem całą resztą.

Pocałowała mnie.

Chciałem złapać ją za kark, ale zsunęła się niżej.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jestem w szponach posthumanizmu, ale nie. Byłem w dobrych rękach. Daleko mi też było do nieludzkich podmiotów.

Gdy zsunęła się jeszcze trochę niżej, poczułem się ludzkim podmiotem owładniętym zwierzęcymi instynktami.

Świtało. Nie spał przez całą noc. Leżał i nasłuchiwał, jak deszcz zacina o szyby i toczy bój ze skorodowanymi rynnymi. Poza tym panowała cisza. Moja walka zbliża się do końca, pomyślał.

Została ostatnia runda.

Piekła go skóra, starał się wyprzeć ból ze świadomości, ale to mu się nie udawało.

Pieczenie i deszcz. Ogień i woda. W chwilach takich jak ta żywoły łączą się ze sobą, a świat zwija się do rozmiarów małej metalowej kulki.

Ogień i woda.

Wstał, podszedł do biurka i zaczął pisać. To będzie ostatni wpis.

Vulcanalia.

Święto ku czci boga ognia i kowalstwa. 23 sierpnia już za nami, ale to nic. Nic straconego. Podczas Vulcanaliów składano ofiary. Rzymianie wrzucali do ognia zwierzęta. Najczęściej ryby.

Ogień i woda.

Słyszałem pomruk wulkanu. Nigdy nie słyszałem piękniejszego dźwięku.

Nie ma nic piękniejszego od uśpionej mocy. Może niezupełnie. Erupcja sił jest piękniejsza od uśpionej mocy.

Pamiętam, że ludzie stawali się niespokojni, tłoczyli się w kościołach i modlili się, zwierzęta wpadały w panikę i szukały schronienia, a miejscowi szaleńcy bełkotali bez sensu.

Chciałem zobaczyć, jak to jest, gdy komin pyłu, gazu, wszelkich trucizn odbywa podróż, żeby osiągnąć nieba. Brud i szlam wiszą w powietrzu jak akrobata i panują nad światem. Chciałem to wszystko ujrzeć na własne oczy, ale nie dane mi to było. Wybuch nie nastąpił, a wulkan ucichł.

Składanie ofiar.

Ofiary są nieuniknione. Są święte. Ofiarowany nie czuje, co to ból.

Nadszedł czas, żebym i ja wyruszył w podróż. Teraz mam już pewność: OGRAŁEM CZAS.

To mój ostatni wpis. Kilkoro z was prosiło mnie, żebym powiedział coś więcej o sobie, o tym, kim jestem i czego doświadczyłem. Z pewnych powodów nie mogłem i nie mogę tego zrobić. Ten wpis jest formą pożegnania, a ci z was, którzy potrafią kojarzyć fakty, być może połączą go z tym, co się stanie. Wtedy poznacie mnie lepiej.

Uznał, że tyle wystarczy, i przeczytał całość. Dopiero teraz poczuł się zmęczony. Sięgnął po telefon i nastawił budzik na dziewiątą. Kilka godzin wystarczy, żeby odpoczął i nabrał sił. Dzień zapowiadał się długi. A wieczór jeszcze dłuższy. Obudzi się, pojedzie w jedno miejsce, a kiedy wróci, zamieści ten wpis.

Położył się, ale nie mógł zasnąć. Słyszał, jak nawołują się ptaki. Coś nie dawało mu spokoju. Wreszcie zrozumiał co.

Wstał, podszedł do laptopa. Wykasował cały wpis i zaczął od początku. Tym razem zajęło mu to kilka sekund.

DOSTAŁEM TRZECI ZNAK.

Senność ustąpiła nagle, a on poczuł się rześki i lekki jak piórko.

Wszystkich czeka podróż, pomyślał. Mnie też.

Wziął walizkę i otworzył zamek.

Gdy się obudziłem, już jej nie było. Odruchowo spojrzałem na lewy nadgarstek, żeby sprawdzić, która godzina, ale podziwiać mogłem jedynie biały pasek skóry na opalonej ręce. Uśmiechnąłem się do siebie. Szczęśliwi czasu nie liczą. Zwlokłem się z łóżka i podszedłem do stolika, na którym stała butelka po winie. Spojrzałem na zegarek i zdziwiłem się. Było grubo po południu. Pod telefonem zostawiła kartkę. Wpatrywałem się w ciąg niezgrabnych liter, które jakoś mi nie pasowały do jej kociej sylwetki, ale te dwa zdania musiała napisać ona. *Chyba pojedę dziś do znajomych w Mikołajkach. Jutro wrócę.* Potraktowałem tę kartkę jako obietnicę ponownego spotkania i uśmiechnąłem się raz jeszcze.

A potem włączyłem telefon, który przez wieczór i noc przypatrywał się spokojnie naszym miłosnym harcom. I rozpętało się piekło. Miałem kilkanaście nieodebranych połączeń, pierwsze o siódmej rano. Wszystkie od Koeniga. Oraz sześć SMS-ów o zróżnicowanym poziomie troski. Od krótkiego rozkazu, żebym natychmiast przyjeżdżał, po pytanie, czy żyję. A między trafił się jakiś bluzg. Jeden SMS pochodził z innego numeru. *Przyjeżdżaj. Ojciec wpadł w szal. Weź to, co trzymasz pod siedzeniem.*

Zastanawiałem się, co się mogło wydarzyć, gdy nadszedł sygnał połączenia. Spojrzałem na wyświetlacz. Koenig. A gdy odebrałem, przywitało mnie przekleństwo i westchnienie ulgi. Po głosie rozpoznałem Burgera. Wyjaśniłem mu, że miałem kłopoty z telefonem. Ledwo udało mi się go naprawić.

– Dobra – sapnął. – Zabieraj dupę i przyjeżdżaj. Już mieliśmy jechać po ciebie. Zastanawialiśmy się nawet... – Zawiesił głos.

– Zastanawialiście się, czy nie dopadł mnie spec od odcinania języka? – dokończyłem.
– Nie. Nie dopadł. I zapamiętaj sobie – próbowałem wykrzesać urażoną dumę – że nie jestem waszym sługusem, tylko zawodowcem. A teraz mów, co się stało.

– Sprawa jest. Ojciec ci wyjaśni. O ile... o ile będzie w stanie, bo wypił trochę. Weź ze sobą... Wiesz co.

Rozłączyłem się. Pół godziny później wjechałem do królestwa Koeniga. Wycieraczki zbierały drobny deszcz i nie zanosilo się na zmianę pogody. Przed frontem domu stała

gromadka mężczyzn. Klan Koenigów stawił się w komplecie, obok Dziembała i Hemoroidalny. I ktoś, kogo widziałem pierwszy raz. Wszyscy stali bez ruchu i z ponurymi minami wpatrywali się w ziemię, jakby spoglądali w grób. Jakby uczestniczyli w pogrzebie. Koenig trzymał w ustach papierosa. Pozostali chyba nie mieli odwagi, żeby zapalić.

Schowałem glocka za pasek i podszedłem do nich. Nikt nic nie powiedział. Szpakowaty, krótko ostrzyżony mężczyzna przyglądał mi się ciekawie.

– Łapa... – Głos Koenigowi się łamał. Miał czerwoną twarz i nieprzytomne spojrzenie. – Jedna łapa... Tyle z niego zostało. – Strząsnął popiół na ziemię.

Nie zrozumiałem, o co chodzi. Popatrzyłem po wszystkich.

– Edgara zjadły – powiedział Dziembała. – Wilki.

Przypomniałem sobie popielatego, zadowolonego psa, domagającego się pieśczoć i uwagi.

– To tutaj się stało? – zapytał nieznajomy. Wyglądało na to, że też przed chwilą przyjechał.

– Nie. – Burger pokręcił głową. – Po drugiej stronie, tam od lasu.

Mężczyzna podał mi rękę. Nazywał się Pliszka i był myśliwym.

– Razem z Henrykiem – wskazał na starego Koeniga – polujemy. Od jarząbków po grubą zwierzynę. Ile to już lat? Kto to pamięta.

Co to jest? Ma jedną łapę i krwawi?

– Co tam szepczesz? – zapytał Koenig.

Pokręciłem głową.

– Coś wam się pomyliło – powiedziałem głośnie. – Znam się na tropieniu ludzi. Potrafię ich odnaleźć. Ale nie znam się na wilkach. Nie mam zamiaru...

– A ty co? – zapiszczał Jaszczur. – Brigitte Bardot jakaś jesteś?

– Jesteś nam potrzebny. I umiesz strzelać – powiedział twardo stary Koenig. Mgiełka rozproszyła się, a jego spojrzenie odzyskało głębię i ostrość.

Ociągałem się chwilę i niechętnie uznałem, że nie mam wyboru.

– Kto będzie tropił? – zapytał myśliwy. – Szarpak? Jest najlepszy.

– Szarpak odmówił – odpowiedział Burger. – Powiedział, że z nami nigdy i nigdzie się nie wybierze.

– Nie, to nie. Zajmiemy się panem Szarpakiem we właściwym czasie – wycedził stary Koenig. Wyprostował się. Od dłuższej chwili nie był pijakiem. Był człowiekiem, któremu się nie odmawia.

– Jeniec z nami pojedzie – powiedział Dziembała. – Dziwny facet trochę... Dziwne oczy ma. Opowiadał mi kiedyś o swoim ukochanym psie. I ten pies raz na niego warknął. Wiecie, co zrobił? Wziął go za chałupę i zastrzelił. Mówił mi o tym tak...

Przerwał i popatrzył gdzieś za mnie. Odwróciłem się. Nadjeżdżał jeszcze jeden samochód. Po chwili wysłużone pajero zatrzymało się i wysiadł z niego postawny mężczyzna w zielonej kurtce. Miał koło sześćdziesiątki, może trochę więcej. Ogołoną na łyso głowę zdobiło kilka wyraźnych blizn. Nie miał przyjaznych oczu. Skojarzyły mi się ze ściekającym błotem. Jeniec przywitał się z każdym bez słowa.

– Skąd wiadomo, że wilki? – przemówił wreszcie

– A kto? – zapytał Jaszczur.

– Wilcza kupa leżała koło łapy. Taka jak cygara. Z sierścią i kawałkami kości – dopowiedział Dziembała.

– Jaki kolor?

Krótkie pytania brzmiały jak szczeknięcie.

– A co to ma za znaczenie? – Hemoroidalny się roześmiał. – Gówno to gówno. Mieliśmy się w nim babrać? Wziąłem na łopatę i rzuciłem gdzieś.

Jeniec spojrział na niego szlamowatymi oczami.

– On też się z nami wybiera?

– Radzi sobie. Wie, do czego służy strzelba – odpowiedział Koenig.

– To trzymajcie go z daleka ode mnie. Mamy czas, rozejrzę się trochę po okolicy – mruknął. – Masz to, o co prosiłem?

– Będę miał za kilka godzin. Obiecali mi. Pogonię ich jeszcze raz. – Koenig wygrzebał z kieszeni komórkę. W trakcie rozmowy kiwnął Jeńcowi głową.

Stypa się zakończyła. Nigdzie nie widziałem kopczyka, ale co tu było chować? Jedną psią łapę? Udałem się ze starym Koenigiem do domu. W salonie podszedł do barku, nalał sobie whisky, nappełnił też drugą szklanekę.

– Napij się. – Podał mi szkło. – Zanim pojedziesz, wytrzeźwiejesz.

Zawahałem się. Wziąłem szklanekę do ręki.

– Na co właściwie czekamy? – spytałem.

– Aż nadejdzie noc. I na łożysko klaczy. Obdzwoiłem znajomych weterynarzy. To idealna przynęta. Wilki czegoś takiego nie przepuszczą.

Zaczął opowiadać. O popielatym kundlu, który pewnego dnia się przybłąkał i już został. O tym, że dla wilków pies to prawdziwy przysmak. Czasami tylko łańcuch zostaje i obroża. Starał się panować nad sobą, ale przychodziło mu to z trudem.

Siedzieliśmy jak dwaj starzy kumple rozpamiętujący przeszłość.

Przeszedłem szybkie szkolenie. Dowiedziałem się o wilczym truchcie i o tym, jak układa się ciąg tropów. O fladrach używanych podczas polowań.

– Chociaż dziś nie będziecie z nich korzystać – dodał.

– O co chodzi z tymi odchodami?

– Wilki zostawiają je często przy resztkach zdobyczy. Świeże są czarne i miękkie, a starsze szarobrązowe i twarde. W sumie – zastanowił się – nie wiem, dlaczego Jeniec o to pytał.

Szybko zmieniłem temat. Zapytałem, kto pojedzie. Jeniec, Pliszka i dwóch troglodytów. Wyraziłem wątpliwość, czy ci dwaj potrafią obchodzić się z bronią, ale zbył mnie śmiechem.

– Jeden potrafi. I to bardzo dobrze. Poza tym mają pilnować, żeby myśliwi się nie rozmyślili. I jakiejś lewizny potem nie sprzedali. Przeczytałem kiedyś, że staliśmy się narzędziami w rękach naszych narzędzi. – Spojrzał na mnie półprzytomnie. – A ja dążę do tego, żeby ludzie byli narzędziami w rękach moich narzędzi. Rozumiesz, przyjacielu?

Powiedziałem mu, że to bardzo głęboka myśl. Stuknęliśmy się szklankami, choć moja była pusta. Chciał mi dolać, ale odmówiłem.

– Pojedziesz z Dziembałą drugim wozem. Tak na wszelki wypadek, gdyby stało się coś nieprzewidzianego.

Mijały godziny, a Koenig opowiadał. O polowaniach i o koniach. O przyjaźniach, na których się zawiódł, i przyjaciołach, którzy poumierali. O synach, których bardzo kocha. Dwóch synach. Nigdy nie potrafił tego okazać, więc przynajmniej chciał, żeby mieli wszystko. Otworzył się przede mną i miałem nadzieję, że dalej pozegluje w przeszłość. Zanurzy się w czasie i usłyszę wreszcie coś, na co czekam. Ale nic takiego nie nastąpiło. Dwa razy przysnął. Zwiesił głowę na piersi i cicho pochrapywał.

Za drugim razem wybudził go Burger. Przywieźli łożysko. Zmierzch przecinał się z nocą, gdy przyjechał naganiacz. Do salonu wkroczył razem z Dziembałą.

– To parka – oznajmił. – Basior i wadera znakują teren, chociaż mamy dopiero wrzesień. Do cieczi jeszcze daleko, ale wszystko się zmienia. W lesie też. Jak to mówią, wilka żywią jego nogi, więc jest sporo tropów. Za to tam, gdzie zjadły psa, wszystko zdeptaliście. Nie wjeżdżałem do lasu, ale znam takie miejsce... Będzie idealne. Przynęta jest? – Mówił trochę pobudzony. Perspektywa nielegalnego polowania musiała tak go nakręcać.

– Jest – odpowiedział Dziembała. – Kiedy jedziemy?

– Ty nie jedziesz – oznajmiłem. – Myślę, że za wiekowy jesteś na takie przygody.

Koenig spojrział na mnie zaskoczony. Przez chwilę coś rozważał, wreszcie machnął ręką.

– Może racja – powiedział. Podszedł do kredensu z bronią, otworzył go i wyjął strzelbę. Podał Dziembale razem z amunicją. – Daj to Korzeniowi.

Starzec wyszedł bez słowa.

Staliśmy przy samochodach. Hemoroidalny, który jak się okazało, miał nawet nazwisko, siedział w pajero z tyłu, a obok niego usadowił się Piękny Ząbek. Pliszka ulokował się z przodu jako pasażer. Jeniec bawił się kluczykami. Tropiciel nie pytał, kim jestem. Wiedział, że mam jechać, i to mu wystarczyło.

– Dobra pogoda na wilki. – Spojrział w niebo. – Wytarł głowę dłonią. – Najgorzej, gdyby pełnia była.

– Ale pada cały czas – zauważyłem.

– Kropi, a nie pada. Tylko kropi.

Ruszyłem do terenówki. Miałem jechać za nimi.

Światła samochodu na krótko oświetliły sylwetkę stojącą w progu domu. Dziembała stał nieruchomo. Byłem pewien, że patrzy na mnie.

Wjechaliśmy do lasu. Otworzyłem okno i natychmiast poczułem zapach wilgotnej zieleni. Zakręciło mi w nosie i kichnąłem dwa razy. W światłach reflektorów widziałem, jak paruje ziemia, a mleczna mgiełka tańczy w powietrzu. Wycieraczki zgarniały deszcz i rozgniatały owady na szybie. Sunęliśmy między drzewami, pod kołami trzaskały kamyki, drewno i ślimaki. Trzymałem się dwadzieścia metrów za samochodem Jeńca. W pajero rozbłysły szperacze i przez chwilę wyglądało to tak, jakbym oglądał negatyw lasu.

Plan był taki, że pierwszy odcinek mamy pokonać samochodami. A później pieszo do polanki i tam przygotować nęcisko. Pliszka miał wyznaczyć nam stanowiska. Noc była niemal bezwietrzna i to dla nas dobra wiadomość. Potem pozostawało czekać. Czy jest możliwość, żeby wilki nie przyszły? Zawsze jest. Ale po taki przysmak ruszą się na pewno. Przypomniałem sobie ostatnie słowa Koeniga. „Przywieźcie mi je. Im bardziej podziurawione, tym lepiej. Bez nich nie wracajcie”. Zdążył przetrzeźwieć, znów był szefem i szeryfem.

Rozbłysły światła stopu. Nie podjechałem bliżej. Zatrzymałem samochód i wysiadłem. Kierowca włączył szperacze i nawet z tej odległości widziałem, co nas zatrzymało. Natrafiliśmy na przeszkodę. W poprzek leśnej drogi leżały pnie i gałęzie, piętząc się na dobry metr i skutecznie tarasując przejazd.

Stałem oparty o samochód. Jeniec kopnął w jeden z konarów i podszedł do pajero.

– Ruszcie się – zarządził. – Myślicie, że będę ściągał te gałęzie?

Hemoroidalny i Ząbek z ociąganiem wygramolili się z tylnych siedzeń, jeden ze strzelbą, żeby czuć się pewniej, i zaczęli usuwać przeszkodę. Tropiciel wrócił za kierownicę i obserwował, jak pracują.

I wtedy usłyszałem ten dźwięk.

Rozległ się warkot, jakby ktoś na jeziorze odpalił motorówkę. Tyle że nie byliśmy na wodzie. Hemoroidalny i Piękny Ząbek zamarli. Jazgot ucichł. Usłyszałem trzask pękającego drzewa. Jedna z sosen przechyliła się, nabrała przyspieszenia i z nieubłaganą siłą opadła na terenówkę. Patrzyłem jak na obraz w zwolnionym filmie. Sama kakofonia dźwięków mogła sparaliżować albo zabić. Szczęk zgniatanej blachy, brzęk tłuczonego

szkła, pękających szyb i reflektorów, trzask łamanych gałęzi i drzenie ziemi, gdy sosna z głuchym łoskotem zakończyła swój żywot. Nie czekałem dłużej. Wsunąłem się do samochodu i wyłączyłem światła. W jednej chwili zapadła ciemność.

Przeładowałem broń i w ciszy, która nastąpiła, było to jak wystrzał z armaty. Kucnąłem, przyłgnałem do samochodu i czekałem. Wydawało się, że las zamarł, oczekując na to, co się stanie. Deszcz szeleścił pośród drzew i gdzieś trzasnęła gałąź. Moje zmysły przestawiały się na inny tryb, przyzwyczajając się do ciszy i mroku.

Nagle po lewej, znacznie bliżej mnie, coś się zaczęło dziać. Tak jakby ktoś próbował przedrzeć się przez zarośla. Potem dobiegł mnie huk wystrzału. Usłyszałem cichy jęk, wykrzywane przekleństwo, trzask gałęzi. I znów zapadła cisza. Trwałem nieruchomo, oparty plecami o drzwi samochodu i gotów w każdej chwili użyć glocka. Otarłem czoło z deszczu i potu.

Znów coś poruszyło się po lewej stronie. Nastąpiło metaliczne szczęknięcie, ale tym razem nikt nie strzelił. I niemal w tej samej chwili rozległo się przeciągłe, przeraźliwe wycie. Nieludzkie wycie rannego człowieka.

Jęk się wzmógł, a potem coś wypełzło na ścieżkę.

– Noga... Gdzie jest moja noga?

Nagle mocne światło latarki rozświetliło leżącą postać, aktora w upiornym teatrze. Po ziemi czołgał się Hemoroidalny. Twarz miał uwalaną błotem. Palcami wczepiał się w ziemię, próbując unieść tułów. Rozejrzał się oczami szaleńca i na powrót zarył w wilgotnej glebie.

– Noga... Urwało mi nogę... Moja noga – powtarzał jak obłąkany.

Światło skierowało się na jego nogę. Na coś, co kiedyś nią było, zanim zacisnęły się na niej metalowe wnyki. Zęby zmiażdżyły mu goleń. Stopa wisiała na jednym ścięgnię. Oddzielona od reszty, wyglądała, jakby chciała dogonić ciało.

Podążyłem za snopem światła. Z mroku wyłonił się mężczyzna w bojówkach i ciemnej kurtce. Z bejsbolówką na głowie. Z hiszpańską bródką. Omiótł światłem samochód, zobaczył mnie skulonego. Podszedł do troglodyty i kucnął.

– Gdzie zostawiłeś strzelbę?

– Noga... Moja noga – mamrotał Hemoroidalny.

– Zaraz ci pomogę.

Ten w bejsbolówce podszedł do mnie.

– Podjechałeś za blisko – powiedział. – Mówiłem ci, co masz robić, jeśli wyjedziecie, ale ostatecznie to twoje ryzyko. Podejź do pajero i zobacz, czy wszystko w porządku. To znaczy, czy tamci dwaj na pewno nie żyją. – Podał mi latarkę.

Odwrócił się i zniknął w krzakach. Schowałem broń i podszedłem do zgruchotanej terenówki. Tak naprawdę nie było co sprawdzać. Potężna siła rąbnęła w samochód i równie dobrze można by trafić pięścią w środek tortu. Poświeciłem latarką na dwa nieruchome ciała. Głowa Pliszki była zmiażdżona, a Jeniec zastygł w dziwnym grymasie. Jedno oko miał na właściwym miejscu, drugie wypłynęło.

Drgnąłem, gdy rozległ się huk wystrzału, i odruchowo wyciągnąłem pistolet.

Mężczyzna z hiszpańską bródką podszedł wolnym krokiem. Oświecił latarką ścieżkę.

– Już nie cierpi. Strzelił sobie w głowę. Pod wpływem szoku. Sam nie wiem, czy dlatego, że stracił nogę, czy dlatego, że tamtego zastrzelił w krzakach. Paskudnie z tą odstrzeloną głową wygląda.

– I pewnie pociągnął za spust tą odciętą stopą?

Odwrócił się w kierunku pajero. Hemoroidalny w jednej chwili przestał dla niego istnieć. I dla reszty świata zapewne też.

– Nieźle mi wyszło, co? – Mężczyzna z hiszpańską bródką pogładził czule drzewo. – Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do sosny. – Z półtorej tony się na nich centralnie zwaliło. To robi wrażenie. Ta sosna miała około sześćdziesięciu lat.

– A gdyby nie wyszło?

– Kwestia wprawy. I doświadczenia. Rzaz ukośny, rzaz poziomy i żeby zawiasy nie przeciąć albo piły nie przyblokować. Kliny i tak dalej... I najważniejsze, żeby dno wrębu było idealnie prostopadle do kierunku obalania.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Nie mam ukończonego kursu pilarza.

– Bałem się tylko, żeby nie wiało. Bo to jest zawsze komplikacja i nie wiadomo, gdzie drzewo upadnie. To była jedyna sensowna droga, którą mogli wybrać. A to miejsce – poświecił latarką – wręcz idealne. O wiele trudniej było mi znaleźć wilcze odchody.

– Ten czwarty – zmieniłem temat – na pewno nie żyje?

Zignorował pytanie. Patrzył na dwa ciała w samochodzie.

– Poznałem kiedyś takiego człowieka... Znał się na wilkach. I trzymał je u siebie w domu, jak psy. A gdy dorastały, przestawały być małymi wilczkami. Uciekały. Ale wracały

do niego, tyle że już zdziżała. I jak miały tak ze trzy lata, on z nimi kończył. Wiesz jak? Po prostu zabijał je. Jaki z tego morał?

Spojrzał na mnie. Byłem ciekaw.

– Ano taki, że nie oszukasz natury. Jeśli jesteś stworzony do czynienia zła, to choćbyś się starał, twój instynkt w momencie próby podpowie ci, co masz robić. Że masz czynić zło.

Jedni mają Kazanie na Górze, inni kazanie w lesie.

– I dlatego takich trzeba zabijać. Eliminować. Ze złem się nie negocjuje.

Spojrzał na zegarek.

– Teraz powiem ci, co się stanie. Tuż po czwartej rano policja otrzyma anonimowy telefon donoszący o jatce w lesie. O prawdziwej rzeźni. I nawet twój nietykalny Koenig będzie miał nieprzyjemności. W końcu dwóch facetów zginęło z jego broni. Tych kilka godzin to twój czas. Masz opuścić pensjonat. Nie sądzę, żeby cię szukali, ale mimo wszystko radzę.

Poprawił bejsbolówkę. Krople deszczu uderzały we wrak samochodu, wygrywając czterem mężczyznom elegię.

– To już nie potrwa długo – dodał. – W pewnym momencie, pewnie to stanie się jutro, wyślę ci wiadomość. Jedno słowo. Poznasz, że to ode mnie. Od tej chwili Koenig jest twój. A mnie już tu dawno nie będzie. I nie próbuj mnie szukać.

W ostatnim zdaniu wyczułem groźbę.

– Aha, i jeszcze jedno. Kiedy stąd wyjedziesz, napiszesz do starego Koeniga. Mniej więcej coś takiego.

Podyktował treść wiadomości.

– Pomożesz mi zgarnąć wnyki? – spytał. – Oprócz tych postawiłem jeszcze trzy. Szkoda, żeby zwierzęta w nie wpadły. Naostrzyłem zęby tak, że tną... Sam widziałeś.

Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań. Westchnął.

– Już czas. Zapamiętaj dobrze. – Mówił, ważąc każde słowo. – Nigdy mnie nie widziałeś. Nigdy o mnie nie słyszałeś. A jeśli zdarzyłoby się, że kiedyś mnie zobaczysz, uciekaj. Bo jeśli pierwszy cię dojrzę, zabiję cię.

Zapiął kurtkę. Nie odpowiedziałem, a on ruszył w głąb lasu. Rozpłynął się w ciemnościach.

Nie spotkałem go nigdy więcej. Inaczej nie opowiadałbym wam tej historii.

Niech tak już zostanie.

Burger był zły. Skłonność do żartu, która wydawała mu się czymś tak oczywistym jak chmury podczas deszczu, zanikła i gdy samochód ruszył, siedział osowiały. Nie prowadził saaba. Rano zadzwonił po Muńka, osobistego ochroniarza, który odpowiadał za jego bezpieczeństwo. Nie ruszał się bez obstawy. Tylko do domu ojca Burger przyjeżdżał sam. Stary kategorycznie nie życzył sobie, żeby po jego terenie szwendali się jacyś goryle. Mawiał, że nigdy nie zamieni domu w twierdzę, bo byłoby to oznaką słabości. Jerzy Koenig nie miał zamiaru mierzyć się ze starym uporem, choć sytuacja była nadzwyczajna. Zadzwonił po swoich ludzi. Przyjechali razem z Muńkiem, mężczyzną rozmiarów szafy gdańskiej i byłym zawodnikiem mieszanych sztuk walki, i zatrzymali się w Szczytnie. Specjalista od walk w oktagonie przyjechał taksówką do Starych Kiejkut. Teraz mieli dojechać do miasta Klenczona i dalszą trasę pokonać w dwa samochody.

Sytuacja rzeczywiście zrobiła się nadzwyczajna. Świtało, gdy ojciec go obudził. Stary z wściekłością kopnął kilka pudeł po pizzach, w dłoni ścisnął telefon i pokazał SMS-a. A on przetarł zaropiałe oczy i kilka razy odczytał wiadomość, zanim dotarł do niego jej sens. Potem przyjechała policja. Wśród mundurowych nie było aspiranta Nowiny ani innych znajomych i delikatnie ujmując, rozmowa się nie kleiła. Ojciec zadzwonił po adwokata. Burger nie przypominał sobie, kiedy coś podobnego się zdarzyło. Zaczęły się, jak zwykle w takich sytuacjach, proceduralne przepychanki.

Burger był zawsze dobry z matematyki i teraz dokonał szybkich obliczeń. Trzy trupy spalone w samochodzie, w tym jeden bez języka. Właśnie dlatego on i jego brat zostali wezwani do rodzinnego domu. Byli tu rok temu, gdy gówniarz zabijał się w dupie z Warszawy. Ale wtedy to była prosta sprawa. Więc tamtych trzech plus czterech ostatniej nocy. Wolał nie znać szczegółów. I jeszcze pies. Inni dali w długą. Dziembała gdzieś zniknął. Chłopak zajmujący się końmi nie zjawił się rano. Dwóch miejscowych osiłek odmówiło wsparcia. I przede wszystkim ten Hłasko... A wydawało się, że facet ma jaja. Wyglądało na to, że ludzie zaczynają opuszczać Henryka Koeniga. W tej sytuacji powinien wykazać się synowską lojalnością i pozostać, ale podjął inną decyzję.

Gdy ruszyli, raz jeszcze odtwarzał w głowie kłótnię z ojcem. Przeżuwał jak niestrawne danie.

Właściwie trudno nawet nazwać to kłótnią. Powiedział o swojej decyzji, stary milczał, po prostu patrzył, i była w tym spojrzeniu nieskrywana pogarda. Wyciągnął dłoń na pożegnanie, ale Henryk Koenig nie podał mu ręki. Gdy był w drzwiach, zatrzymał go głos: „Zawsze byłeś tchórzem. Dziesięć lat temu też nie wzięłeś spraw na klatę. Wyręczyłeś się mną. Beze mnie byłbyś nikim. Zgniłbyś, przecwelonny, w więzieniu”. Słowa dzwoniły mu w uszach i atakowały jak okropny refren. Być może stary miał rację. Być może decyzja o wyjeździe nie wynikała z racjonalnej kalkulacji. To po prostu jego tchórzliwa natura wzięła górę.

Musiał jakoś odreagować, ale jeszcze nie wiedział jak. Wróci do domu i sprowadzi sobie jakąś dziwkę. Przywróci mu to pewność siebie i poprawi samopoczucie. A ojcu przejdzie. Kiedyś. Albo całkiem zdziczeje i zdziwaczeje w tym swoim domu.

Przestało siąpić. Za chwilę mieli być w Lemnach, a dalej będzie widać pstrokatą elewację szczycieńskich domów. Może zatrzyma się na hamburgera. Na stres najlepsze jest pieprzenie, ale z braku laku można go także zajeść. Zdarzało mu się to nie raz i nie dwa.

Burger wyjrzał przez okno i zamrugął. Coś musiało mu się przywidzieć.

– Zatrzymaj się i cofnij – polecił. – Do tamtej budy.

Kierowca nawet nie zawrócił. Ruch na drodze tego dnia był żaden. Wrzucił wsteczny i zatrzymał się na wysokości białego prostokąta.

Jerzy Koenig przetarł oczy. To nie było złudzenie. Na poboczu stał food truck w pastelowym kolorze. Buda była otwarta. Do konsumpcji namawiało zdjęcie cypatej blondyny. Sos ściekał jej po szyi tam, gdzie powinien. Napis wykonany liternictwem wystylizowanym na amerykańskie reklamy sprzed półwiecza był prosty w przekazie. „Najlepsze hamburgery”. Koenig cenił prostotę. Otworzył drzwi i uśmiechnął się. Pierwszy raz tego dnia.

Mężczyzna patrzył na pustą drogę, palił papierosa i myślał o wilkach. Dużo o nich wiedział. Czasem nie mógł się nadziwić mądrości zwierząt.

Wilki są mistrzami polowania. Gdy czują obecność zdobyczy, poruszają się szybciej i machają ogonami, ale tę ekscytację równoważą spokojem i opanowaniem. Podchodząc ofiarę, kamuflują swoją obecność, wykorzystując warunki terenu. Konsekwentnie dążą do celu.

On też nauczył się mylić czyjąś czujność. Potrafił wtopić się w otoczenie, wręcz w nim rozplynać, zdobyć zaufanie i uzyskać niezbędne informacje. Lata treningu uczyniły z niego bezwzględного drapieżnika.

Nie powinien się teraz rozpraszać. A mimo to wspominał nocną rozmowę.

Zebrali i złożyli wnyki. Chwila nieuwagi i zęby mechanizmu mogły uciąć rękę i byłaby to najgłupsza puenta tego, co stało się tej nocy w lesie. Gdy skończyli, Hłasko przemówił: – Co zrobisz dalej? Jak już to skończysz... Co wtedy?

Przesunął językiem po wargach, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chodzi mi o to – naciskał tamten – co zrobisz, jak nie będziesz miał już kogo zabić?

Nagle – rozłożył ręce – taka pustka się wokół ciebie robi.

– A wokół ciebie jak się robi?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

– To nie jest żaden pojedynek w słońcu – powiedział. – To nie jest szlachetna potyczka dobra ze złem. Bo w tym nie ma żadnego dobra. Tu toczy się walka zła ze złem. Po prostu. – Myśl, co chcesz.

Nie miał ochoty na dłuższą dyskusję. Ale nie chciał tak tego kończyć. Westchnął.

– Już czas. Zapamiętaj dobrze – mówił, ważąc każde słowo. – Nigdy mnie nie widziałeś. Nigdy o mnie nie słyszałeś. A jeśli zdarzyłoby się, że kiedyś przypadkiem mnie zobaczysz, uciekaj.

Zapiął kurtkę i zniknął w lesie.

Teraz w oddali usłyszał samochód i wrócił do rzeczywistości.

Raz jeszcze pomyślał o wilkach. Wilki atakują, gdy ofiara zaczyna uciekać. On postępował tak samo. Mądre zwierzęta trwają bez ruchu. Bizony tak się zachowywały. Łosie też. Obie strony potrafiły trwać tak godzinami i wpatrywać się w siebie. Jeśli nie zmusisz ofiary do ucieczki, przegrywasz.

Prawie czuł się zwycięzcą. Wypłoszył przeciwnika. Zmusił do przyjazdu do Kiejkut. Wywabił Burgera z domu, gdzie trudno byłoby go dopaść. A teraz zmusił do ucieczki.

Czekał na nich ze spokojem. Gdy podeszli, wiedział, że zbliża się koniec. Oni nawet tego nie przeczuwali.

Dwaj mężczyźni stali na wyciągnięcie ręki.

– Co my tu mamy, mistrzu? – spytał Burger.

Mężczyzna w bejsbolówce się uśmiechnął.

– Jak to co? Hambuksy. To oczywiste. – Poprawił czapkę.

– Najlepsze hamburgery – wymruczał tamten i otarł usta. – Co to znaczy?

– To znaczy, że mam najlepsze hamburgery. Tylko tyle.

– Najlepsze gdzie? – Grubas nie dawał za wygraną. – Na Mazurach? W Polsce?

– Wszędzie.

Spaślak się roześmiał. Dwa drgające podbródki wyglądały teraz jak pacynki w teatrze lalek.

– A dodatki?

– Specjalność zakładu. Nie rozczarujecie się.

Zamówili dwa. Człowiek w bejsbolówce odwrócił się plecami do nich. Słyszał, jak rozmawiają. „Po drodze jeszcze się gdzieś zatrzymamy”. „Znam takie miejsce, mam to przećwiczone”. „Popatrz na tę dupę na reklamie. Myślałem, że tak tylko wyglądają kalendarze u mojego mechanika samochodowego”. „Tak samo wyglądają reklamy blachodachówek”.

Podał im dwa hamburgery. Jedli na miejscu. Pewnie nie chcieli brudzić w saabie.

Grubas wziął dwa kęsy. Przy trzecim się skrzywił. Coś mu nie grało. Zdjął bułkę z wierzchu. Zamrugął oczkami.

A potem spod plastra wołowiny wyjął zardzewiały gwóźdź.

– Co to, kurwa, jest? – wyszeptał.

– Oścień – odpowiedział ze spokojem sprzedawca hamburgerów.

Ochroniarz pochylił się, wsunął łapę do środka budy i zacisnął palce na białym T-shircie. Rozdzierany materiał trzasnął.

– Wyjaśnisz mi, gnoju, co to jest oścień?

Mężczyzna w bejsbolówce bez słowa sięgnął pod ladę. Wycelował w wielką głowę i nacisnął spust.

Burger stał, jakby go sparaliżowało. A gdy dotarło do niego, co się stało, zaczął się trząść. Z oczu popłynęły mu łzy.

– Za co? – wykrztusił.

– „Dany mi został oścień dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował, żebym się nie unosił pychą”⁵. To bardzo osobiste, co mówił święty Paweł. Ale weź to do siebie.

Człowiek w bejsbolówce uniósł broń.

Grubas wrzasnął. Wyglądało tak, jakby chciał zasłonić się hamburgerem.

W ułamku sekundy kula przeszła przez bułkę, ser i wołowinę. A potem przebiła serce Burgera. Zanim upadł, dosięgła go druga kula.

Sprzedawca hamburgerów wyłączył kamerę zamocowaną na wsporniku, który podtrzymywał budę. Za kilka godzin film po pewnych cięciach dotrze do starego Koeniga.

Ciała zepchnął do rowu.

Zdjął podarty i zakrwawiony T-shirt i włożył nowy.

Przypomniał sobie, co usłyszał ostatniej nocy w lesie. Oraz co odpowiedział.

Walka zła ze złem.

Każdy ma swoje racje.

Był środek nocy, gdy podjechałem pod Mazurię. Zgarnąłem rzeczy tak jak leżały i wrzuciłem je do bagażnika.

Jacek Daniel oddzielił część pensjonatu, tę, w której mieszkał, od gościnnych pokoi. Do prywatnej części domu prowadziło osobne wejście.

Zapukałem kilka razy, usłyszałem szuranie stóp, wreszcie drzwi się uchyliły.

– Coś się stało? – Patrzył na mnie z niepokojem.

Powiedziałem, że muszę wyjechać. Nagłe sprawy wzywają mnie do Warszawy. Wręczyłem mu klucze i pieniądze za ostatnie dni pobytu. Życzył mi spokojnego powrotu.

– Proszę kiedyś do nas zajrzeć. Z książką.

Ze Szczytna do Mikołajek jest pięćdziesiąt kilometrów. Nocą będę w pół godziny. We wrześnie widać jest tam dość tłoczno. Roztopię się w tłumie żeglarzy i turystów. A może zbieg okoliczności sprawi, że spotkam Agnieszkę. Dziewczynę Która Zdejmuje Zegarki. Odległe skojarzenie kołatało gdzieś z tyłu głowy niczym wrak wspomnienia. Przypominało sygnał z czarnej skrzynki, która utknęła w głębi oceanu, odezwała się i na powrót zamilkła.

Dojechałem na miejsce. Rozłożyłem siedzenie i w pozycji półleżącej, przed czwartą rano, napisałem do Koeniga.

Jeniec, Pliszka i dwóch twoich nie żyją. To była pułapka. Wiesz kto. Wycofuję się. Dalej beze mnie.

A potem przez cały dzień włóczyłem się po Mikołajkach. Obszedłem wszelkie możliwe miejsca. Szwendałem się po marinie, odwiedziłem budki z zapiekankami i goframi. Patrzyłem, jak wilki z mazurskich jezior grają w ice hockey. Agnieszki nigdzie nie napotkałem. Kołatanie w głowie nie ustawało. Czułem, że przeoczyłem coś oczywistego.

Piłem kawę za kawą i raz jeszcze próbowałem poskładać wszystko w całość. W pokoju Jana Koeniga znalazłem zdjęcie, na którym obejmuje zaginioną dziewczynę. Mogło dojść do kłótni między nimi, ktoś powiedział o słowo za dużo i coś się wtedy stało. Chłopak ukrywa ciało. Rozpacza i pozoruje zaginięcie. Obrabia sejf i znika.

Przygryzłem usta.

To nie tak. Jeśli stałby za tym najmłodszy z Koenigów, nie powinien zostawiać zdjęcia. Zrobiłby wszystko, żeby zatrzeć ślady. A już w ogóle nie powinien zostawiać futerału. Żaden muzyk, ostatecznie znałem kilku, by tak nie postąpił, na dodatek w środku tkwiła cenna fotografia. Wyglądało to tak, jakby chłopak został zmuszony do nagłej ucieczki. Nie miał czasu. Wystraszył się czegoś lub kogoś. Kogo? Na przykład dwóch przyrodnich braci. Przecież ci dwaj szukali dziewczyny. Może ją dorwali. Albo zajęli się obojgiem? Załatwili dwie sprawy za jednym zamachem, pozbyli się czarnej owcy w rodzinie i potencjalnej konkurencji do schedy. Przecież nigdy nie wiadomo, jak wszystko mogłoby się potoczyć. Prowadzili swoje biznesy, ale ostatecznie byli zdani na łaskę i niełaskę starego Koeniga. Byli dozgonnymi zakładnikami jego kaprysów oraz woli.

Siorbałem kawę.

Tykanie z tyłu głowy się nasilało. Miało związek z Dziewczyną Która Zdejmuje Zegarki, tylko nie wiedziałem jaki. Powiedziała coś takiego albo zrobiła... Uśmiechnąłem się na myśl o tym, co robiliśmy. Więc powiedziała coś takiego albo zrobiła, że powinienem popatrzeć na zaginięcie jej przyjaciółki z innej perspektywy. Odruchowo kreśliłem kółka na kawiarnianym stole.

Pozostawało drugie zaginięcie. To, które tak naprawdę mnie tu sprowadziło. Z tym miałem łatwiej. Wiedziałem już, co chcę zrobić. Dotychczas czekałem na błąd ze strony Koeniga, jedno nieopatrzone słowo, obraz ze wspomnień. Czekałem, aż się odsłoni, ale teraz chciałem rozegrać to inaczej. Zanim to nastąpi, czeka mnie jeszcze jedna rozmowa. I zobaczymy, co się stanie.

Zmierzchało, gdy wsiadłem do terenówki. Wracałem na moje łowisko. Znow zaczęło padać. Niebo wyglądało jak porysowana stal, aż całkiem poczerniało.

Dziesięć kilometrów przed Starymi Kiejkutami zobaczyłem ich. Stali przy drodze prowadzącej do lasu. Wjazd zagradzał szlaban i tabliczka nadleśnictwa.

Podjechałem do kampera. Docent i Brat stali skwaszeni. Złapali dziś gumę, a potem drugi raz. Zamiast skarbów musieli szukać wulkanizatora.

– B-b-bo, bracie, nieszczęścia chodzą parami. Nie jest łatwo.

Zapytałem, czy potrzebują pomocy, ale nie chcieli, ogarnęli już temat.

– Może skorzystasz z naszej apteczki pierwszej pomocy? – Docent stuknął nogą w czteropak.

Rozłożyłem ręce, wskazałem terenówkę i odmówiłem.

Przyjęli to ze spokojem.

Wieczorek spotkań dopiero się zaczynał. Przejechałem może dwieście metrów, gdy dwaj motocykliści zajechali mi drogę. Triumph bonneville i ścigacz. Rozpoznałem ich. Jeden wciąż z twarzą po przejściach po przejażdżce za samochodem. Z brodą związaną w dwa warkoczyki.

– Masz ogień, kolego? – zaczepił mnie drugi, w skórzanej kurtce bez rękawów.

Powiedziałem, że nie palę.

Próbowali zajrzeć do środka samochodu i ociągali się z odjazdem.

Jeden zaklął, drugi postukał w dach wozu i uznał, że to bardzo zabawne, obaj zachowywali się jak po amfie. Tryskali energią jak młode byczki na arenie, wreszcie dali za wygraną.

Nie odpaliłem silnika. Widziałem w lusterku, jak odjeżdżają. A potem dwie maszyny skręciły w odnogę, w której stał kamper.

Trwałem z rękami na kierownicy, wpatrzony w pustkę. A potem zawróciłem.

– Popatrz, te dwa pedałki mają pełne stringi – usłyszałem. – Wyskakiwać z tego, co macie. Monety? Stare odznaki?

Nie widzieli mnie.

Poświeciłem latarką.

Docent stał ze spuszczoną głową. Chyba z krwawiącą wargą. Brat w trzęsących rękach trzymał laptopa.

Rockersi się odwrócili. Jeden przekrzywił głowę i zmrużył oczy. W świetle latarki widzieli jedynie zarys mojej sylwetki.

– Django, Django – powiedziałem trochę do siebie, trochę do nich.

– A ten czego chce?

Jedną rękę trzymałem za plecami.

– Proszę, proszę. Bizon i Perun, dwaj starzy kumple. Nie poznajecie mnie?

Zrobiłem trzy kroki do przodu. Powoli. Bez pośpiechu.

– Znamy się? – zapytał Perun, przekrzywiając głowę.

– Teraz już tak.

Trzy kolejne kroki. Wyjąłem pistolet.

– Obaj na ziemię, już! – rzuciłem

Spojrzeni po sobie. Uznali, że to żart. Kiepski żart z mojej strony. Bizon sięgnął do kieszeni i wyjął nóż. Sprężyna szczęknęła i zobaczyłem kilkunastocentymetrowe ostrze. Perun założył kastet. Uśmiechnęli się i zbliżyli się o dwa metry. Szli czujnie, gotowi rzucić się na mnie i pewni swego. Z szeroko rozłożonymi rękami i ustawieni w jednej linii byli idealnym obiektem do planowanego odstrzału.

Nie czekałem dłużej.

Przeładowałem glocka, wycelowałem w triumpha i strzeliłem. Trafiłem w koło. Słyszałem syk, jakby z maszyny uleciała dusza.

– Następne będę wasze kolana. – Wycelowałem w Bizona.

Zatrzymali się.

– On, kurwa, nie żartuje. To strzela – odezwał się Perun.

– Bravo, bystrzaku. A teraz zdejmij kastet. A ty rzuć nóż. I obaj, kurwa, twarzą do gleby. I komórki z kieszeni.

Patrzyli po sobie i negocjowali spojrzeniami, wreszcie dali za wygraną.

Leżeli z rozłożonymi szeroko rękami i nogami. Tykanie z tyłu głowy stawało się nieznośne i może dlatego coś we mnie wstąpiło.

Stałem się irlandzkim wampirem.

Podszedłem do Peruna i z całej siły walnąłem go kolbą w śródrecze. Rozległ się chrupot pękających kości i wrzask. Zanim Bizon zorientował się, co się stało z kumplem, sprzedałem mu kopniaka, a potem i jemu złamałem rękę. Solidarność to piękna sprawa. Motocykliści wyli i złorzeczyli, wijąc się na ziemi, a ja przeciąłem opony w drugim motorze. Telefony wyrzuciłem w krzaki. Pracowałem jak sprawna maszyna. Naprawdę szybko się z tym uwinąłem.

– A teraz posłuchajcie, naćpane pojeby. – Dyszałem, wpatrując się w nich. – Jeśli raz jeszcze was spotkam, zabiję was. Albo zrobię to teraz. – Przyłożyłem Perunowi lufę do głowy, a ten znów wrzasnął. Trzasnąłem go w kark i uciszył się.

Wstałem i podszedłem do poszukiwaczy skarbów. Wyglądali jak dwie kamienne figury.

– Zjeżdżajcie stąd. Tak będzie najlepiej. Aha, dajcie mi skręta.

Nie poruszyli się.

– Słyszysz? – ponagliłem. – Daj mi bucha, bracie. To podobno uspokaja.

Drgnął, wyrwany ze stuporu, ruszył do kampera i wrócił ze skrętem.

Wziąłem macha. Potem jeszcze jednego. Uniosłem twarz ku niebu, a krople spadały na moje rozpalone czoło. Prawie słyszałem ich syk.

– Nie próbujcie nawet się ruszyć, dopóki nie odjedziemy – zaordynowałem. – Bo wrócę.

Byłem pewien, że motocykliści szybko się nie pozbierają.

Wsiadłem do samochodu. Przejechałem może pół kilometra i zatrzymałem się z piskiem opon. Minął mnie kamper, poszukiwacze nawet nie spojrzeli w moją stronę.

Tykanie w głowie ustało. Poczułem ulgę, jakby skumulowana, uwięziona energia wydostała się na zewnątrz, a wraz z jej eksplozją pewne sprawy stały się oczywiste.

Laptop.

Laptop poszukiwacza skarbów z nalepką na obudowie. W miejscu, gdzie inni mają logo z nagryzionym jabłuszkiem, Brat przykleił pełzającego robaka.

Zdyszana noc z Dziewczyną Która Zdejmuje Zegarki.

Brązowa opalenizna, gładkość skóry i jeden znak wytatuowany na ciele.

Tatuaż.

Przypomniałem sobie naszą rozmowę, gdy widzieliśmy się w Warszawie pierwszy raz.

W jednej chwili wszystko stało się jasne.

Wiedziałem już, co się stało z Magdaleną Wolską. Kto i dlaczego ją zabił.

I wiedziałem, kto jeszcze może zginąć.

Wyszarpałem telefon z kieszeni i drżącymi palcami wybrałem numer.

Odebrała za czwartym razem, gdy już traciłem nadzieję.

– Gdzie jesteś?

Spokój, spokój, spokój. Staralem się nie stracić zimnej krwi.

– U Smółki. Nie uwierzysz, co tu się dzieje.

– Co?

– Mistrz kupił wino. Powiedział, że to taka mała uroczystość całej społeczności.

Podobno nigdy mu się to nie zdarzało. Ludzie są w szoku. Przy bliższym poznaniu okazują się nawet dość fajni. Niektórzy...

Nawijała, a ja odpaliłem silnik. Zaczęło kropić.

– Pamiętasz naszą rozmowę? – przerwałem jej. – Wtedy w Warszawie? Mówiłaś, że Magda Wolska zrobiła sobie tatuaż. Miałyście... Macie takie same tatuaże?

– Ten sam wzór. Skarabeusz. W starożytnym Egipcie symbol odrodzenia. U tego samego koleśia robiłyśmy...

Dodałem gazu.

– Czy Smółka widział twój tatuaż?

– A co? Zazdrosny jesteś? – spytała zalotnie.

– Widział?

– Skąd mogę wiedzieć? Pewnie tak. Ty na pewno widziałeś. Magda miała na lewej łopacie, a ja na prawej, taka różnica...

W telefonie coś zatrzeszczało. Ziewnęła do komórki.

– Zaraz chyba się położę. Niektórzy już śpią...

Rwało nam rozmowę. Bardziej domyślałem się słów, niż je słyszałem.

– Spieprzaj stamtąd! – krzyknąłem.

Roześmiała się.

– Coś przerywa... Tobie tylko jedno na myśli...

– Uciekaj stamtąd natychmiast. Tak żeby nikt cię nie widział. Ukryj się gdzieś, będę za...

Zdałem sobie sprawę, że mówię sam do siebie. W telefonie panowała głucha cisza. Zakląłem. Śmignąłem koło Kiejkut. Za kilka minut będę na miejscu.

Zostały trzy kilometry. I wtedy terenówka, która przeszła niejedno, stanęła. Siłą rozpędu sunęła jeszcze kilkadziesiąt metrów, a ja wpatrywałem się w czerwone lampki na desce rozdzielczej. Przekręciłem kluczyk raz, drugi, kolejny raz. Bez efektu.

Nie miałem czasu. Chwyciłem glocka i zacząłem biec. Lało. Ziemia parowała, a ja, pochylony do przodu, wyglądałem pewnie jak upiór. Tyle że upiory nie trzymają pistoletu w ręce. Gnałem przez pagórkowaty teren, potykając się co rusz. W ciemności brakowało mi punktów odniesienia. Nie miałem pewności, czy nie błędzę. Kilka razy stanąłem i rozglądałem się, ale równie dobrze mógłbym łapać stopa na pustyni. Gdy z mroku wyłoniły się kontury wiaduktu kolejowego, odetchnąłem z ulgą. Nie miałem zasięgu, używałem telefonu jako latarki, wycierając go co chwila o spodnie. Ciężko oddychałem, bieganie w deszczu po takim terenie to jednak nie to samo co trucht Agrykołą.

Bryła starej stacji kolejowej wyłoniła się niespodziewanie. W środku budynku panowała cisza, było ciemno. Wokół też. Dość nietypowe jak na wieczór z Mistrzem przy winie. Zwolniłem. Starąłem się poruszać jak najciszej. Nasłuchiwałem. Przyklejony do mokrych ścian, obszedłem dom.

Wyszedłem zza rogu i zobaczyłem go. Stał zgarbiony kilkadziesiąt metrów ode mnie, a jego sylwetkę widziałem w bladym świetle.

Dwadzieścia metrów.

Okazało się, co jest źródłem światła. Stał przy samochodzie. Bagażnik kii sportage był otwarty. Zgięty wpół, Mistrz układał coś w środku.

Dziesięć metrów.

Słyszałem cichy świst wydobywający się z jego płuc.

Pięć metrów.

Trzy bezszelestne kroki.

Stałem i przeładowałem broń.

Drgnął, ale się nie odwrócił.

– Postanowiłem ci spieprzyć ostatnią wieczerzę, gnoju. Może staniemy w kółku i podamy sobie wszyscy ręce?

Odwrócił się. Wpatrywał się we mnie i milczał. Jego głowa i ciało lekko drżały. Włosy opadały na oczy.

– Odsuń się! – rozkazałem. – Na ziemię! – Wycelowałem glocka w jego łeb.

Gdy się położył, podszedłem do samochodu. W bagażniku leżała skulona Agnieszka Wrzesień. W bladym świetle jej ciało straciło realność i wydawało się eteryczne. Szukałem pulsu. Było zimna, ale żyła. Wziąłem głęboki wdech.

Wyczułem znajomy zapach. Obok samochodu stało dziewięć kanistrów z benzyną.

Wiedziałem, do czego Smółka ich potrzebował. I po co mu silne środki nasenne. Chlorprotiksen łatwo rozpuścić w wodzie, a podany z alkoholem działa jeszcze szybciej. Można by nim uspić pułk wojska.

– Wstawaj!

Dźwignął się powoli i otrzepał kurtkę.

– Zamierzałeś ich spalić i co dalej? Spieprzyłbyś do dżungli do swych Indian? Masz już wykupiony bilet do Brazylii?

– Muszą się poświęcić – wyszeptał i potarł czoło.

– Magdalena Wolska też musiała się poświęcić, stary capie? – W ustach czułem gorzki posmak. – Wiem, na co chorujesz. Słyszałem o chorobie Chagasa. Gdzieś w tym amazońskim syfie dopadły cię pluskwiaki. Te ścierwa nazywają „całującymi robakami”. Pewno aż podskoczyłeś, gdy zobaczyłeś ten tatuaż.

– Dostałem znak – szepnął. – Przepowiednie się spełniają. Darwin miał podobnie.

Łby takich jak on pracują na innych kanałach.

– Tobie się wydaje, że jesteś mesjaszem? Pojebały ci się role społeczne – drwiłem. – Znak? Przyjechała tu ufna, pełna życia dziewczyna. Z wytatuowanym owadem. Ze skarabeuszem. Symbolem odrodzenia. Tylko że ona przyjechała tu na własne nieszczęście... Po śmierć. – Mówiłem coraz głośniej i szybciej. – Co z nią zrobiłeś?

– Przejąłem jej energię. Poświęciłem tę kobietę.

Mówił bez żadnych emocji. Jak o najzwyklejszej, oczywistej sprawie.

Miałem dość. Dосkoczyłem do niego i zdzieliłem go kolbą w twarz. Jęknął i upadł. Chwyciłem go za kurtkę, podniosłem i rzuciłem na samochód.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest ciało?

Dyszał ciężko, z jego ust ciekła krew, zamglonym spojrzeniem błędził gdzieś w ciemnościach.

Wbiłem mu lufę w czoło.

– Rozwałę ci łeb! – ryknąłem.

Oczy wyszły mu z orbit.

Położyłem palec na języku spustowym.

– Pokażę ci – wyjęczał. – Pokażę ci, gdzie... Tu jest taka stara nieużywana studnia...

Chciałem przykryć czymś dziewczynę w bagażniku, ale niczego nie znalazłem. Popchnąłem go i ruszyliśmy. Oddalaliśmy się od domu. Deszcz zelżał. Poruszaliśmy się w ciemnościach, Smółka potknął się dwa razy i raz przewrócił. Poruszał się z trudnością, ale miałem to gdzieś.

A więc tak to się skończyło. Smółka, pseudomistyka chwytający liany dusz i owładnięty manią wielkości, postanowił zbawić samego siebie. Zabawił się w Pana Boga, zgwałcił i zabił dziewczynę. A potem cierpliwie czekał na kolejny znak. Dziś w nocy wszystko miało się dopełnić.

– Daleko jeszcze?

– Już blisko – wykrztusił.

Magdalena Wolska znika. Trafiała na złego człowieka w złym czasie i miejscu. Ale Jan Koenig myśli inaczej. Jest przekonany, że zaginięcie to sprawa jego braci. Zna ich dobrze i ma prawo tak myśleć. Dochodzi do rodzinnej awantury i młody staje się ofiarą kłótni. Przypadkową albo zaplanowaną. A Burger i Jaszczur tuszują sprawę. Obrabiają staremu sejf, obwiniają o to przyrodniego brata, którego rzekoma ucieczka nabiera sensu. Może tak było, ale mogło być też inaczej. Jan Koenig po prostu sam zawiął się z kasą. Ze strachu albo żeby poszukać zemsty, na przykład nasyłając płatnego mordercę. Przypomniałem sobie mężczyznę w koloratce.

Nigdy nie dowiemy się wszystkiego.

Smółka wyminął jakąś nierówność terenu i odbił w prawo, a ja zrobiłem kilka kroków przed siebie.

Poczułem, że tracę grunt pod nogami. Ze wszystkich stron otaczał mnie zapach wilgotnej ziemi. Wyplułem mokry piach i przetarłem oczy. We włosach miałem gałęzie, którymi była przykryta jama. Pistolet wypadł mi z ręki, nie wiedziałem gdzie. Próbowałem się wspiąć i wydostać na powierzchnię, ale buty ślizgały się po rozmięklej glinie. Dół był głęboki, dość szeroki i rozumiałem, że o własnych siłach się stąd nie wydostanę.

Nad głową słyszałem ni to rżenie, ni śmiech.

– A jednak przeznaczenie czuwa nade mną.

Spojrzałem w górę, ale nie mogłem go dostrzec. Patrzyłem w ciemną pustkę.

– Z tą drugą... tą Agnieszką... zrobię to samo. Tylko później jej nie uduszę. Wrzucę ci ją tu do dołu i poleję was benzyną. Wszystko się kiedyś kończy...

Ostatnie słowo zagłuszył huk wystrzału.

Usłyszałem odgłos upadającego ciała. Na próżno grzebałem w ziemi, szukając pistoletu. Natrafiłem tylko na jakieś kości.

Trzask pękającej gałęzi i kasznięcie. Ktoś się zbliżał.

Kilka wyraźniejszych szurnięć.

Nad głową usłyszałem sapanie.

– Cholerna pogoda. Przeziębilem się. Pomogę ci stamtąd wyjść, tylko nie odstrzel mi głowy, panie pisarzu.

Na górze był Wojtek Kowalewski.

Poświecił latarką i odnalazłem pistolet. Podał mi rękę, zaparł się i pomógł wydostać się z pułapki. Dziś nie był w żonobijce. Nie miał piwa i wędki. Cały na czarno, w sportowych butach. Był ostatnim, którego bym się tu spodziewał. Powiedziałbym mu to nawet, tyle że nie był to czas na prawienie komplementów.

– Może szybko nie biegam, ale nie muszę. Wystarczy, że celnie strzelam. Szliście we dwóch i nagle ty znikasz. Uznałem, że nie ma na co czekać.

Spojrzałem na ciało Smółki. Leżał twarzą do ziemi. Z rozrzuconymi rękami. Jak na proroka przystało. Być może w namokłej ziemi odnalazł Boską Częstkę.

Kowalewski raz jeszcze zajrzał do dołu.

– Muszę powiedzieć, że nieźle to przygotował dla nieproszonych gości. Sam nie dałby rady tego wykopać, pewnie pomagali mu ci, co tutaj... – Popatrzył na mnie. – Powinniśmy zadzwonić do mecenasa Hyżej. A potem na policję.

Nie odpowiedziałem.

– Dostałem od niej zlecenie. Miałem tu przyjechać za tobą. Może pamiętasz, zjawiłem się tego samego dnia. Zresztą prawie nakryłeś mnie wtedy w nocy, w lesie, u Koeniga. Jakby co, miałem ci pomóc... Hyża naprawdę cwana jest. Czują, że to twoje nagłe zaangażowanie jest jakieś dziwne. Więc obserwowałem cię, a w terenówce miałeś wszczepiony pewien drobiażdżek. Tyle że jak cię staranowali, to ten GPS się spierdolił i zacząłeś się urywać ze smyczy.

– A dziś jak mnie namierzyłeś?

– A dziś zadzwonił Docent, ten poszukiwacz, wiesz, i opowiedział, co się stało. Prosiłem, żeby dał mi znać, kiedy się pojawisz na horyzoncie. Po drodze natknąłem się na twój samochód, domyśliłem się, gdzie jedziesz. Nie było to zresztą trudne.

– Zobaczmy lepiej tę studnię – mruknąłem.

Odnaleźliśmy ją bez trudu. Była przykryta deskami. Gdy odsłoniliśmy kilka, uderzył nas zapach rozpuszczalnika. A może jakiejś farby. Spojrzeliśmy po sobie, a Kowalewski westchnął. Wyjaśniłem mu, dlaczego Magdalena Wolska musiała umrzeć. Dotarliśmy do celu. Reszta to zadanie dla policji i strażaków.

– Zanim zadzwonimy, zobaczmy, w jakim stanie są pozostali – powiedziałem. – Ci, co śpią. I jest jeszcze jedna w bagażniku.

Zanieśliśmy ją do budynku. Znalazłem jakiś koc i nakryłem ją. Agnieszka Wrzesień spoczęła koło dziewczyny z dredami. Leżały cicho, pogrążone we śnie, a poza nami dwoma nikt nie miał pojęcia, co tu się stało.

– Byłoby po wszystkim – powiedziałem.

Kowalewski nie zrozumiał.

– Już wczoraj byłoby po wszystkim. Ale ona – wskazałem na śpiącą – pojechała do znajomych. I ten skurwiel postanowił poczekać, aż wróci. Mieliśmy szczęście.

– A oni ile mieli.

Włączyłem telefon. Jedna kreska zasięgu pojawiła się, znikła i pokazała ponownie.

Ikonka z kopertą pokazywała, że mam wiadomość. Odczytałem ją. Składała się z jednego słowa.

– Sam porozmawiasz z mecenas Hyżą – powiedziałem. – Teraz ty tu rządysz. Miałem znaleźć Magdalenę Wolską i ją znalazłem. Nie chcę w ogóle występować w tej sprawie.

– Nie wiem, czy to się uda. – Kowalewski był sceptyczny.

– Wasza w tym głowa, żeby się udało. Mnie tu po prostu nie było. Twoja robota i kasa też. Musicie to załatwić beze mnie.

– Naprawdę myślisz, że Smółka ją zamordował, bo zobaczył tatuaż? – zmienił temat.

– Gdy go zobaczył – poprawiłem go. – Ludzie mordują z o wiele bardziej błahych powodów niż własne zbawienie.

Podąłem mu rękę. Uratował mi życie. Wiedzieliśmy o tym obaj.

– Ocaliłeś ich, ale nie wiem, jak przeżyjesz – próbowałem zażartować. – Nie opędzisz się od wywiadów.

– Rozgłos to ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy.

– Mnie zależy na nim jeszcze mniej.

Patrzył na mnie pytająco.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – wyjaśniłem. – To już jest wyłącznie moja sprawa.

Zapukałem. Potem głośniej. Odgłosy krzątania i po chwili drzwi się uchyliły.

Do Starych Kiejkut dobiegłem mokry i wyczerpany, ale jedno jedyne słowo w SMS-ie sprawiło, że nie opadłem z sił.

Możesz.

Pchnąłem drzwi, a potem mężczyznę.

– Przyjechałem w odwiedziny. Ale bez książki.

Wycelowałem broń.

Jacek Daniel stał oparty o stół. Na właścicielu Mazurii nie zrobiłem większego wrażenia.

– Jedziemy – rzuciłem.

– Gdzie?

– Dobrze wiesz.

Usiadł na krześle.

– A jeśli nie?

Nie miałem dobrej odpowiedzi. Ale mój wygląd mówił wszystko. Moje twarz i ręce były utyłane w ziemi, włosy i broda zlepione błotem. Wokół mnie roznosił się odór mokrego ubrania i potu. Ciało miałem napięte, a oczy, byłem tego pewien, dzikie i pełne determinacji. Sam sobie odpowiedział. Wstał, podszedł do szafy i zaczął się powoli ubierać.

Gdy był gotowy, popatrzył na mnie przeciągle. Schowałem glocka.

– Mówiłem mu, że to musi się tak skończyć.

Wsiedliśmy do jeepa i ruszył. Jechaliśmy do Szczytna, a w drugą stronę gnał policyjny wóz na sygnale. I dwie karetki. Zaraz potem kolejny radiowóz.

– Co tu się dzieje? – mruknął Jacek Daniel.

Minęliśmy Leśny Dwór, Siódmak i Nowiny. Światła omiotły billboard reklamujący Mazurianę, szczycieńską restaurację, i drugi, z piwem Specjal. Co tam napisali? „Witajcie w naszych stronach”? Miałem już dosyć tutejszej gościnności.

Po dwudziestu minutach byliśmy w Szymanach. W prawo odbijało się w stronę lotniska, z którego do tajnego ośrodka CIA transportowano talibów, po lewej był cmentarz, ale nie dojechaliśmy do niego, wcześniej skręciliśmy. Przemierzaliśmy leśną drogę równoległą do torów kolejowych. Po kilkuset metrach pożegnaliśmy resztki cywilizacji. Wjechaliśmy w las. Gałęzie smagały samochód, a pod kołami chrupał żwir. Między drzewami błysnęła para oczu. I kolejna.

Pięć minut później dojechaliśmy do polany. Światła samochodu omiotły leśniczówkę.

– Sto lat temu zbudowali kilkadziesiąt takich. – Daniel wskazał głową dom. – Według jednego wzoru. Po całych Mazurach są rozrzucone.

Z jakichś powodów musiał mi to powiedzieć.

Zanim wysiedliśmy, zobaczyłem, że poruszyła się zasłona. Nasz przyjazd został zauważony. Wahałem się przez chwilę, ale nie sięgnąłem po broń. Teraz nie miało to sensu.

Zanim Jacek Daniel nacisnął klamkę, ktoś otworzył drzwi.

Ignacy Daniel stał w progu, a potem odwrócił się do nas plecami. I to było całe zaproszenie z jego strony.

Usiadł za stołem z jasnego drewna, a my zrobiliśmy to samo.

Na ścianach spodziewałem się trofeów, ale wisiał tam tylko jeden obraz z myśliwskimi motywami. W kącie stał telewizor. Obok regał z książkami, podniszczony fotel i przedpotopowa lampa.

– Dwadzieścia sześć lat temu przyjechał tu Ryszard Hłasko, mój ojciec – wypaliłem bez szczególnych wstępów. – Jestem pewien, że go znaliście. – Zwróciłem się do starego Daniela: – Wiem, że poznałeś go na zdjęciu. Chcę wiedzieć, co się wtedy stało. To wszystko.

Ignacy Daniel zamknął oczy. Podrapał się po brodzie.

– Byłem w domu Koeniga – ciągnąłem – i coś tam zobaczyłem. Coś, co należało do mojego ojca. Blaszkę z trzema literami...

– R.I.P. – Stary Daniel miał zamknięte oczy. – To nie od tego, co myślisz, żadne *rest in peace*, tylko od trzech imion. Każdy z nas taką miał.

Mówił cicho, jakby do siebie.

– Czuję, że to się stanie... Że prędzej czy później się pojawisz. Albo przyjedzie ktoś inny... Wiesz, co twój ojciec robił podczas wojny?

Pamiętałem, co sam napisał w jednym z artykułów. Odpowiedziałem.

Na twarzy Daniela drgnął mięsień.

– To prawda, uczył się. A poza tym zabijał ludzi. Tak jak ja. I ojciec Henryka Koeniga, Piotr. Wykonywaliśmy wyroki śmierci.

Mignęło mi dobrotliwe oblicze mężczyzny siedzącego na wędkarskim krzeselku. Zacisnąłem palce na blacie.

– To była bardzo trudna sprawa – wrócił do opowieści. – Mieliśmy w Warszawie zlikwidować dwóch konfidentów. Skala tego zadania przerosła dwie grupy przed nami. Obie wpadły w kocioł. Znakomici ludzie. Wszyscy poszli pod ścianę. To było w czterdziestym trzecim. I wtedy AK zdecydowało, że wybierze nas trzech. Każdego z innego miasta. Bo ja tu jeszcze wtedy nie mieszkalem... Mówią, że podczas wojny nie robiono odznak. Że tylko ryngrafy z Matką Boską w lasach, a potem dopiero spadochroniarze Sosabowskiego pod Arnhem. Bzdury... Ci z „Parasola” mieli swoje wyszycia i my we trzech też coś sobie zrobiliśmy jako znak rozpoznawczy... Nie było to zbyt rozsądne, ale kto by o tym myślał. Wycięliśmy odznaki z puszek po konserwach.

Przypomniałem sobie kredens w domu Koeniga.

– Każdy z nas miał taką blaszkę z trzema literami. Ryszard, Ignacy, Piotr. Po tym mieliśmy się poznać. Twój ojciec dorobił sobie jeszcze morsa. Strzelał z takiego we wrześniu trzydziestego dziewiątego w Rembertowie. Ale o tym dowiedziałem się już później... Nasza akcja się powiodła, zlikwidowaliśmy parę, mężczyznę i kobietę. A potem pracowaliśmy razem. Twój ojciec miał zmysł organizatora, Koenig brawurę, a ja strzelałem celnie... W sumie... w sumie nie ma się czym chwalić. Strzelanie do ludzi to konieczność, a nie powód do dumy.

– Co się stało?

Zamilkł. Poruszał szczękami, jakby w ten sposób chciał zemleć przeszłość na drobne kawałki.

– A potem było tak, że Piotr Koenig popadł w obłąd. Zwariował. To się zdarzało... Częściej, niż można sądzić. Zaczął na własną rękę strzelać do ludzi. Uznał, że może sam decydować o losie... Że jest Panem Bogiem. – Opowiadał z coraz większym trudem. – Była pewna dziewczyna... Twój ojciec miał wobec niej poważne zamiary, zastanawiał się, czy... Koenigowi też się podobała, chociaż miał już inną. Ale ona go nie chciała. Z zazdrości ją zabił.

– Wiem nawet, jak wyglądała – przerwałem mu. – Ojciec rysował ją przez całe życie.

Jacek Daniel poruszył się niespokojnie na krześle.

– Nie miał jej zdjęcia... To wiem. Powiedział o tym, gdy spotkaliśmy się po latach. Koeniga musieliśmy zastrzelić. To była zima, ostatnia wojenna, koło Bożego Narodzenia... Pojechaliśmy do Kiejkut. Wieczór był. W chacie, gdzieś po drodze, śpiewali kolędy. Tak to zapamiętałem... Nie spodziewał się nas... Nie miał przy sobie broni. Zaczął uciekać, ale przez śnieg trudno. Jeszcze jedno pamiętam. Śnieg. Tak bardzo skrzypiał pod butami... Twój ojciec trafił go w nogę. Koenig upadł. A kiedy go dogoniliśmy, obaj oddaliśmy po jednym strzale... Henryk Koenig dopiero co się urodził, ale nie mieliśmy wyboru.

– Dlaczego mój ojciec przyjechał tu w osiemdziesiątym dziewiątym?

– Sumienie go gryzło – wtrącił Jacek. – Mówił, że wszystko się zmienia i on też chce coś zamknąć. Postanowił spotkać się z Koenigami.

– Z Koenigami?

– Z Henrykiem i jego bratem – wyjaśnił stary. – Chciał im wszystko opowiedzieć. Ale najpierw zobaczył się ze mną. Pierwszy raz po czterdziestu latach... Mówiłem mu, że to zły pomysł... Że nie wie, co to są za ludzie. Błagałem, żeby wyjechał i dał sobie ze wszystkim spokój. Ale był nieugięty... Zostawił u mnie dowód i prawo jazdy. Tak na wszelki wypadek... Gdyby nie wrócił, miałem spalić papiery. Potem go już nie widziałem.

Na wszelki wypadek.

Zrozumiałem, dlaczego Koenigowi nic nie mówiło moje nazwisko. Po prostu ojciec zmyślił inne, żeby nas chronić. Albo nie podał żadnego. A ci pewnie nie sprawdzili, do kogo należał samochód. Nasycili się samą zemstą. W przeciwieństwie do mojego ojca poznałem Koeniga. I rozumiałem, dlaczego stary Daniel milczał przez tyle lat.

– Więc teraz, gdy przyjechałeś, było to jak... – Jacek Daniel szukał odpowiedniego słowa. – Zabrałem ci zdjęcia z pokoju, te, co je trzymałeś w książce. Pomyślałem, że się zniechęcisz, wyjedziesz...

– Macie może te dokumenty?

Stary Daniel otworzył oczy. Spojrzał w moje.

– Spaliłem je – szepnął. – Wiem, że nie powinienem...

Nie chciałem, żeby się usprawiedliwiał. Nie było powodu.

Wstałem. To mi wystarczyło. Oni też się podnieśli.

– Co teraz? – zapytał Ignacy.

W moich oczach zobaczył odpowiedź.

– Poczekaj tu – rzucił.

Wyszedł z pokoju. Człapał, jakby przygniótł go ciężar historii i poczucie winy, że zawiódł. Słyszałem zgrzyt nienaoliwionej szafy.

Wrócił ze strzelbą.

– Idealna podróbka Holland & Holland. Dwunastka. Dostałem tuż po wojnie jako prezent. Nikt nie wie, że to mam. Nie trzymam jej z resztą broni.

Wiedziałem, co chce mi powiedzieć. Strzelba była nie do namierzenia. Chciał, aby przemówiła także w jego imieniu. Miałem tylko jedno pytanie.

– Mówisz, że jest stara. Czy ta strzelba...

– Jest w stanie idealnym – przerwał mi. – Nie zawiedzie cię.

Jakby na potwierdzenie złamał dubeltówkę, załadował, złożył i podał mi. A potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej blaszkę wielkości pudełka zapalek. Położył na kościstej dłoni poczerńiały prostokąt. Trzy litery były ledwie widoczne. Zacisnął palce w pięść.

Stał w drzwiach, kiedy odjeżdżaliśmy.

Możesz.

Jacek Daniel podwiózł mnie do tabliczki z napisem „Teren prywatny”. Samochody na sygnale wciąż jeździły. Zastanawiałem się, czy Koenig już wie, co wydarzyło się w Ochódnie. Jeśli nawet, to ma swoje własne problemy. Po drodze zadzwoniłem do Clyde’a. Poprosiłem, żeby wrzucił do sieci filmik, który pierwszego dnia zrobiłem w barze. Rockersi znów znajdą się w centrum wydarzeń i w cieniu podejrzenia.

Do świtu zostało jeszcze trochę czasu. Ziemia po deszczu parowała. Gdzieś zahuczała sowa. A gdy zobaczyłem dom Koeniga, z lasu dobiegło przeciągłe wycie.

Dom wyglądał na opustoszały. Nie paliło się żadne światło, nie widziałem w oknach luf ani uzbrojonych ludzi krzątających się po terenie, ale swoje wiedziałem.

Henryk Koenig nie opuściłby domu. Na pewno nie teraz. To byłoby tak, jakby wywiesił białą flagę.

Okrążyłem budynek i podszedłem do stajni. Jeśli chłopak, który ujeżdżał konie, mówił prawdę, powinienem dostać się tamtędy na korytarz, omijając drzwi frontowe, które zawsze są dobrym miejscem, żeby czekać na intruza. Wszedłem do środka.

Starłem się poruszać jak najciszej, w prawej ręce trzymałem strzelbę, a za paskiem miałem zapiaszczonego glocka. Zgięty wpół, zrobiłem pięć kroków. Konie stały w boksach. Jeden boks był pusty i otwarty.

Uratował mnie instynkt. Albo poczułem zapach benzyny.

Rozległ się jazgot. Skoczyłem w bok i odwróciłem się, a piła łańcuchowa o centymetry minęła moje ramię. Strzelba wypadła mi z ręki. Jeden z koni zarżał.

Jaszczur, wciąż trzymając pilarkę, zrobił krok do przodu, zamachnął się, a ja uskokczyłem. Nie mogłem cofać się w nieskończoność. Musiałem coś zrobić.

Stał teraz przy strzelbie, a ja znajdowałem się na wysokości pustego boksu.

Jaszczur się uśmiechnął.

– I co teraz zrobimy? – zapytał. Każde z wypowiedzianych słów fermentowało.

Odłożył piłę, sięgnął po strzelbę. Złamał ją i gdy zobaczył, że jest naładowana, ponownie się wyszczerzył. Mogłem wyszarpać glocka, ale nie miałem pewności, czy wystrzeli. Ryzyko duże i nie dostanę drugiej szansy. Sięgnąłem ręką w głąb pustego boksu i chwyciłem trzonek wideł.

Strzelba, którą trzymał, po złamaniu automatycznie się zabezpieczała i żeby oddać strzał, trzeba było pchnąć w przód dźwignię bezpiecznika.

Jaszczur przesunął przełącznik i wciąż wpatrując się w broń, zrobił krok do przodu. Widziałem, jak jego stopa wpada do dziury odpływowej, z której ktoś zdjął kratkę.

Runął do przodu, wciąż trzymając dubeltówkę, gdy wyszarpałem widły.

Podnosił się, kiedy wykonałem coś na kształt szermierczego rzutu. Odbiłem się od ziemi, pofrunąłem do przodu i wciąż będąc w powietrzu, trafiłem go w szyję.

Zatoczył się, zaczął charczeć, a potem, z widłami tkwiącymi w szyi, obrócił się wokół własnej osi i upadł. Drgał jeszcze chwilę. W kąciku ust rozkwitł krwawy bąbelek. Po chwili się rozprysł. Jaszczur znieruchomiał.

Patrzyłem w oczy, szalone i złe nawet po śmierci. Na łuszczącą się skórę wokół ust. Na krew ściekającą do odpływu.

– W masce przeciwgazowej byłbyś piękniejszy, kutasie.

Podniosłem strzelbę i wstałem z kolan.

Drzwi na korytarz otworzyły się z cichym zgrzytem. Wszedłem na korytarz i zatrzymałem się ze strzelbą gotową do strzału. Nasłuchiwałem. Żadnego szmeru ani szelestu. W domu panowała cisza. Stawiałem krok za krokiem, zbliżając się do drzwi salonu.

Wziąłem głęboki wdech. Nacisnąłem klamkę, lufą pchnąłem drzwi i wpadłem do środka, schodząc z linii strzału.

Henryk Koenig siedział w fotelu, zwrócony twarzą do werandy, i kołysał się. Widziałem kolbę strzelby i końcówkę lufy. Trzymał broń na kolanach. Obok fotela stała butelka whisky. Włączyłem światło.

– Co to za hałasy, synu?

– Nie jestem twoim synem – odpowiedziałem.

Przestał się bujać, a potem zdjął dłonie z oparcia.

– Podnieś ręce i wstań. Powoli. Nie dotykaj broni – ostrzegłem go. – Potem się odwróć.

Nie przywykłem, żeby ktoś wydawał mu rozkazy. Wreszcie wstał, a strzelba uderzyła o podłogę. Był czerwony na twarzy, ale spojrzenie miał trzeźwe. Brodę pokrywała siwa szczecina, a włosy miał pozlepiane. Z pewnością i tak wyglądał lepiej ode mnie.

Patrzył mi w oczy.

– Dostałem film. Mój syn nie żyje.

Mówił o Burgerze.

– Twój drugi syn, Jaszczur, też. Właśnie go zabiłem.

Drgnął i spojrzał na dwururkę, która leżała u jego stóp.

– Twój trzeci syn, Janek, najpewniej też nie żyje. Tych dwóch go załatwiło. Burger i Jaszczur.

Zacisnął palce w pięść, a potem je rozprostował. Powtórzył tę czynność kilkakrotnie, wpatrując się w swoją rękę.

– Nie spodziewałem się tego po tobie – powiedział. W głosie słyszałem żal. Wyrzucił sobie, że nie poszedł za radą Jaszczura i nie wykończył mnie, gdy była sposobność.

Podszedłem do kredensu, w którym trzymał skalpy. Wyjąłem z niego starą blaszkę. Podniosłem ją, a on zmrużył oczy.

– Mój ojciec spodziewał się, że stąd wróci.

– Twój ojciec? A więc to był twój ojciec – wymamrotał. – Coś takiego...

Nagle się ożywił.

– Czy to twój stary był na tym zdjęciu? Tym, co znaleźliśmy wtedy w samochodzie? Nie poznałem go. Szkoda...

Milczałem. Zdjęcie zostało zrobione w latach siedemdziesiątych. Późniejszego nie znalazłem. Ojciec wyglądał na nim inaczej niż w osiemdziesiątym dziewiątym. Młodziej.

– Twój staruszek był... był dość naiwny.

Trzymałem strzelbę pod pachą.

– Powiem ci, co zrobię. Masz sto dwadzieścia sekund. Daję ci szansę. Spróbuj mnie zastrzelić. Albo uciec. Gdy miną dwie minuty, zabiję cię. Nie będę czekał sekundy dłużej. Umrzesz na moich warunkach.

Spojrzałem na zegarek.

– Czas start.

Zapatrzył się na kredens i zaczął mówić:

– Twój stary był naiwniakiem. Przyjechał do nas. Do mnie i mojego brata. Chciał się z nami pojednać...

Roześmiał się.

– Mój brat był większym kozakiem niż ja. Robił przewały z Ruskimi, ale im podpadł. Wydali na niego wyrok. Więc gdy nadarzyła się okazja, z jednym Ukraińcem spalili leśniczówkę i uciekli z grubszą kasą. Ruscy myśleli, że to akcja bezpieczeństwa, i dali spokój... Namawiał mnie, żebyśmy razem zrobili ten numer... Źle potem skończył, ale to nieważne. – Machnął ręką. – Wiesz, dlaczego ci o nim mówię?

– Osiemdziesiąt sekund – odpowiedziałem.

– Nie mogliśmy się dowiedzieć, jak twój stary się nazywa, a uwierz mi, mieliśmy dobre sposoby... Może nawet lepsze, niż są teraz. Połamaliśmy mu nogi...

Przełknąłem ślinę.

– Minuta.

– A potem mój brat wpadł na pomysł... Mieliśmy oparzkę. Taką do świń. Wsadziliśmy do niej twojego ojca. Świnia się zmieści, to i człowiek też. Nigdy wcześniej i później czegoś takiego nie zrobiłem. Jak to zobaczyłem... obiecałem sobie, że nie zrobię... Ale ten jeden raz... Były powody, przyznasz sam. Nawet nie wiem, gdzie go pochowaliśmy. Pamiętam, że samochód sprzedaliśmy na części.

– Żałuję, że dałem ci dwie minuty – powiedziałem. – Ale poczekam do końca.

– Nie uważasz, że w czasach opanowanych przez pośredników zemsta jest czymś, co nas ucłowiecza? Jeden na jednego. Nie sądzisz?

Odnalazłem diabła.

Podniosłem strzelbę.

Uniósł rękę, jakby próbował mnie powstrzymać. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył.

Pociągnąłem za spust.

Siła uderzenia rzuciła go na drzwi prowadzące na werandę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i trzask pękających desek. A potem zrobiło się cicho.

Podszedłem do ciała. Koenig leżał twarzą w stronę drewnianego podestu, z którego lubił patrzeć na konie. Wyglansowane oficerki na jego nogach błyszczały.

Możesz.

Błaszczę z trzema literami i pistoletem maszynowym Mors schowałem do kieszeni. Wiedziałem już, co z nią zrobię. Kiedy dojadę do Warszawy, cisnę ją do rzeki. Któregoś dnia, gdy znów przyjdą upały, ktoś ją odnajdzie. Uznałem, że to będzie najlepsza forma pożegnania.

Nad ranem opuściłem Stare Kiejkuty.

Nigdy tam nie wrócę.



Projekt: Paweł Leśniewski, Marcin Mańczak

Od autora

Dlaczego western? Ponieważ zawsze wydawała mi się pociągająca walka Dobra ze Złem. Bo rygory klasycznego westernu są wyzwaniem rzuconym powieści intelektualizującej, „znudzonej” fabułą, materiałem językowym, krwistymi postaciami. Może i bezradnej wobec tych wymogów. Western przypomina przypowieść biblijną, czasem mit antyczny. Szeryf urasta do miary Edypa, sprawującego sąd nad własnymi uczynkami, a rynecek z kowbojskim saloonem trąci rynkiem w Tebach, stolicy zresztą niewiele większej od dziewiętnastowiecznych osad Arizony⁶.

Taki mamy western, jakie mamy czasy. W skrócie: *R.I.P.* traktuje o walce zła ze złem. O zemście oraz zмовie milczenia. Także o tym, że zaprogramowani ludzie, tacy, którzy żyją z poczuciem misji do spełnienia, to nie są najciekawsze egzemplarze. A także o tym – przede wszystkim o tym – co sami z tej powieści wyczytacie.

R.I.P. jest westernem i czarnym kryminałem zarazem. Jest więc czarnym westernem. Znaczący twierdzą, że od Jamesa Fenimore’a Coopera prowadzi prosty szlak do Dashiella Hammetta i Raymonda Chandlera, a od samotnego trapera i szeryfa wyraźnie wytyczona ścieżka ku prywatnemu detektywowi. Są zresztą pisarze (jak Elmore Leonard), którzy z wielką biegłością poruszali się w obu gatunkach. Nie znaczy to, że przeskok od jednego do drugiego odbywał się bezboleśnie. W moim wypadku najwięcej problemów sprawiał balans między twardym realizmem a balladową konwencją. No, starczy tego mądrzenia.

Uwielbiam westerny. Podobnie jak kryminały, są kwintesencją opowiadania o naszej przygodności w świecie. Zygmunt Miłoszewski, dowiedziawszy się o moim zamiśle, z charakterystycznym dla siebie błyskiem w oku powiedział: „A wiesz, jest taka polska powieść, klasyczny western, tylko w innych realiach”. I tak sięgnąłem po *Wzgórze Błękitnego Snu* Igora Newerlego – pisarza, którego *Zostało z uczyty bogów* to niewątpliwe arcydzieło prozy polskiej. Skorzystałem z sugestii Zygmunta, choć w nieco inny sposób, niż pewno myślał. Odwołania do *Toastu* Józefa Hena (lub jeśli wolicie: *Prawa i pięści*) są także oczywiste. W mojej powieści pojawiają się aluzje i odwołania do innych utworów. Do majstersztyku Sama Peckinpaha *Dajcie mi głowę Alfredo Garcii* z genialnym Warrenem Oatesem. Do *15.10 do Yumy*. A także filmów Sergia Leone i komiksu *Kaznodzieja*.

Topografię Starych Kiejkut i okolic wykorzystałem niekiedy skrupulatnie, na ogół jednak z dość dużą swobodą, do której uprawnia przyjęta konwencja. W Starych Kiejkutach nie ma pensjonatu Mazuria, jest natomiast Mazur. Jego właścicielom dziękuję za wszechstronną pomoc i wsparcie.

Pewne fakty dotyczące polskich polityków, biznesmenów i celebrytów są wytworem fantazji, inne zaś nie. Nie będę utrzymywał więc, że wszelkie podobieństwo do postaci rzeczywistych to dzieło przypadku. Byłoby to koniunkturalne asekuranctwo.

Książka ta nie powstałaby, gdyby nie wesoła czereda, która pomagała mi w pracy. W pierwszej kolejności dziękuję Zuzannie Zaczek, której wiedza, literackie wyczucie, a także traperska wytrwałość i czujność sprawiły, że kilkakrotnie (co najmniej) nie wpadłem we wnyki jak... Przeczytajcie powieść, będziecie wiedzieli, kogo mam na myśli. Kłaniam się, Zuzanno, jak najniżej.

Paweł Leśniewski – zwany w pewnych kręgach Wielkim Chrzęszczarzem – jak zwykle był skarbnicą wiedzy z zakresu kryminalistyki, falerystyki oraz wielu innych dziedzin. Cierpliwie znosił moje fanaberie, a razem z Marcinem Mańczakiem, także świetnym gościem, stworzył przepiękny znaczek R.I.P. Dzięki, Przyjacielu.

Iwona Leśniewska wzbogaciła powieść o szczegóły medyczne (tak, Karol Darwin najpewniej cierpiał na chorobę Chagasa!), a także walczyła z moją bezsennością.

Leszek Koźmiński, twórca Kryminalnej Piły, i tym razem okazał się bezcennym konsultantem.

Zamysł westernu wspierała (także w punkt trafionymi uwagami fabularnymi) najlepsza polska pisarka kryminałów, Katarzyna Bonda. Jestem dumny i wdzięczny, Kasiu, że mogę na Ciebie liczyć.

Wiele mazurskich opowieści zawdzięczam Monice Witkowskiej. Tylko z niektórych mogłem skorzystać, reszta tkwi w pliku z zapasami.

Podziękowania niechaj przyjmą także: Tomasz Andruszkiewicz, Agnieszka Duranc, Mirosław Filiciak, Dariusz Gorzkowski, Mikołaj Gradowski, Cezary Kocot, Piotr Majewski, Aleksandra Litorowicz, Mistrz (ale nie ten z mojej powieści) Marcin Świetlicki, Piotr Zwierzchowski. Oraz Małgorzata Krokowska i Katedra Łowiectwa i Ochrony Lasu Wydziału Leśnego Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. A także inni, którzy świadomie (lub nie) przyczynili się do powstania tej książki.

Wreszcie – *last but not least* – słowa podziękuję ku Renacie Kuryłowicz. Oraz Oli Sałudze, cudnemu zespołowi wydawnictwa Albatros i Redaktorowi Wszystkich Redaktorów, Filipowi Modrzejewskiemu. Często zachodzę w głowę, jak ze mną wytrzymujecie, ale nie kłopotcie się tą myślą.

I na koniec – długo się wahałem, czy o tym pisać – uwaga dotycząca podtapiania. Powiem tak: w takich razach najlepiej polegać na ludziach, którzy znają się na robocie, a zarazem pozostaną przyjaciółmi. Jakkolwiek to brzmi.

Nie pytajcie, kim jest mężczyzna z hiszpańską bródką. Powiem tylko, że może jeszcze powróci, a wtedy...

Reszta jest z mojej strony milczeniem, Waszą zaś – oby! – czytelniczą satysfakcją.

Mariusz Czubaj

Warszawa, lipiec 2016

- [1](#) List św. Jakuba 3,3 oraz 3,8. Ten i inne cytaty z Biblii za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań–Warszawa 1990.
- [2](#) Apokalipsa św. Jana 22,15.
- [3](#) *Vegetalistas* i *curanderos* (hiszp.) – ziołarze i uzdrowiacze.
- [4](#) Księga Izajasza 13,18.
- [5](#) Drugi List do Koryntian 12,7.
- [6](#) Józef Hen, *Dlaczego western?* [w:] tegoż, *Prawo i pięść*, Świat Literacki, Izabelin 1997, s. 5–6.